

URZEKAJĄCA CZARNA KOMEDIA O WSPÓŁCZESNEJ AMERYCE  
AUTORA BESTSELLEROWEGO *KRĘGU!*



# BOHATEROWIE POGRANICZA

„Głęboko poruszająca”.  
*The New York Times*

„Miejscami wstrząsająca,  
nierzadko zabawna”.  
*San Jose Mercury News*



„Oczyszczająca  
i dodająca otuchy”.  
*The Guardian*

„Porywająca i wzruszająca”.  
*Publishers Weekly*

DAVE  
EGGERS

**DAVE  
EGGERS**

**BOHATEROWIE  
POGRANICZA**

Z języka angielskiego przełożył  
Marek Fedyszak



Tytuł oryginału:  
HEROES OF THE FRONTIER

Copyright © 2016, Dave Eggers  
All rights reserved

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk  
Korekta: Izabela Sieranc, Aneta Iwan, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-249-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

Podziękowania

Przypisy

# I

Istnieje dumne szczęście, szczęście zrodzone z wykonywania dobrej roboty w świetle dnia, z lat pracy wartej zachodu, potem zaś zmęczenia, zadowolenia i radości z przebywania w gronie rodziny i przyjaciół, w poczuciu satysfakcji i w gotowości do zasłużonego odpoczynku – bez znaczenia czy we śnie, czy w ramionach śmierci.

Jest również szczęście właściciela rudery. Szczęście wpływające ze świadomości, że siedzisz sama na fotelu pasażera w wiekowym kamperze zaparkowanym gdzieś na samym południu Alaski, w głowie szumi ci od czerwonego wina i gapisz się na plamę czarnych drzew, nie chcąc zasnąć z obawy, że w każdej chwili ktoś może sforsować zameczek w drzwiach i zamordować cię wraz z dwójką twoich małych dzieci śpiących u góry.

Josie patrzyła spod przymrużonych powiek w przyćmione światło długiego letniego zmierzchu na przydrożnym parkingu na Alasce. Tego wieczoru czuła się szczęśliwa z butelką pinota, w tym zaparkowanym w mroku samochodzie otoczonym nieznanymi lasami, i z każdym kolejnym łykiem wina z żółtego plastikowego kubka coraz mniej się bała. Była zadowolona, choć wiedziała, że to przelotne i nienaturalne zadowolenie, wiedziała, że to wszystko jest nie tak, jak trzeba – nie powinna podróżować po Alasce, nie w taki sposób. Była dentystką i przestała nią być. Ojciec jej dzieci, cierpiący na bezustanne rozwolnienie, pozbawiony kręgosłupa moralnego mężczyzna imieniem Carl, człowiek, który tłumaczył Josie, że formalny związek małżeński to niepotrzebne, upraszczające mydlenie oczu, półtora roku po tym, jak się wyprowadził, znalazł inną kobietę, gotową go poślubić. Poznał inną kobietę, mieszkankę Florydy, i teraz – rzecz nieprawdopodobna i niesamowita – żenił się z nią. Ślub zaplanowano we

wrzeźniu i Josie miała pełne prawo wyjechać, zniknąć do czasu, aż będzie po wszystkim. Carl nie wiedział, że wywiozła dzieci z Ohio, niemal poza granice Ameryki Północnej. I nie mógł wiedzieć. Cóż mogło zapewnić jej niewidzialność lepiej niż to – dom na kółkach, brak stałego adresu zamieszkania, biały kamper w stanie, gdzie było milion innych zbłąkanych wędrowców, wszyscy w białych kamperach? Nikt nie zdołałby jej znaleźć. Zastanawiała się nad zupełnym opuszczeniem kraju, ale Ana nie miała paszportu, a jego uzyskanie wymagało zgody Carla, więc ta możliwość odpadła. Alaska była zarazem tym samym i innym krajem, Rosją niemalże, prawie nicością, i gdyby Josie zostawiła telefon i płaciła wyłącznie gotówką – w czymś w rodzaju aksamitnej sakiewki przeznaczonej na złote monety lub czarodziejskie ziarna fasoli przywiozła z sobą trzy tysiące dolarów – nie dałoby się jej wytropić. Poza tym była kiedyś skautką. Potrafiła zawiązać węzeł, wypatroszyć rybę i rozpalić ognisko. Alaska jej nie onieśmiałała.

Josie i jej dzieci wylądowali w Anchorage kilka godzin wcześniej, w tym szarym, pozbawionym piękna i niebudzącym nadziei dniu, ale w chwili gdy wysiadła z samolotu, poczuła ożywienie.

– No dobra! – powiedziała do swoich wyczerpanych i wygłodniałych dzieci, które nigdy nie przejawiały zainteresowania Alaską, a teraz się tutaj znalazły. – Jesteśmy na miejscu! – dodała i wykonała krótki, radosny marsz. Żadne z dzieci się nie uśmiechnęło.

Wsadziła je do tego wynajętego kampera i ruszyła w drogę bez przemyślanego planu. Producenci kampera nazwali swój wyrób „chateau”, ale od tego czasu minęło trzydzieści lat i teraz kamper był zdezelowany i niebezpieczny dla swoich użytkowników oraz wszystkich, z którymi dzielił drogę. Ale po całym dniu jazdy dzieci czuły się świetnie. Tworzyły dziwną parę: Paul, ośmiolatek o zimnych, czujnych oczach kapłana z krainy lodu, łagodny, powolny chłopiec, o wiele bardziej rozsądny, życzliwy i mądry od swojej matki, oraz Ana, zaledwie pięcioletnia, stanowiąca ciągle zagrożenie dla umowy społecznej. Ana była zielonooką bestią z grzywą

irracjonalnie rudych włosów oraz talentem do wynajdywania w dowolnym pomieszczeniu najłatwiej tłukących się przedmiotów i tłuczenia ich z niewiarygodną wręcz skwapliwością.

Słyszając warkot ciężarówki przejeżdżającej pobliską szosą, Josie nalała sobie drugą porcję wina. „Wolno mi” – pomyślała i zamknęła oczy.

Tylko gdzie się podziała Alaska niepowtarzalnego klimatu i czystego nieba? To miejsce było zasnuwane mgłą kilkunastu pożarów lasu, rozprzestrzenionych w całym stanie niczym zaraza, i Josie jeszcze nie dostrzegła jego majestatu. Wszystko, co do tej pory widzieli, okazało się zaśmiecone i surowe. Widzieli hydroplany. Widzieli setki domów na sprzedaż. Widzieli przydrożne ogłoszenie o sprzedaży szkółki leśnej. Oraz inny kamper, bardzo podobny do ich własnego, zaparkowany na poboczu pod urwistym zboczem wysokiej góry. Załatwiała się przy nim jakaś kobieta. Widzieli chaty z drewnianych lakierowanych bali. W jednym sklepie osiedlowym, również z lakierowanych bali, widzieli koszulkę z napisem NIE OBWINIAJ MNIE. JA GŁOSOWAŁEM NA AMERYKANINA.

Gdzie zatem podzieli się bohaterowie? Josie wiedziała tylko, że tam, skąd przybyła, mieszkali sami tchórze. Nie, znalazł się jeden odważny człowiek, a ona przyczyniła się do jego śmierci. Wszyscy wszystko zabrali, a Jeremy nie żył. Znajdźcie mi jakiegoś śmiałka, poprosiła ciemne drzewa przed sobą. Znajdźcie mi kogoś zamożnego, zażądała od widocznych za nimi gór.

Pomyślała o Alasce na kilka zaledwie tygodni przed podjęciem decyzji o wyjeździe z Ohio. W Homer miała przyrodnią siostrę Sam, która niezupełnie była jej przyrodnią siostrą i której od lat nie widziała. Otaczała ją aura wielkiej tajemniczości, ponieważ mieszkała na Alasce, miała własną firmę i pilotowała jakąś łódź lub statek; wychowała też w zasadzie samotnie dwie córki, bo jej mąż rybak całymi miesiącami przebywał na morzu. Zdaniem Sam nie był wiele wart i niewiele traciła na jego nieobecności.

Josie nigdy nie była na Alasce i nie wiedziała, dokąd poza Homer jechać ani co można tam robić. Napisała jednak do Sam, informując



o swoim przyjeździe, a Sam odpisała, że nie ma nic przeciwko temu. Josie uznała za dobry znak, że przyrodnia siostra, której nie widziała od pięciu lat, ograniczyła się do tego stwierdzenia i obyło się bez usilnych próśb i zachęt z jej strony. Sam była teraz Alaskanką, to zaś z pewnością oznaczało skupienie się w prostolinijnym życiu na pracy, niebie oraz drzewach, a właśnie takiego usposobienia Josie łaknęła u innych i u siebie. Nie chciała już niepotrzebnych życiowych dramatów. Gdyby zachowania na pokaz były potrzebne, nie ma sprawy. Gdyby człowiek wchodził na górę i podczas tej wspinaczki napotkał burze z piorunami ciskanymi przez zagniewane niebiosa i lawiny, wtedy mogłaby zaakceptować dramat i w nim uczestniczyć. Podmiejskie dramaty były jednak tak męczące, tak absurdalne na pierwszy rzut oka, że nie mogła już dłużej przebywać z nikiem, kto uważał je za prawdziwe lub interesujące.

Polecieli więc, znaleźli bagaże, a potem Stana. Był on właścicielem kampera chateau, który od niego wynajęła, i stał za stanowiskiem odbioru bagaży, trzymając tabliczkę z wypisanym na niej nazwiskiem Josie. Wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała – emeryt po siedemdziesiątce, rubaszny i mający w zwyczaju wymachiwać rękami, jakby były ciężkimi przedmiotami, kiśćmi bananów, które dostarczał klientom. Załadowali swoje bagaże do kampera i ruszyli. Josie odwróciła się, żeby spojrzeć na swoje dzieci. Wyglądały na zmęczone i brudne.

– Fajny, co? – zapytała, wskazując na wnętrze chateau, mozaikę pledów w szkocką kratę i forniru. Stan był siwowłosy i nosił wyprasowane dżinsy oraz czyste jasnoniebieskie adidas. Kiedy pokonywali szesnaście kilometrów z lotniska do domu Stana, gdzie mieli sporządzić dokumenty wynajmu, Josie siedziała na fotelu z przodu, a dzieci z tyłu, na ławie. Ana szybko zasnęła z twarzą przy poziomych żaluzjach. Paul uśmiechnął się blade i zamknął swoje lodowate kapłańskie oczy. Stan przekrzywił lusterko wsteczne, żeby im się przyjrzeć, i widząc je oczyma Stana, Josie zrozumiała, że nie wyglądają na jej dzieci. Nie pasowały do niej i do siebie nawzajem. Włosy Josie były czarne, włosy Paula szarobrązowe, Any zaś

rude. Josie miała oczy piwne i małe, Paul wielkie i niebieskie, Ana zielone i do tego w kształcie zakrzywionych migdałów.

Kiedy dotarli na podjazd domu, Stan zaparkował i zaproponował, by dzieci pobawiły się w ogrodzie. Ana natychmiast podeszła do dużego drzewa z dziurą w pniu i wetknęła w nią dłoń.

– Spójrzcie, mam dzidziusia! – zawołała, trzymając niewidzialne niemowlę.

– Przepraszam – powiedziała Josie.

Stan skinął ponuro głową, jakby stwierdziła: MOJA CÓRKA JEST OBLĄKANA I NIE DA SIĘ TEGO WYLECZYĆ. Wyjął instrukcję obsługi i z powagą człowieka wyjaśniającego, jak zdemontować bombę, opisał funkcje kampera. Samochód wyposażono w kuchenkę, prędkościomierz, licznik mil, łazienkę, zbiornik na fekalia, podłączenie do sieci elektrycznej, rozmaite dźwignie, poduszki i ukryte schowki.

– Korzystała już pani z kampera – rzekł, jakby nie mogło być inaczej.

– Oczywiście. Wiele razy – odparła Josie. – Kierowałam też autobusem.

Nie robiła żadnej z tych rzeczy, wyczuła jednak, że Stan traktuje poważnie swój chateau, ale ją nie za bardzo. Musiała zaszczepić w nim przekonanie, że nie zjedzie w przepaść. Przeszedł z nią dookoła samochodu, odnotowując na podkładce do pisania widoczne uszkodzenia, i gdy to robił, Josie spostrzegła w wykuszowym oknie domu spoglądającego na nich sześciolatka. Pokój, w którym stał, wydawał się całkowicie biały – białe ściany, biała wykładzina dywanowa, biała lampa na białym stole. Niebawem jakaś nadopiekuńcza kobieta, prawdopodobnie żona Stana, stanęła za chłopcem, położyła mu dłonie na ramionach, odwróciła go i wyprowadziła w głąb domu.

Po sprawdzeniu kampera Josie spodziewała się, że zostanie zaproszona wraz z dziećmi do domu, ale tak się nie stało.

– Do zobaczenia za trzy tygodnie – rzekł Stan, taki bowiem uzgodnili okres wypożyczenia. Josie nie wykluczała, że podróż może się wydłużyć do miesiąca lub na czas nieokreślony, i pomyślała, że zadzwoni do Stana, gdy stanie się to bardziej oczywiste.

– W porządku – powiedziała i usiadła za kierownicą. Pociągnęła długie, sterczące z kierownicy niczym jeleni róg ramię w dół, w położenie włączające bieg wsteczny, nie mogąc wyzbyć się wrażenia, że plan przewidywał zaproszenie ich do środka, ale coś przekonało Stana, że lepiej trzymać ich z dala od tego nieskazitelnie białego domu i swojego wnuka.

– Niech pani jedzie bezpiecznie – powiedział, machając swoimi ciężkimi niczym kiście bananów rękami.

Mieli trzy dni czasu do zabicia, zanim Sam wróci z jednej ze swoich wycieczek. Zabierała grupę francuskich dyrektorów do lasu, żeby pokazać im ptaki i niedźwiedzie, i miała wrócić dopiero w niedzielę. Josie zamierzała spędzić parę dni w Anchorage, ale gdy jechała skrzypiącym, trzęsącym się chateau przez centrum, zobaczyła uliczny jarmark z tysiącami ludzi w jaskrawych bezrękawnikach oraz sandałach i zapragnęła natychmiast stamtąd uciec. Opuścili metropolię, kierując się na południe, i wkrótce napotkali drogowskazy prowadzące do jakiegoś rezerwatu dzikich zwierząt. NAJWIĘKSZA ATRAKCJA NA ALASCE – zapewniał napis. Kiedy Josie była już przekonana, że miną tę atrakcję, zanim zauważy ją Ana, odezwał się Paul.

– Rezerwat dla zwierząt – poinformował swoją siostrę.

To, że umiał czytać, ogromnie komplikowało ich stosunki rodzinne.

Dzieci bardzo chciały tam jechać, a Josie bardzo chciała przemknąć obok, ale na tablicach wspomniano o niedźwiedziach, bizonach i łosiach, a myśl, że mogliby skreślić wszystkie te ssaki ze swojej listy w pierwszych kilku godzinach podróży, była dość kusząca.

Zatrzymali się.

– Musisz włożyć kurtkę – rzekł Paul do Any, która stała już przy drzwiach kampera, i podał siostrze okrycie niczym kamerdyner. – Przytrzymaj rękawy, żeby ci się nie podwinęły – poradził. Ana przytrzymała palcami mankiety koszuli i wsunęła ręce w rękawy kurtki. Josie obserwowała to wszystko z poczuciem, że jest zupełnie zbędna.

W biurze mieszczącym się w chacie z bali zapłaciła za ich troje złodziejską kwotę, sześćdziesiąt sześć dolarów. Zazwyczaj na miejscu byli przewodnicy i wózki, którymi wożono gości po terenie rezerwatu, ale wszyscy zniknęli lub byli na wakacjach, więc Josie i dzieci znaleźli się sami w czymś, co wyglądało na zoo po apokalipsie. Pomyślała o irakijskim ogrodzie zoologicznym po bombardowaniach wojsk sprzymierzonych, o lwach i gepardach włóczących się na swobodzie, wygłodniałych i bezskutecznie szukających kotów i psów do zjedzenia.

Tutaj sytuacja była lepsza, ale rezerwat wyglądał równie smutno jak każde zoo, miejsce, gdzie nikt tak naprawdę nie chce się znaleźć. Ludzie mają poczucie winy, że w ogóle tam przyszli, zdruzgotani myślami o schwytaniu tych zwierząt i ich niewoli, o kiepskim jedzeniu, lekach i klatkach. A zwierzęta ledwie się ruszają. Zobaczyli parę łośi oraz świeżo narodzonego łośzaka, wszystkie tkwiące nieruchomo. Zobaczyli jednego śpiącego bizona z wytartym futrem i wyrazem wściekłości w na wpół otwartych oczach. Oraz patykowatą, otepiałą antylopę; przeszła parę metrów i zatrzymała się, żeby spojrzeć ze smutkiem na szare góry w oddali. Jej oczy mówiły: Zabierz mnie, Panie, bo cierpię.

Wrócili do chaty z bali po napoje.

– Popatrzcie na to – rzekł przewodnik do jej dzieci, kiedy piły lemoniadę. Wskazał na pobliskie pasmo górskie, gdzie widać było wyjątkową, jak zapewnił, scenę: stadko owiec gruborogich wędrujących poniżej grani ze wschodu na zachód. – Użyjcie lornetki – dodał, na co Paul i Ana pobiegli do stacjonarnego zestawu do obserwacji przytwierdzonego do pomostu.

– Widzę je – powiedział Paul. Kiedy ustąpił Anie miejsca przy lornetce, Josie spojrzała w dal spod zmrużonych powiek i znalazła stadko odrobinę niewyraźnych białych kropek na tle zbocza góry. Widok dwunastu lub piętnastu zwierząt stojących pewnie na czymś, co wydawało się pionową ścianą, zdumiewał. Josie zajęła miejsce przy lornetce, odnalazła owce i ujrzała na niebie cień przecinający im drogę. Przypuszczalnie był to jakiś jastrząb, obróciła więc lornetkę, ale niczego nie dostrzegła. Wróciła do

owiec, natrafiając na jedną, która wydawała się patrzeć prosto na nią. Owca wyglądała na bardzo zadowoloną ze swojego życia, nie miała żadnych trosk, choć stała na mikroskopijnym występie skalnym na wysokości sześciuset metrów. Josie poprawiła nieco ostrość i teraz widziała owcę jeszcze wyraźniej; kiedy zatrzymała wzrok na cudownie klarownym obrazie zwierzęcia, nastąpiły dwie rzeczy jedna za drugą.

Najpierw wydało jej się, że chmury nad owcą się rozstępują, jakby chciały, żeby wąski promień bożego światła padł na pokrytą puszystym runem głowę zwierzęcia. Josie widziała jasnoszare oczy, sierść lekką jak piórko i białą niczym bawełna, i kiedy tak na siebie patrzyły, kiedy owca pokazywała jej, czym jest prawdziwe szczęście, ujawniając tajemnice swojego nieskomplikowanego życia wysoko ponad wszystkim – gdy to się działo, w polu widzenia Josie pojawił się ciemny kształt. Ciemne skrzydło. Był to drapieżny ptak, olbrzym o wielkiej rozpiętości skrzydeł przypominających czarny parasol. Po chwili zapikował, chwycił owcę w szpony, podniósł ją z urwiska na wysokość zaledwie kilkunastu centymetrów i wypuścił. Owca zniknęła z pola widzenia. Josie stała i przyglądała się gołym okiem, jak nie stawiając oporu, spada z góry nieświadoma śmiertelnego niebezpieczeństwa, opadając niczym szmaciana lalka na niewidzialne miejsce spoczynku.

– Orzeł – rzekł przewodnik, po czym gwizdnął z uznaniem. – Wspaniały, wspaniały.

Wyjaśnił, że to częsty, lecz rzadko widywany sposób wykorzystywany przez orły do uśmiercania dużej zdobyczy: drapieżnik podrywa zwierzyne i zrzuca ją z dużej wysokości, pozwalając, by zabiła się na leżących kilkadziesiąt metrów niżej skałach, łamiąc sobie wszystkie kości. Potem szybuje w dół. Chwyta martwą zdobycz i w całości lub w kawałkach przynosi jej mięso swoim piskletom.

– Czemu pan chciał nam to pokazać? – zapytała Josie, wiedząc, że to wspomnienie będzie ją prześladowało i przerazi jej dzieci, ale przewodnik zniknął.

– Co się stało, mamó? – zapytała Ana. Paul słyszał i zrozumiał opowieść mężczyzny, a Josie było przykro, że się dowiedział, iż w świecie zwierząt zdrada czyha na każdym kroku. Dziękowała jednak Bogu, że Ana jest, na razie, wolna od bagażu takiej wiedzy.

– Nic – odparła Josie. – Chodźmy.

Josie powiedziała dzieciom, że najlepiej będzie wydostać się z rejonu Anchorage, naprawdę stamtąd wyjechać, wyruszyć w podróż i wytyczyć własną trasę. Zatrzymali się więc przed zajmującym powierzchnię ośmiu hektarów sklepem, który wydawał się nie mieć końca; sprzedawano w nim aparaturę stereo, meble ogrodowe, peruki, broń i benzynę. Pełno tam było kierowców ciężarówek, trochę wielodzietnych rodzin, osób, w których żyłach najwyraźniej płynęła alaskańska krew, oraz trochę ogorzałych przedstawicieli rasy białej; wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych. Josie kupiła spory zapas artykułów spożywczych, tak by wystarczyło na tydzień, pochowała je bardzo starannie w szafkach z płyty wiórowej i odjechała.

Okazało się, że na większości szos Alaski obowiązuje ograniczenie szybkości do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, ale chateau nie przekraczało czterdziestu ośmiu. Przyśpieszenie do czterdziestki trwało niezmiernie długo, a zwiększeniu prędkości o następnych siedem mil na godzinę towarzyszyło astmatyczne charczenie silnika, potem zaś wydawało się, że cały zespół napędowy zaraz się rozpadnie niczym eksplodująca gwiazda. Tak więc przez pierwszych kilka godzin Josie jechała o dwadzieścia mil na godzinę wolniej niż inne pojazdy. Na dwupasmówkach zazwyczaj ciągnęło się za nią kilka samochodów; ich kierowcy trąbili i przeklinali, dopóki nie udało jej się znaleźć na tyle szerokiego pobocza, by ich przepuścić. Potem wracała na jezdnię, wiedząc, że za pięć minut znowu zgromadzi za sobą sznur rozwścieczonych podróżnych. Stan o niczym takim jej nie uprzedził.

Wcześniej zrobiła dzieciom kanapki i podała je na prawdziwych talerzach; właśnie skończyły jeść i zapytały, gdzie je odstawić. Poradziła, żeby postawiły na blacie. Na następnym czerwonym świetle talerze

pospadały na podłogę, tłukąc się i sprawiając, że resztki lunchu znalazły się we wszystkich zakamarkach i szczelinach chateau. Tak rozpoczęła się podróż.

Josie nic nie wiedziała o Seward, ale ponieważ miasto leżało w miarę blisko Homer, postanowiła, że tego dnia to ono będzie celem ich podróży. Jechali około godziny i znaleźli wprost olśniewającą zatokę, z wodą gładką jak lustro i ośnieżonymi górami wznoszącymi się na drugim brzegu niczym szereg siwowłosych starców. Zatrzymała się, żeby zrobić parę zdjęć. We wnętrzu kampera wszystko było już jednak brudne – większość chipsów Any wałała się po zabłoconej podłodze, wszędzie leżały porozrzucone ubrania i opakowania – i Josie poczuła, że ogarnia ją nagłe zmęczenie. Opuściła rolety, pozwoliła dzieciom obejrzeć *Toma i Jerry'ego* – w hiszpańskiej wersji językowej – była to jedyna płyta DVD, jaką zabrali, wyjeżdżając w takim pośpiechu – i oglądali kreskówki na swoim małym monitorze, podczas gdy ciężarówki przetaczały się obok niczym walce, powodując za każdym razem delikatne kołysanie się chateau. Dwadzieścia minut później dzieci spały, a Josie nadal czuwała.

Przeniosła się na fotel pasażera, otworzyła zamkniętą zakrętką butelkę pinota, naląła sobie porcję i rozsiadła się z egzemplarzem magazynu „Old West” proponującego czytelnikom PRAWDZIWE OPOWIEŚCI Z DZIKIEGO ZACHODU. Stan zostawił w kamperze pięć numerów sprzed czterdziestu lat. W magazynie znajdowała się rubryka zatytułowana *Zatarte szlaki*, do której czytelnicy przysyłali prośby o informacje o dawno zaginionych krewnych.

„W spisie ludności Republiki Teksasu z 1840 roku – napisał jeden z nich – znajduje się informacja o Thomasie Cliftonie z okręgu Austin i stwierdzenie, że posiadał trzysta czterdzieści dziewięć akrów ziemi. Chciałbym otrzymać wiadomość od któregoś z jego potomków”. List podpisał niejaki Reginald Hayes. Josie myślała o panu Hayesie, współczując mu i wyobrażając sobie fascynujące batalie prawne, które go czekają, gdy spróbuje odzyskać te trzysta czterdzieści dziewięć akrów w Austin.

„Może ktoś mógłby pomóc nam odnaleźć siostry mojej matki – brzmiał następny wpis – córki Waltera Loomisa i Mary Snell. Moja matka, Bess, była najstarsza. Ostatnio widziała się ze swoimi siostrami, Rose, Mavis i Lorną, w Arkansas w 1926 roku. Moja matka, obywatelka, nie pisała do nich i potem już nigdy nie otrzymała od nich żadnych wieści. Z radością przyjęlibyśmy wiadomość od kogoś, kto coś o nich wie. Teraz mają pewnie pięćdziesiąt kilka lat”.

Resztę strony wypełniały pełne niedopowiedzeń opowieści o porzuceniu i cierpieniu oraz sporadyczne wzmianki o kradzieżach i zabójstwach.

„David Arnold zmarł w Kolorado w roku 1912 i został pochowany w McPherson w Kanadzie” – pisał ktoś w ostatnim liście na tej stronie. – „Zostawił żonę i czworo dzieci. Sądzę, że jego dwie córki wciąż żyją. Chciałbym otrzymać kopię nekrologu Arnolda do rodzinnego archiwum lub dowiedzieć się, gdzie zmarł i czy kiedykolwiek dowiedziono, że śmierć była wynikiem zabójstwa, a także czy kiedykolwiek udowodniono, że śmierć jego dwóch synów w 1913 roku miała związek z jego zabójstwem. Był moim stryjecznym dziadkiem”.

Josie znowu napełniła kubek winem. Odłożyła czasopismo i spojrzała przez okno. Na myśl o tym, że jest tak daleko od Carla i jego przestępstw, na jej ustach zakwitł uśmiech. Rozstali się kilka lat po tym, jak zaczął się uskarżać na konieczność częstego oddawania moczu. Z niezwykłą, niespotykaną częstotliwością. Przecież wcześniej był zdrowym mężczyzną! Może nie takim, który mógłby ją przenieść przez próg domu – był chudy, a ona trochę przy kości – ale aktywnym, niecierpiącym na suchoty mężczyzną z dwiema rękami, dwiema nogami i płaskim brzuchem. Czemu więc sikał przez całą dobę? Teraz, osiemnaście miesięcy po rozstaniu, wyobraziła go sobie, jak stoi w rozkroku przed muszlą klozetową w otwartej ubikacji i szykuje się do sikania. Lub sika. Bądź strzepuje krople moczu. Rozpina rozporek przed sikaniem albo zapina go po sikaniu. Przebiera się, ponieważ nie dość dobrze strzepnął mocz i pochłapane nim domowe spodnie w kratę śmierdzą teraz jak szczyzny. Jak sika dwa razy



wczesnym rankiem. I sześć lub siedem razy po kolacji. Jak sika przez cały dzień. I trzy razy w ciągu nocy wstaje z łóżka, żeby się wysikać.

– Masz coś z prostatą – mówiła mu Josie.

– Jesteś tylko dentystką – przypominał jej Carl.

Proktolog orzekł wprawdzie, że nie chodzi o prostatę, ale nie miał pojęcia, co mu dolega. Nikt tego nie wiedział. W dodatku Carl przez cały czas srał. Można było liczyć, ile razy dziennie, tylko po co?

Co najmniej sześć. Poczynając od pierwszej filiżanki kawy. Od pierwszego łyku. I znowu Josie wyobraziła sobie plecy Carla, zobaczyła go, jak stoi przy kuchennym blacie przed ekspresem. W kraciastych spodniach, które nosił w domu. Uszyte z wełny, były zbyt krótkie, za grube i poplamione białą farbą – Carl malował w nich sypialnię dzieci i strasznie spaprał robotę. I po co je nosił? Żeby przypomnieć sobie i światu, że jest człowiekiem czynu. Człowiekiem, który potrafił pomalować (marnie) dziecięcą sypialnię. Stał więc tam, czekając, aż jego mała niebieska filiżanka napełni się kawą z ekspresu. W końcu jego mała niebieska filiżanka była pełna i Carl brał ją, opierał się o blat, spoglądał na ogród, po czym, po pierwszym łyku, jakby ta pierwsza kropla upłynęła zawartość jego bebechów, rozluźniła wszystko, co w nich tkwiło, biegł do toalety, tej przy garażu, i zaczynał swój dzień srania. Osiem, dziesięć wizyt w kiblu dziennie. Czemu o tym teraz myślała?

Potem wychodził, chwalać się dzieciom, że „wykonał tam dobrą robotę” lub że „zrobił to, jak należy”. Wiedział, że często sra, i starał się sprawić, by było to zabawne. Josie popełniła na początku ich znajomości fatalny błąd, pozwalając, by Carl myślał, że jest zabawny, chichocząc razem z nim, kiedy się zaśmiewał z własnych dowcipów – potem nie mogła się nie śmiać. Lata wymuszonego śmiechu. Jak jednak człowiek mógł się dalej śmiać w takich warunkach? Dzieci rzadko go widywały z dala od ubikacji. Siedząc na sedesie, toczył z nimi dyskusje. Kiedyś naprawił tam walkietalkie Paula – kiedy wkładał baterie, maszyna jego jelit rozdrabniała i upłynęła ich zawartość. A potem testowali te krótkofalówki! Kiedy Carl

dalej srał bądź próbował srać. Carl siedział w kiblu, Paul w innym pokoju. „Użytkownik I-9 – mówił Carl, po czym dodawał: – Użytkownik B-M!”.

Obrzydliwość. Josie nauczyła się wychodzić z domu, zanim się to zaczynało. Przypominało to paradoks Schrödingera. Josie wiedziała, że Carl zacznie srać, ale czy jeżeli ona wyjdzie, zanim on wypije pierwszy łyk kawy, rzeczywiście do tego dojdzie? Tak i nie. Usiłowała położyć temu kres, ale Carl odparował: „Co, wolałabyś mieć faceta, który w ogóle nie sra?”. Mówił poważnie. Josie pociągnęła spory łyk wina. To ją uspokoiło, otworzyło.

Początkowo postanowili nie mówić ludziom, że Carl był jej pacjentem, kiedy się poznali. Wyjaśnianie tego wszystkiego czyniło ich spotkanie zbyt zwyczajnym – Carl chciał usunąć kamień nazębny i szukał w sieci miejscowych dentystów. Jej gabinet był jedynym, który zapewniał taką możliwość bezzwłocznie. Czy jakakolwiek czująca osoba uznałaby to za romantyczne? Podczas zabiegu Josie ledwie zwracała na niego uwagę. Po czym, kilka tygodni później, trafiła do sklepu Foot Locker, szukając skarpet, kiedy jakiś mężczyzna, klient siedzący z jedną ręką w butcie, podniósł wzrok i powiedział „dzień dobry”. Nie miała pojęcia, kim jest. Był jednak przystojny, miał alabastrową skórę, zielone oczy i długie rzęsy.

– Carl – przedstawił się, wyciągając dłoń z buta i podając ją Josie. – Pani pacjent.

Śmiał się długo, jakby myśl o zatrudnieniu w sklepie z obuwiami była dla każdego najwspanialszym żartem.

– Nie, nie pracuję tutaj – zastrzegł.

Był cztery lata młodszy od Josie i miał w sobie energię szczeniaka, który nie opuszcza domu. Przez rok dobrze się bawiła. Od roku prowadziła własną praktykę, a on służył pomocą, załatwiał sprawunki, wieszał obrazy w poczekalni, do wszystkiego podchodził lekko i na szalonym luzie. Lubił jeździć na rowerze. Kupować lody. Grać w kickball. Jadł czekoladowe batony energetyzujące opakowane w zmarszczony złoty papier. Miał niepohamowany popęd płciowy, w ogóle nie panował nad sobą. Spotykała się z dwunastolatkiem.

Tyle że Carl miał dwadzieścia siedem lat. Nie pracował wówczas zarobkowo; ani wcześniej, ani później nie miał stałej pracy. Jego ojciec posiadał w Kostaryce niezmiernie duże pole ziemi, którą wykarczował, by pomieścić tam krowy hodowane na potrzeby amerykańskich i japońskich mięsożerców, tak więc żadne zajęcie na mniejszą skalę nie odpowiadało jakoś Carlowi.

„Wychowaliśmy dyletanta” – mówiła Luisa, jego matka. Była Chilijką z pochodzenia, wychowaną w Santiago córką lekarki i cierpiącego na depresję dyplomaty. Rudowłosego ojca Carla, Amerykanina imieniem Lou, poznała w Mexico City, kiedy była studentką ostatniego roku. Urodziła Carla i jego dwóch braci, podczas gdy Lou, wychowany w rodzinie nacierzy, kupował ziemię w Kostaryce, karczował lasy, hodował krowy i stworzył hodowlane imperium. Przed dziesięcioma laty poprosił o rozwód, żeby poślubić byłą żonę znanego i martwego już diler z Chiapas. Luisa i Lou byli w niesamowicie dobrych stosunkach. „Z daleka jest o niebo lepszy” – powtarzała.

Teraz była pomarszczoną, piękną sześćdziesięciolatką, żyjącą na swoich warunkach w Key West z grupą opalonych, popijających od południa przyjaciół. Kiedy się poznały, Josie podobało się w niej wszystko – szczerść, wisielcze poczucie humoru, spostrzeżenia na temat Carla. „Odziedziczył po ojcu niezdolność do dłuższej koncentracji, ale nie odziedziczył jego dalekowzroczości”.

Carl zgromadził kilkanaście licencji i nabył wiele różnych umiejętności. Przez kilka lat był pośrednikiem w handlu nieruchomościami, żadnej jednak nie sprzedał. Bawił się w projektowanie mebli, mody oraz w wędkarstwo sportowe. Miał szafę pełną sprzętu fotograficznego. Chociaż zarówno Josie, jak i Luisa były zobowiązane kochać Carla, ich dramat polegał na tym, że lubiły się nawzajem bardziej, niż lubiły jego.

„W zeszłym roku kazał mi się sfilmować” – powiedziała Luisa swoim chrypiącym głosem. „Wciąż odkrywa swoje związki ze światem, odkrywa własne ciało. Pewnego dnia poprosił, bym nakręciła go, jak idzie... od przodu, z boku i od tyłu. Wyjaśnił, że chce mieć pewność, że chodzi tak, jak

mu się wydaje. Sfilmowałam więc mojego syna, tego dorosłego mężczyznę, gdy spacerował wzdłuż ulicy. Chyba był zadowolony z efektów”.

„Jest ładniejszy od ciebie” – tak właśnie stwierdziła Sam, poznawszy Carla. „To nie może się dobrze skończyć”. Carl potrafił być fajnym gościem. Tchórze często są niezwykle czarujący. Czy jednak coś, co zaczęło się w sklepie obuwniczym, mogło mieć wspaniałą finał? Josie nigdy nie wyszła za Carla i tak wyglądały fakty, ciąg powiązanych faktów, epizodów, decyzji i zwrotów akcji, którym oboje byli winni. W końcu, przy jej wyraźnej aprobacie, odszedł. Wtedy cieszyła się z tego. „Tchórz. Tchórzliwy tchórz” – myślała. Tchórzostwo i wszelkie mutacje, które były źródłem jego problemów z jelitami, stanowiły zasadniczy składnik jego DNA. Carl był tchórzem pod wieloma względami, ale Josie nie spodziewała się, że po wyprowadzce tak zupełnie zniknie z jej życia. Czego chciała? Ogólnego zaangażowania, może comiesięcznych wizyt, ojca, który zabierze dzieci na weekend. Z dziećmi radził sobie wystarczająco dobrze – był niegroźny dla Any, łagodny dla Paula. Wyglądało na to, że naprawdę lubi dzieci, uważał, że umie je rozśmieszać, a jego młodzieńcze spojrzenie na życie wydawało się idealnie pasować do ich spojrzenia.

Wiele lat po tym, jak się poznali, Carl był wciąż dzieckiem, wciąż odkrywał swoje związki ze światem, odkrywał własne ciało. Pewnego dnia poprosił, żeby również Josie sfilmowała go, jak idzie. Była wstrząśnięta, nie zdradziła jednak, że wie, iż Luisa już to robiła. „Myślę, że wiem, jak chodzę, ale nigdy nie widziałem tego z pozycji bezstronnego obserwatora” – powiedział. „Chcę się upewnić, czy chodzę tak, jak mi się wydaje”. Tak więc Josie sfilmowała, jak ten dorosły mężczyzna chodzi wzdłuż ulicy. Potem jednak, sześć miesięcy później, zniknął. W roku, w którym odszedł, widział się z dziećmi dwa razy, w następnym – tylko raz.

Josie włączyła radio, usłyszała, jak Sam Cooke śpiewa jakąś prostą piosenkę, i pomyślała, że tylko twórcy popularnych piosenek i wykonawcy muzyki pop naprawdę wiedzą, jak żyć. Napisz piosenkę – ile to mogłoby potrwać? Kilka minut? Może godzinę, może dzień. Potem zaśpiewaj ją

ludziom, którzy pokochają cię za to. Którzy pokochają tę muzykę. Nieś trwałą radość milionom. Lub tylko tysiącom. Bądź setkom. Czy to ważne? Muzyka nie umiera. Sam Cooke, dawno zmarły, który już obrócił się w proch, nadal był z nami, przeszywał teraz Josie dreszczem i wytyczał nowe szlaki bodźców nerwowych w umysłach jej dzieci swoim krystalicznie czystym głosem jak wspaniały słowik wyfruwający z radia i lądujący na jej ramieniu, nawet tutaj, nawet teraz, o dziewiątej, w tym zdezelowanym kamperze, gdzieś między Anchorage i Homer. Sam Cooke, choć zginął przedwcześnie, wiedział, jak żyć. Czy wiedział, że to wie?

Zmieniając pozycję na fotelu, Josie nalała sobie jeszcze jedną porcję wina. Trzy kubki wystarczą. Opuściła szybę i wpuściła do środka gryzące powietrze. Powiedziano jej, że lasy płoną sto sześćdziesiąt kilometrów dalej, ale w powietrzu wszędzie czuć było drapieżną woń spalenizny. Jej gardło zaprotestowało, płuca błagały o litość. Podniosła szybę i wydawało jej się, że widzi przez nią jelenia, zdała sobie jednak sprawę, że to kozioł do piłowania drewna. Napełniła usta winem, przepłukała nim gardło, po czym przełknęła trunek. Od czasu do czasu podmuch wiatru kołysał kamperem, a wtedy w szafce delikatnie brzęczały naczynia.

Josie przekartkowała numer „Old West” i rzuciła pismo na deskę rozdzielczą. Nawet te żalodne poszukiwania „zatartych szlaków” sprawiły, że poczuła smutek i zazdrość. Urodziła się wykorzeniona. Jej rodzice byli wykorzenieni. Wszyscy jej krewni także, mimo że wielu było nałogowcami i miała kuzyna, który przedstawiał się jako anarchista, ale poza tym rodzina Josie była wykorzeniona. Pochodzili znikąd. Być Amerykaninem znaczy nie mieć korzeni i prawdziwy Amerykanin jest wykorzeniony. I tak oto, ogólnie rzecz biorąc, Josie była naprawdę wspaniałą Amerykanką.

Mimo to sporadycznie słyszała niejasne wzmianki o Danii. Parę razy słyszała, jak rodzice wspominali o jakichś związkach z Finlandią. Nic nie wiedzieli o kulturze tych krajów, o tych narodowościach. Nie przyrządzali żadnych narodowych potraw, nie uczyli Josie żadnych zwyczajów, nie mieli też krewnych, którzy przyrządzali takie potrawy lub kultywowali takie zwyczaje. Nie mieli strojów, flag, sztandarów, powiedzeń, ziemi i wsi

przodków ani podań ludowych. Kiedy skończyła trzydzieści dwa lata i zapragnęła odwiedzić jakąś wioskę, miejsce, z którego pochodziła jej rodzina, żaden z krewnych nie miał pojęcia, skąd przybyli, żaden z krewnych nie wiedział, dokąd się udać. Jeden stryj sądził, że może się przydać. „Wszyscy w naszej rodzinie mówią po angielsku” – zauważył. „Może pojedziesz do Anglii?”

Piosenka Sama Cooke’a dobiegła końca, zaczęły się wiadomości radiowe, padło słowo „proces” i Josie poczuła gwałtowny ból, ujrzała twarz Evelyn Sandalwood, przeszywające oczy skłonnego do pieniactwa zięcia staruszki; miała pewność, że nikogo w ogóle nie obchodzi, że zabrano jej gabinet, miała pewność, że świat mieści tylko tchórzy, że praca nic dla nikogo nie znaczy, nic nie znaczy służba, a małostkowość, przebiegłość, zdrada i chciwość zawsze są górą – nic nie mogło pokonać złodziejskich gnid tego świata. Ostatecznie złamią opór ludzi odważnych, wiernych sobie, każdego, kto chce wieść uczciwe życie. Gnidy zawsze wygrywały, ponieważ miłość i dobro były wafelkiem do lodów, a zdrada czołgiem.

Kiedy półtora roku temu powiedziała Carlowi, że powinni zakończyć swój romans na niby i po prostu żyć dalej jako rodzice Paula i Any, wyszedł z domu – domu, który chciał mieć i którego potem, gdy już został kupiony i wyremontowany, nie cierpiał; ruch Occupy zaszczerpił w nim myśl, że posiadanie nieruchomości nie tylko jest drobnomieszczańskie, ale również stanowi konkretną zbrodnię przeciwko dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom ludzi – po czym przespacerował się po okolicy. Dwadzieścia minut później pogodził się z tym i miał już plan odwiedzin oraz całej reszty. Josie zaczęła tę dyskusję przerażona i natchniona, potem jednak była wyczerpana. Swą gotowością do zgody zdołał ją pozbawić wszelkiego poczucia triumfu, na który liczyła, i przeszedł od razu do logistyki.

Teraz, mając czterdzieści lat, Josie była zmęczona. Zmęczona całodniową podróżą, nieograniczoną zmiennością nastrojów w dowolnym momencie. Potworny ranek, niewyspanie, wrażenie, że jest bliska zachorowania na coś, co przypominało mononukleozę; dzień błyskawicznie już jej umykał, goniła go z butami w rękę. Potem chwila wytchnienia po

drugiej filiżance kawy, kiedy wszystko wydawało się możliwe, kiedy chciała zadzwonić do ojca, matki, pogodzić się, odwiedzić ich oboje z dziećmi, kiedy podwożąc dzieci do szkoły (ludzi, którzy zrzekli się oczywistego prawa do szkolnych autobusów, należało posadzić), zachęcała do wspólnego śpiewania piosenki *Życie jest jak sen* ze ścieżki dźwiękowej filmu z muppetami. Po czym, kiedy dzieci zniknęły, jedenastominutowe załamanie nastroju, następnie kolejna porcja kawy i kolejna euforia aż do chwili, gdy po przybyciu do pracy działanie kofeiny ustało i przez mniej więcej godzinę wykonywała swoje czynności w stanie zubożenia graniczącego z odrętwieniem. Od czasu do czasu trafiali się radośni lub ciekawi pacjenci, pacjenci, którzy byli jej dobrymi znajomymi, rozmowa o dzieciach podczas grzebania w ich zaślinionych ustach, ssanie, wypluwanie. Obecnie miała zbyt dużo pacjentów, traciła nad tym panowanie. Umysł miała stale pochłonięty czekającymi ją zadaniami, usuwaniem kamienia i borowaniem, pracą wymagającą precyzji; na przestrzeni lat wykonywanie większości zabiegów bez zwracania na nie pełnej uwagi stało się jednak znacznie łatwiejsze. Palce Josie znały swoje obowiązki i blisko współpracowały z jej oczami, pozwalając błędzić myślom. Po co jej było spłodzenie dzieci z tym mężczyzną? Dlaczego pracowała w piękny dzień? A gdyby tak wyjechała i już nigdy nie wróciła? Znaleźliby jakiś sposób. Przeżyliby. Nie była im potrzebna.

Niekiedy cieszyła się z kontaktu z ludźmi. Z niektórymi dziećmi, z niektórymi nastolatkami. Nastolatkami pełnymi nadziei, o czystych twarzach i głosach, z wiarą, która mogła przyćmić wszelkie wątpliwości co do podejrzanym motywów i niepowodzeń. Najlepszym z nich wszystkich był Jeremy. Ale Jeremy nie żył. Nastoletni Jeremy nie żył. Lubił mówić: „Nie ma sprawy”. Martwy nastolatek powiedział kiedyś: „Nie ma sprawy”.

W południe sięgała dna. Południowe słońce żądało odpowiedzi, pytania były oczywiste, nudne i pozostawały bez odpowiedzi. Czy nie mogłaby żyć lepiej? Uczucie, że powinna to zostawić, że nad jej gabinetem ciąży fatum, że w Ohio jest nieciekawie, że im wszystkim będzie lepiej gdzie indziej. Czyż nie byłoby wspaniale wszystko to wyrzucić? Spalić to do cna?

Potem lunch. Czasem na zewnątrz, na jakimś dziedzińcu pełnym zieleni, przesycającej powietrze wonią bluszczu, w towarzystwie przyjaciółki, która dopiero co pieprzyła się ze swoim stolarzem. Salwy śmiechu. Karcące spojrzenia pozostałych gości. Kilka łyków chardonnay z kieliszka przyjaciółki, potem garść miętówek i plany wspólnego wyjazdu na weekend, z dziećmi, nie, bez dzieci, obietnice przesłania zdjęć stolarza, przekazania sugestywnych SMS-ów, które ten mógłby jej wysłać.

Pobudzenie po posiłku, dominujący blask dwóch godzin między pierwszą a trzecią, głośne dźwięki *The King and I* dobiegające ze wszystkich maleńkich głośników, poczucie, że ich praca, leczenie zębów, jest ważna, że cała praktyka stanowi nieodłączną część lokalnej społeczności – miały tysiąc stu pacjentów i to było coś, znacząca liczba, rodziny, które liczyły na nie w sprawie istotnej dla ich dobrego samopoczucia – i trochę uciechy, kiedy dla wszystkich stało się oczywiste, że Tania, niedawno zatrudniona przez Josie, dała się przelecieć w porze lunchu i teraz wyglądała kwitnąco i zalatywała zwierzęcym potem. Pół godziny później zupełne załamanie. Poczucie przygnębienia i beznadziei, wszystko stracone, co to za syf? Kim są ci zasrani ludzie, którzy ją otaczają? Czemu to wszystko służy? To obojętne, a ona nadal jest winna tyle forsy za sprzęt, jest niewolnicą tego wszystkiego. Kim są te zasrane pracownice, które nie mają pojęcia, jakiego potwornego bólu głowy przysparza jej cały ten dług?

Potem ulga towarzysząca zamykaniu gabinetu o piątej... lub nawet wychodzeniu z pracy o czwartej czterdzieści. Skończyła o czwartej czterdzieści! Odprężenie podczas jazdy samochodem, myśli o jej jasnym, małym domu, brudnej kanapie, miotle stojącej w kącie, strzegącej tego, co zamiotła zeszłego wieczoru, ale nie mogła się zmusić, żeby to zgarnąć i wyrzucić. Chwileczkę. Może będą nowe kwiaty na krzewach w ogrodzie z tyłu domu. Czasami pojawiały się między dziewiątą a piątą. Potrafiły wyrosnąć w ciągu jednego dnia, wypuścić pąki i zakwitnąć! Uwielbiała to. Niekiedy tak się działo. Zaparkowała na podjeździe. Żadnych kwiatów, żadnych nowych barw. Potem otwarcie drzwi, powitanie i pożegnanie



z Estephanią, może wypisze jej czek, mając ochotę uświadomić opiekunce, jakie ma szczęście, że jest opłacana w ten sposób, żadnych podatków, gotówka do ręki, czy oszczędzasz wystarczająco dużo, Estephanio? Powinnaś, biorąc pod uwagę, ile ci płacę pod stołem.

Później przytulenie dzieci, zapach ich potu, ich zmierzwione włosy. Ana pokazująca nową broń, którą tego dnia zrobiła lub znalazła. Efekt odbicia po wypiciu porcji caberneta w trakcie gotowania. Grająca muzyka. Może taniec z dziećmi. Może zgoda na to, by tańczyły na blacie. Kochaj ich buzie. Ciesz się tym, jak bardzo kochają twoją szczodrość, twoją pasję i fajność. Jesteś przecież fajną babką! Należysz do grona fajnych ludzi. Z tobą każdy dzień jest inny, prawda? Stwarzasz mnóstwo perspektyw. Jesteś dzika, wspaniała, tańczysz, podnosisz wzrok, gwałtownym ruchem głowy rozpuszczasz włosy, widzisz zachwyty, przerażenie i niepewny uśmiech Paula, jesteś uwolniona z więzów, śpiewasz teraz ze spuszczoną głową, z zamkniętymi oczami, i wtedy słyszysz, że coś się tłucze. Ana coś stłukła. Talerz, setki odłamków na podłodze, a ona nie ma zamiaru przeprosić. Złazi z blatu, ucieka, nie pomaga w sprzątaniu.

Znowu załamanie. Uczucie, że twoja córka już jest zboczona, a potem będzie tylko gorzej. W nagłym olśnieniu widzisz ją jako zdziczałą nastolatkę, tykającą, brudną bombę, eksplozję niewidzialnej i rozprzestrzeniającej się furii. Gdzie się teraz podziewa? Uciekła – nie do swojego pokoju, ale gdzieś indziej, do szafy, zawsze przecież chowa się w jakimś zatrważającym miejscu, pasującym do opisów z niemieckiej baśni. Uwierz głęboko, że ten dom jest zbyt mały dla was wszystkich, że powinniście mieszkać głównie pod gołym niebem, w jurcie na pustkowiu – czyż nie byłoby lepiej, gdyby dzieci przebywały na dworze, gdzie niczego nie można stłuc, gdzie stale zajmowałyby się polowaniem na szkodniki i zbieraniem drewna na opał? Jedynym logicznym rozwiązaniem byłaby przeprowadzka na farmę. Na bezkresne prerie. Cała ta energia i ich piskliwe głosy uwięzione w ciasnych ścianach? To nie było sensowne.

Potem ból głowy, nieznośny, nieopisany. Pręt wbijany w potylicę, wychodzący gdzieś nad prawym oczodołem. Poproś Paula, żeby znalazł

tylenol. Chłopiec wraca, w domu nie ma tego środka. I za późno, by jechać do sklepu, nie w porze kolacji. Poleż do czasu, aż ryż się ugotuje. Niebawem Ana wejdzie do pokoju. Syknij na nią za to, że stłukła talerz. Powiedz ogólnie o tym, że nie dba o ładne rzeczy, że jest lekkomyślna, że nie słucha i nigdy ci nie pomaga ani nie sprząta po sobie. Obserwuj, jak wychodzi z pokoju. Zastanów się, czy płacze. Z wielkim wysiłkiem, z wrażeniem, że twoja głowa niczym lej krasowy pochłania jakiegoś szczęśliwe domostwo, wstań i pójdz do jej pokoju. Ana tam jest. Zobacz, jak klęczy, usłysz, jak mówi do siebie z dłońmi na narzucie z postaciami z *Gwiezdnych wojen*, niewzruszona, bawiąc się tak słodko, naśladowując głosy Iron Mana i Zielonej Latarni, obu bardzo życzliwie składających sepleniące wyrazy współczucia. Wiedz, że Ana jest niezniszczalna, o wiele silniejsza od ciebie. Podejdz do niej i zwróć uwagę, że już przebaczyła bądź zapomniała, jest robotem bez pamięci, więc pocałuj ją w głowę i ucho oraz w oczy, a wtedy ona powie, że już dość tego całowania, i odepchnie swoją matkę. Matka zignoruje to jednak, podciągnie koszulkę córki i pocałuje ją w brzusek; usłyszysz wówczas gardłowy śmiech Any i poczuje do niej tak wielką miłość, że nie będzie w stanie jej znieść. Przynies Anę do kuchni, znowu posadz na blacie i pozwól sprawdzić w asyście brata, czy ryż już doszedł. Przytul również Paula, dopij wino, nalej sobie kolejną porcję i zastanów się, czy po wypiciu półtora kieliszka caberneta jesteś pod wszelkimi względami lepszą matką. Rodzic wstawiony jest rodzicem kochającym, rodzicem niepoohamowanym w swojej radości, czułości i wdzięczności. Wstawiony rodzic to sama miłość i brak powściągliwości.

Rosnącym przed nią lasem przesunął się sznur świateł. Josie wysiadła z kampera na powietrze, lekko toksyczne od jakiegoś niewidocznego pożaru, i podbiegła do drogi, gdzie ujrzała pędzący konwój złożony z wozów strażackich w czerwonym i żółto-zielonym kolorze. Siedzący w środku strażacy stanowili jedynie niewyraźne sylwetki – do momentu gdy w ostatnim wozie, siódmym z kolei i najmniejszym, w drugim oknie ukazała się twarz mężczyzny wpatzonego w światło, którego źródłem była chyba jakaś tablica rozdzielcza, może telefon. Młody strażak w hełmie

na głowie zmierzający w nieznane miejsce uśmiechał się jednak i wydawał się bardzo szczęśliwy. Josie pomachała mu niczym europejska wieśniaczka wyzwolona spod okupacji podczas drugiej wojny światowej, ale mężczyzna nie podniósł wzroku.

Tak czy inaczej, skończyła. Ze swoim miastem. Z praktyką dentystyczną, ceramicznymi wypełnieniami, z ustami nieznośnych pacjentów. Skończyła, zniknęła. Wiodła dotąd wygodne życie, ale wygoda jest śmiercią dla duszy, która z natury swej poszukuje, jest uparta, niezadowolona. To niezadowolenie zmusza ludzi do wyjazdu, błędzenia, walki i przystosowania się. Przystosowanie zaś oznacza rozwój, a rozwój to życie. Człowiek ma do wyboru albo oglądać rzeczy nowe, góry, wodospady, śmiertcionośne sztormy, morza i wulkany, albo widzieć wciąż te same przedmioty wytworzone przez ludzi, bezustannie konfigurowane. Metal w tym kształcie, potem w innym, beton odlany w ten i inny sposób. Ludzie też! Te same przetworzone, ponownie skonfigurowane emocje, pieprzyć to, teraz była wolna. Wolna od ludzkich zawiłości! Zastój ją zabijał, spowodował nawet odrętwienie twarzy. Rok temu, kiedy spirala procesu zaczęła się rozkręcać, Josie przez miesiąc miała sparaliżowaną twarz. Nie mogła tego nikomu wyjaśnić i w szpitalu na ostrym dyżurze nie zdołali sobie z tym poradzić. Ale paraliż był prawdziwy. Przez miesiąc miała odrętwiałą twarz i nie mogła wstać z łóżka. Kiedy to było? Rok temu, nie był to dobry rok. Miała setki powodów, żeby opuścić Ohio, wyjechać z kraju kręcącego się w miejscu, kraju dokonującego sporadycznych wypadków w sferę postępu i oświecenia, ale poza tym bez polotu, poza tym mającego skłonność do kanibalizmu, pożerania młodych i słabych, szukania winnych, narzekania, zakłócania spokoju oraz wulkanicznych erupcji zadawnionych urazów. Wyjazd stał się nieunikniony za sprawą kobiety, która pozwała Josie za rzekome spowodowanie raka lub niepowstrzymanie gwałtownego ataku nowotworu, który ostatecznie (ale jeszcze nie teraz) miał ją zabić. Byli też Elias, Evelyn oraz Carl i jego goebbelsowskie plany. Przede wszystkim jednak był młody mężczyzna leczący się u niej od dzieciństwa, który już nie żył, ponieważ kiedyś powiedział, że zaciągnie się

do wojska, żeby budować szpitale i szkoły w Afganistanie, a wtedy ona nazwała go człowiekiem honorowym i dzielnym. I pół roku później już nie żył, ona zaś nie umiała z siebie zmyć piętna współudziału. Nie chciała teraz myśleć o Jeremym, a tutaj nie było śladów, które by jej o nim przypominały. Tylko czy naprawdę mogła się odrodzić w krainie gór i światła? Podjęła ryzykowną próbę.

## II

Obudziło ją pukanie, nieustające głucho pukanie gdzieś pod nią. Otworzyła oczy i stwierdziła, że najwyraźniej w pewnym momencie wróciła do chateau i wdrapała się na miejsce do spania. Na zewnątrz panowała ciemność. Ana i Paul byli nieprzytomni, Ana znalazła jednak sposób na to, by tak się obrócić, że stopy miała teraz przy głowie brata.

Pukanie na chwilę ustało, po czym rozległo się znowu, jeszcze głośniejsze. To pewnie Carl. Znalazł ją. Zrobiła coś niezgodnego z prawem. Przekroczyła granice stanu z dziećmi? Czy to było nielegalne? Nie raczyła tego sprawdzić. W istocie rzeczy nie sprawdziła, bo domyślała się, że to może być nielegalne, i nie chciała tego wiedzieć na pewno.

Potem jakiś głos. Mężczyzna. Inny głos, nie Carla. Zastanawiała się, gdzie może ukryć dzieci. Pomyślała też o aksamitnym worku z gotówką, który schowała pod zlewem.

– Pobudka. Policja stanowa.

Josie zeszła z łóżka, by stwierdzić, że jakiś mężczyzna w mundurze spaceruje przed kamperem, a światło jego latarki przesuwa się szybkimi ruchami po karoserii.

Josie nie miała powodu, by nie wierzyć, że ten człowiek jest tym, za kogo się podaje, ale noc była szara, a ona sama nie wyzwoliła się jeszcze z mrocznej mitologii swoich snów, nie otworzyła więc drzwi. Usiadła za to na fotelu kierowcy i pomachała do policjanta.

– Witam – powiedziała przez zamknięte okno.

Policjant nie poprosił, by opuściła szybę. Nie poprosił o okazanie dowodu tożsamości, polisy ubezpieczeniowej ani o żadne wyjaśnienia.

– Tu nie wolno parkować na noc – rzekł i wskazał na tablicę przed samochodem, na której napisano to samo. – Dobrze? – zapytał, teraz już łagodniejszym tonem.

Josie poczuła gwałtowny przypływ wdzięczności. Ostatnio jej życie było pełne egzaltowanej wdzięczności dla obcych, ilekroć nie darli się na nią, nie przeklinali, nie zagrażali jej życiu ani nie krzywdzili jej w żaden sposób. Za każdym razem, gdy wychodziła z jakiegoś spotkania bez szwanku – a tym bardziej gdy ktoś był dla niej naprawdę życzliwy – Josie niemal mdlała z wdzięczności.

– Dobrze. W porządku – odparła i podniosła kciuk na znak, że się zgadza. – Bardzo panu dziękuję.

Kiedy zniknął, uruchomiła silnik. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą czternaście. Była idiotką. Teraz jej dzieci niemal trwale wypadną z rytmu snu i czuwania. No i gdzie wszyscy będą spać, skoro nie mogą postawić tego wozu, kampera, na ogromnym parkingu z pocztówkowym widokiem na zatokę? Stan mówił coś o polach kempingowych w całym stanie, ale Josie nie uwzględniała takiego rozwiązania w swoich planach. Tym, czego pragnęła, była możliwość parkowania gdziekolwiek i jedzenia, spania lub zatrzymywania się na czas nieokreślony.

Zastanawiała się nad tym, czy ich nie zbudzić i nie przypiąć pasami w fotelach, ale żywiła irracjonalną nadzieję, że jeżeli zostawi je w spokoju, może prześpią całą noc. Było to nieprawdopodobne – zakrawało właściwie na żart – ale jej styl wychowywania dzieci pociągał za sobą liczenie na rzeczy, nad którymi miała znikomą kontrolę lub nie miała żadnej.

Włączyła radio, lecz nie znalazła żadnej audycji. Kręciła tarczą w lewo i w prawo, po czym, myśląc, że złapała słaby sygnał, pogłośniła odbiornik. Sygnał zanikł i przez wiele kilometrów była cisza.

Nagle męski głos zakrzyknął: „Mam wielkie jaja!”. Piosenka wykonywana przez mężczyznę w szkolnym mundurku. Josie ściszyła radio, mając nadzieję, że wrzask wokalisty nie obudził dzieci. Odkąd ruszyli spod domu Stana, było to regułą: odbiornik radiowy, który Josie określiła

mianem chimerycznego, milczał godzinami, potem zaś ożywał nagłym wybuchem muzycznych dźwięków.

Jechała na południe, wypatrując drogowskazów. Zamiast nich widziała jednak twarz Evelyn, umierającej kobiety, która teraz była właścicielką jej gabinetu; widziała też jej złowrogiego zięcia, a potem zobaczyła twarz martwego żołnierza. Jaki głupiec jedzie samotnie na Alaskę w takim pojeździe? Skazała się na konieczność przemierzania bezkresnych odcinków drogi w taki sposób, gdy jej dzieci są zajęte lub śpią, a ona może jedynie rozważać swoje liczne błędy oraz ten zasadniczy, polegający na tym, że zna innych ludzi, którzy w końcu umrą lub spróbują ją zabić.

Wreszcie ujrzała słowa POLE KEMPINGOWE na ręcznie malowanej tablicy i wjechała na wysypany żwirem plac. Minęła powoli wysoki wigwam z wbitym obok słupem totemicznym mocno przechylonym w prawą stronę. Biuro mieściło się w różowej aluminiowej przyczepie, a w środku paliła się jedna przyćmiona bursztynowa lampa. Josie zapukała do drzwi, powodując słaby metaliczny brzęk. Z głębi przyczepy doleciał kobiecego głosu.

– Chwileczkę.

– Dziękuję – mruknęła pod nosem Josie, a potem powiedziała to jeszcze raz do kobiety, która otworzyła drzwi. Była mniej więcej w jej wieku, miała czarne, upięte wysoko na czubku głowy włosy. Widok koka niemal trzydziestocentymetrowej wysokości na chwilę przeniósł Josie w radosne miejsce, gdzie w latach pięćdziesiątych przyszłość rysowała się imponująco, elegancko i optymistycznie.

– To pani wóz? – zapytała kobieta, szybkim ruchem głowy wskazując na chateau. – Na jedną noc?

Josie potwierdziła i w nagłym przejawie rzadkiej gadatliwości, bez uzasadnionego powodu łącząc dwa pierwsze słowa, zapytała:

– Jaksie pani czuje dzisiejszej nocy?

– Liczę na deszcz – odparła kobieta. – Potrzebujemy deszczu.

Josie skinęła głową, nie od razu rozumiejąc przyczynę – pomyślała o farmach, uprawach, suszy, choć Alaska jako stan nigdy nie kojarzyła jej

się z rolnictwem. Potem jednak przypomniała sobie o pożarach. Poprzedniego dnia słyszała relację radiową, w której doliczono się co najmniej stu pięćdziesięciu nieugaszonych pożarów.

– Mam nadzieję, że spadnie – powiedziała, tym razem także z nowym, nienaturalnym akcentem.

Kobieta policzyła za nocleg czterdzieści pięć dolarów i powiedziała, że Josie może zostać tam, gdzie się zatrzymała, lub zaparkować w miejscu, które przypadnie jej do gustu. Cały plac był pusty.

– Śniadanie o siódmej, jeżeli pani chce skorzystać – dodała kobieta i zamknęła drzwi przyczepy. Kiedy Josie wróciła do kampera, dzieci już nie spały.

– Przenieśliśmy się? – zapytał Paul.

Josie potwierdziła jego domysły, ale nie wspomniała o interwencji policjanta. Nie mogła przewidzieć, jak obecność funkcjonariuszy policji wpłynęłaby na jej dzieci. Czasami policjanci sprawiali, że czuły się bezpieczne; kiedy indziej ich pojawienie się oznaczało, że chaos i przestępcy są niedaleko. Myśl o „rabusiach” budziła w nich większe obawy niż inne ziemskie zagrożenia. Co trzeci wieczór w ich domu w Ohio Josie musiała im wyjaśniać, że w ich mieście nie ma rabusiów (byli), że mają rozbudowany system alarmowy (nie mieli) i nie ma najmniejszej możliwości, by jakiś rabuś zbliżył się na kilometr do ich domu (trzy miesiące wcześniej do sąsiedniego domu włamała się para ćpunów, którzy pobili właściciela do nieprzytomności jego własną rakieta tenisową).

– Kładźmy się z powrotem spać – zaproponowała, wiedząc, że tak się nie stanie. Jej dzieci były głodne. Ana chciała zobaczyć wigwam. Josie zauważyła, że dochodzi trzecia nad ranem i świat śpi, ale oboje nie byli zainteresowani tą informacją. Tak więc nakarmiwszy ich zimnymi tortillami z roztopionym serem i surowymi warzywami z foliowej torebki, pozwoliła im obejrzeć w telewizorze nad szoferką *Toma i Jerry’ego* po hiszpańsku.

Nalała sobie odrobinę z drugiej butelki wina, które kupiła w Anchorage, i utkwiała spojrzenie w rosnącym przed nią lesie. Odnalazła numer



magazynu „Old West”, powróciła do lektury *Zatartych szlaków* i natrafiła na coś wyjątkowego:

„Mój ojciec, Addison Elmer Hoyt, zgubił swoją księgę genealogiczną rodu Hoytów w Polson w Montanie lub w pobliżu tego miasteczka około 1916 roku – a w każdym razie przed pierwszą wojną światową – i był zbyt chory, żeby jej szukać. Rodzinna biblia Hoytów dowodzi, że około roku 1723 lub wcześniej nasi przodkowie żyli w New Braintree w obecnym okręgu Worcester w stanie Massachusetts. Pierwszym wymienionym Hoytem jest Benjamin, urodzony w 1723 roku, zabity w bitwie pod Fortem Ticonderoga. Benjamin miał syna, Roberta, urodzonego 6 maja 1753 roku, męża Nancy Hall, córki Zakiusa Halla i Mary Jennison Hall. Czy sądzicie, że po tylu latach księga Hoytów nadal istnieje? Prawdopodobnie zawierała wykonane piórkiem szkice koni i małych ptaków oraz notatki sporządzone pięknym charakterem pisma, ponieważ ojciec bardzo lubił szkicować i rysować. Urodził się w okręgu Greene w Illinois, był synem Albinusa Perry’ego i Surrindy Robinette New Hoyt. Chciałbym otrzymać jakieś wieści od potomków naszego rodu, którzy zechcą podzielić się informacjami”.

Myśląc o pokierowaniu swoim życiem tak, by pomóc Hoytom, myśląc o tym, by przybrać imię Surrinda, Josie wdrapała się do łóżka nad szoferką. Było ono wystarczająco szerokie dla ich trojga, jednak pod sufitem mieli tylko tyle miejsca co w trumnie. Materac był lichy, a prześcieradła i poduszki pachniały stęchlizną i psem, ale wiedziała, że i tak zaśnie po paru minutach. Jej oczom ukazała się najpierw twarz patrzącej na nią z gwałtownym niedowierzaniem Any, która uważała, że kamper to ogromne objazdowe łóżko, a potem twarz Paula. Josie chwyciła ich, zaczęła łaskotać, przyciągnęła do siebie, objęła oboje i leżała wciśnięta między dwójkę swoich opiekunów. Zastanawiała się, jak by się czuła, wiedząc, że zawsze są przy niej osoby dbające o jej dobre samopoczucie i bezpieczeństwo. O ile pamiętała, od dwudziestu pięciu lat w jej życiu nie było takiej osoby. Zamknęła oczy.

– Nie jestem zmęczona – powiedziała Ana.

– To może Paul ci poczyta – odparła Josie i poczuła, że bardzo szybko zapada w sen, wiedząc zarazem, że jeżeli jej dzieci przeturlają się w niewłaściwą stronę, spadną na znajdującą się półtora metra niżej podłogę. Zmieniła położenie, tak że leżała teraz na skraju łóżka, a oni byli wciśnięci w głąb wnęki jak bagaże.

Dobiegły do niej odgłosy jednej z rozmów Paula i Any, które często prowadzili na tyle blisko, że je słyszała. W trakcie tych rozmów siostra zadawała pytania egzystencjalne o siebie i swoją rodzinę, a brat odpowiadał najlepiej, jak umiał, nie mając najmniejszej ochoty prosić o matczyną pomoc.

- Pójdziemy tutaj do szkoły? – spytała szeptem Ana.
- Gdzie? – wyszeptał w odpowiedzi.
- Na Alasce.
- Na Alasce? Nie, jesteśmy na wakacjach. Mówiłem ci.
- A czy przychodzą tutaj rabusie?
- Nie, nie ma takich, co okradają kampery. A ten ma wszędzie potężne zamki i alarmy. I jest jeszcze policja, która nas strzeże i widzi nas z góry.
- Z helikopterów?
- Tak. Z wielu helikopterów.
- A co jest nad helikopterami?
- Niebo.
- A nad niebem? – zapytała Ana i Paul po długiej pauzie odparł:
- Kosmos. Gwiazdy.
- Dobre są?

Ana nauczyła się tego od Paula. Paul codziennie chciał wiedzieć, czy coś, film lub samochód, park bądź jakaś osoba, jest dobre. Czy on jest dobry? To było dobre? Nie ufał własnemu gustowi albo jeszcze go nie wykształcił, więc zawsze z wielką powagą i stanowczością pytał: „Czy to jest dobre?”. Jediną kwestią, nad którą chyba się nie zastanawiał, było to, czy on sam jest dobry. Wydawało się, że ma tego świadomość.

- Chodzi ci o to, czy są ładne?
- Taak.

– Gwiazdy są *naprawdę* ładne. Zapomniałem ci jeszcze powiedzieć, że między niebem a gwiazdami znajdują się olbrzymie stada ptaków. I te ptaki strzegą wszystkich u dołu.

– Są duże?

– Ptaki? Nie za bardzo. Ale są ich miliony. I wszystko widzą.

– Jakiego są koloru?

Cierpliwość tego chłopca była zdumiewająca.

– Niebieskie. Jasnoniebieskie – odparł i po chwili milczenia, kiedy musiał dojść do wniosku, który nawet na nim samym zrobił wrażenie, dodał: – Właśnie dlatego nie można ich dostrzec. Zlewają się z niebem.

Josie uwielbiała swoje dzieci, lecz tego rodzaju stwierdzenia słyszała z ust Paula już wcześniej, przykryła więc głowę poduszką, żeby stłumić ich głosy. Niebawem poczuła, że Paul przełazi nad nią i schodzi do wnęki kuchennej, po czym wraca. Przeczłogał się nad nią i usłyszała, że przerzuca kartki jakiejś książki, szepcząc do siostry. Josie mogła sobie wyobrazić ich twarze, ich złączone głowy, a wkrótce wywnioskowała z milczenia Any, że ta zasnęła. W końcu jej też się to udało.

### III

Na razie zobaczyli tylko jedno miejsce. Nie była to jednak jeszcze kraina gór i światła. Trochę gór widzieli, ale powietrze było zażółcone, a światło zwyczajne. Owalne okienko zwrócone naprzód ukazywało Josie prawdziwą Alaskę: parking, wigwam, tablica informująca przechodniów, że dostęp do sieci bezprzewodowej jest bezpłatny. Była siódma rano. Josie spojrzała w dół i stwierdziła, że jej dzieci przeszukują szafki.

– Zjedzmy śniadanie – zaproponowała. Ubrali się i przeszli po zwirowym parkingu do taniej restauracji. Wewnątrz zastali dwójkę strażaków, mężczyznę i kobietę. Wiek i sposób bycia obojga wskazywały, że pełnią kierownicze funkcje. Napisy na koszulach świadczyły, że przybyli z Oregonu.

– Dziękuję za waszą pomoc – powiedziała do nich kelnerka, dolewając im kawy. Josie zauważyła, jak inni goście kiwają od czasu do czasu głowami w stronę stolika strażaków, zamykając oczy w wyrazie wdzięczności.

Paul i jego siostra jedli jajka na boczku. Ana, cała rozedrgana, siedziała z jedną nogą pod pośladkiem. Josie powiedziała córce, że na ten dzień niczego nie zaplanowała, i ta wiadomość najwyraźniej wyzwoliła w Anie pragnienie zasiania zamętu.

– Jak jedzenie? – zapytała Josie.

– Świetne – odparł Paul, trzepocąc długimi rzęsami. Rzęsy miał rzeczywiście wspaniałe i bez względu na to, co się wydarzy w jego życiu, będzie je mieć i będą one wszystkim sugerować, że jest osobą łagodną i życzliwą, a lodowate niebieskie oczy świadczyć o jego inteligencji, mądrości, a może nawet zdolności przewidywania przyszłości. Paul był

chłopcem o niezwykłym wyglądzie, jego twarz przypominała podłużny owal z polerowanego kamienia, a wyraz oczu już z daleka zadziwiał.

Trudno było za to dostrzec Anę, ponieważ ona istniała jako niewyraźna plama. Dziewczynka bezustannie, nawet podczas jedzenia, się poruszała. Urodziła się o cztery miesiące za wcześnie, przyszła na świat, ważąc niespełna półtora kilograma, i cierpiała na liczne upiorne schorzenia – bezdech senny (czyli sporadyczne dwudziestosekundowe odstępy między kolejnymi oddechami), martwicze zapalenie jelita cienkiego i okrężnicy (problem powodujący wzdęcia i biegunki), napad posocznicy, a następnie zakażenie krwi oraz kilka innych frontalnych ataków na małą istotę. Jednak z dnia na dzień Ana robiła się silniejsza i teraz była bestią. Nadal z niedowagą, nadal z oczami, które mówiły: „Kurza twarz, co się stało? Aha! Jestem tu! Nie zdołaliście mnie uśmiercić!”. Jej głowa stała się jakoś wielka i ciężka i wydawało się, że mała Ana codziennie musi udowadniać, że tu jest jej miejsce, i wykorzystuje swój czas do maksimum, nie bacząc na nic. Budziła się uszczęśliwiona i niechętnie kładła się spać. Robiła pięć kroków, gdy wszystkim innym wystarczył jeden, śpiewała głośno piosenki, które sama ułożyła i które nie miały sensu, starała się również wykorzystać każdą sposobność do zrobienia sobie krzywdy. Z daleka przypominała wiecznie pijaną kobietę – wpadającą na wszystko, wrzeszczącą bez powodu, wymyślającą nowe słowa. Nie można było spuszczać jej z oka na parkingach, w pobliżu gniazdek elektrycznych, kuchenek, przedmiotów ze szkła i metalu, na schodach, nieopodal urwisk, akwenów, wszelkiego rodzaju pojazdów i zwierząt domowych. W tej chwili kołysała się jak boja, wykonując na siedząco taniec do muzyki, którą tylko ona słyszała. W lewej dłoni trzymała grzanekę, a syrop klonowy, resztki jajka, kryształki cukru oraz warstewka mleka tworzyły wokół jej ust bezładną nową galaktykę. Nagle zastygła w bezruchu i w rzadkiej chwili czegoś, co można by uznać za kontemplację, ogarnęła wzrokiem otoczenie.

– Mówią tutaj po angielsku? – zapytała.

– Tak – odparł Paul, po czym, klepiąc ją delikatnie po ręce, dodał: – Jesteśmy nadal w Ameryce. – Ten chłopiec traktował ją z niezwykłym

oddaniem. Kiedy Ana miała rok, dwa, trzy latka, upierał się przy tym, by pomagać kłaść ją spać, i co wieczór komponował dla niej nową kołysankę. „Anusia jest teraz senna, Anusia robi się senna, wszystkie Anusie na świecie są teraz tak senne, że biorą się za rączki i zasypiają...” W wieku czterech, pięciu i sześciu lat Paul tworzył naprawdę zdumiewające teksty, Ana zaś leżała w łóżeczku wpatrzona w niego nieruchomym wzrokiem, ssąc pokarm z butelki i chłonąc każde jego słowo. No i jego prace plastyczne! Dowodziły poświęcenia na innej płaszczyźnie – Paul podpisywał wszystko, co stworzył: „Paul i Ana”.

Jedli śniadanie; Josie siedziała naprzeciw swoich dzieci, spoglądając na tworzące surowy krajobraz niebieskie niebo i białe góry. Przypomniała sobie, jak Carl powiedział kiedyś pół żartem, pół serio, że ktoś pozamieniał ich dzieciom płęć. Paul był wyjątkowo wrażliwy, troskliwy, pełen uczuć macierzyńskich. Nie nosił dziewczęcych ubrań, ale za to bawił się lalkami. Anie podobały się motocykle oraz Darth Vader, a upadając i taranując różne rzeczy, uderzała w nie olbrzymią głową tyle razy, że jej porośnięta na szczęście grzywą kręconych rudych włosów czaszka była bardzo zniekształcona. Paul słuchał, dbał bardziej o ludzi niż o rzeczy i był głęboko zraniony myślą o cierpieniu jakiegokolwiek istoty żywej. Podczas gdy Anie było naprawdę wszystko jedno.

Pozostawała jeszcze kwestia honoru. Chociaż ojcu Paula brakowało kręgosłupa moralnego, sam Paul już teraz był wspaniałym człowiekiem, małym Lincolnem. Kilka miesięcy temu na poobiedni poczęstunek wybrał z pozostałej po Halloween porcji słodyczy (Josie trzymała je w szafce nad lodówką) małą paczkę fistaszkowych M&M'sów. W paczce znajdowało się sześć groszków i Josie powiedziała mu, że może zjeść cztery. Zniosła Anę do łóżka, a Paul zjadł słodycze w kuchni, żeby siostra tego nie widziała i nie zapragnęła swoich własnych. Nazajutrz rano Josie znalazła na kuchennym blacie paczkę z dwoma groszkami. Paul był na tyle uczciwy, że nie zakradł się do kuchni i ich nie zjadł – co Ana, Carl czy nawet Josie zrobiliby prawdopodobnie bez namysłu.

Zjadłszy prawie całe śniadanie, Ana opuściła boks i podbiegła do automatu z gumami do żucia, który szarpnęła wystarczająco mocno, żeby się przewrócił – i pewnie tak by się stało, gdyby nie fakt, że przytwierdzono go śrubami do posadzki. Josie nie przypominała sobie, żeby Ana kiedykolwiek widziała taki automat, więc jak to możliwe, że doskonale wiedziała, jak go uszkodzić? Jak sobie wyobrażała skutki swoich wysiłków – zepsuta maszyna, podłoga usłana szkłem i gumami, nieuchronna kara? Co ją skusiło? Jedynym wytłumaczeniem mogły być instrukcje otrzymywane od pozaziemskich władców. To oraz skłonność Any, by choć raz w tygodniu spojrzeć na Josie niezwykłymi oczami, oczami dorosłej, świadomej istoty, budziło niepokój. Paul był zawsze sobą, niezależny i przyziemny, lecz Ana czasami przestawała być dzieckiem i patrzyła na Josie, swoją matkę, jakby chciała powiedzieć: Przestańmy na chwilę udawać.

– Możesz ją tutaj przyprowadzić? – poprosiła syna.

Paul zsunął się z ławy i poszedł po siostrę. Widząc, że nadchodzi, Ana uśmiechnęła się od ucha do ucha i pobiegła w kierunku toalet. Parę sekund później rozległ się głośny łoskot i zapadła dziwna cisza, po czym dobiegło do nich wycie Any.

Pognawszy do toalety, Josie zastała Anę w środku, na kolanach, trzymającą się za brodę i wrzeszczącą wniebogłosy.

– Spadła z sedesu – wyjaśnił Paul.

Paul zawsze wiedział. Znał wszystkie okoliczności każdego zdarzenia z udziałem siostry, każdy dotyczący jej fakt. Był jej osobistym trenerem, jej biografem, asystentem, opiekunem, guwernantką, strażnikiem i najlepszym przyjacielem.

– Przyniosę apteczkę – oznajmił.

Josie wiedziała, że jej syn, ośmiolatek, potrafi to zrobić. Potrafiłby znaleźć kelnerkę, poprosić o apteczkę i ją przynieść. Potrafił odebrać telefon, pójść do sklepu po mleko, pójść na pocztę na drugi koniec ulicy. Był tak spokojny, rozsądny i opanowany, że Josie uważała go na ogół za równego sobie w opiece rodzicielskiej nad małą, a także, być może, za

zmniejszone wcielenie jej własnej matki z czasów, zanim przeszła załamanie nerwowe.

Josie podniosła Anę i posadziła ją na umywalce, przyjrzała się córce i znalazła na podbródku maleńką czerwoną kreskę.

– To tylko zadrapanie. Tak naprawdę nie ma nawet krwi. Myślę, że apteczka nie będzie nam potrzebna. – Przytuliła zachłystującą się płaczem Anę, czując, jak jej królicze serce kołacze w falującej piersi.

Wtedy Paul, który już zdążył wrócić z apteczką, zacisnąwszy zęby, posłał matce natarczywe spojrzenie, chcąc przekazać, że wie o tym, iż nie ma krwi, ale Ana nie przestanie płakać, dopóki ktoś nie opatry jej podbródka.

– Tutaj na pewno jest jakiś porządny plaster – powiedziała, a na te słowa Ana otworzyła oczy i śledziła wzrokiem ruchy szczupłych dłoni brata, gdy ten otwierał kolejne przegródki apteczki. W końcu natrafił na właściwą. – Znalazłem – oznajmił i wyjął pęk zwykłych, choć w większości za dużych opatrunków.

Na oczach siostry, która przestała już płakać – i tak naprawdę znieruchomiała, wstrzymała oddech – oglądał plastry z miną, z jaką każdy normalny chłopiec przypatrywałby się kartom do gry w magica lub kartom bejsbolowym.

– Chyba ten – rzekł i rozpakował jeden mały plaster. – Może najpierw powinniśmy posmarować kremem. Jak myślisz?

Josie już miała odpowiedzieć, ale zdała sobie sprawę, że chłopiec mówi do siostry, nie do niej. Ana skinęła ponuro głową i domagała się, żeby to on, nie Josie, nałożył krem. Po paru sekundach Paul rozcierał już w dłoniach jakiś balsam.

– Ogrzejmy go najpierw – zaproponował. Kiedy już balsam osiągnął właściwą jego zdaniem temperaturę, bardzo delikatnie nałożył go siostrze na brodę i wówczas w oczach dziewczynki pojawił się wyraz tak wielkiej przyjemności, że aż musiała je zamknąć. Rozprowadziwszy balsam równomiernie, Paul podmuchał na posmarowane miejsce, żeby – jak wyjaśnił Anie – „szybciej wysechł”. Na Josie w ogóle nie zwracał uwagi.



Następnie przykleił starannie plaster do podbródka siostry, lekko dociskając pokryte klejem końce. Cofnął się i ocenił własne dzieło. Był zadowolony, natomiast Ana uspokoiła się na tyle, żeby poprosić o jadło.

– Chcesz jeść? – zdziwiła się Josie. – Przecież nie skończyłaś śniadania.

– Nie! – ryknęła Ana. – Chcę *jadło*.

– Posiłek? – Josie była zdezorientowana.

– Nie, *jadło*!

Paul przechylił głowę, jakby zaczynał rozumieć, o co chodzi.

– Jesteś głodna czy nie? – zapytała Josie.

– Nie! – wrzasnęła mała, znowu bliska łez.

Paul zwrócił się do siostry, patrząc na nią badawczo:

– Mogłabyś to powiedzieć w jakiś inny sposób?

– Chcę to zobaczyć! – jęknęła Ana i Paul od razu zrozumiał.

– Jej nie chodzi o *jadło*, tylko o *zwierciadło* – wyjaśnił matce z błyskiem zachwyty w lodowatych oczach. Ana pokiwała energicznie głową, a na twarzy Paula odmalował się uśmiech. To właśnie było dla niego cenne, to sprawiało mu radość. Pragnął jedynie znać swoją siostrę lepiej niż ktokolwiek inny.

Josie podniosła córkę, żeby mogła się przejrzeć w małym lustrze zawieszonym wysoko nad umywalką. Pokazała Anie opatrzoną ranę, bojąc się, że mała znowu zacznie wyć, zaszokowana widokiem plastra na brodzie. Dziewczynka jednak uśmiechnęła się tylko szeroko, z płomiennym wzrokiem, dotykając czule opatrunku.

Wrócili na drogę i skierowali się na południe, w stronę półwyspu Kenai, żeby dotrzeć do Seward, o którym Josie nic nie wiedziała. Dzieci siedziały na ławie z tyłu kampera i Josie nie była pewna, na ile jest to bezpieczne, zważywszy, że ściany chateau były niepokojąco cienkie, a pasy miały tyle lat co ona. Dzieci nie posiadały się jednak z radości. Ana nie mogła uwierzyć, że nie musi siedzieć w foteliku. Miała wrażenie, że ucieka z miejsca jakiegoś fantastycznego napadu na bank.

Krzyknęła coś z tyłu. Zabrzmiało to jak pytanie, ale Josie nie zrozumiała, o co chodzi.

– Co się stało? – zapytała.

– Ana pyta, czy kiedyś tu mieszkałaś?! – krzyknął Paul.

– Na Alasce?! Nie! – odkrzyknęła Josie przez ramię.

Ana myślała, że jej matka mieszkała wszędzie. Z winy Josie; to ona popełniła błąd, wspominając o swoich podróżach przed ich narodzinami, o licznych miejscach zamieszkania. I Paul, i Ana byli na to zbyt mali, ale przy wielu okazjach stwierdzała, że nie może się powstrzymać. Kiedy usłyszeli wzmiankę o Panamie w jakimś filmie dokumentalnym o tamtejszym kanale, powiedziała im, że mieszkała tam przez dwa lata, wyjaśniając, czym jest Korpus Pokoju, i opisując wioskę na wzgórzu, gdzie wraz z dwoma innymi wolontariuszami bez szczególnego przeszkolenia starała się pomagać mieszkańcom w nawadnianiu górskich zboczy. Nie mogła się powstrzymać, lecz przypuszczała, że jej dzieci o tym wszystkim zapomną. Ana zapomniała niemal zupełnie, ale Paul zapamiętał wszystko i jakby chciał udaremnić jej próby zapisania przeszłości atramentem sympatycznym, niczym maleńki obłąkany mnich zrobił własną kopię. Wiedzieli, że po wolontariacie w Korpusie Pokoju, a przed studiami na wydziale stomatologii chodziła krótko do szkoły kształcącej instruktorów psów przewodników (zrezygnowała po miesiącu, ale ta perspektywa niezmiernie ich zafascynowała). Wiedzieli o Walla Walla oraz o Iron Mountain, dwóch spośród czterech miejsc, w których mieszkała w dzieciństwie. Uznała, że jest za wcześnie, by opowiedzieć im, jak w wieku lat siedemnastu uniezależniła się od rodziców, o Sunny, kobiecie, która poparła ów bunt i ją przygarnęła. Od czasu do czasu zastanawiali się nad rodzicami Josie, nad tym, gdzie oni są i dlaczego sami nie mają biologicznych dziadków, czemu mają tylko Luisę, matkę Carla mieszkającą w Key West. Wiedzieli coś o Londynie, o czterech miesiącach w Hiszpanii – tym okresie raptownych posunięć powodowanych zachciankami i klęskami. Dlaczego było dla niej ważne, by wiedzieli, że

gdzieś była, że zajmowała się nie tylko leczeniem zębów? Czy tak liczne zmiany w jej życiu były czymś wspaniałym? Podejrzewała, że nie.

Teraz mówił Paul, ale robił to ciszej niż Ana i Josie słyszała jedynie ciąg spółgłosek i samogłosek.

– Nie słyszę cię! – zawołała Josie.

– Co?! – odkrzyknął Paul.

Chateau grzechotał, dygotał i zagłuszał wszystkie głosy. W kamperze z natury rzeczy znajdowały się najrozmaitsze sprzęty kuchenne – w tym wypadku używane wcześniej przez Stana i jego gustującą w białych wykładzinach żonę – i wszystkie zgromadzone w nim naczynia grzechotały, a wszystkie szklanki pobrzękiwały jedna o drugą. Były tam talerze, serwisy do herbaty, filiżanki do kawy i sztućce. Był ekspres do kawy. Była kuchenka. Garnki i rondle. Oraz wok. I blender. Mikser, na wypadek gdyby ktoś zapragnął upiec babkę. Wszystkie te rzeczy mieściły się w szafkach, tanich i lekkich szafkach, jakie mieli w domu, tyle że w domu nie pędziły one z prędkością czterdziestu mil na godzinę pojazdem wyposażonym w wiekowe amortyzatory i poruszającym się na starych oponach. Ponieważ zaś ten pojazd już ledwie zipał, nawet szafki były kiepsko zmontowane i w byle jaki sposób przymocowane do karoserii. Ów dźwięk przypominał zatem odgłosy rozbrzmiewające podczas trzęsienia ziemi. Sztućce brzęczały niczym łańcuchy jakiegoś niespokojnego ducha. I ta nieprzyjemnie brzmiąca mieszanina dźwięków robiła się znacznie głośniejsza, kiedy zwalniali lub przyśpieszali, wspinali się pod górę lub zjeżdżali ze wzniesienia, bądź podskakiwali na wybojach.

JEŻELI NIE TY, TO KTO? – pytał napis z tablicy na poboczu, a Josie czuła, że została odnaleziona i oskarżona, dopóki napis nie zmienił się w NIE PARKUJ NA SUCHEJ TRAWIE i nie zdała sobie sprawy, że te komunikaty mają zapobiec pożarom lasów.

Po godzinie zjechała z drogi. Zwolnienie z czterdziestu ośmiu mil na godzinę do zera stanowiło zadanie równie trudne jak próba powstrzymania lawiny. Cały ciężar spoczywał na tylnej osi, więc przód samochodu kołysał się i drżał, koła się trzęsły. Zatrzymali się na szerokim parkingu nad wodą,

ale Josie miała stargane nerwy. Wyszła z szoferki i usiadła na kanapie naprzeciwko ławki. Powiedziała Paulowi i Anie, że mają wyjątkową okazję, by pomóc w realizacji niezwyklego przedsięwzięcia. Zaintrygowało ich to.

– Przenosimy kuchnię pod prysznic – oznajmiła.

Intuicyjnie zrozumieli, o co chodzi.

Ana otworzyła szafkę pod zlewem i znalazła w niej garnek.

– W ten sposób? – zapytała, kierując się do łazienki.

– Zaczekaj – odparła Josie – rozłóżmy najpierw ręczniki.

Wyłożyli więc brodzik prysznicza ręcznikami. Potem owinęli nimi talerze oraz szklanki i postawili je pod prysznicem. Kiedy zabrakło im ręczników, otworzyli worki marynarskie i owinęli talerze oraz sztucze częściami garderoby, bez których mogli się obyć. Następnie położyli każde zawiniątko w brodziku prysznicza. Opróżnili kuchnię z talerzy, garnków, rondli, filiżanek i szklanek, umieścili je ostrożnie pod prysznicem, po czym zamknęli drzwi łazienki. Kiedy Josie znowu uruchomiła chateau i wróciła na szosę, dźwięk naczyń był cudownie stłumiony, a ona wydawała się swoim dzieciom kimś w rodzaju mózgu wyprawy.

– A jeżeli będziemy musieli coś ugotować? – zapytał Paul.

– Nie chcę gotować – odparła Josie.

Kierować samochodem też nie chciała, bo jazda nie zapewniała jej uspokojenia, przywodziła na myśl jedynie twarze. Widziała gładką, ładną twarz młodego żołnierza, którego śmierci była współwinna. „Nie – pomyślała – pokażcie mi inną twarz”. Ujrzała żółte oczy chorej na raka kobiety, która przejęła jej praktykę. Nie. Inną. Carl szczerzący zęby w uśmiechu na sedesie. Nie. Twarz prawnika tej kobiety, jej zięcia, wyrachowanego i okrutnego. Josie w końcu dotarła myślami do delikatnej twarzy Sunny, oblicza, które starała się przywołać, gdy szukała spokoju. Zatrzymywała na chwilę ich bieg na nim, na promiennych czarnych oczach Sunny, wyobrażała sobie, że Sunny rozczesuje jej włosy swoimi chudymi palcami – Josie pozwalała jej na to, mimo że była wściekłą na świat nastolatką – i wtedy, i teraz przez moment czuła coś na kształt spokoju.

Po południu dotarli do Seward, które sprawiało wrażenie prawdziwego miasta. Było prężne i czyste. Leżało na końcu wielkiego fiordu z lodowatą wodą napływającą z zatoki Alaski. Główna ulica była pełna sklepów z pamiątkami, gdzie na szklanych półkach leżały koszulki z odrażającymi postaciami z kreskówek, ale na peryferiach Seward było surowym miejscem prawdziwej przedsiębiorczości. Kutry rybackie, tankowce, małe kontenerowce wpływały do portu i wypływały z niego, a każdy z nich mijał wąski przesmyk zwany Zatoką Zmartwychwstania, w sam raz dla siwowłosych odkrywców i świętych.

Pojechali na pole kempingowe za miastem i zaparkowali na wprost szerokiej, pokrytej wodorostami plaży. Po drugiej stronie fiordu, może osiemset metrów od nich, znajdowało się pasmo Kenai, ściana dziewiczych gór – tworzących ząbkowaty zarys, srebrzystobiałych, monumentalnych i wyzywających. Tu i ówdzie wzdłuż brzegu z piasku wyrastały skamieniałe na biało kikuty drzew.

– Zostańcie tu – nakazała dzieciom i poszła do biura.

Mężczyzna za biurkiem poprosił o podanie personaliów i Josie zapisała nieczytelnie swoje nazwisko, numer skrytki pocztowej, który zapamiętała z adresu firmy obsługującej karty kredytowe, a następnie zapłaciła gotówką. Miała niejasne poczucie, że kiedy Carl uświadomi sobie, co zrobiła, może przylecieć na Alaskę, żeby odnaleźć ją i dzieci, lub wysłać kogoś na ich poszukiwanie, ale z drugiej strony ten człowiek nigdy nie miał żadnej prawdziwej posady (ta nowa na Florydzie się nie liczyła) – czy rzeczywiście mógłby przygotować i przeprowadzić rekonesans? Pokonał tylko połowę trasy triathlonu, do którego trenował. Może jej szukałby z podobnym skutkiem.

Kiedy wróciła do kampera, zastała przy nim jakiegoś wzburzonego mężczyznę.

– To nie jest pani miejsce! – ryknął. Za chateau stał z włączonym silnikiem inny kamper, nowy, znacznie większy, z norweską flagą powiewającą z anteny. Twarz Norwega była czerwona, dłonie trzymał z tyłu, jakby chciał je powstrzymać przed wyrządzeniem Josie jakiegś

typowo norweskiej krzywdy. Było jasne, że przygotował się do tego występu. Pod jej nieobecność przez piętnaście minut porządnie się nakręcił. Była pewna, że wspomni o jej dzieciach.

– I pozwala pani prowadzić dzieciom!

Josie uniosła wzrok i stwierdziła, że Paul siedzi na fotelu kierowcy, trzymając Anę na kolanach. Ich ręce spoczywały na kierownicy.

Naszło ją kilka refleksji. Pomyślała, że bardzo kocha swoje dzieci, że wyglądają jak mali przestępcy, chociaż Paul jest aniołem, a Ana zawsze robi krzywdę wyłącznie sobie. Zastanawiała się, dlaczego ten Norweg pokonał sześć i pół tysiąca kilometrów, żeby popatrzeć na alaskańskie fiordy. To zakrawało na perwersję. Norwegia była ciekawsza, czystsza. I czyż w Norwegii nie zapewniano wszystkiego za darmo? Opieki zdrowotnej i podobnych spraw? Człowieku, wracaj do domu.

Wsiadła bez słowa do chateau, przegoniła dzieci do tyłu i ustąpiła miejsca rozwścieczonemu Norwegowi. Wszystkie miejsca przy brzegu były już jednak zajęte, jeździli więc po polu, dopóki nie znaleźli jednego w lesie. Było niezłe, niespełna sto kilkadziesiąt metrów od wody, ale nad brzegiem było jasno i widzieli oświetlone góry, a las był ciemny i wilgotny, nasuwał myśl o baśniach Tolkiena i trollach.

Kiedyś Josie spędziła tam, w Norwegii, tydzień z dwuletnim Paulem. Uczestniczyła w konferencji na temat wybielania zębów. Jak nieswojo czuli się jej norwescy koledzy po fachu w obecności chłopca! (Carl został w domu, uznał, że może się pochorować, nie chciał ryzykować. Prawdziwy mężczyzna). Tak więc w Oslo, a zwłaszcza podczas tej wycieczki promem po krystalicznie czystych wodach jakiegoś fiordu, Norwegowie zachowywali się tak, jakby sprowadziła na pokład rosomaka. Paul był wówczas grzecznym dzieckiem, maleńkim obywatelem niemal apatycznym, niemal zbyt dojrzałym, ale na tym statku traktowano go niczym pariasa. Odezwał się i można było odnieść wrażenie, że zepsuł wycieczkę, samo brzmienie jego głosu potraktowano niczym amerykańską brudną bombę.

Josie знаła wszystkie musicale i uważała, że dodatek do musicalowego kanonu powinien nosić tytuł *Norwegia!*. Występowałyby w nim chór kobiet w identycznych białych strojach; wszyscy poznani Norwegowie byli ubrani od stóp do głów na biało, wszyscy też mieli taką samą podejrzanie opaloną skórę, takie same wąskie, czarne okulary – i wszyscy ci Norwegowie udawali, że są szczęśliwymi, kulturalnymi ludźmi, śpiewającymi niewinne piosenki o fiordach i kulturze finansowanej przez państwo z zysków ze sprzedaży ropy, ale równocześnie usiłowali usunąć wszystkie dzieci, żeby nie trzeba było się dzielić najwyraźniej ograniczoną ilością białego sukna. Wybielając pacjentom zęby, Josie często rozmyślała o tym musicalu, wyobrażała sobie finał przedstawienia, wszystkich odzianych na biało Norwegów śpiewających pieśń z akompaniamentem instrumentów elektronicznych. Czemu to robiła? Spędzała wolne chwile, wyobrażając sobie musicale, które nigdy nie powstaną. Musical stanowił jedyny środek wyrazu, który mógł należycie pokazać nasze prawdziwe szaleństwo i hipokryzję – naszą zbiorową zdolność do siedzenia w teatrze i oglądania, jak szaleńcy wyśpiewują nonsensy, podczas gdy świat na zewnątrz płonie.

Konferencja na temat wybielania zębów okazała się dobrodziejstwem pod innymi względami – te zabiegi były niczym drukowanie pieniędzy. Pacjent spędzał w gabinecie około godziny, z czego dziesięć minut wymagało obecności Josie – higienistki potrafiły sobie poradzić z całą resztą zabiegu – ale ona kasowała siedemset dolarów i wszyscy chętnie tyle płacili. Dziękuję ci, Norwegio!

Wysiedli i Josie wyciągnęła z bocznego schowka podłączenie do sieci elektrycznej – a w zasadzie gruby przedłużacz ukryty za skrzypiącymi drzwiczkami z płyty wiórowej koło tylnego koła. Podłączyła kampera do gniazda na zewnątrz i okazało się, że mają prąd. Nieźle. Zaprowadziła Paula i Anę na brzeg, unikając stojących przy rachitycznym ognisku Norwegów, którzy teraz bardzo się starali okazać życzliwość i machali do nich rękami.

W zatoce roiło się od wydr. Paul i Ana już je spostrzegli w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów od brzegu. Które dziecko nie uwielbia

wydr? Josie usiadła na jednym z wiekowych białych pniaków i pozwoliła dzieciom podejść do linii brzegowej, by mogły przyjrzeć się dokładnie zwierzętom. Wydry były szalone i bardzo rezolutne; pływały na grzbiecie i trzymały na brzuchach prawdziwe kamienie, których używały do otwierania skorup małżów. Takie zwierzę nie mogło zostać stworzone przez żadnego szanującego się stwórcę. Jedynie Bóg z naszych wyobrażeń mógł się zdecydować na ten poziom zwierzęcego kiczu.

Ana upadła na ziemię i teraz Paul oglądał uważnie dłoń siostry. Tak wyglądała jej ulubiona metoda wychowania dzieci: pojechać w takie miejsce, rozległe, pozwalające odkrywać dużo rzeczy, i obserwować, jak wędrują i doznają niewielkich urazów. Siedzieć i nic nie robić. Kiedy wracają, żeby ci pokazać jakiś kamień lub kępę morskich wodorostów, obejrzyj je uważnie i zapytaj o nie. Sokrates wynalazł doskonałą metodę dla rodziców, którzy lubią posiedzieć i niewiele robić. Dzięki roztropnemu wypytywaniu jej dzieci mogły się uczyć czytać i pisać właśnie tu, na tej plaży w Seward. To oczywiste. Przeczytaj nazwę tego statku. Szybko, przeczytaj to ostrzeżenie na burcie tramwaju wodnego. Przeczytaj informacje na temat napięcia na tej wtyczce.

Powietrze było czyste. Znajdowali się nad wodą, gdzie groźba pożaru była niewielka lub przynajmniej mniejsza, a wiatry, które niosły woń spalenizny, wiały w innym kierunku. Josie odetchnęła głęboko i wzniosła zamknięte oczy ku słońcu. Usłyszała skargi jakiegoś siewkowca. Chrzęst żwiru gdzieś na parkingu. Przeciągły szmer bryzy przechodzącej przez rosnący za Josie las. Krótki plusk wiosła zanurzającego się w wodach zatoki. A teraz pisk dziecka. Josie otworzyła oczy, podejrzewając, że to Ana, że znowu coś sobie zrobiła, tym razem coś poważnego. Lecz Ana i Paul nadal byli tam, gdzie ich ostatnio widziała, i teraz układali kamienie. Josie odwróciła się w drugą stronę i ujrzała inną rodzinę: rodziców, dwójkę dzieci, wszyscy w strojach z jaskrawej lycry i nieprzemakalnych wiatrówkach. Dzieci, mniej więcej w wieku jej latorośli, denerwowały się z powodu trójki bezpańskich psów krążących wokół nich niczym gang



motocyklowy z lat pięćdziesiątych. Ani one, ani ich rodzice nie wiedzieli, co robić.

Dorośli, oburzeni i w błagalnych pozach, liczyli na reakcję Josie, zakładając, że psy należą do niej. Że te pozbawione obroży, zdziczałe psy są jej własnością. Dlatego, że ona też wyglądała na zdziczałą? Dlatego, że jej dzieci sprawiały wrażenie brudnych, parchatych i dzikich – jak osoby, które przyprowadzają na plażę psy, żeby dręczyć pięknych ludzi w dopasowanych strojach z lycry? Josie przyjechała na Alaskę właśnie po to, żeby uciec od takich jak oni.

Ludzie tego rodzaju opanowali jej miasto, opanowali szkołę, do której chodziły jej dzieci. Wydawało się, że nikt z nich nie pracuje; wszyscy mieli dopasowane stroje z lycry i znajdowali czas, by brać udział we wszystkich z trzystu lub czterystu dorocznych imprezach w szkole. Jak ktoś taki jak Josie mógł mieć pracę, być matką i mimo to nie być nieudacznikiem, pariasem w tej przeciętnej szkole w tym przeciętnym mieście? Dotąd była przekonana, że posiadanie zatrudnienia w USA oznacza pracę przez czterdzieści godzin tygodniowo. Debatujcie nad tym, jeżeli chcecie – powinniśmy mniej pracować, nie pracujemy wystarczająco dużo, tyle czasu w pracy marnujemy na oglądanie pornografii w sieci i bezustanne pogaduszki w pomieszczeniu socjalnym – ale i tak czterdzieści godzin stanowi wymóg, normę, klucz do dobrej koniunktury w kraju. Lecz szkoły i te dzieci oraz ich zajęcia pozalekcyjne, a także rodzice organizatorzy tych szkół oraz zajęć, a co najważniejsze, ich osądzące spojrzenia przeszkadzały w pracy przez czterdzieści godzin i uniemożliwiały tę dobrą koniunkturę; i przyczyną pogorszenia się sytuacji gospodarczej w USA mogli być śmiało ci rodzice, ich krytyczne spojrzenia, te szkoły, te zajęcia. Czyż ćwierć wieku wcześniej nie oczekiwano od rodzica, by uczestniczył w czterech godzinnych zajęciach pozalekcyjnych? Jesienią odbywała się wywiadówka, jej bliźniacza postać miała miejsce latem, był jesienny spektakl muzyczny i jeden wiosenny. To wszystko. Może jakiś program zimowy, ale nigdy dwa w jednym semestrze. Może szkolna sztuka teatralna. Lub recital. W każdym razie jednak były tylko cztery wydarzenia uważane

za obowiązkowe, a większość z nich odbywała się wieczorem, po pracy. Poza tym żywiciel (lub żywiciele) rodziny przebywał w pracy przez czterdzieści godzin tygodniowo i był bohaterem, gdy dotarł na jakąkolwiek z tych czterech imprez, mistrzem, jeżeli udawało mu się wziąć udział w meczach rozgrywanych w weekendy, i prawdziwym świętym, gdy trenował szkolną drużynę. W każdym razie jednak mógł być uznany za wzorowego rodzica dzięki temu, że uczestniczył w choćby trzech z czterech obowiązkowych wydarzeń, kropka.

Ale teraz sytuacja jest inna. Teraz pojawiły się – pełzające niczym pełne dobrych chęci, ale ostatecznie obezwładniające i zabójcze chwasty – te nowe i nieokreślone półobowiązki, które uśmiercają wszystko, co rośnie w tym ogrodzie, co można by również uznać za ludzką wydajność i PNB. Te dodatkowe rzeczy, te przeciętne rzeczy zakradają się i zabijają niczym rdza na roślinach. Jak komunizm. Nie, inaczej. Komuniści znali proporcje i ciężko pracowali. Czy rzeczywiście? Nikt nie jest pewny. Ale ci inni rodzice i ich osądzające spojrzenia – kiedy oni pracują? Ich zadaniem jest udział w tych wydarzeniach. Sugerują, że to ich praca, dają też do zrozumienia, że w tobie i *twojej* prawdziwej pracy nie ma nic złego, ale zarazem zaniedbujesz swoje obowiązki i jesteś godna ubolewania. Nie mówią tego jednak. Mówią: „Nie przejmuj się, jeżeli nie możesz tam być, nie możesz uczestniczyć we wspólnym śpiewaniu z okazji jesiennej równonocy, późnozimowym jarmarku rzemieślniczym połączonym ze śpiewaniem i jazdą na sankach oraz imprezie składkowej”. Wieczorny badmintonowy turniej – zabawa z udziałem par deblowych złożonych z rodziców i uczniów – zorganizowany w środku wiosny to nic ważnego. Piżamowe przyjęcie dla matek i córek w każdą trzecią środę miesiąca – żaden problem. Dzień filmowy *Dźwięki muzyki*, zabierz z sobą gitarę lub lirę. Nie ma potrzeby przynosić smakołyków w dniu urodzin twojego dziecka. Nie ma potrzeby przychodzić na szkolny dzień kariery. Nie musisz wpadać na chwilę na otwarcie nowej pracowni artystycznej wyposażonej w prawdziwe koło garncarskie. Nie obchodzi cię sztuka? Nie ma sprawy. Nie ma potrzeby, nie trzeba, nie musisz, nic się nie stało, to żaden problem,

choć tak naprawdę jesteś samolubna, a twoje dzieci skazane są na porażkę. Kiedy jako pierwsze spróbują kokainy – spróbują, polubią i będą sprzedawać naszym kulturalnym dzieciom – będziemy wiedzieli dlaczego.

Tak więc Josie policzyła, dla własnej rozrywki i przez wzgląd na prawdopodobną konieczność złożenia w przyszłości zeznań pod przysięgą, czas, którego rzeczywiście wymagałoby uczestniczenie we wszystkich tych półobowiązkowych imprezach w listopadzie. Wyszło jej, że nieco ponad trzydzieści dwie godziny. Liczba ta wynikała ze zsumowania czasu spędzonego w szkole, w kampusie, na obserwowaniu i baraszkowaniu z dziećmi, dziękowaniu i gratulowaniu. Zaraz, zaraz. Uwzględnij jeszcze czas na dojazd z pracy i z powrotem, w ruchu, w korkach, wszystko, cały dramat kierowania w ogóle samochodem, a liczba godzin wzrośnie do czterdziestu sześciu. Czterdzieści sześć godzin w jednym miesiącu, żeby uczestniczyć w imprezach w ciągu dnia i wieczorem, imprezach bez wyjątku nieobowiązkowych, na których nikt się ciebie nie spodziewa, żaden problem, bez obaw, wszystko jest dobrowolne, twoje dzieci radzą sobie tak wspaniale, nie przejmuj się, Josie, wiemy, że musisz pracować.

Josie rzeczywiście musiała pracować, bo przecież mieli dzieci, a Carl nie wiedział, jak znaleźć źródło dochodu, osobiście nie dokładał się do niczego – wspierała go matka, chociaż cierpiała z tego powodu, sporadycznie płaciła też za rzeczy dla Any i Paula. Sytuacji nie poprawiało to, że Josie nie zatrudniła w swojej przychodni drugiego dentysty; była głupia, że tego nie zrobiła. Nie pomagał też fakt, że oferowała swoje usługi w oparciu o ruchomą skalę cen. Wszystko to pogarszało sytuację. Wszystko świadczyło o braku rozwagi i dowodziło, że nie powinna była zakładać firmy, nie powinna była mieszkać z dziećmi w tym mieście, z tymi pogodnymi ludźmi, którzy bez wysiłku godzili przyjemność z obowiązkiem. Widywała ich za każdym razem, kiedy brała udział w jakiejś imprezie, jakiejś wieczornej degustacji babeczek bądź uroczystej prezentacji klubu chóralnego. Widywała ich wszystkich. Byli tam ojcowie, były mamy. Nie brakowało nikogo i na jej widok nieuchronnie i w pierwszym rzędzie chcieli rozmawiać o ostatniej imprezie, tej sprzed

tygodnia lub sprzed wczoraj. O imprezie, w której nie uczestniczyła. „Och, było świetnie” – zapewniali. „Klasa wywołała aplauz. Wzbudzili prawdziwy zachwyty!” Mówili to z podziwem, z podziwem dla tego wszystkiego, dla rzeczy, które robią te dzieciaki, do których są zdolne. I gdy to mówili, być może nie zdawali sobie sprawy, że wbijają jej nóż w serce. Mogli nie mieć o tym pojęcia. Tyle że potem obracali ostrze: „A twój syn – oznajmiali – no! no! To on był gwiazdą”. Jeszcze jeden obrót noża: „Chyba pojawia się na moim filmie, przynajmniej przez chwilę. Przyślę ci link”. Czy to była rzecz typowa dla Ohio, czy też tak działo się wszędzie? Czy ból uśmierzał fakt, że na jakimś pokazie talentów, o którym Josie nie została w porę powiadomiona, Paul zaśpiewał zarówno *The Long and Winding Road*, jak i *In My Life*? Nie uśmierzał. Jeden rodzic powiedział później: „Lepiej, że cię tam nie było. Widok Paula śpiewającego te słowa był szalenie smutny”. Co oznaczało, że ten ośmiolatek rozumiał ich wymowę, powiązał je jakoś z jej rozstaniem z Carlem. To się zdarzało.

Cudownym szczytem tego wszystkiego był e-mail od jednej kobiety, kolejnej matki, otrzymany tydzień później. „Droga Josie. W ramach przysługi świadczonej przez społeczność szkolną naszym pracującym rodzicom zainicjowaliśmy innowacyjny program, nazwany przez nas *Wszystkich nas to dotyczy*, dzięki któremu każdy uczeń, którego rodzice nie mogą być obecni na imprezach szkolnych w ciągu dnia, zostaje »adoptowany« przez rodzica, który może w nich uczestniczyć. Ów rodzic poświęci twojemu dziecku dodatkowy czas, zrobi na tych imprezach zdjęcia i umieści je w sieci, a poza tym da dziecku wsparcie zapewniane uczniom, którzy...” List ciągnął się jeszcze przez jedną stronę. Josie powędrowała wzrokiem na dół, żeby zobaczyć, kogo przydzielono jej dzieciom, i stwierdziła, że tym ich opiekunem ma być ta kobieta, Bridget, którą zapamiętała właśnie jako matkę, z jaką nigdy nie zostawiłaby dzieci – ze zbikowanym spojrzeniem i wyraźnym upodobaniem do apaszek.

Josie sama wybrała tego rodzaju środowisko. Opuściła swoje dawne plemię, dociekliwe szeregi wychowanków Korpusu Pokoju, żeby studiować stomatologię, przeprowadzić się do Ohio, zamieszkać na tym przedmieściu,

wśród ludzi zrównoważonych – tak zrównoważonych, że byli skłonni „zaadoptować” jej dzieci na czas szkolnych zajęć pozalekcyjnych – ale pamiętała innych ludzi, innych znajomych z tamtego życia, tych, którzy nadal przemierzali planetę niczym nieśmiertelni. Żadna z jej przyjaciółek z Korpusu Pokoju nie miała dzieci. Jedna spędziła rok w łóżku, gdy jej zdrowe członki nie były w stanie przyjmować poleceń od mózgu (później wyzdrowiała). Jedna przeprowadziła się z powrotem do Panamy, kolejna nauczyła się arabskiego, znalazła jakąś tajemniczą pracę w charakterze konsultantki w Abbottabadzie i twierdziła, że była świadkiem nalotu na dom bin Ladena. Jedna zmarła w wyniku oczywistego samobójstwa. Pewna para, teraz już małżeńska, prowadziła hodowlę lam w Idaho i zaprosiła Josie do siebie, na stałe, chcąc, żeby była częścią ich komuny („To nie jest komuna!” – twierdzili), a Josie omal tego nie zrobiła lub zamierzała przemyśleć propozycję, ale tak, reszta obdartusów z Korpusu Pokoju wciąż wędrowała, nie chcąc nigdzie osiąść, nie chcąc żyć w tradycyjny czy uporządkowany sposób.

Jedynie Deena, matka chłopca chodzącego z Paulem do jednej klasy i zarazem kierowniczka sklepu z karmą dla zwierząt, rozumiała, tylko ona wydawała się mieć jakąkolwiek przeszłość. Kiedyś Josie wspomniała o swoim uniezależnieniu się innej parze; nie potrafili ukryć przerażenia. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszeli.

– Nie wiedziałem, że to możliwe – powiedział mężczyzna.

– Kiedyś uciekłam z domu – przyznała kobieta. Nosiła rybaczkę. – Spałam u przyjaciółki i rano wróciłam.

Innym razem, podczas „wieczornego wychodnego mamusiek” – trudno o bardziej żalosne określenie – Josie wspomniała o Korpusie Pokoju i Panamie, o tym, że poznała tam Rory’ego, któremu udało się uzależnić od heroiny. Myślała, że opowiedziała tę historię o Amerykaninie przemycającym narkotyki do Ameryki Środkowej w zabawny sposób, ale znowu zapadła głucha cisza, która sugerowała, że Josie wnosi do ich pięknego miasta apokaliptyczny cień.

Deena jednak rozumiała. Też była samotną matką, chociaż jej mąż nie zdezerterował, tylko zmarł. Był przedsiębiorcą w delcie Nigru, został porwany, wykupiony, uwolniony przez porywaczy. Dwa miesiące po powrocie do Stanów Zjednoczonych zmarł z powodu tętniaka. Drugie dziecko Deeny, dziewczynka, także mająca na imię Ana, tyle że pisane przez dwa „n”, była adoptowana i w okresie między jej adopcją a śmiercią męża Deeny również grożono, że Anna zostanie poddana „adopcji” przez kobietę w apaszcze z programu *Wszystkich nas to dotyczy*.

Josie i Deena rozmawiały o tym, że są jedynymi z grona rodziców dzieci uczących się w tej szkole, którym cokolwiek się przydarzyło. Josie czuła, że Deenie może wszystko powiedzieć, nie wracała jednak zbyt głęboko w sferę własnego dzieciństwa, w kaleki świat swoich rodziców. Te lata były nietykalne. O krok za daleko w nieznanne, więc w rozmowach z Deeną poprzestawały na szczególnych absurdach bycia samotną matką – na zarabianiu pieniędzy, żeby płacić nastolatkom za pilnowanie dzieci, żeby one mogły zarobić pieniądze na zapłacenie tym młodym ludziom, żeby pilnowali ich dzieci. Na zwierzaniu się swoim dzieciom, skarżeniu się im, leżeniu z nimi zbyt długo przed snem, zdradzaniu im zbyt wielu sekretów.

– Powinniśmy się przeprowadzić na Alaskę – powiedziała pewnego wieczoru Deena. Były w barze serwującym burrito, gdzie dzieci mogły biegać i żerować, a one zdjąć buty i popijać mojito. Deena przyglądała się, jak jej córka wysypuje na podłogę koszyk chipsów, zbiera je i zjada. Nie kiwnęła palcem, żeby pomóc córce, nie upomniała jej nawet słowem.

– Czemu na Alasce miałyby być lepiej? – zapytała Josie, ale pomysł przyjaciółki utkwiał jej w pamięci, również dlatego, że tam mieszkała Sam.

Na plaży rodzina w kolorowych nowych kurtkach zniknęła za głazem trochę dalej na brzegu i Josie przyjęła to z wielką ulgą.

Ana podeszła do matki, niosąc coś ostrożnie oburącz. Paul szedł najpierw tuż za nią, potem u jej boku, pilnując, by to, co znaleźli, nie spadło na ziemię. Josie wstała, mając nadzieję, że w ten sposób zniechęci ich do pomysłu rzucenia jej znaleziska na kolana.

– Popatrz – powiedziała Ana z wielką powagą.

– To głowa – wyjaśnił Paul.

Nagle tamte bezpańskie psy znalazły się wśród nich, obwąchując zdobycz. Dzieci prawie nie zwracały uwagi na czworonogi, one zaś chyba nie były zainteresowane zjedzeniem lub pogryzieniem czaszki.

– Jedna z wyder – powiedziała Ana i machnęła ręką w kierunku zatoki. Trzymała znalezisko w swoich różowych rączkach i Josie zauważyła z przerażeniem, że kości czaszki są nadal pokryte chrząstką, wąsami i futrem, a także czymś kleistym. Wyobraziła sobie Sokratesa i pytanie, które mógłby zadać.

– Po co, u diabła, to podnieśliście?

W geście solidarności z Josie psy spojrzały na Anę i Paula, po czym uciekły.

Wieczorem wybrali się do prawdziwej restauracji w centrum. Josie wyciągnęła aksamitny worek spod zlewu, wyjęła z niego sześć dwudziestek, czując, że wydanie większości z nich jest wprawdzie nielogiczne, ale nieuchronne.

Kiedy trafili na główną ulicę, zauważyli, że do portu zawinął statek wycieczkowy i Seward zapełniło się identycznymi parami siedemdziesięcioparolatków – wszyscy w mniej więcej takich samych wiatrówkach i w białych tenisówkach. Miasto zostało zdobyte, restauracje skapitulowały, a Ana znowu przebiegała przez jezdnię. Złapali ją i Josie próbowała uspokoić córkę jazdą na barana. Na próżno. Małe ciało Any, same mięśnie, poruszało się niczym barakuda: wyginając się, skręcając, robiąc wszystko, żeby się uwolnić, więc po chwili Josie pozwoliła jej biec po chodniku. Na małą nie działały żadne groźby. Josie zagroziła, że zabierze jej książkę z naklejkami przedstawiającymi Batmana. Zupełnie bez skutku; Ana wiedziała, że są inne. Zapowiedziała, że już nigdy więcej nie obejrzy filmu na DVD; mała nie miała poczucia przyszłości, więc się tym nie przejęła. Kiedy jednak Josie obiecywała, że dostanie coś, jakiś deser,

przedmiot, dziewczynka się podporządkowywała. Była najprawdziwszą materialistką: chciała wszystko mieć, ale o nic nie dbała.

Restauracja, do której poszli, była najtańszą, jaką udało im się znaleźć, ale ceny na Alasce były jak z księżycy. Kiedy czekali na zwolnienie stolika, Josie zajrzała do jadłospisu. Wszystkie marynaty kosztowały po dwadzieścia dolarów. Właśnie tego usiłowała uniknąć. W domu była zmęczona, wykończona wydawaniem pieniędzy. To niszczyło ducha. Codziennie trafiała do drogerii lub sklepu spożywczego i rachunek zawsze wynosił sześćdziesiąt trzy dolary. Wchodziła do Walgreens po mleko oraz nocne pieluchy dla Any i jakoś kończyło się na tym, że wydawała sześćdziesiąt trzy dolary. Sześćdziesiąt trzy dolary. Taka kwota trzy lub cztery razy dziennie. Jak można było to dłużej ciągnąć?

W karcie dań serwowanych w tej jasno oświetlonej norze, w której się znaleźli, żądano jednak za kolację jeszcze więcej. Josie zrobiła pobieżną kalkulację i zrozumiała, że wraz z dwójką dzieci, z których żadne nie dbało o to, czy zjedzą tutaj, czy będą się żywić błotem i robakami wygrzebanymi z płytkich dołów w ziemi, wyda na kolację osiemdziesiąt dolarów. Ana, zawsze chętnie odrzucająca pozory każdej sytuacji, dostrzegła swoją szansę. Kiedy pomocnik kelnera wytarł stół, ona wytarła go znowu własną serwetką, mówiąc:

– Ooo tak! Oooo tak!

W ustach pięciolatki zabrzmiało to nieprzyjemnie wulgarnie. Josie się roześmiała, więc Ana zrobiła to jeszcze trzykrotnie.

Za to Paul był w refleksyjnym nastroju. Spojrzał na Josie lodowatymi kapłańskimi oczyma.

– O co chodzi? – zapytała.

Odparł, że nie chce o tym rozmawiać. Josie nie ustępowała.

– O co chodzi?

W końcu skinął na nią, żeby się zbliżyła, obiecując wyjawienie tajemnicy. Josie pochyliła się nad stołem i przy okazji trąciła talerz, który stuknął w drewniany blat.



– Dokąd nocą jeżdżą bezpańskie psy? – wyszeptał, a ona poczuła w uchu jego ciepły oddech. Nie wiedziała, do czego zmierza.

– Nie wiem – odparła więc i natychmiast zrozumiała, że to niewłaściwa odpowiedź. Mina mu zrzędała, a w oczach, tak jasnych i zimnych, wyczytała, że teraz przez wiele tygodni nie zaśnie.

Zapomniała o problemie Paula z zbłąkanymi zwierzętami. Jeszcze w Ohio usłyszał kiedyś o bezdomnych kotach – w ich mieście mieszkała jakaś obłąkana bywalczyni, dla której poprawa ciężkiego losu bezdomnych kotów stała się powołaniem. Reklamy z ofertą schronienia i NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI OPIEKI MEDYCZNEJ! dla tych bezpańskich zwierząt wisiły na autobusach i pojawiały się w lokalnej gazecie. Paul zmusił Josie, żeby co wieczór wystawiała miskę z mlekiem dla blukających się kotów, które przypadkiem mijały ich dom. Josie wymyśliła również bajeczkę o tym, że często wpadają do nich w drodze do domu – wyjaśniła, że bezpańskie koty mają Kolej Podziemną, a oni mieszkają na trasie tej kolei. Ta fikcja trwała wiele tygodni i to Josie była temu winna. To ona wymyśliła kocią kolej, musiała więc umożliwić kotom dostęp do mleka, a nocą opróżniać miskę, patrzeć, jak Paul rano sprawdza, czy jest pusta, dyskutować z nim na ten temat przy śniadaniu, jak mogła więc zapomnieć o jego trosce o zbłąkane zwierzęta?

Później, kiedy już zapłacili za kolację – osiemdziesiąt cztery dolary, niech ich wszyscy diabli – i kiedy Ana jadła lodową kanapkę na ławce na promenadzie, Josie wyjaśniała synowi pewne rzeczy, sama się przy okazji dobrze bawiąc. Wszystkie bezpańskie psy, powiedziała, mieszkają razem w budynku klubowym. A ten budynek został zbudowany przez alaskańskich strażników leśnych, ponieważ bezpańskie psy, jako zwierzęta stadne, wolą mieszkać razem. Są tam karmione przez strażników, trzy razy dziennie – na śniadanie omlety, na lunch kiełbasa, na kolację stek.

Paul uśmiechał się nieśmiało. Ktoś, kto go nie znał, zakładałby, że chłopiec wie, że to wszystko bujda, a jego uśmiech potwierdza świadomość niedorzeczności tego wszystkiego – tego, jak idiotyczna jest jego troska o zbłąkane zwierzęta i jak szaleńcze są wyjaśnienia matki. Jego uśmiech

oznaczał jednak coś innego. Paul uśmiechał się, ponieważ coś, co było nie w porządku, zostało naprawione. Uśmiech Paula potwierdzał istnienie fundamentu moralnego świata – jakże mógłby wąpić w prymat ładu i sprawiedliwości? Jego uśmiech potwierdzał poprawność tego założenia i wyśmiewał chwilowe powątpiewanie w tę poprawność.

Ana zjadła swój deser lodowy i wręczyła opakowanie matce, zamierzając teraz przyjrzeć się czemuś, co wyglądało na zakrwawioną rybią głowę i leżało na molo parę metrów dalej. Znajdowali się niedaleko stanowiska sprawiania ryb, gdzie rybacy ważyli i patroszyli swój dzienny połów. Promenada była różowa od wodnistej krwi; ostatni rybak kończył właśnie pracę. Ana stanęła przy nim i uniosła wzrok, po czym spojrzała na rybią głowę, której srebrzysta skóra była poplamiona jaskrawym osoczem. Podniosła ją z ziemi i zapytała:

– To pana?

Zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, upuściła rybią głowę i wykazując się niewiarygodną zręcznością oraz znakomitymi zdolnościami motorycznymi, kopnęła ją w locie do ciemnej wody, poniżej mola. Roześmiała się, rybak też wybuchnął śmiechem, a Josie zastanawiała się, jakim cudem ta mała jest jej dzieckiem.

– No i jak się nazywam? – rzuciła pytanie w kierunku wody, spienionej w miejscu, gdzie zniknęła głowa ryby. Josie nie nauczyła jej tego, a Paul z pewnością nie mógł znać tej odzywki. Ana już to kiedyś mówiła, pytała również: „Tego chcesz? Tego chcesz?” oraz: „A czego się spodziewałeś?”. Te zaczepne pytania uparcie zadawała skałom, drzewom i ptakom. Często zwracała się lekceważąco do przedmiotów nieożywionych, często też, chodząc, ćwiczyła gesty i miny niczym klaun przygotowujący się za kulisami do występu.

Fakt istnienia Any oraz jej wola, by żyć, biegać, wszystko tłuc i zdobywać, wiązały się z jej narodzinami. Przeżywszy miesiąc w plastikowym pudełku i spędziwszy pierwsze dwa lata w cielesnej powłoce przywodzącej na myśl pomarszczoną staruszkę, zrzuciła swą wcześniaczą skórę niczym Lady Łazarz i stała się pogromczynią świata.

Carl już dawno uchylił się od wszelkiej odpowiedzialności. Kiedy przywieźli Anę ze szpitala, uznał, że to dobry moment, by rozpocząć treningi przed startami w triathlonie – nagle stało się to szalenie ważne – i Josie szybko doszła do wniosku, że raczej nie przyłoży się do opieki nad Aną. Zastąpiła go więc Paulem. „Twoja siostra jest malutka i wątła” – wyjaśniła synkowi. „Kiedy przyjedzie do domu, będzie potrzebowała twojej pomocy”. O przybyciu Any ze szpitala rozmawiali co wieczór i co wieczór wydawało się, że Paul traktuje te zbliżające się nieuchronnie obowiązki coraz poważniej. Pewnego wieczoru zastała go z odkurzaczem ręcznym w dłoni; sprzątał pokój oczekujący na Anę. Paul miał wówczas trzy lata. Kiedy indziej znalazł starą kartkę z życzeniami, przedstawiającą na okładce wybuchające baloniki, i wrzucił ją do pustej kołyski. Josie chciała mieć pewność, że Paul, chłopiec wrażliwy, ale jednak chłopiec, będzie uważał, żeby przypadkiem nie udusić maleńkiej Any ani nie złamać jej maleńkich kości, a tymczasem stworzyła chłopca, który rozumiał, że jego rolą jest być kimś w rodzaju opiekuna najdelikatniejszej w świecie orchidei. Spał w pokoju siostry, na materacu obok kołyski, a potem pod kołyską. Kiedy Ana miała trzy miesiące, Paul wiedział, jak ją karmić i przewijać. Kiedy robili to Josie lub Carl, chłopiec siedział w pobliżu, często rzucając jakieś uwagi i korygując błędy.

Ana nabierała sił, a w wieku dwóch lat biegała bez lęku i ograniczeń, chociaż wciąż była chuda jak Pinokio i miała jasnoniebieskie cienie pod oczami; Josie miała nadzieję, że to tylko tymczasowe świadectwo jej traumatycznej drogi przez życie. W miarę jak dziewczynka nabierała pewności siebie i uzmysławiała sobie zdolność poruszania się oraz stanowienia o sobie, w miarę jak stawała się coraz bardziej świadoma siebie i otaczającego ją świata, zwracała coraz mniejszą uwagę na Paula. Chłopiec to dostrzegł i poczuł się zdradzony. Kiedy Ana miała dwa lata, a on pięć, przyszedł do Josie strapiony. „Ona mi nie pozwala, bym trzymał ją w ramionach” – powiedział jękliwie. Był bliski łez, podczas gdy Ana ledwie sobie uświadamiała, że mieszka z nim w tym samym domu. Doszedłszy do pełni sił, nie interesowała się tak naprawdę nikim,

a najmniej Paulem. Chciała wszystko widzieć, włączyć się, wspinać i spadać. Pociągało ją to, co błyszczy, porusza się, migocze, szeleści i jest pokryte futrem. Paul nie spełniał tych kryteriów, więc nie budził jej zainteresowania.

Kiedy skończyła trzy lata, coś się jednak zmieniło i odtąd Ana zdawała sobie sprawę z obecności Paula. Kiedy teraz robiła coś, zwykle coś niebezpiecznego, chciała, żeby brat – Paulie – się temu przyglądał. Paulie, Paul-ee. Paul! Ej! Patrz. Patrz. Patrz-patrz-patrz. Paul udawał niezadowolonego z żądań siostry, ale spełnianie ich było jego życiowym powołaniem. Kochał ją. Szczotkował jej włosy. Obcinał paznokcie. Nocą nadal nosiła pieluchę i wołała, żeby to on ją zakładał. Kiedy Josie owijała ją ręcznikiem po kąpieli, Paul robił to ponownie, ciaśniej, staranniej, uklepując go na jej drobnym ciele, i Ana zaczęła tego oczekiwać.

Teraz, gdy stali na pomoście poplamionym świeżą różową krwią, nagle stanął przed nimi jakiś starszy mężczyzna i zapytał:

– Lubicie czary, moje dzieci? – Wydawało się, że spogląda na nie z ukosa. „Ci samotni starcy – pomyślała Josie – ze swoimi wilgotnymi ustami i małymi oczami, karkami, które ledwie utrzymują ich ciężkie głowy, pełne wspomnień o licznych błędach i pogrzebach przyjaciół”. Wszystko, co mówili, brzmiało okropnie, a oni nie zdawali sobie z tego sprawy.

Josie szturchnęła syna.

– Odpowiedz temu miłemu panu.

– Chyba tak – rzekł Paul w stronę gór widocznych za plecami mężczyzny.

Starzec był zachwycony. Twarz mu się ożywiła, odmłodziła o dwadzieścia lat, zapomniał o wszystkich pogrzebach.

– No cóż, przypadkiem wiem, że dziś wieczorem na naszym statku odbędzie się pokaz czarów.

Ten człowiek był właścicielem statku?

– Ja jestem tylko pasażerem – wyjaśnił w odpowiedzi na pytanie Josie. – Mam na imię Charlie – dodał, wyciągając rękę, różowo-purpurową

plataninę kości i żył. – Nie zauważyła pani stojącej przy nabrzeżu Księżniczki? Trudno ją przeoczyć.

Josie zdała sobie sprawę, że ten nieznajomy zaprasza ich, ją i dwójkę dzieci, na stojący w tutejszym porcie statek wycieczkowy, gdzie tego wieczoru odbędzie się wymyślny pokaz magicznych sztuczek. W programie znalazło się sześć numerów, w tym, poinformował z entuzjazmem starzec, występ iluzjonisty z Luksemburga.

– *Możecie sobie wyobrazić?* – rzekł. – *Z Luksemburga!*

– Ja chcę iść! – oświadczyła Ana. Josie uważała, że jej chęć niewiele znaczy – nie miała zamiaru wejść za tym człowiekiem na pokład statku – kiedy jednak jej córka wypowiedziała te słowa, oblicze Charliego zajaśniało takim blaskiem, że pomyślała, iż może zapłonąć. Nie chciała rozczarować Any ani tego mężczyzny, który dalej opowiadał o pokazie, o tym, do jakich sztuczek ów człowiek z tak dalekiego kraju może być zdolny. Czy jednak naprawdę miała zaraz podążyć za tym starcem na statek wycieczkowy w Seward na Alasce, żeby obejrzeć luksemburski pokaz czarów? Wiedziała, że nie może pozbawić swoich dzieci takiej sposobności. Mieli tylko jedną babcię, która była efektowna, ale zarazem mieszkała zbyt daleko, więc Josie często ulegała niedoszłym dziadkom, którzy kupowali jej dzieciom baloniki i dawali słodczyce w niestosownych chwilach.

– Chyba możemy przyjmować gości – rzekł mężczyzna, kiedy wchodzili po trapie.

Dzieci były zdumione, stąpały powoli, ostrożnie, trzymając się lin biegnących z obu stron. Teraz jednak ich gospodarz, ten siedemdziesięcio- lub osiemdziesięcioparoletni człowiek, nagle nabrał wątpliwości, czy może sprowadzić na pokład znajomych. Josie zatrzymała się więc, a Paul i Ana zerkali na czarną wodę między nabrzeżem a lśniącym białym statkiem. Josie przyglądała się, jak Charlie podchodzi do jakiegoś mężczyzny w marynarskim mundurze. Minęło ich kilkadziesiąt osób odzianych w wiatrówki, niosących w rękach niewielkie torby z pamiątkami z miasta.

– Pozwoli pani, że porozmawiam z tym człowiekiem – dodał Charlie i ruchem dłoni nakazał im poczekać kilka metrów dalej. Obaj z mężczyzną

odwracali się kilka razy, żeby przyjrzeć się Josie i jej dzieciom. W końcu Charlie obrócił się gwałtownie i powiedział, żeby weszli na pokład.

Statek był urządzony w pretensjonalnym stylu oraz zatłoczony, pełno tam było szkła i ekranów – wystrój przypominał kasyno skrzyżowane z restauracją Red Lobster i dworem Ludwika XVI. Dzieciom bardzo się podobał. Ana biegła wszędzie, dotykając delikatnych rzeczy, wpadając na ludzi, sprawiając, że starsze kobiety i mężczyźni wydawali stłumione okrzyki i wyciągali ręce ku ścianom.

– Myślę, że zaczną za dwadzieścia minut – wyjaśnił Charlie, po czym znowu przybrał zagubioną minę. – Sprawdzę, czy nie potrzebujemy biletów.

Odszedł i Josie zrozumiała, że się wygłupiła. W wychowaniu dzieci chodziło głównie o trzymanie ich z daleka od niepotrzebnych zagrożeń, traum i rozczarowań, których dałoby się uniknąć, a ona zawlokła je na Alaskę, obwiozła po przypadkowych częściach stanu, a potem zabrała do Seward, którego nikt im nie polecał; teraz zaś zaprowadziła je za jakimś samotnym mężczyzną na statek zaprojektowany, jak się wydawało, przez szaleńców. Wszystko po to, żeby zobaczyć czary, luksemburskie czary. Błyskawicznie przeanalizowała lata swojego życia, starając się przypomnieć sobie decyzję, którą podjęła i z której była dumna. Daremnie.

W końcu Charlie wrócił, trzymając bilety w dłoni niczym bukiet.

– Gotowi?

Na statku znajdowały się ruchome schody. Charlie stał z przodu i wjeżdżając, patrzył na nich. Uśmiechał się, ale był zdenerwowany, jakby się obawiał, że uciekną.

Widownia mogła pomieścić co najmniej pięćset osób, a w środku wszystko było bordowej barwy – jakby się znajdowali w czyjejś wątrobie. Usiedli w półksiężycowatym boksie z tyłu, Paul obok Charliego. Obok nich przechodziła w pośpiechu kelnerka w jasnoczerwonym stroju, ale Charlie nie zrobił nic, żeby cokolwiek zamówić. Josie poprosiła o lemoniadę dla dzieci i kieliszek pinota dla siebie. Pojawiły się napoje, a światła zgasty. Kieliszek Josie wyglądał jak kryształowa kula i był prawie pełny. Poczwała

się mile zaskoczona tą irracjonalną szczodrością jakiegoś anonimowego przedstawiciela rodzaju ludzkiego. Odprężyla się, oczekując, że przez parę godzin nie będzie musiała robić niczego poza oglądaniem w milczeniu spektaklu i nieszkodliwym popijaniem.

Charlie miał inny plan. Spektakl się zaczął i Josie zdała sobie sprawę, że starzec zamierza przez cały czas rozmawiać. A najchętniej zadawał pytanie: „Widzieliście to?”. W przypadku Any odpowiedź zawsze brzmiała: „Co?”, tworzyli więc wspaniały duet. Charlie zauważał coś, co widzieli wszyscy widzowie, po czym pytał Josie i jej dzieci, czy też to dostrzegli. Ana pytała „Co?”, a wtedy Charlie wyjaśniał, co widział, gadając przez następne pięć minut pokazu. Było to cudowne.

Pierwszemu iluzjoniście, atrakcyjnemu mężczyźnie w obcisłej jedwabnej koszuli, kazano chyba nadać numerowi bardziej osobisty charakter, więc w swoim monologu powracał raz za razem do tego, jak zawsze chętnie przyjmował magię w swoim życiu. Jak otwierał jej drzwi. Jak witał magię. Albo jak nauczył się ją doceniać. Czy powiedział, że poślubił magię? Chyba tak. To wszystko miało niewiele sensu i publiczność wydawała się zdezorientowana.

– Życie jest pełne magii, jeśli się jej szuka – zauważył zdyszany głosem, ponieważ przez cały czas dreptał po scenie, a kobieta wamp w mieniącym się jednocześnie kostiumie kąpielowym chodziła za nim długim krokiem.

Atrakcyjny magik wyciągnął zza kurtyny jakiś kwiat i Josie usiłowała dopatrzeć się w tym magii. Oboje z Charliem bili brawo, ale przyłączyło się do nich niewielu widzów. Jej dzieci nie klaskały; robiły to tylko wtedy, gdy im kazała. Czyżby w szkole nie uczono ich klaskać? Iluzjonista nie robił wrażenia na publiczności, kogóż jednak można było zauroczyć z większą łatwością niż pięćset starszych osób w wiatrówkach? Nie, czekali na coś lepszego niż goździki wyciągane zza parawanów.

Josie zaczęła współczuć temu człowiekowi. Bez wątplenia został iluzjonistą w szkole podstawowej. Wówczas był ładnym chłopcem, z rzęsami tak długimi, że widziała je teraz z pięćdziesiątego rzędu. Jako

nastolatek trzymał się z daleka od rówieśników, lecz nie martwił się tym. Oboje z matką pokonywali samochodem sześćdziesiąt pięć kilometrów do najbliższego dużego miasta, żeby kupić odpowiedni sprzęt do jego pokazów, odpowiednie skrzynie – na kółkach! – aksamitne worki, znikające laski. Kochał wówczas swoją matkę i wiedział, jak to wyrazić, może nawet teatralnym gestem, a ta nierozważna miłość do niej sprawiała, że jego odmienność nie miała dla nich znaczenia. Teraz matka była bardzo dumna, że dopiął swego, że jest zawodowym iluzjonistą podróżującym po świecie i robiącym magiczne sztuczki, chętnie przyjmującym magię w swoim życiu. „A mimo to – pomyślała Josie – te stetryczące dupki nie chciały go oklaskiwać”.

Wypiła połowę swojego wina i nagrodziła atrakcyjnego iluzjonistę entuzjastycznym okrzykiem. Jeżeli nie docenił go nikt inny, zrobi to ona. Ilekroć prosił o oklaski, a czynił to często, Josie krzyczała i biła mu brawo. Dzieci patrzyły na swoją mamę, niepewne, czy jest zabawna. Charlie odwracał się do niej i uśmiechał się nerwowo.

Długonoga kobieta pomagała teraz atrakcyjnemu iluzjoniście wejść do dużej czerwonej skrzyni na kółkach. Obróciła ją kilka razy. Wszystkie rekwizyty w tym numerze musiały być na kółkach, żeby dało się nimi obracać. Zgodnie z zasadą magii na scenie wszystko należało obrócić, aby dowieść, że nie ma żadnych sznurków i nikt nie kryje się tuż za rekwizytem. Ale czy w przeciwnym razie publiczność zastanawiała się nad tym obracaniem? Czy kiedykolwiek jakiś widz zapytał: dlaczego nikt nie obrócił tej skrzyni? Obróćcie ją! Boże święty, na co czekacie?!

Asystentka w mieniącym się kostiumie otworzyła skrzynię. Iluzjonisty w niej nie było! Josie znowu wydała okrzyk, klaszcząc z rękami nad głową. Gdzie on się podział? Ten stan napięcia był fantastyczny.

I oto magik pojawił się obok nich! Nagle punktowe światło padło na stolik, przy którym siedzieli, a raczej niedaleko stolika, ponieważ atrakcyjny iluzjonista stał obok Josie i dzieci.

– Cholera jasna – powiedziała wystarczająco głośno, by magik, który rozłożył ręce, znowu prosząc o oklaski, to usłyszał. Uśmiechnął się. Josie



zaklaskała jeszcze głośniej, ale znowu wydawało się, że reszty widzów w ogóle to nie obchodzi. Miała ochotę krzyknąć: Przecież on był tam, a teraz jest tutaj!

Skurwiele.

Z bliska spostrzegła, że iluzjonista ma bardzo mocno umalowaną twarz. Kredka do oczu, róż, może nawet szminka, a wszystko nałożone tak, jakby zrobiło to dziecko. Potem światło zgasło i magik stał przez chwilę przy ich stoliku z podniesionymi rękami, podczas gdy na scenie pojawił się drugi iluzjonista. Josie chciała coś powiedzieć atrakcyjnemu mężczyźnie, którego kołyszącą się sylwetkę widziała metr dalej, ale zanim zdecydowała, że powie: „Był pan znakomity” – zniknął.

Odwróciła się w stronę sceny. Nowy iluzjonista nie był już tak atrakcyjny.

– To ten z Luksemburga – szepnął Charlie.

– Witam wszystkich! – ryknął nowy magik i wyjaśnił, że jest z Michigan.

Charlie głośno westchnął.

Sztukmistrz z Michigan, rudzielec w białej koszuli i czarnych rozciągliwych spodniach, już niebawem wisiał głową w dół sześć metrów nad sceną, ubrany w kaftan bezpieczeństwa. Z rękami skrzyżowanymi jak u poczwarki, ciężko dysząc, wyjaśnił, że jeżeli nie uwolni się z kaftana w określonym czasie, przydarzy mu się coś złego. Josie, która usiłowała właśnie zwrócić uwagę kelnerki, nie dosłyszała, jakie dokładnie będą konsekwencje. Zamówiła drugą porcję wina. Wkrótce potem zapaliła się część ustrojstwa, które utrzymywało magika w powietrzu. Czy było to zamierzone? Tak się w każdym razie wydawało. Wtedy magik zaczął się szamotać w niezbyt elegancki sposób, napierając rękami na płócienny kaftan, po czym, no proszę, uwolnił się i stanął na scenie. Nad nim gwałtownie rozbłysły płomienie, ale on był już bezpieczny poza zasięgiem ognia.

Josie uznała, że to dość dobra sztuczka, i klaskała z zapalem, ale tłum widzów znowu nie był zachwycony. Zastanawiała się, na co czekają.

Skurwiele! Potem zrozumiała – czekali na iluzjonistę z Luksemburga. Nie chcieli krajowej magii, pragnęli magicznych sztuczek z *zagranicy*.

Człowiek z Michigan stał na skraju sceny, kłaniając się raz za razem, ale oklaski zamiast się nasilać, słabły, aż w końcu kłaniał się w głuchoj ciszy. Josie pomyślała o jego biednej matce i miała nadzieję, że nie bierze udziału w tym rejsie. Wiedziała jednak, że jest to bardzo prawdopodobne. Gdzie niby miałyby być?

Teraz pojawił się nowy sztukmistrz. Miał zaczesane wysoko, lśniące, żółte włosy, a spodnie bardziej obcisłe niż jego poprzednicy. Josie wydawało się to niemożliwe.

– Mam nadzieję, że ten gość jest z Luksemburga – powiedział zbyt głośno Charlie.

– Cześć – rzekł iluzjonista i Josie była niemal pewna, że nie jest stąd. Może przybył z Luksemburga? Zaznaczył, że mówi sześcioma językami i był już wszędzie. Zapytał, czy ktoś z widowni był w Luksemburgu, i zaskoczyły go krótkie brawa. Josie postanowiła też zaklaskać, co uczyniła bardzo głośno.

– Tak! – krzyknęła. – Byłam tam! – Jej dzieci były przerażone. – Tak! – wrzasnęła znowu. – I było *wspaniale!*

– Mnóstwo osób, które zwiedziły Luksemburg, cieszy mnie to – skomentował magik, chociaż chyba nie uwierzył tym, którzy klaskali, a najmniej Josie. Teraz jednak, kiedy jej duch tańczył w cudownym blasku, który roztaczał drugi wypełniony po brzegi kieliszek wina, Josie wierzyła, że była w Luksemburgu. W młodości podróżowała z plecakiem po Europie przez trzy miesiące, a przecież Luksemburg leżał w samym centrum kontynentu. Na pewno tam trafiła. Czy tamten pociąg, ten główny, nie jechał do Luksemburga? Oczywiście, że tak. Wyobraziła sobie ogródek piwny. W zamku. Na wzgórzu. Nad morzem. Jakim morzem? Nieważne. Tym, nad którym mieszkał Czarodziejski Smok Puff.

Iluzjonista z Luksemburga robił swoje sztuczki, które wydawały się bardziej wyrafinowane od sztuczek jego poprzedników. Może dlatego, że wykorzystywał w nich róże? Wcześniej były tylko goździki. Róże

stanowiły pewien postęp. Kobiety z różami ukazywały się w skrzyniach, *skrzyniach na kółkach*, a Luksemburczyk stale je obracał. Następnie otwierał skrzynie i w środku nie było już tych kobiet; znajdowały się gdzie indziej. Za parawanami! Na widowni!

Josie klaskała i wykrzykiwała. Magik był wspaniały. Wino też było wspaniałe. Jakże przyjemny był świat, w którym na takich statkach czyniono takie czary. Jakże imponującym gatunkiem byli ludzie, którzy umieli zbudować taki statek, którzy umieli robić takie magiczne sztuczki, którzy potrafili klaskać tak ospale nawet sztukmistrzowi z Luksemburga. „Te pieprzone dupki” – myślała Josie, próbując sama zrekompensować ich denerwujący brak entuzjazmu. „Po co przychodzić na pokaz magii, jeżeli człowiek nie chce zażyć rozrywki? Klaszcie, kryminaliści!” Nienawidziła tych ludzi. Nawet Charlie nie klaskał dostatecznie głośno. Przechyliła się ku niemu i zapytała:

– Za słaby dla pana? – On jednak nie słyszał.

Luksemburczyk zniknął i na scenę zmierzał jakiś mężczyzna. Jego rozczochrane włosy sterczały w górę na siedem różnych sposobów i był co najmniej dwadzieścia lat starszy od pozostałych magików. Jeszcze jeden mężczyzna. Gdzie się podziały kobiety? Czyżby nie potrafiły robić magicznych sztuczek? Josie próbowała przywołać jakąś iluzjonistkę, którą widziała lub o której słyszała, i nie udało jej się. „Mój Boże” – pomyślała. „Jak to możliwe?” To skandal! niesprawiedliwość! A Pani Magia? Tak, Pani Magia! Czemu wpuszczamy tych wszystkich mężczyzn, tych przesłodzonych, dyszących mężczyzn, a teraz tego rozczochranego – który wcale nie usiłował być atrakcyjny jak pozostali. Nie miał ślicznej asystentki, szybko też stało się jasne, że nie zamierza robić żadnych magicznych sztuczek. „Niech cię szlag” – pomyślała Josie, odgadując, że cały pokaz magii dobiegł końca. Czy ma pieniądze na jeszcze jeden kieliszek? Przypuszczalnie zostało jej około dwudziestu pięciu dolarów. Może napoje na pokładzie statku były tańsze niż na alaskańskiej ziemi. Musiała na to liczyć. Szukała wzrokiem kelnerki. Gdzie ona się podziała?

Widziała jedynie rozczochranego mężczyznę stojącego na skraju sceny, który wyjaśniał teraz publiczności, że kiedyś pracował przez pewien czas na poczcie i zapamiętał większość kodów pocztowych.

Cholera jasna, pomyślała Josie. Gość się prosi o śmierć. Co to za świat, pomyślała, w którym człowiek z poczty występuje po luksemburskich czarach, a przede wszystkim, dlaczego ona i jej dzieci znalazły się na tym statku? Zrozumiała wówczas z niewiarygodną jasnością, że wytłumaczeniem jej problemów życiowych jest to, że przy każdej okazji dokonuje najgorszego wyboru. Była dentystką, chociaż nie chciała nią być. Co mogłaby teraz robić? W tym momencie była pewna, że powinna być kapitanem holownika. „Mój Boże – pomyślała – mój Boże”. W wieku czterdziestu lat wreszcie zrozumiała! Będzie prowadzić statki w bezpieczne miejsce. Właśnie po to przybyła do Seward! W tym mieście musi być szkoła kształcąca w takim fachu. To wszystko miało sens. Mogła to zrobić i każdy dzień jej życia byłby inny, lecz zawsze heroiczny. Spojrzała na swoje dzieci i zauważyła, że Paul śpi wsparty na ramieniu Charliego. Jej syn spał wtulony w tego obcego starca, a oni znajdowali się w Seward. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że *Seward* brzmi niczym *sewer*, ściek, i pomyślała, że to niefortunne podobieństwo, zważywszy na to, że Seward to miejsce bardzo spektakularne i bardzo czyste. Uważała, że jest piękne, chyba najpiękniejsze, w jakim kiedykolwiek była. I właśnie tutaj zostanie, i wyszkoli się na kapitana holownika w szkole, którą znajdzie jutro rano. Wszystko było ustalone, wszystko było jak trzeba. I teraz, patrząc na swojego syna śpiącego u boku tego mężczyzny, tego starca, który pochylony słuchał, jak dawny urzędnik pocztowy mówi o poczcie, poczuła, że ma łzy w oczach. Wypiła ostatni łyk wina z drugiego kieliszka, zastanawiając się, czy kiedykolwiek była szczęśliwsza. Nie, nigdy. Niemożliwe. Ten starzec ich znalazł i to nie mógł być zbieg okoliczności. To miasto stanowiło teraz ich dom, miejsce tego zarządzanego i świętego spotkania, a wszyscy otaczający ją ludzie byli członkami kongregacji. Pełni uniesienia stali się częścią jej życia, jej nowego życia, życia, do którego

została stworzona. Kapitan holownika. O tak, to wszystko było tego warte. Rozsiadła się, wiedząc, że przybyła na miejsce, które przeznaczył jej los.

Na scenie pocztowiec zapewniał widzów, że każdemu, kto poda mu kod pocztowy, może powiedzieć, z jakiego jest miasta.

Josie sądziła, że to jakiś numer komediowy, że mężczyzna żartuje z tą pracą na poczcie, ale ktoś natychmiast wstał i zawołał:

– Osiemdziesiąt trzy, trzysta trzy!

– Twin Falls w stanie Idaho – odparł. – Nieposiadająca osobowości prawnej część miasta.

Publiczność eksplodowała. Wiwaty były ogłuszające. Żaden z iluzjonistów nie wzbudził podobnego entuzjazmu. Dziesięć osób stało i wykrzykiwało kody pocztowe swoich miejscowości.

Josie, rozpaczliwie wypatrująca kelnerki, która nie wracała, wypila pół szklanki wody i ten uczynek, rozcieńczenie świętego wina, które już miała w sobie, wydobył ją z kręgu złocistego blasku łaski, którą czuła chwilę wcześniej; teraz była trzeźwa lub prawie trzeźwa. Kapitan holownika? Słyszała teraz głos mówiący do niej: „Co z ciebie za kretynka?”. Ten nowy głos nie przypadł jej do gustu. To on kazał jej kiedyś zostać dentystką, kazał jej mieć dzieci z tamtym mężczyzną, człowiekiem cierpiącym na ciągłą biegunkę, to ten głos co miesiąc kazał jej płacić rachunek za wodę. Była odciągana od światła niczym anielska niemal istota prowadzona z powrotem ku przyziemnym sprawom zwykłej egzystencji. Krąg światła kurczył się do wielkości łebka od szpilki, a otaczający ją świat, ciemniejąc, przybierał barwę wszechobecnego bordo. Znalazła się z powrotem w sali koloru wątroby, gdzie jakiś mężczyzna gadał o kodach pocztowych.

– Dobrze, teraz pani – rzekł pocztowiec i wskazał na siwowłosą kobietę w polarowej kamizelce.

– Sześćdziesiąt dwa, dziewięćset czternaście – oznajmiła piskliwym głosem.

– Cairo, w stanie Illinois – orzekł, wyjaśniając, że wprawdzie pisownia nazwy jest identyczna jak pisownia miasta w Egipcie, ale wymawia się ją nieco inaczej, na illinojski sposób. – Ładne miasto – dodał.

Publiczność krzyczała i gwizdała. Pokaz przerodził się w farsę. Paul się obudził i półprzytomny zastanawiał się, o co cały ten hałas. Josie nie mogła tego znieść. Nie chodziło o magię ani o holowniki, ale o kody pocztowe. Ktoś zawołał:

- Trzydzieści trzy, dziewięćset pięćdziesiąt!
- Punta Gorda na Florydzie – rzekł mężczyzna.

Tłum znowu ryknął. Ana rozejrzała się, nie mogąc pojąć, co się dzieje. A co się działo? Kody pocztowe sprawiały, że ci ludzie tracili rozum. Wszyscy chcieli, żeby rozczochrany mężczyzna z mikrofonem wymienił ich miasto. Wykrzykiwali swoje pięciocyfrowe kody, a on odgadywał, że to Shoshone w Idaho, New Paltz w stanie Nowy Jork i Santa Ana w Kalifornii. Powstało zamieszanie. Josie bała się, że ludzie wtargną na scenę, żeby zedrzeć z niego ubranie. Miała ochotę powiedzieć: Śpij dalej, synku. Pragnęła uciec, wszystko było nie tak, jak trzeba. Nie mogła jednak wyjść, bo Charlie wstał i krzyknął:

- Sześćdziesiąt trzy, zero zero pięć!
- Snop punktowego światła odnalazł go na widowni i Charlie powtórzył:
- Sześćdziesiąt trzy, zero zero pięć!
  - Chesterfield w stanie Missouri – odparł pocztowiec.

Charlie rozdziawił usta. Przez kilka sekund pozostał w kręgu światła, otwarte usta tworzyły czarną jamę w białym świetle. W końcu światło powędrowało dalej, a on znowu znalazł się w mroku – Charlie usiadł, jakby jakiś duch trzymał go wysoko w górze i nagle puścił.

– Słyszałeś? – zapytał Paula, po czym odwrócił się do Josie i Any; w oczach miał łzy, drżały mu ręce. – Słyszałyście? Ten człowiek wie, skąd pochodzę.

Później, na trapie, Charlie zaproponował, że odprowadzi ich do chateau. Josie nie przyjęła propozycji i na pożegnanie pocałowała go w policzek.

- Uściskajcie Charliego i podziękujcie mu – poleciła dzieciom.

Ana podeszła pośpiesznie i objęła go za nogi. Charlie położył na jej plecach dłonie z palcami rozcapierzonymi niczym stare korzenie małego

drzewa. Paul się przybliżył, lecz przystanął, licząc na to, jak się wydawało, że starzec skróci dzielący ich dystans. Charlie przyklęknął i rozłożył ręce. Paul podszedł, powłócząc nogami, a gdy Charlie przyciągnął go do siebie, głowa chłopca opadła na jego ramię z czymś na kształt ulgi.

– Piszmy do siebie listy – powiedział Charlie z ustami przy skroni Paula.

Paul skinął głową i cofnął się, jakby chciał sprawdzić, czy Charlie mówi poważnie. Josie wiedziała, że jej syna ogarnie obsesja na tle tych listów, i była przerażona ewentualną koniecznością podania adresu temu człowiekowi.

– Jak? – zapytał Paul. – Możemy wysłać list na statek?

Charlie nie wiedział. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej coś, co okazało się planem rejsu.

– Po prostu weź to – powiedział do Josie, a ona spostrzegła, że są w nim wszystkie porty, do których zawijał statek.

## IV

W białym świetle ranka Josie obudziła się niewyspana i była w katastroficznym nastroju. Z zaśnięciem nie miała problemu. Po pokazie magii pokonali pieszo półtora kilometra wzdłuż brzegu; noc była rześka, księżyc jasny. Przeszli obok kutrów rybackich do końca nabrzeża, a następnie gruntową drogą przez las, aż w końcu dotarli do chateau. Początkowo Ana i Paul wspominali pokaz, wypytując z ożywieniem o Charliego, skąd pochodzi i kiedy umrze (Ana zastanawiała się nad tym, rzucając kamień do zimnej wody), ale potem, kiedy dotarli do kampera, umilkli, sposepniali i przed zaśnięciem nie raczyli nawet zdjąć dżinsów ani skarpetek.

Kieliszek pinota przed snem – ostatni z drugiej butelki, Josie zasłużyła na to, zważywszy na wszystko, co zrobiła i co wytrzymała – po czym wlaźła na górę, żeby się przy nich położyć, i szybko usnęła. O pierwszym brzasku, jak często bywało, obudziła się jednak, uprzytomniwszy sobie gwałtownie, że naprawdę zabiła tego młodego człowieka. Jakaś młoda prokurator z twarzą Josie – to była ona, tyle że młodsza i z włosami upiętymi ciasno w kok na czubku głowy oraz w eleganckim spodniemie. To jej prawnicze wcielenie podskakiwało na sali sądowej wyłożonej boazerią i pełnej rozsądnych obywateli, domagając się wyroku skazującego. Skażcie tę kobietę! Uznajcie, że ponosi odpowiedzialność!

Josie otworzyła drzwi na cichy las i poszła na brzeg. Słońce zaczynało przydawać bladych rumieńców górcom na przeciwległym brzegu zatoki. Zmrużyła oczy przed oślepiającym migotaniem wody i nieziemskim blaskiem wschodzącego słońca odbijającego się od ośnieżonych szczytów. Przecięła plażę, omal nie nadepnąwszy na czaszkę wydry, którą dzieci



pokazały jej dzień wcześniej. Znowu usiadła na białym skamieniałym kikucie drzewa i rozgarniała palcami żwirowaty piasek, podnosząc garść i pozwalając, by się przesypywał między palcami.

Jeremy. Był jej pacjentem, odkąd skończył dwanaście lat. Jednym z tych chłopców, którzy zwracali się do niej per pani. „Tak, proszę pani”. „Dziękuję pani”. Miał piękne, zdrowe zęby. Ilekroć go przyjmowała w gabinecie, liczyła, że stwierdzi jakieś ubytki, tak bardzo lubiła się z nim spotykać, ale dochodziło do tego tylko dwa razy w roku, czyszczenie zębów, przegląd i krótka rozmowa; poza tym sporadycznie widywała go na ulicy. Kiedy natrafiali na niego w parku, odchodził od grupy kolegów, objających się nastolatków, stadka dumnych lwów leniuchujących na parkowej ławce nad strumieniem, podbiegał, przyklękał i rozmawiał z Paulem i Aną, częstował ich gumami do żucia lub miętówkami, które trzymał w kieszeni. Rodzice Jeremy’ego nie opływali w dostatki, ale byli ludźmi godnymi zaufania – oboje pracowali dla miasta i mieli dobre ubezpieczenie zdrowotne. Ojciec pochodził z Wenezueli, matka z Kuby. Z polecenia chłopca oboje również zaczęli przychodzić na przeglądy – Jeremy ręczył za Josie, był oczkiem w głowie swoich rodziców i chociaż oni wcale nie byli tak rozmowni i nadnaturalnie rozpromienieni jak ich syn, lubili o nim rozmawiać. Jak można by stworzyć kolejnych Jeremych? Chłopak miał czworo młodszego rodzeństwa i o każdym z nich wiedział wszystko. „Jak się miewa mała Ashley?” – pytała Josie, a on zawsze miał coś do powiedzenia. Ciekawe, co ona teraz robi?

Potem Jeremy skończył siedemnaście lat, następnie osiemnaście i stał się wysokim, niezwykle przystojnym młodzieńcem z podbródkiem w kształcie diamentu. Tania, higienistka, zauważyła, jak bardzo Jeremy wypełnia sobą gabinet, metr dziewięćdziesiąt, szerokie ramiona, i dbała o to, by czyszcząc mu zęby, ocierać się biustem o jego ramię. Jasnozielone oczy Jeremy’ego, nieskazitelna skóra, niezwykle gładka broda. Powiedział, że nie musi się golić. „Nie, pani doktor. Teraz wystarczy, że robię to raz, dwa razy w roku”. Uśmiechnął się i przesunął dłońmi po wspaniałej twarzy. Grał w piłkę nożną, lacrosse, a potem, za sprawą Josie – domagała się tego,

kiedy zapisywała tam Paula – był opiekunem jej syna na dziennym obozie letnim w miejskim centrum rekreacji.

Paul nie należał do dzieci wysportowanych, ale został potraktowany ze szczególną uwagą. Jeremy nadał mu przydomek „El Toro”, ponieważ pewnego dnia zjawił się w centrum w koszulce z sylwetką byka. Paul uśmiechał się potem nieśmiało, kiedy Jeremy wykrzykiwał ten przydomek z okna samochodu, ilekroć zobaczył go w mieście. „El Toro! Do ataku!” Josie znajdowała te słowa na wszystkich ulotkach, które syn przynosił z obozu do domu. W rubryce „nazwisko obozowicza” Jeremy zawsze pisał pogrubionymi dużymi literami **EL TORO!** Pogrubiony był nawet wykrzyknik.

Po obozie letnim Josie jako jedna z wielu matek poprosiła Jeremy’ego, by zajmował się jej dziećmi. Ona i wszystkie inne matki doszły do wniosku, że posiadanie opiekuna do dzieci to wielka rzadkość. Josie zdołała wywalczyć dostęp do jego usług trzykrotnie i o ile było jej wiadomo, Jeremy spędził każdy z tych wieczorów atakowany z wielką sympatią przez Paula i Anę. Czyżby jej dzieci tak bardzo łaknęły fizycznego kontaktu? Kiedy wróciła do domu, zastała je śpiące, ze zmierzwionymi włosami przyklejonymi do poduszki, a Jeremy’ego na kanapie, wyczerpanego, pachnącego przyjemnie potem. Opowiedział jej o tym wieczorze. Zjedli pizzę, wyjaśnił, a gdy odeszli od stołu, Ana skoczyła na niego jak rosomak.

– I wydaje mi się, że nie odpuściła przez następne trzy godziny – powiedział.

Paul początkowo zachowywał rezerwę, ale już niebawem mocowali się we trójkę, walczyli z sobą na jego kije do gry w lacrosse, za tarcze mając poduchy z kanapy.

– Ale przeważnie się mocowaliśmy. Ja leżałem na podłodze, a oni skakali na mnie jak małe zwierzaki. Bardzo lubią kontakt fizyczny. O wiele bardziej niż Paul na obozie.

Przekonana, że wyładowywali na nim utajoną agresję wobec nieobecnego ojca, że może im to tylko wyjść na zdrowie, poprosiła Jeremy’ego, żeby przyszedł znowu, i zrobił to, dwa razy. I za każdym

razem ich walki przybierały większy rozmach, a ostatnia miała miejsce w ogrodzie za domem.

– Bo inaczej stłukliby coś w domu – wyjaśnił Jeremy. – W pewnym momencie Ana nazwała mnie *tatą*. Myłem jej wtedy zęby. Dość zabawna sytuacja. Paul był zakłopotany.

Josie czuła się zawstydzona. Czy Jeremy zdawał sobie sprawę, że Carl się wyprowadził? Czy był dostatecznie dorosły, żeby wiedzieć, że jej dzieciom bardzo brakuje obecności mężczyzny w domu, a jej czteroletnia córka nie ma praktycznie żadnych wspomnień związanych z ojcem i ucieszyłaby się, gdyby zastąpił go Jeremy, że w ciągu kilku tygodni mógłby przyćmić i wymazać Carla z jej życia?

– Więc była pani w Panamie? – zapytał, wskazując na zdjęcie Josie i kilkunastu wolontariuszy z Korpusu Pokoju. Spędziła dwa lata w Boca del Lobo i był to niezły miszmasz, kilka sukcesów, kilkoro przyjaciół. Cały problem z jej przyjacielem Rorem, teraz w więzieniu, ale jednak. Odparła, że można tam było zrobić coś dobrego.

Chłopak jeszcze nie wiedział, co będzie robił po szkole średniej. Była jesień, ostatnia klasa. Josie zakładała, że ma już solidny plan, nieograniczone możliwości studiowania.

– Nie chcę od razu trafić do następnej szkoły – rzekł i odwrócił się, usłyszawszy stapanie. Była to Ana, obudzona, w piżamie z wizerunkiem Buzza Astrala. Josie rozłożyła ręce i dziewczynka rzuciła się ku niej, lecz nagle przystanęła między nimi, jakby chciała paść w matczyne ramiona, ale obawiała się, że zrazi tym jakoś Jeremy'ego, zmniejszy szanse na jego powrót. Zatańczyła więc coś w rodzaju twista na dywanie i powiedziała:

– Mam na ramionach szampana! – Ostatnio często to mówiła.

– Podejdz tu – rzekł Jeremy i przykucnął, wysuwając ręce.

Ana bez wahania postawiła boscie stópki na jego dłoniach, wspierając się dla równowagi na pokrytej lśniącoymi czarnymi włosami głowie Jeremy'ego. Jej spojrzenie zdradzało, że nie wie, co się wydarzy, ale była pewna, że będzie to niesamowite i warte wszelkiego ryzyka.

– Dobra, a teraz puść – powiedział. Ana posłuchała.

Jeremy powoli wstał, jakoś utrzymując ją na dłoniach z taką pewnością, że poczuła, iż może rozłożyć szeroko ręce, jakby przyjmowała dar słońca.

– Mój tata robił to ze mną – powiedział niemal bez wysiłku, z osiemnastokilowym dzieckiem nadal stojącym na jego dłoniach. Teraz podniósł Anę jeszcze wyżej i zapytał: – Możesz dosięgnąć sufitu?

Ana wyciągała rękę, stękając, aż dotknęła go palcem.

– Proszę w dół – powiedziała, a on opuścił ją powoli, po czym rzucił na kanapę i udał, że siada na Anie, starając się przyjąć wygodną pozycję, a ona piszczala radośnie.

– Jest pani wspaniałą mamą – powiedział do Josie, wciąż siedząc na małej. – To znaczy w ogóle, ale zwłaszcza dlatego, że pozwala mi pani robić takie rzeczy. Nie wszyscy rodzice się na to godzą. Ale dzieci to bestie. Muszą się pomocować, spocić i sobie pokrzyczeć.

Jeremy wziął dziewczynkę w ramiona i przywarł ustami do jej brzuszka, składając na nim głośnego, mokrego całusa. W oczach Any było napięcie, ręce trzymała przed sobą jak szpony, czekając na następny atak. Tymczasem Jeremy przyglądał jej koszulkę, poklepał ją po brzuszku i postawił na podłodze, jakby instalował przewrócony posąg.

– Dziękuję – powiedziała Josie poruszona.

W rewanżu za życzliwość i siłę Jeremy'ego Josie pragnęła jedynie powiedzieć mu, jak głęboko czuje, że on jest nadzieją świata. Czy na tym poprzestała? Nie. Powiedziała coś jeszcze i właśnie dlatego nigdy więcej nie powinna już się odzywać, i dlatego ceniła sobie każdy dzień, w którym odzywała się wyłącznie do dwojga swoich dzieci. Wiedziała, że kolor nieba wpływa na jej nastroje, słońce zmienia jej punkt widzenia oraz słowa, a gdy podczas lunchu odbywała szybki spacer i widziała coś pięknego, niemal zawsze dawała wyraz swojemu entuzjazmowi lub przez godzinę nie posiadała się ze szczęścia i właśnie wtedy popełniała błędy. W swojej żywiołowości ujawniała zbyt dużo o sobie. Przesadnie wychwalała ludzi, nakłaniała ich do realizacji zadań, których nie mogli wykonać.

Zdarzyło się to dwa tygodnie po tamtym wieczorze. Wróciła z lunchu i odczuwała radość, którą tchnęło w nią jesienne powietrze; nie mogła się

skupić. Tego popołudnia miała troje pacjentów i wszyscy oni doświadczyli jej niedorzecznej radości. Pierwsza zjawiała się Joanna Pasquesi, obdarzona rubensowskimi kształtami uczennica drugiej klasy szkoły średniej, która wyznała, że ma zamiar starać się o rolę w szkolnym musicalu. Tego roku wystawiali *A Chorus Line* i *Josie*, ogólnie mówiąc, ze zbyt wielkim zapałem nalegała, żeby dziewczyna spróbowała i uczyniła swój wybór przez reżysera czymś poza dyskusją. Wspomniała też o potrzebie prezentowania na scenie anatomicznej różnorodności. W rzeczywistości zaś starała się odnieść bardzo spóźnione zwycięstwo nad selekcyonerami, którzy nie pozwolili jej wystąpić w musicalu wystawianym przez jej własną szkołę, w *Kabarecie*. Tak więc Joanna Pasquesi, która dwukrotnie zerkała na zegarek, gdy Josie rozwodziła się nad jej sytuacją, wyszła pobudzona – tak przynajmniej twierdziła – chociaż być może po prostu jej uległość była wynikiem doznanego szoku.

Potem do gabinetu wszedł Jeremy i przez pewien czas rozmawiali o jej *odjazdowych*, jak się wyraził, dzieciach. Śmiali się z ich nadmiernej aktywności, ich szaleństwa, potrzeby mocowania się z nim i dotykania sufitów z jego pomocą. Po czym rozmowa zeszła na temat jej służby w Korpusie Pokoju i chociaż Josie rzadko mówiła o niej z entuzjazmem, tym razem powiedziała mu, że było to najwspanialsze doświadczenie w jej życiu, że zmienili tam tyle rzeczy, że trafiła do Panamy tuż po tym, gdy ten kraj przejął kanał na własność, że panował wówczas wielki optymizm, nastąpiło tyle zmian, że udział w tej transformacji, reprezentowanie Stanów Zjednoczonych na terenie Panamy, ich głównego partnera, w kluczowym momencie – mówiła tak bez końca i było to szalenie przekonujące. Nawet Tania się przysłuchiwała.

I wtedy, ze szczerością malującą się na jego gładkiej, młodej twarzy, Jeremy oznajmił, że chce się zaciągnąć do wojska. Chciał służyć w piechocie morskiej. Chciał wszystko zmienić w Afganistanie, pomóc w otwarciu szkół dla afgańskich dziewcząt, pracować nad projektami oczyszczalni wody, zapewnić stabilizację w kraju stojącym u progu wspaniałych rzeczy. Oczy Josie wypełniły się łzami, ścisnęła go za ramię.

Powinna była uczynić to, co uczyniliby porządni ludzie, czyli milczeć. Zaciąganie się do wojska podczas wojny było sprawą tak poważną, że tylko idiota pochwalałby ten pomysł. Josie powinna była być na tyle rozsądna, by wiedzieć, że nie może i nie powinna wpływać w żaden sposób na taką decyzję – by uznać, że to sprawa między Jeremym a jego rodzicami. By wiedzieć, że ona jest nikim.

Ona jednak była idiotką, która nie знаła granic i nie orientowała się zbyt dobrze w stanie tego zbrojnego konfliktu – była raczej pewna, że wojna dobiega końca i nie będzie stwarzała większego zagrożenia dla Jeremy'ego. Powiedziała mu więc, że to wspaniały pomysł. Że on, jako nadzieja świata, człowiek szlachetny, wspaniała postać, może dokonać takich zmian. Że piechota morska, ten region – sam Afganistan! – potrzebują kogoś takiego jak on. Na swój sposób pomyliła swój entuzjazm dla muzycznych ambicji Joanny Pasquesi z nadziejami Jeremy'ego na odbudowę tego państwa, a ponadto połączyła swój własny pobyt w Panamie, wyrażanie miłości Amerykanów i Amerykanek w sandałach i spodniach khaki poprzez budowę zbiorników na wodę i nauczanie angielskiego (skłoniła ich do tego bowiem rzeczywiście miłość, miłość do świata) z wyrażeniem przez Jeremy'ego tej samej miłości, tyle że w mundurze i z AK-47 w ręku. To nie było to samo i teraz Jeremy nie żył, a jego rodzice nie odzywali się do niej, odkąd zginął.

To nie ma zupełnie żadnego związku z tobą, mówili jej znajomi, zdumieni, że w ogóle obarcza się jakąkolwiek odpowiedzialnością. Ale w takim razie dlaczego rodzice Jeremy'ego nie wrócili do jej gabinetu? Później się dowiedziała, że od początku sprzeciwiali się decyzji syna. Nie wiedzieli zaś, a ona nigdy nie miała im tego powiedzieć i nigdy nie powiedziała nikomu, że pewnego popołudnia o piątej (wiedział, że będzie tam o tej porze) Jeremy podszedł do niej na parkingu przed gabinetem wiele tygodni po tej wizycie, kiedy uścisnęła mu ramię i powiedziała: „Wspaniały pomysł” – i wyznał, że jej wsparcie jest dla niego bardzo ważne. Że jego rodzice nie mieli pewności, że jednak się martwili, ale szanują ją, Josie,

jego dentystkę, że jej wsparcie tyle dla nich i dla niego znaczy. Zaciągnął się do wojska i sześć miesięcy później zginął.

Właśnie dlatego przestała udzielać rad, dlatego chętnie zostawiła swoją praktykę. Wyzwoliła się i ucieszyła. Wyjechała i była wolna. Właśnie dlatego – poza czasem na spełnianie rodzicielskich obowiązków – przez prawie cały styczeń nie wychodziła z sypialni, członki miała jak z ołowiu, a twarz odrętwiała. Nikt jej nie powiadomił. Ani rodzice, ani żaden z ich przyjaciół. Pogrzeb już się odbył. Jeremy został postrzelony na zboczu jakiegoś wzgórza w odległym zakątku Afganistanu i po sześciu godzinach wykrwawił się na śmierć. Miał czas, żeby napisać krótki list do rodziców, którego treści Josie nigdy nie poznała. Osiemnastoletni chłopak wykrwawiający się i umierający w samotności, piszący do ojca i matki – jak do tego wszystkiego doszło? Jak do tego dopuszczono? Josie nie chciała tego więcej. Nie chciała poznawać ludzi. Znać ludzi znaczyło bowiem mówić im, co mają lub czego nie mają robić, służyć wiedzą, radą i pomocą, dodawać otuchy, a wszystko to przynosiło cierpienie i śmierć w osamotnieniu.

– Mamo? – Głos Paula.

Odwróciła się. Jej syn był w tym samym co wczoraj ubraniu, jakoś wydostał się z kampera, przeszedł przez las, parking i znalazł ją tutaj, na brzegu.

– Jesteśmy głodni – powiedział.

Posilili się w obozowym barze szybkiej obsługi; jajka z kiełbasą były doskonałe i kosztowały tylko pięćdziesiąt pięć dolarów plus napiwek. Norwegowie siedzieli w pobliżu i znowu do nich machali.

Z sufitu zwisał telewizor pokazujący gamę usług dostępnych w recepcji pola kempingowego – rejsy wokół gór lodowych, wycieczki na lodowce, oglądanie wielorybów; każda taka wycieczka kosztowała parę tysięcy za osobę – a od czasu do czasu pojawiało się ogłoszenie służb publicznych z udziałem Misia Smokeya. Josie zapomniała już o jego istnieniu, nie widziała go od czasu, gdy była skautką. Od tamtej pory coś się stało: Miś

ćwiczył. Dawny mięciutki i grubiutki Smokey był teraz krzepkim niedźwiedziem z płaskim brzuchem i łapami jak z giętej stali. W animowanym komunikacie przyjaciele Misia próbowali wydać przyjęcie z okazji jego urodzin i przynieśli tort pełen zapalonych świeczek. Misiowi się to nie spodobało. Spojrzał na nich z dezaprobatą, wsparty wielkimi łapami pod boki, i ten obraz wywołał u Josie poruszenie. Czyżby zadurzyła się w tym nowym Smokeyu?

Ich stolik się zatrząsł. Ktoś na niego wpadł. Jakiś starszy mężczyzna odwrócił się, żeby przeprosić, ale najpierw odezwała się jego żona.

– Zwinny jak kot – powiedziała miękko, nobliwym głosem. Josie spojrzała na nią, roześmiała się i stwierdziła, że jej twarz z zadartym nosem i delikatnie zarysowanym podbródkiem jest piękna. Żona niezdarnej staruszki musiała mieć siedemdziesiąt lat.

Słyszając śmiech Josie, dodała:

– Przepraszam. Ostatnio po prostu się posunął. Jeszcze w zeszłym miesiącu był wytwornym mężczyzną. – Uśmiechnęła się i odwróciła, wyraźnie zakłopotana. Powiedziała o parę słów za dużo.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Ana.

Josie wzruszyła ramionami. Twarz jej córki była pokryta smugami brudu i zaschniętych smarków. Josie widziała wcześniej tabliczkę wskazującą drogę do pryszniców dostępnych na terenie kempingu, gdzieś w lesie, w ogromnej chacie z bali, więc po śniadaniu włożyli japonki, kupili niezbędne żetony i zabrali z sobą szampon, mydło oraz ręczniki.

Rozebrali się, zostawiając ubrania w schowku, i przeszli po podłodze ze sklejki do strefy z prysznicami dla kobiet, gdzie dwie młode kobiety, każda zwrócona przodem do nich, niespieszone ich obecnością, energicznie myły włosy. Zachwycające istoty o wyprężonych, opalonych ciałach, z małymi piersiami, świadome i czujne. Zęby miały białe, tyłki jędrne i lśniące, a włosy łonowe artystycznie wypielęgnowane. Josie gapiała się na nie jak na parę jednorożców. Miała ochotę zapytać, co tutaj robią, chociaż nie bardzo wiedziała, gdzie powinny się znajdować. Gdzie jest miejsce dla młodzieńczego piękna? Może w fontannach Rzymu, skąd wołałyby:



„Marcello! Marcello!”. Albo w samolocie. Za sterami. Josie wyobraziła sobie, jak we dwie lecą samolotem w miękkich niczym puch chmurach, każda na biało, z odkrytymi, jedwabiście gładkimi nogami.

Jedna z młodych kobiet patrzyła teraz na zadumaną Josie, którą przyłapała na gapieniu się, i teraz ostrzegała przyjaciółkę, że są obserwowane. Po chwili wyszły w pośpiechu z kabin i okryły się ręcznikami. Josie pomyślała o swoich rodzicach pielęgnujących pacjentów w szpitalu dla weteranów, o tym, jak uczyli ją wycierać się po kąpieli pod prysznicem. Matka i ojciec pokazali, jak się ściera wodę z rąk i nóg, lewa ręka, prawa ręka, lewa noga, prawa noga, używając ręcznika do wytarcia tego, co zostało. Josie wspominała ten pokaz – urządzili go w salonie, kiedy miała osiem lat – ilekroć brała prysznic; często były to jedyne chwile, kiedy o nich myślała. Co ten fakt mówił o niej? Co mówił o ograniczeniach pamięci, o progu odczuwania bólu?

Widząc, że mają prysznice do swojej dyspozycji, Ana wbiegła naga w obłok pary. Czy zacznie zaraz śpiewać? Josie wstała i Paul ruszył za nią; powiesili swoje tanie, szorstkie ręczniki na szorstkich haczykach i utworzyli we trójkę ciasny krąg, zwrócenie do siebie twarzami, a ciepła woda spływała między nimi. Ana spojrzała na krocze brata i powiedziała:

– Cześć, penisie.

Nie pierwszy raz pozdrawiała w ten sposób narząd Paula. Już do tego przywykł i czerpał pewną dumę z faktu, że jest jedynym członkiem rodziny tak wyposażonym przez naturę. Josie namydliła ciała dzieci i umyła im włosy; Ana wydawała przy tym podwodne dźwięki i przytupywała. „Skłaniamy się ku wygodzie, ale trzeba ją reglamentować” – pomyślała Josie. – „Wystarczy nam jedna trzecia wygody i dwie trzecie chaosu, to właściwa proporcja”.

Z mokrymi włosami i czystymi ciałami wyszli z budynku mieszczącego sanitariaty na łaciate słońce i Josie nareszcie poczuła, że są we właściwym miejscu. Kilka ostatnich dni, ich liczne próby, pozwoliły się jedynie przystosować. Teraz wiedziała, co robi. Pojęła, o co w tym chodzi,

i wszystko stało się możliwe. Odpoczywali przez chwilę w chateau, a Paul w tym czasie przyniósł matce kartkę z tekstem podyktowanym przez Anę, który brzmiał: „Kocham Cię, Mamo. Jestem robotem”.

Ustaliwszy to, poszli do miasta.

– Mamo? Czy tamten pokaz był dobry? – zapytał Paul.

– Pokaz magicznych sztuczek? Taak – odparła. – Ty też tak uważasz?

Paul skinął głową bez cienia pewności.

W miejscu, gdzie miasto odierało ataki wzburzonych czarnych wód zatoki, stał pomnik Sewarda z długim wyjaśnieniem, dlaczego miejscowość nazwano na cześć zaufanego doradcy Lincolna. Josie próbowała wytłumaczyć to wszystko dzieciom, ale im potrzebny był kontekst.

– W porządku, kto wyzwolił niewolników? – zapytała w końcu. Paul znał odpowiedź, więc Josie uniosła palec, żeby go powstrzymać i dać szansę córce.

Dziewczynka zastanawiała się przez jakiś czas, po czym zaświeciły jej się oczy.

– Tata?

Josie parsknęła śmiechem, a Paul przewrócił oczami.

Ana zrozumiała, że powiedziała coś zabawnego, zaczęła więc powtarzać:

– Tata uwolnił niewolników! Tata uwolnił niewolników!

Koło pomnika rozciągała się kamienista plaża ozdobiona szczątkami dzikich zwierząt i wyrzuconym na brzeg drewnem. Stąpali wśród wspaniałych, z grubsza ociosanych belek o rozmiarach osi ciężarówek, ciśniętych przez fale na kamienie niczym ołówki. Paul podniósł z ziemi koło sterowe, a Ana znalazła pozostałości boi roztrzaskanej tak, że przybrała kształt dziecięcego tułowia. Josie usiadła na okrągłym głazie i czuła, jak owiewa ją słone powietrze. Z równą siłą wzbierało w niej uczucie szczęścia; pragnęła zostać tam cały dzień, całą noc, chciała przeżywać tę chwilę tak długo, jak się dało. Miała rację, myśląc co godzinę, że dzieci, a przynajmniej jej dzieci, muszą być na świeżym powietrzu, wśród szorstkich przedmiotów. A ona, poza tym, że musiała je karmić,

potrzebowała tylko sięgnąć na zaokrąglonych skałach i przyglądać się, jak Paul i Ana podnoszą różne rzeczy z plaży, a od czasu do czasu wrzucają je z powrotem do morza. Ciemnobrązowy, wilgotny piasek był pokryty smugami jaśniejszych, suchych ziarenek. Niebawem Paul i Ana usiedli obok niej.

– Co to za zapach? – zapytał Paul, choć Josie nic nie czuła. – Jest naprawdę paskudny – dodał i wtedy ona coś spostrzegła. Przed nimi leżał kamień wielkości buta. Wyglądało na to, że ktoś niedawno go odsunął i umieścił z powrotem. Josie podniosła kamień, a wtedy smród wzbił się i wypełnił powietrze. Odłożyła go na miejsce, ale rzut oka wystarczył, by zauważyła okropną rzecz. Pod kamieniem znajdował się kał, może również leżała tam jakaś pielucha. Josie zastanowiła się, analizując wspomnienie tego, co właśnie zobaczyła. Nie, to nie była pielucha. Przyszła jej do głowy odpowiedź: kamień skrywał wielką podpaskę pokrytą jasnobrązowymi fekaliami.

– Chodźmy stąd – powiedziała, pośpiesznie zabierając Paula i Anę z plaży. Minęli pomnik wielkiego człowieka i ruszyli przez miasto.

Nie mogło być cienia wątpliwości, że ludzie są najwstrętniejszymi stworzeniami na planecie ziemskiej. Żadne inne zwierzę nie mogłoby zrobić czegoś tak paskudnego. Ktoś, najpewniej człowiek spędzający dużo czasu na dworze, przyszedł w to miejsce, wiedząc, że jest piękne i dzikie. Potem wysrał się tutaj, mimo że niespełna dwieście metrów dalej znajdowały się toalety. Wysrał się tak, że większość odchodów przywarła do podpaski – fizyki tego procesu Josie nie była w stanie wyczarować. Po czym, zamiast zanieść obsraną podpaskę do pojemnika na śmieci stojącego zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, zostawił ją pod kamieniem. Co dowodziło jakiegoś dziwnego pomieszania wstydu i dbałości o estetykę. Wiedział, że nikt nie będzie chciał oglądać pokrytej gównem podpaski, więc ukrył ją pod kamieniem, gdzie – z czego z pewnością zdawał sobie sprawę – nigdy nie uległaby rozkładowi.

Weszli więc do centrum Seward, gdzie Josie, odczuwając wielkoduszną chęć rekompensaty za deprawację reszty rodzaju ludzkiego, pozwoliła Anie

i Paulowi spenetrować sklepy z pamiątkami i kupiła każdemu z nich po okropnej koszulce z gadającym łosiem i śnieżnej kuli. Spacerowali wzdłuż nabrzeża i po ośmiuset metrach znaleźli rozległy park z rozbudowaną konstrukcją do zabawy pełną jasno- i czarnowłosych dzieci.

– Możemy tam iść? – zapytał Paul, Ana zaś już pobiegła naprzód, przecinając parking, gdzie omal nie została zmiądzona przez cofającą ciężarówkę. Przez całe dziecięce życie córki Josie musiała sobie wyobrażać małą trumnę, słowa, które wypowie, życie bez tej dziewczynki. Ana robiła wszystko, co mogła, żeby dotrzeć do przedwczesnego końca, a siły i determinacji, z jakimi ku niemu dążyła, nie dało się pokonać. Nieświadoma niebezpieczeństwa przebiegła po wysypanym trocinami placu i jeszcze przez co najmniej godzinę miała zostać pośród żywych.

Josie znalazła ławkę, postawiła na niej torbę z okropnymi pamiątkami i obserwowała, jak Ana przedziera się przez służącą do zabawy konstrukcję. Obok stał z opuszczonymi rękami Paul, uważnie przyglądając się placowi zabaw, dostrzegając jego liczne elementy, roztropnie decydując, który będzie najlepiej wypróbować w pierwszej kolejności. Josie rozłożyła bezpłatną gazetę, którą wręczono jej przed jednym ze sklepów, mając równocześnie oko na Anę, wiedziała bowiem, że w pewnym momencie mała rzuci się ze zjeżdżalni lub znajdzie jakiś inny sposób, żeby spaść na łeb na szyję. Po chwili Ana znieruchomiała. Spostrzegła niewielki skatepark nieopodal i była zafascynowana widokiem nastolatków na rolkach. Nie wiedzieć czemu, Josie przypomniała sobie coś, co Carl napisał na złożonej kartce wsuniętej pod poduszkę: „Nigdy nie będę miał dość Twojej niesamowitej dupy”. Czy to było seksowne? Jego pismo wyglądało jak gryzmoły mordercy. Poza tym Carl nie traktował seksu poważnie. Lubił stroić sobie żarty podczas stosunku i po nim. „Brawo” – mówił później, tuż potem, psując nastrój, zacierając jakiegokolwiek miłe wspomnienie. Kiedy Josie powiedziała, że wolałaby się obyć bez żartów, bardzo posmutniał. Uwielbiał swoje żarty. Później, ilekroć skończył, widziała, jak gapi się w sufit, pragnąc powiedzieć: „Dobra robota” bądź „Myślę, że poszło

całkiem dobrze” i nie mogąc tego uczynić. To ona zamknęła tę główną drogę autoekspresji.

– Dobra, a teraz miejscowi kontra turyści! – krzyknął jakiś chłopak. Stał na placu zabaw między Aną a Paulem i wyglądał na dwanaście lat; czarnowłosa i ładny, właśnie ustawiał wszystkie dzieci na placu zabaw. Był przywódcą – jeżeli coś w ogóle było prawdą, to fakt, że niektórzy ludzie, niektóre dzieci i niektóre niemowlęta byli przywódcami, a niektórzy nie – i w ciągu kilku sekund podzielił osiemnastoro dzieci na zespoły. Paul chwycił Anę, a wszystkie mniejsze dzieci posłusznie wykonywały polecenia chłopaka. – Oto, jak to działa – oznajmił nieletni przywódca, ruchem głowy odsuwając długie, kruczoczarne włosy sprzed oczu. – Przypomina grę w berka, ale złapany zamiast stać się berkiem, staje się zombi i umiera, gdy skręci mu się kark, w taki sposób. – Po czym, na oczach przerażonej i bezradnej Josie, przyciągnął do siebie Paula, położył dłonie z obu stron jego głowy i obrócił ją szybko, naśladując sceny skręcania karku znane z filmów akcji. – A teraz upadnij – powiedział chłopak i Paul posłusznie osunął się na ziemię. – Właśnie tak to działa. Jesteś martwy aż do końca gry, a potem zaczynamy od nowa. Wszyscy zrozumieli?

Oczy Any zrobiły ogromne – ze strachu lub z fascynacji. Josie nie znała przyczyny. Wiedziała za to, że stąd idzie i że jej dzieci idą razem z nią. Widok dwunastolatka udającego, że skręca kark jej synowi, nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Przywołała Paula gestem ręki, jakby miała dla niego jakąś wiadomość niezwiązaną z planowaną zabawą, po czym złapała go za rękę i już nie puściła.

– Ana! – krzyknęła i oboje odeszli. Jej córka szybko ruszyła za nimi.

Seward było przyjemnym miejscem, ale nadeszła pora odjazdu. Mieli jeszcze cały dzień do zagospodarowania przed przybyciem do Homer, załadowali więc chateau, Josie napełniła bak – dwieście dwanaście dolarów, obrzydliwe ździerstwo – kupiła mapę i wyjechała z miasta.

– Dokąd jedziemy, mamó? – zapytał Paul.

– Zapnijcie pasy – poleciała.

## V

Ten sposób planowania był dość niezwykły. Sam powiedziała, że spotka się z Josie w poniedziałek o piątej po południu. Ponieważ Josie nie miała telefonu, a Sam nigdy nie odbierała, te ustalenia musiały wystarczyć i trzeba było ich dotrzymać. Według obliczeń Josie, gdyby z Seward pojechali prosto do Homer, dotarliby na miejsce przed południem, pięć godzin przed czasem. Na ich powitanie Sam miała urządzić na plaży przyjęcie z potrawami z rusztu.

Josie spostrzegła w lusterku wstecznym, że Paul na nią patrzy. Oceniał, czy jego matka wie, co robi. Odwzajemniła spojrzenie, starając się sprawiać wrażenie osoby kompetentnej. Jej dłonie spoczywały na kierownicy, nosiła okulary przeciwsłoneczne, na fotelu pasażera leżała mapa i opis trasy do Homer.

Mam wątpliwości, wyczytała w oczach syna.

Spadaj, odpowiedziały jej oczy.

Kręciła gałką radia w lewo i w prawo, od czasu do czasu łapiąc sygnał pośrodku, a gdy ten stawał się wyraźny, wydawało się, że nadają muzyczny maraton z Broadwayu. Gwen Verdon w *Redhead*. Były to piosenki znane tylko komuś, kto okres kształtowania osobowości spędził wśród maniakalnych dźwięków musicali znanych i mało znanych, nieudanych i podbijających światowe sceny – teraz na ogół brzmiących tandetnie i rozpaczliwie w swym pragnieniu zyskania poklasku. Jej stosunek do tej muzyki był w najlepszym razie skomplikowany, do pewnego stopnia wiązał się z pracą zawodową rodziców i spuścizną po nich.

Musicale pojawiły się w jej życiu, kiedy miała dziewięć lat. Nie wiedziała, że jej rodzice w ogóle interesują się jakąkolwiek muzyką. W ich

domu nie było aparatury stereo. W kuchni stało wprawdzie radio, ale kiedy już, rzadko, było włączone, rodzice nastawiali je na wiadomości. Nie mieli płyt, taśm ani płyt CD, po czym pewnego dnia pojawiły się okładki z płytami, winylowe czarne dziury, porozkładane na całej podłodze. Rodzice byli pielęgniarzami na oddziale psychiatrycznym, rzadko jednak przynosili robotę do domu. W dzieciństwie Josie słyszała, jak wspominają o krępowaniu pacjentów i leczeniu czkawką torazyną, jak rozmawiają o mężczyźnie, który myślał, że jest jaszczurką, o człowieku, który przez cały dzień prowadził wyimaginowane rozmowy telefoniczne, posługując się łyżką. Ale teraz otrzymali pracę domową. Powierzono im zadanie wprowadzenia na oddział muzyki. Ich przełożony zaproponował, by utwory muzyczne były optymistyczne, przyzwoite i relaksujące. Wszyscy się zgodzili, że musicale z Broadwayu najprawdopodobniej w najmniejszym stopniu będą skłaniały do zbrodniczych i samobójczych myśli.

Dzięki pożyczonemu gramofonowi i pięćdziesięciu longplayom kupionym na wyprzedazy po zmarłym właścicielu – nauczycielu muzyki z sąsiedniego miasta – ich dom przez następne kilka lat wypełniały dźwięki utworów z *Jesus Christ Superstar* (uznanych za skłaniające do zbyt głębokich refleksji), *Ani z Zielonego Wzgórza* (cudownych, cudzoziemskich, niedających się powiązać z rzeczywistością) oraz *Na przepustce* (idealnych, ponieważ przedstawiały zdrowsze podejście do życia domowego szeregowych żołnierzy). Co wieczór słuchali nowego musicalu, wymagano od nich, żeby wsłuchali się w każdą piosenkę, każde słowo pod kątem ich stosowności, zdolności przebicia się przez mur udręki pacjentów i podniesienia ich na duchu. Pojawiły się prawidłowości: Irving Berlin był w porządku, Stephen Sondheim zbyt skomplikowany, moralnie problematyczny. Musical *West Side Story*, razem ze swoimi gangami i bójkami na noże, był wykluczony. Utwory z *My Fair Lady*, niedotyczące niczego, w czym weterani rozpoznawali swoje życie, nadawały się. Górę wzięły starsze musicale o prawdopodobnie mniej skomplikowanych czasach. *Oklahoma!*, *Carousel* oraz *Król i ja* szybko trafiły do szpitalnego obiegu, natomiast *South Pacific* na półkę; nie życzyli sobie niczego

o żołnierzach wciąż uczestniczących w wojnie za granicą. Z wielu dobrze znanych spektakli zrezygnowano na rzecz zapomnianych, lecz mniej niepokojących, które teraz tylko Josie pamiętała. Jackie Gleason w *Take Me Along* – wehikule kariery tego aktora. Richard Derr i Shirl (Shirl!) Conway w *Plain and Fancy*, musicalu o nowojorczykach w krainie amiszów. Pepin nie wchodził w grę, ojciec Josie zakreślił, a potem wykreślił następujące słowa: „Wtedy zaś nasz żołnierz do potyczki staje / Wróg walczy zaciekle, lecz rady nie daje / Słuchajcie! Wiktoria! Serca w piersi biją / Wdzięczny naród krzyczy: Niechaj sto lat żyją!”. To by się nie sprawdziło.

Pierwszym musicaliem, który Josie dobrze zapamiętała, był *Redhead*, spektakl stworzony dla Gwen Verdon. Pierwsze sekundy płyty stanowiły objawienie – wszystko było szaleńcze. Mur nieprzytomnego optymizmu podobał się jej jako dziecku, rodzice studiowali jednak libretto w poszukiwaniu kontrowersyjnych treści. Pytali ją niekiedy o zdanie, bywało, że z nią tańczyli – przez pewien czas ich dom miał coś wspólnego z dziwacznym szczęściem dziesiątek osób śpiewających ze sceny dla pogrążonych w ciemności nieznajomych, którzy zapłacili za radość i uwolnienie. Pamiętała matkę leżącą na plecach, z nogami w powietrzu, wykonującą jakieś ćwiczenia rozciągające, i ojca próbującego posadzić córkę na barana i zatańczyć; przekonał się jednak, że sufit jest zbyt nisko, a ona uderza weń głową; oboje śmiali się z tego, matka strofowała męża, a muzyka dalej grała. W tamtych latach Josie wyobrażała sobie życie rodziców jako coś na kształt nieustannego przyjęcia, na którym żołnierze z ich prostymi, możliwymi do rozwiązania problemami – złamaniami nóg i rąk, kilka dni w szpitalu, a potem wypis – także tańczyli, a jej rodzice serwowali im galaretkę i przetrzepywali poduszki.

– Śmierdzi – powiedziała z tyłu Ana.

Josie ściszyła radio i zapytała:

– Co śmierdzi?

Paul potwierdził, coś się zepsuło. Ana zasugerowała, że to woń skunksa, ale to nie był skunks. Śmierdziało niczym w silniku, ale z drugiej strony nie był to olej, nie była skrzynia biegów ani benzyna. Josie



otworzyła okna w szoferce, a Paul w kuchni. Smród się rozwiął, ale nie zniknął.

– Tutaj naprawdę to czuć – rzekł Paul. Ana dodała, że boli ją głowa. Potem jej brat też zaczął się na to skarżyć.

Na najbliższym przydrożnym parkingu Josie się zatrzymała i weszła do wnętrza kuchennej. Teraz smród był o wiele silniejszy – przypominał wyziewy fabryczne, co sugerowało zgubne skutki.

– Wsiadźcie – poleciła.

Ana uznała te słowa za zabawne i udała, że śpi z głową na kuchennym stoliku.

– Natychmiast! – wrzasnęła Josie, a Paul rozpiął siostrze pasy i popychał ją przed sobą, dopóki nie znaleźli się na schodkach.

– Stańcie na trawniku – rzuciła Josie, która już się domyśliła, w czym rzecz. Ulatniał się gaz. Wszystkie cztery gałki były odkręcone do oporu. Przez chwilę pomyślała, że powinna wyskoczyć z kampera, że cały pojazd może eksplodować, jeśli tylko dotknie kuchenki. Pragnąc jednak z niewytłumaczalnych powodów zachować chateau, ich nowy dom, wyciągnęła rękę, obróciła wszystkie pokrętła w lewo do oporu, po czym wyskoczyła przez otwarte drzwi. Popychała swoje dzieci, które stały na trawniku, Paul za Aną z dłońmi na jej ramionach, aż wszyscy, zdyszani, znaleźli się prawie pięćdziesiąt metrów dalej. Chateau stał nieruchomo, nietknięty.

Minął ich jakiś samochód zmierzający w stronę ich kampera. Josie pobiegła na parking i poleciła kierowcy, by ominął chateau szerokim łukiem.

– O co chodzi? – zdziwił się mężczyzna, który wiózł na tylnej kanapie troje wnucząt.

– Został odkręcony gaz. W kuchence – wyjaśniła Josie.

– Powinna go pani zakręcić – zasugerował dziadek.

– Dziękuję – odparła Josie. – Bardzo nam pan pomógł.

Mężczyzna zawrócił swoim kombi, a Josie przykucnęła przed Aną, która w samoobronie trzymała swoją maskotkę z serialu *ThunderCats*.

Jakim cudem zabrała ją w drodze na dwór? Zdążyła to zrobić, uciekając przed bliskim wybuchem gazu.

– Wiesz, że omal nie spowodowałaś bardzo poważnego wypadku? – zapytała ją Josie.

Ana pokręciła głową; oczy miała szeroko otwarte, ale ich spojrzenie było wyzywające.

– Ona odkręciła gaz? – zapytał Paul, po czym zwrócił się do Any: – To ty przekręciłaś wszystkie gałki w kuchence?

Ana spuściła wzrok.

– To naprawdę niedobrze – rzekł Paul. Josie zdawała sobie sprawę, że jej syn nic gorszego jeszcze swojej siostrze nie powiedział. Anie zadrżała broda i dziewczynka zaczęła płakać, a Josie stała zadowolona. Chciała, żeby jej córka choć raz zapłakała, żeby choć raz poczuła skruchę. Zważywszy na to, jak często Ana musiała wypowiadać to słowo, przez większość ostatniego roku jej przydomkiem było „Przepraszam”, nie miało to jednak niemal żadnego wpływu na skłonność do narażania siebie i swojej rodziny na poważne niebezpieczeństwa.

„To też jest pewnego rodzaju życie” – pomyślała Josie. Stojąc, rozejrzała się i dopiero teraz zauważyła, że zaparkowali koło pięknego, okrągłego jeziora o powierzchni tak spokojnej i gładkiej, że niebo odbijało się w nim idealnie symetrycznie. Patrząc na jezioro i zadając sobie rozmaite pytania oraz dokonując rozmaitych spostrzeżeń, czuła pewien spokój. Zastanawiała się, jak blisko śmierci właściwie byli. Czy mogli wszyscy zginąć późnym ranem, w słoneczny alaskański dzień? Zastanawiała się dość poważnie, czy Ana jest wysłannikiem innego królestwa przebrany za dziecko, ale obarczonym zadaniem zamordowania jej i Paula. Zastanawiała się, ile czasu musi upłynąć, zanim chateau będzie wolny od zabójczych wyziewów. Zastanawiała się, czym jest życie – jeżeli to było życie. Było? Zastanawiała się również nad genem, który posiadała, jakąś dławiącą nicią DNA, za sprawą której codziennie sobie uświadamiała, że nie jest tam, gdzie powinna być. W college’u co semestr zmieniała przedmiot kierunkowy – najpierw psychologia, następnie stosunki międzynarodowe,

potem historia sztuki, później nauki polityczne – i przez cały pobyt w kampusie pragnęła być daleko, z dala od zwyczajnej, powszedniej niedorzeczności większości jej zajęć i jałowego patosu większości jej rówieśników. Pojechała do Panamy, gdzie poczuła się przez chwilę niezbędna, ale potem zmęczyło ją załatwianie się do dołu w ziemi i spanie pod moskitierą; zapagnęła znaleźć się w Londynie. W Londynie marzyła o Oregonie. W Oregonie chciała być w Ohio, a tam miała pewność, że musi znaleźć się tutaj, na Alasce. A teraz gdzie chciała być? No gdzie, do kurwy nędzy? Po pierwsze, gdzieś wysoko ponad całym tym ziemskim brudem i nieszczęściem.

– Mamo, zrób mi zdjęcie. – Głos Any. Jej córka miała spodnie zsunięte do kostek, a ręce rozłożone, jakby szykowała się do złapania spadającego człowieka.

Josie spełniła jej życzenie.

Dotarli do Homer. Była dopiero pierwsza. Josie wjechała na pole kempingowe dla kamperów, zapłaciła sześćdziesiąt pięć dolarów za noc, a potem wyruszyli w kierunku mierzei. Albo Mierzei. Sam powiedziała kiedyś, że w tym mieście właśnie tam prawie wszystko się dzieje, więc Josie zjechała ze wzgórz i dwupasmową drogą dotarła na cypel wcinający się w zatokę Kachemak. „Homer jest oczywiście ładne, tyle że to nie Seward” – pomyślała. Dla niej Seward było miejscem niezrównanym. Może dzięki bliskości tamtych gór. Dzięki lustrzanej powierzchni tamtej zatoki. Dzięki górom lodowym przypominającym zaginione statki. Dzięki Charliemu.

Przy głównym trakcie Mierzei stało trochę starych budynków, w których obecnie lub dawniej mieściły się firmy połowowe, był też odcinek ze sklepami i restauracjami. Ponieważ od rana nic nie jedli, Josie zaparkowała obok innego, znacznie bardziej luksusowego kampera; wiedziała, że świadomość, iż są lepsi od niej i jej dzieci, uraduje jego właścicieli. Dała nura pod zlew, wyjęła plik dwudziestek z aksamitnego worka i wysiedli z samochodu.

Wziąwszy Paula i Anę za ręce, przeszła przez jezdnię, zmierzając w stronę pizzerii, która wyglądała tak, jakby zbudowano ją z elementów uszkodzonych kutrów – pogiętych burt, masztów i przekrzywionych okien, a wszystko to w szaroniebieskim kolorze wyrzuconego na brzeg drewna. Drzwi były oklejone nalepkami zakazującymi wstępu osobom bez butów, z psami, dzieciom bez opieki, palaczom i republikanom. Pod tym ostatnim zakazem widniały słowa: TO TYLKO ŻART, poniżej zaś dopisek: NIEZUPEŁNIE. W środku było jasno i ciepło, a personel tworzyły wyłącznie kobiety. Wydawało się, że to jakaś pizzeria polityczna, restauracja stanowiąca urzeczywistnienie jej własnej utopii. Na środku parteru stał olbrzymi kamienny piec, wokół którego krzątało się pięć kobiet, wszystkie w białych fartuchach i niebieskich koszulach, wszystkie z krótko obciętymi lub związanymi w koński ogon włosami. Josie zamówiła pizzę, bojąc się sprawdzić cenę, a stojąca za ladą, ostrzyżona na chłopaka kobieta o zmęczonych oczach powiedziała, by zajęli dowolne miejsca u góry.

Sala na piętrze była jasna i przeszklona, z widokiem na cieśninę. Słońce świeciło tak mocno, że zdjęli kurtki oraz koszule i wciąż było im ciepło w podkoszulkach. Ana zapytała, czy może dostać nóż. Josie odmówiła. Paul próbował wyjaśnić siostrze, dlaczego noże są niebezpieczne, ale Ana poszła już do toalety i po kilku sekundach usłyszeli, że coś spada. Wróciła do stolika, nic nie mówiąc.

– Możesz zajrzeć do toalety? – zapytała Josie Paula, a on zerwał się z krzesła, wiedząc, że ma do wykonania misję, która łączy jego podwójne upodobanie: do sprawdzania śladów bytności jego siostry i wytykania innym niestosowności ich zachowania.

Zjawił się po chwili i oznajmił:

– Wygląda dość paskudnie.

Odwrócił się do siostry, ale ona nie słuchała, bo wcześniej spostrzegła motorówkę przecinającą zatokę.

Wszedłszy do toalety, Josie znalazła na posadzce wieszak na ręczniki. Wiedziała, że Ana tędy szła i tylko ona mogła tak szybko wyrwać go ze ściany. Setki, może nawet tysiące osób z pewnością korzystały z tej toalety

i wieszaka, nie uszkadzając niczego, a jej córka uczyniła to w ciągu kilku sekund.

Pizzeria polityczna zdążyła już wyrzeć na nią odurzający wpływ, Josie uzmysłowiła sobie bowiem, że nie przejmuje się wyrwanym wieszakiem. Nie mogła zaprzeczyć, że przez chwilę była zaszokowana i pod wrażeniem tego, jak doskonale ta dziewczynka wyczuwa słabe punkty przedmiotów. Że potrafi wejść do każdego pomieszczenia, do każdej toalety w tym mieście i rozpoznać przedmiot, który najłatwiej da się uszkodzić, i po prostu wie, jak się do tego zabrać.

Zeszła na parter i poinformowała jedną z pracownic pizzerii, że jej dziecko uszkodziło wieszak na ręczniki.

– Jak to zrobił? – zdziwiła się kobieta. W tym czasie jej koleżanka w kolczykach z piórami wyciągała coś z pieca.

– To była moja córka – wyjaśniła Josie i już wiedziała, że nie będzie musiała zapłacić za szkody. Jej zdolność wywierania skutecznego nacisku była ukryta, lecz realna.

– Niech pani go tam zostawi – powiedziała kobieta. – Zajmiemy się tym.

Josie zamówiła kieliszek chardonnay i dwie szklanki mleka.

Była druga po południu, ale na górze wydawało się, że dopiero co wzeszło słońce. Światło puściło się w szalone płąsy po wodzie, zawzięcie próbując przykuć ich uwagę, a po powierzchni zatoki sunęła nie lada łódź – jakiś wspaniały jacht z setkami białych żagli – którą wspólnie obserwowali. Josie dopiła wino i kiedy trzecia z pracownic pizzerii, z gęstymi czarnymi lokami na dużej głowie, przyniosła im jedzenie, grudkowatą pizzę podawaną na czymś, co wydawało się kawałkiem kory, zamówiła jeszcze jedną lampkę chardonnay.

Właśnie dlatego ludzie zwlekają z wyjściem. Niekiedy miejsce, w którym jesteś, prosi, byś został, nigdzie nie pędził, mówi, że tu jest ciepło, widać połyskującą w słońcu wodę i jasnoblękitne niebo, a oni mieli przecież całe piętro dla siebie. Josie czuła, że gdyby ktokolwiek inny tam przyszedł, przegnałaby go, cisnęłaby nożem. Teraz był to ich dom.

Niebawem Ana stała na podłodze, używając krzesła jako stolika, i wsparta o nie łokciami pałaszowała swój kawałek pizzy. Była odrażającym rekiniątkiem, ale Josie strasznie ją w tym momencie kochała. Niezachwiana pewnością siebie i swoich ruchów nie pozostawiała cienia wątpliwości, że Ana zawsze będzie robiła wszystko po swojemu i nigdy nie zapyta, czy to właściwy sposób – co oznaczało, że może zostać prezydentem i z pewnością zawsze będzie szczęśliwa. Otarła usta ręką niczym uczujący barbarzyńca, a Josie uśmiechnęła się do niej i mrugnęła. Słońce odbiło się w złocistej zawartości kieliszka i Josie usłyszała melodię przyszłości. Dopła trunek.

Dzieci zjadły po dwa kawałki pizzy, ona również, a potem zapragnęła jeszcze wina. Zapytała, czy mają na coś ochotę. Nie miały, lecz przekonała je, by zamówiły jeszcze ciasteczka, które widziała w słoju na ladzie na parterze. Potem przekonała Paula, że byłoby świetnie, gdyby dla zabawy zapisali zamówienie na kartce i gdyby on zaniósł je na dół pracownikom pizzerii. Josie nie chciała widzieć ich spojrzeń ani ust skrzywionych na wieść o tym, że o trzeciej po południu zamawia trzecią lampkę chardonnay. Poza tym Paul na obecnym etapie swojego życia lubił, gdy powierzała mu przeprowadzanie rozmów telefonicznych, wstukiwanie kodów w bankomatach i błyskawiczne zakupy w 7-Eleven. Paul wiedział, że minie dziesięć lat, zanim matka pozwoli robić takie rzeczy jego siostrze. Zdawał sobie sprawę, że jest odpowiedzialny i lubił udowodniać, że to prawda.

Josie napisała zamówienie: 1 mleko, 3 ciasteczka, 1 chardonnay i rachunek, a on zaniósł je na dół. Wrócił kilka minut później, niosąc wszystko, co zamówili, na kolejnej tacy z kory. Trochę się z tym męczył, więc Josie przez chwilę pomyślała, że może należało wstać i mu pomóc, ale czy naprawdę by tego sobie życzył? Została na miejscu.

Paul dotarł do stolika i posłał jej zatrwożone spojrzenie, które zdawało się kwestionować to, czy jego matka rzeczywiście wie, co robi. Żeby go uspokoić, Josie uśmiechnęła się dobrotliwie jak pobożna babunia. Chciała wznieść toast za syna i na moment podniosła kieliszek, ale się rozmyśliła.

– Popatrz na ten nowy statek – powiedziała, zanim odwróciła się w stronę zatoki i zorientowała się, że to ten sam jacht, który już wcześniej widzieli.

Wino ją uszlachetniło i ogłupiło. Język zdrętwiał i nie był już w stanie formułować myśli. Nie chciała, żeby dzieci słyszały, jak mamrocze, powiedziała więc, że daje odpocząć swoim oczom, żeby napawać się ciepłem słońca, po czym zwróciła twarz ku pokrytemu smugami szklanemu sufitowi. Po chwili ujrzała najpierw twarz Jeremy’ego, potem oblicze ojca i usłyszała, jak w swoim białym pielęgniarzkim stroju żartuje, że wsadzi głowę do piecyka. Otworzywszy oczy, zobaczyła, jak Paul i Ana stoją, on z twarzą przy szybie, obserwując, jak para psów gzi się na wydmach.

Po rozstaniu z Carlem odczuwała całkowitą obojętność wobec potrzeb cielesnych – nie miała pragnień, nie odczuwała popędu płciowego, nie robiła planów, nie mogła się zdobyć na nic, co wiązało się z wysiłkiem – po czym, raz na sześć tygodni, odzywał się w niej głos, coś na kształt opętania, i wpadała w stan rui. Od czasu do czasu sypiała z Tylerem, chłopakiem z czasów licealnych. Nie, źle to ujęła. Z kimś, kogo znała z widzenia w szkole średniej i z kim dzięki cudowi nostalgicznego seksu w sieci znowu się spotkała. Pewnego dnia napisał do niej, dołączył do listu jej zdjęcie w halloweenowym stroju – wystąpiła jako Sally Bowles z *Kabaretu* po nieudanym przesłuchaniu (nie zgadzam się z pani werdyktem, pani Finesta!). Przypomniała sobie dotyk obcisłego jedwabiu na nogach w chłodną noc, srebrzystą perukę, pamiętała też swoich licznych tamtego wieczoru i w następnych dniach wielbicieli. Wyobrażnia setek chłopaków przez dziesiątki lat ożywiała wspomnienie błyszczących rajstop i czarnej kamizelki. Tyler odnalazł więc jakieś zdjęcie, zadzwonił i powiedział, że akurat jest w mieście – przejazdem. W porządku, świetnie. Zjedli makaron, wypili odrętwiające czerwone wino, a potem, w hotelu, dobrze sobie radził swoim małym kutasem, dopóki nie postanowił wetknąć jej do tyłka palca. Spróbował raz i Josie zareagowała zniechęcającym ruchem bioder. Po pięciu minutach ponowił próbę i tym razem delikatnie odepchnęła jego dłoń, zakładając, że sprawa jest zamknięta. Tyler spróbował jednak jeszcze

raz, pięć minut później. Josie postarała się obrócić to w żart, śmiejąc się trochę, gdy zapytała: „Czemu tak diabelnie ci zależy, żeby mi wsadzić palec w tyłek?”. Jednak mimo jej powściągliwości i oczywistej stosowności zachowania Tyler się cofnął, wyszedł z niej (niewiele straciła), a potem – i to było zachwycające – powąchał palec. Bardzo powoli, bardzo dyskretnie, jakby po prostu drapał się po nosie. I robiąc to, odwrócił nawet wzrok! Spojrzał w okno! Jakby liczył na to, że zanim mu przeszkodziła, zdążył wydobyć co najmniej trochę kału na palcu. Właśnie po to go tam wsadzał. Żeby potem wąchać. Niezapomniane przeżycie. Był jeszcze inny mężczyzna, ten, który zmarł. Ostatni mężczyzna, z którym się przespalała, zmarł kilka tygodni później. Jak się z tym czuła?

Miał na imię Vincent. Był miłym człowiekiem. Miłym człowiekiem, który powiedział, że nigdy jej nie opuści. Z powodu dzieci, jak twierdził, a ona doceniła to, z jaką powagą zapewnił, że nie wyrządzi krzywdy jej dzieciom, wkraczając w ich życie, a potem je opuszczając. Wiedział bowiem, jaką zdolnością znikania wykazał się ich ojciec, Carl. „Nie opuszczę cię” – powiedział. „Nie zrobię tego twoim dzieciom”. Nieważne, że ledwie je znał, a one i tak nie zdołałyby go rozpoznać. Złożył tę deklarację zbyt wcześnie. Rozumiała, że ma dobre zamiary, ale po dwóch miesiącach spotkań powiedział, że jeżeli kiedyś mają się rozejść, to ona będzie musiała podjąć decyzję. On nie mógłby jej rzucić. Zostanie w tym związku na długo. Pochlebiało jej to, chyba nawet była pod wrażeniem, ale było to nieco ograniczające, prawda? Zadała to pytanie swoim przyjaciółkom. Usłyszała w odpowiedzi, że ten człowiek będzie do niej przywiązany na wieki przez wzgląd na dzieci, których w rzeczywistości nie zna.

Miał zwyczaj ją obserwować, gdy oglądała filmy. Spostrzegł, że Josie wzrusza się podczas filmu o wdowie po żołnierzu zabitym na wojnie w Iraku. I potem, ilekroć na ekranie rozgrywała się jakaś wzruszająca scena, odwracał się do niej. Zawsze wyczuwała w ciemności, że kieruje ku niej twarz, żeby zobaczyć, czy płacze, zaraz zacznie płakać lub czy w jej oku kręci się łza. W jakim celu? Jaki bilans wtedy sporządzał? Nie nosił



chustki, nigdy też nie podał jej chusteczki higienicznej. Wpojono mu jednak, że należy zostać z kobietą dla dobra dzieci. I obserwować ją oraz przejawy jej emocji.

„Pojeźdź ze mną do Normandii” – zaproponował kiedyś. „Razem z dziećmi. Chcę, żebyście wszyscy coś zobaczyli”. Nie chciał jej powiedzieć, dlaczego chce tam jechać. Uważał, że będzie to cudowna niespodzianka. Josie wyjaśniła, jak trudno jej zostawić swoich pacjentów i uwięzić małe dzieci na czternaście godzin w samolocie – a wszystko to, nie wiedząc, po co mieliby lecieć na tę francuską plażę. W końcu wyjaśnił powody. Otóż dowiadywał się kolejnych rzeczy o swoim stryju – nie, o stryjecznym dziadku; poprawił swą pomyłkę następnego dnia, najwyraźniej po paru rozmowach telefonicznych ze znajomymi genealogami z Salt Lake City – który walczył i zginął w dniu lądowania aliantów w Normandii. Chciał tam pojechać, złożyć mu hołd, a ponieważ najwidoczniej uznał, że wszystko, co jego, to jej, chciał się tym wszystkim, czyli widokiem pola grobowego, podzielić z Josie.

Zasugerowała, że kilkutygodniowa rozłąka dobrze im zrobi, a on skinął głową, zgadzając się i chwając ją za roztropność. Po czym dwa tygodnie później dostał zapaści na plaży. W Normandii. Pojechał złożyć kwiaty na grobie stryjecznego dziadka, a potem poszedł pobiegać i doznał zatoru tętnicy płucnej. Na pogrzebie w Ohio były siostry Vincenta oraz sporo jego dawnych przyjaciółek – w życiu tego mężczyzny nie brakowało kobiet i wszystkie go kochały, czemu więc Josie nie postarała się bardziej?

Pojawił się rachunek od wytwórczyni pizzy politycznej. Zażyczyły sobie osiemdziesiąt dwa dolary. Razem z napiwkami miałyby więc zapłacić sto dolarów za jedną pizzę, dwa ciasteczka i trzy lampki wina. To była Alaska. Wyglądała niczym mroźne Kentucky, ale ceny przypominały Tokio z roku 1988.

Josie zapłaciła, zeszła na parter i wyszła z pizzerii. Na zewnątrz czuła się wolna jak ptak i była bardzo zadowolona, że kobiety z restauracji nie widziały jej, matki dzieci, pijanej o tak wczesnej porze. Po czym przeniknęła ją popołudniowy dreszcz, spojrzała na swoje dzieci i zdała sobie sprawę, że

nie mają na sobie kurtek. Gdzie się podziały ich kurtki? Odwróciwszy się, stwierdziła, że jedna z pracownic pizzerii stoi w drzwiach, trzyma kurtki Any i Paula oraz ich koszule, uśmiechając się tak, jakby wiedziała, że w każdej chwili może posłać tę wyrodną matkę za kratki.

Josie wzięła kurtki, naciągnęła je na dzieci w pośpiechu i ruszyli wzdłuż ulicy. Trzy sklepy dalej znajdował się butik z ręcznie tkanymi czapkami i swetrami. Była przekonana, że jeszcze nigdy nie widziała równie pięknych rzeczy.

– Zrobiono je tutaj? – zapytała siwowłosą kobietę z oczami w kolorze jasnego opalu. Kobieta uśmiechała się z ledwie powstrzymaną radością, jakby pobyt w Homer i sprzedawanie tu wyrobów rękodzielniczych były dla niej niezaskuszoną nagrodą.

– Nie – odparła. – Głównie w Boliwii. – Nazwę tego państwa wypowiedziała miękkim głosem, dając do zrozumienia, że nie sposób robić ich w innym miejscu, i Josie miała wrażenie, że tego słowa nie da się wymówić inaczej.

Josie gładziła wystawione na sprzedaż swetry i czapki, myśląc, że musi kupić te boliwijskie towary na Alasce, bo jeżeli tego nie uczyni, straci okazję, by wykorzystać ten moment w całej pełni.

– Proszę powiedzieć, jeśli będzie miała pani jakieś pytania – zachęciła kobieta i z błogim uśmiechem usiadła na stołku nieopodal, zwracając twarz do słońca.

Josie znalazła szalik, owinęła go Paulowi wokół szyi i cofnęła się, żeby przyjrzeć się synowi. Ponieważ wyglądał w tym szaliku o pięć lat dojrzalej, zdjęła go.

– Mamo, jak rozpoznasz Sam? – zapytał chłopiec.

W jego przypadku było to nadzwyczajne. Normalnie nie musiała mu niczego mówić dwa razy; pamięć o niezwykłych informacjach dotyczących osób dorosłych w jego życiu jeszcze nigdy go nie zawiodła. Zanim Josie zdążyła to wyjaśnić, tym razem w sposób lepiej zapadający w pamięć, Paul zapytał:

– Czy ja ją poznałem?

Owszem. A raczej Sam poznała jego, trzymała go na rękach, gdy był niemowlęciem. Josie powiedziała mu to i wymyśliła historyjkę o tym, jak mocno się z nią związał, dodając, że Sam jest dla niego kimś w rodzaju matki chrzestnej.

– Więc jestem jej chrześniakiem?

Josie spojrzała szybko na jasnooką kobietę, oczekując werdyktu, ale błogi wyraz twarzy Boliwijki się nie zmienił.

Prawda wyglądała tak, że Josie nie znalazła Paulowi rodziców chrzestnych. Kiedy się urodził, wstrzymała się z tym, pragnąc poczekać, aż ukształtuje się jego osobowość, żeby lepiej dopasować odpowiednie do tej roli osoby. Wówczas wydawało się to radykalnie postępowe, ale potem po prostu przestało ją interesować. Teraz myśl o Sam jako matce chrzestnej wydała się nieuchronna.

– Oczywiście – odparła.

Każdy byłby lepszy od rodziców chrzestnych Any, przyjaciół Carla, którzy przyjęli ten zaszczyt niczym kiepski prezent weselny szybko odłożony na półkę. Ana niczego się od nich nie doczekała – nawet kartki z życzeniami.

W przypadku Sam, no cóż, na dwoje babka wróżyła. Prawdopodobnie nie byłaby chrzestną narzucającą się z opieką, ale chyba mogła być z oddali źródłem inspiracji? Josie może ją o to zapytać, kiedy się zobaczą. Nikt jeszcze nie odmówił przyjęcia roli matki chrzestnej, więc sprawa była przesądzona.

– Sam jest najlepsza – dodała. – Mówiłam ci, że ma kuszę?

Sam nie była najlepsza, a w sprawie kuszy Josie tylko zgadywała, ogarnęło ją jednak nagłe pragnienie zobaczenia Sam i wzmocnienia tym pomysłem z chrzestną matką łączących je więzi. Rzeczywiście jej miłość do Sam nie była prosta, a od pięciu lat się nie widziały; podążały wcześniej taką samą dziwną ścieżką, a przede wszystkim, i co najważniejsze dzisiaj dla Josie, Sam była osobą dorosłą. Jeśli nie liczyć rozmów ze Stanem i Charliem na pokazie magicznych sztuczek, odkąd trafiła na Alaskę, do nikogo dorosłego nie powiedziała nic oprócz proszę i dziękuję.

– Ona jest twoją przyrodnią siostrą? – zapytał Paul.

W ogólnym sensie rzeczywiście tak było. Całej prawdy o ich siostrzeństwie wyznać jednak nie mogła – nie ośmiolatkowi. Chociaż się starała, nie udało jej się wymyślić dostatecznie prostej historii dla wyjaśnienia swoim dzieciom relacji łączących ją z Sam.

– Zgadza się – odparła Josie. – W zasadzie.

Siwowłosa sprzedawczyni otworzyła teraz oczy. Josie spostrzegła, że patrzy na Paula, jakby oceniała, czy chłopiec ma dość sił, żeby przeżyć to wszystko – mętne tłumaczenia na temat przyrodniej ciotki, alkoholowe upojenie matki. Josie kupiła Paulowi i Anie swetry oraz czapki, dowodząc przed kobietą swojej kompetencji i miłości poprzez wydanie dwustu dziesięciu dolarów na jaskrawą boliwijską odzież, której jej dzieci nie będą nosiły zbyt chętnie.

Josie zrobiła trochę wyliczeń i zdała sobie sprawę, że w ciągu godziny wydała wszystkie pieniądze, które wzięła z samochodu, trzysta dziesięć dolarów, będąc w stanie, który większość osób uznałaby za upojenie. Po drugiej stronie ulicy widziała kuszący, ciepły i nieruchomy kamper.

– Kto ma ochotę obejrzeć *Tomása y Jerry*? – zapytała.

Wrócili do chateau, gdzie dzieci zasiadły we wnęce kuchennej i puściły film. Josie weszła na górę i położyła się w ubraniu na skąpanym w słońcu materacu. Zanim zasnęła, usłyszała, jak Paul mówi do siostry:

– Masz zamiar przynieść swoją książeczkę do kolorowania? Nie wiem, jak długo można się bawić marchewką.

Oglądają ten film czy nie? Jakie to ma znaczenie? Josie zasnęła i obudziła się godzinę później zlaną potem. Spojrzawszy w dół, zobaczyła, że Paul i Ana śpią ze zmierzwionymi włosami i słuchawkami na uszach.

Znowu zamknęła oczy, czując popołudniowe ciepło i myśląc, że to, co zrobiła, przywożąc tutaj dzieci bez powiadamiania o tym kogokolwiek, zwłaszcza Carla, może zostać uznane za przestępstwo. Czy to było niezgodne z prawem? Świadectwem szaleństwa? Tego sformułowania użyłby Carl. Dla Carla dobre rzeczy były szalone. Złe rzeczy także. Josie

była szalona. „Dorastałaś obok domu wariatów!” – mawiał, jakby to cokolwiek znaczyło. Jakby całe miasto, w którym wychowała się Josie, zostało doprowadzone do obłądu drogą osmozy. Jakby dorastanie Josie koło szpitala dla weteranów w Rosemont, dawniej Domu Żołnierza, znanego lepiej jako Candyland, wyjaśniało to, co Carl miał nadzieję wyjaśnić. Uważał, że jej dzieciństwo, jej bliski kontakt ze sprawcami skandalu, jej uniezależnienie się od rodziców w wieku siedemnastu lat dają mu pewien punkt zaczepienia. Zgodnie z tą ukrytą logiką on sam pochodził z mocniejszej rodziny, miał więc prawo płynąć z prądem – mógł nic nie robić. To oczywiście był nonsens. Jego ojciec był współtwórcą hodowlanego koncernu, który ogołocił z lasów duże obszary Kostaryki, żeby stworzyć pastwiska dla krów, których mięso trafiało do sprzedaży w postaci amerykańskich steków. Właśnie dlatego Carl kształcił się w luksusowej szkole dla expatriantów w San José – tym kostarykańskim, nie kalifornijskim, dlatego dorastał w otoczeniu służących i dlatego nie miał pojęcia, jak się pracuje i co to znaczy prawdziwa praca. Ponieważ zaś nigdy nie dostrzegł związku między pracą a możliwością spłacenia kredytów hipotecznych i temu podobnych zobowiązań, uważał, że może do woli osądzać wszystkie dziwactwa Josie. Skoro przyszła na świat w rodzinie dwojga pielęgniarzy – a ta profesja kojarzyła się Carlowi z klasą służących, których wykorzystywał jako dziecko – i skoro oboje byli zamieszani w skandal w Candylandzie, każda niekonsekwencja w jej zachowaniu, każda wada lub słabość mogły być wykorzystane, powiązane z dramatem weteranów.

Kiedy byli razem, postanowili nie mówić dzieciom nic o Candylandzie, ale teraz, gdy leżała w kamperze zlaną potem, wdychając stęchłe powietrze pod znajdującym się kilkanaście centymetrów wyżej sufitem, zdawała sobie sprawę, że w obecności Sam będzie musiała mieć się na baczności. Wiedziała, że Sam opowiedziała o tym wszystkim, o Sunny i jej uniezależnieniu się od rodziców, swoim córkom bliźniaczkom i chętnie poruszy ten temat przy Paulu i Anie.

Rodzice Josie byli pielęgniarzami w szpitalu. Tyle mogła swoim dzieciom powiedzieć – i powiedziała. To na razie wystarczyło. W wieku Any Josie też nic więcej nie wiedziała. Jej rodzice byli odziani na biało, kiedy jechali do pracy w Rosemont, a wracali razem już przebrani. I ani słowem nie wspominali, jak im upłynął dzień. Wiedza o ich pracy docierała do Josie stopniowo. Kiedy miała siedem lat, zdała sobie sprawę, że szpital jest przeznaczony dla weteranów. Kiedy skończyła dziewięć, słuchali w domu musicali, dowiedziała się też o Wietnamie i o tym, że większość pacjentów z Rosemont tam właśnie walczyła. Nie wiedziała jednak, co im dolega; wyobrażała sobie rzędy łóżek szczęśliwych żołnierzy ze skręconymi stawami skokowymi i podbitymi oczami. Będąc dzieckiem, nie zdawała sobie sprawy, gdzie dokładnie leży Wietnam ani czy wojna nadal się toczy.

Od czasu do czasu rodzice rozmawiali o pacjentach. Był wśród nich mężczyzna, który całymi dniami pukał się w skroń, jakby chciał uwolnić z otworu jakąś poluzowaną śrubkę. Był też taki, który nie chcąc pognieść prześcieradeł w idealnie zaścielonym łóżku, spał pod nim.

„Mam nadzieję, że twoi rodzice nie są odpowiedzialni za ten bajzel w Candylandzie”. Słowa te padły pewnego dnia z ust jej nauczycielki. Josie nigdy nie słyszała o żadnym bajzlu w szpitalu. Lecz od wiadomości z tamtego roku nie dało się uciec. Samobójstwa. Pacjentom psychiatrycznym w Rosemont przepisywano nadmierne ilości leków i odnotowywano zatrważającą liczbę zgonów. Spali po osiemnaście do dwudziestu godzin na dobę, a kiedy wyrywali się z otępienia lekami, zabijali się; co kilka miesięcy ktoś odbierał sobie życie. Do większości samobójstw doszło na oddziale psychiatrycznym, do kilku po wypuszczeniu pensjonariuszy z oddziału, wszystkie zaś miały potworny, niezwykle w swoich szczegółach przebieg. Trzydziestodwuletni mężczyzna powiesił się na kłamce, używając prześcieradła. Inny wypił wybielacz, wskutek czego pękło mu jelito grube. Trzydziestotrzylatek rzucił się z dachu, spadł na matkę innego pacjenta i skręcił jej kark. Uświadomiwszy sobie, że wciąż

żyje, tam, na chodniku, kawałkiem szkła przeciął sobie nadgarstki i tętnicę szyjną.

Ten właśnie przypadek zwrócił na Rosemont uwagę reszty kraju. Gazety odkryły, że szpital zyskał wśród weteranów przydomek „Candyland”, i ten makabryczny akcent podsycił fascynację opinii publicznej. Osiemnaście samobójstw w ciągu trzech lat, pięć przypadkowych przedawkowań, może więcej. Twarze tych młodych ludzi, sfotografowanych przeważnie w mundurze, spoglądały z łamów gazet każdego dnia. „Wysłaliśmy ich do Wietnamu na śmierć” – pisano w artykułach redakcyjnych. „Kiedy wrócili żywi, zabiliśmy ich jeszcze raz”. Ordynator oddziału, doktor Michael Flores, został aresztowany i większość odpowiedzialności spadła na niego. „Ja tylko chciałem oszczędzić im bólu” – wyjaśnił, ale o domu Josie i tak zrobiło się głośno. Jej rodzice zostali przesłuchani, obwiniano ich prywatnie i na forum publicznym. Do czterech samobójstw doszło na ich zmianie i szum wokół obojga narastał. Jak mogli pozwolić, by to się zdarzyło? Koledzy i koleżanki z Rosemont wspierali ich, twierdzili, że nie zaniedbywali swoich obowiązków, lecz wątpliwości nie ustępowały, wręcz się mnożyły. Oddział zamknięto, potem zamknięty został sam szpital, rodzice Josie stracili pracę, a ona poznała znaczenie słowa *współudział*.

Potem w czymś, w czym Josie dostrzegała jako nastolatka szokujący przejaw ironii, oboje zaczęli nadużywać tych samych leków, dilauidu, torazyny i dilantinu, które pacjentom ordynował w nadmiernych ilościach Flores. Tuż po jej czternastych urodzinach ojciec wyprowadził się z domu, a rok później przeniósł się do Kambodży, gdzie został i gdzie wciąż mieszkał. Gdy Josie skończyła lat szesnaście, jej matka pracowała jako pielęgniarka domowa u rodziny mieszkającej osiemdziesiąt kilometrów dalej, opiekując się jakąś starszą kobietą, panią Harvey. „Zakochałam się, Joze” – wyznała pewnego dnia. Związała się z synem pani Harvey, kolejnym weteranem wojennym w średnim wieku, kolejnym narkomanem, i chciała, żeby Josie zamieszkała z nimi w tym nowym domu z umierającą kobietą i jej synem, bałamutnie obiecując, że ich życie znowu będzie udane.

Josie pomyślała: Nie. Zostały jej dwa lata nauki w szkole średniej. Pewnego dnia załamała się w poczekalni przychodni dentystycznej. Podeszła do niej recepcjonistka, zaprowadziła ją do toalety, posadziła na sedesie, otarła twarz wilgotnym, ciepłym ręcznikiem, to zaś sprawiło, że Josie zanosła się jeszcze głośniejszym i bardziej gwałtownym płaczem. Niebawem leżała na jednym z foteli dentystycznych z twarzą zalaną łzami, a obok siedziała doktor Kimura, która początkowo sądziła, że to jakieś załamanie nerwowe na tle wyobrażenia o swoim wyglądzie. Kiedy recepcjonistka zastała Josie zapłakaną, dziewczyna trzymała na kolanach magazyn „People”, rozłożony na artykuły o znęcaniu się nad grubymi nastolatkami. Obie z doktor Kimurą pomyślały więc, że Josie, która wyraźnie górowała nad nimi wzrostem, denerwowała się swoją tuszą i była dręczona w szkole. Zaprowadziwszy ją do sali na tyłach, w której przeprowadzane były zabiegi, skupiły się przy niej jak święte. W załzawionych oczach i dźwięcznym głosie dentystki było coś, co skłoniło Josie do wyznań. Kiedy zaś doktor Kimura poprosiła recepcjonistkę, by wyszła, i powiedziała Josie, że ma wolne popołudnie, ta wyjawiała jej wszystko. Jej ojciec przebywał w Chiang Mai i według jej matki mieszkał tam z opłacanym przez siebie haremem złożonym z czterech kobiet, a jedna z nich miała trzynaście lat. Matka przez dwa lata sypiała na kanapie. Teraz była zakochana. Ale znowu zażywała leki i wychodziła za narkomana. W ich domu przebywali nowi ludzie. Josie nie wiedziała, czy handlują towarem, czy nie. Pamiętała plecaki ustawione w holu, zawsze inne, i to, że nowi ludzie przychodzili i wychodzili z którymś z tych plecaków. Sama zaczęła się ukrywać w swoim pokoju.

Słuchając wywodów Josie, doktor Kimura rzadko się odzywała. Wydawało się jednak, że coś skupia jej spojrzenie. „Może przez jakiś czas będziesz tu przychodzić po szkole? Powiedz mamie, że odbywasz tu praktykę” – zaproponowała. „Potrzebujesz spokojnego miejsca, w którym spędzisz codziennie kilka godzin”.

Przez pierwszy tydzień Josie siedziała w poczekalni, robiąc zadania domowe i czując dreszcz emocji na myśl o tym, że w ten drobny sposób



zdradza matkę. Przywykła jednak do spokoju, prostoty, przewidywalności zdarzeń w przychodni. Ludzie przychodzili, rozmawiali, płacili i wychodzili. Nie było chaosu, wrzasków, matki leżącej na kanapie ani nawiązującej kontakty z płochliwymi mężczyznami o pustych oczach. Czasami doktor Kimura sprowadzała Josie do sali zabiegowej, żeby pokazać jej coś ciekawego – niezwykle zdjęcie rentgenowskie albo jak się robi odlewy. Zwykle jednak Josie spędzała te godziny w biurze Sunny – doktor Kimura kazała jej zwracać się do siebie po imieniu – odrabiając lekcje, niekiedy drzemiąc, od czasu do czasu zastanawiając się nad fotografią jakiejś nastolatki, szarej blondynki, która była tak niepodobna do Sunny, że Josie zakładała, że to jakaś pacjentka. Po wizycie ostatniego pacjenta Josie pomagała zamknąć przychodnię, a Sunny pytała ją o aktualne wieści z domu. Dentystka słuchała z gniewnym wyrazem oczu, ale nigdy nie wyraziła się lekceważąco o matce Josie. Obie były mniej więcej w tym samym wieku, przed czterdziestką, ale wydawało się, że Sunny, osobą o wiele bardziej ustatkowaną i mądrą, dzieli od tej drugiej parę pokoleń.

Pewnego dnia zamknęła drzwi przychodni i powiedziała:

– Wiem, że to może być nasza ostatnia rozmowa, ponieważ rzecz, którą zaraz zasugeruję, uruchomi ciąg zdarzeń, które mogą przypłacić mnóstwem kłopotów i utratą przychodni. Myślę jednak, że powinnaś dążyć do uniezależnienia się od swoich rodziców, a jeśli to zrobisz, chciałabym, żebyś zamieszkała u mnie. Znam jedną prawniczkę.

Prawniczka, spokojna, lecz nieustępliwa kobieta o imieniu Helen, była przyjaciółką Sunny. Spotkały się następnego dnia. Helen miała kręcone, ciasno upięte włosy i nieruchome spojrzenie. Obie z Sunny usiadły ramię w ramię naprzeciw Josie.

– Nie zrobimy tego, jeżeli pojawi się jakiekolwiek ryzyko zagrożenia – powiedziała Helen.

– Twoje życie i tak jest już wystarczająco dramatyczne – dodała Sunny.

– Jeśli twoja matka się sprzeciwi... – zaczęła Helen, ale to Sunny dopowiedziała tę myśl:

– ...to możemy ponownie ocenić sytuację. Jak uważasz?

Ich zapach był zarówno deprymujący, jak i zaraźliwy. Josie chciała to zrobić. Pragnęła być blisko tych poważnych, sprawnych, skutecznych kobiet, które szybko tworzyły wielkie plany.

– W porządku – odparła Josie, zupełnie niepewna.

– Dobrze – stwierdziła Sunny i wzięła Josie za rękę. – Jedźmy do mnie i zjedźmy razem kolację. Chcę cię komuś przedstawić.

Josie zadzwoniła więc do domu i powiedziała matce prawdę – że zje kolację u dentystki. Ponieważ zaś jej matka straciła wszelkie prawo do egzekwowania zasad dobrego wychowania, zgodziła się, każąc tylko wrócić do domu przed dziesiątą. W starym, lecz czystym samochodzie Helen Josie jechała z tyłu, Helen obok kierowcy. Josie miała wrażenie, że uciekają, była pewna, że odtąd będą najlepszymi przyjaciółkami, tworząc nierozdzielne trio. Do domu Sunny weszła, krocząc między dentystką a Helen, jakby pod eskortą, niczym prezydent lub papież.

– Samantha! – krzyknęła Sunny i po schodach, stąpając ciężko, zaczęła schodzić jakaś dziewczyna, która zatrzymała się pośrodku. Josie rozpoznała w niej dziewczynę ze zdjęcia.

Tak więc Josie była drugim projektem Helen i Sunny. Ta konstatacja ją zaskoczyła. Samantha została przyjęta rok wcześniej, uciekła od matki, która ją biła, i od ojca, kierowcy ciężarówki, który fotografował ją pod prysznicem. Samantha mieszkała siedemdziesiąt kilometrów dalej, a Helen powiadomił o jej przypadku licealny psycholog. Proces uniezależnienia się Samanthę od rodziców był szybki. Obecnie dziewczyna uczyła się w domu według samodzielnie korygowanego planu, którego istoty Josie początkowo nie rozumiała. Nie rozumiała też, dlaczego Sunny nie powiedziała jej o Samancie, zanim zaczęły rozmawiać o uniezależnieniu się od rodziców.

– Nie mogłam ci o niej powiedzieć, zanim nie uzyskałyśmy pewności – wytłumaczyła dentystka.

Tamtego wieczoru po kolacji Sunny zaproponowała spacer i wtedy, pod ciemnym baldachimem drzew, wyjaśniła sytuację Samanthę:

– Najlepiej, żeby trzymała się w cieniu. Sąd wydał tacie Sam zakaz zbliżania się do niej, ale najlepiej nie ryzykować. Rozumiesz? Czy jej obecność zmienia twoje spojrzenie na to wszystko?

Zmieniała. Jadąc z przychodni do jej domu, Josie sądziła, że Sunny przyjmuje ją w akcie śmiałości, szalonej, wręcz nieodpowiedzialnej odwagi. Jej decyzja miała jednak mniej emocjonalny charakter. Ona i Helen stworzyły system.

– Twoje pojawienie się u mnie po przyjęciu Sam było szczęśliwym trafem – powiedziała Sunny, próbując przywrócić ich sytuacji bardziej baśniowe oblicze. – Dzieli was tylko roczna różnica wieku i mogłybyście się nawzajem wspierać.

„Albo wciągać się nawzajem w kolejne dramaty zdziczałych nastolatek” – pomyślała Josie.

– Wiem, że to niezręczne – powiedziała Sunny tamtego wieczoru i często to później powtarzała. – Ale tutaj jest spokojnie i bezpiecznie.

To rzeczywiście było niezręczne. Josie i Samantha zostały umieszczone w tym samym pokoju, to znaczy pokój Samantha został błyskawicznie podzielony, a jej przestrzeń osobista stopniała do połowy.

– Co te dwie zdziry wyprawiają? – mruknęła pod nosem, hałaśliwie przemieszczając swój dobytek, żeby zrobić miejsce na rzeczy Josie. Współpracowała, wściekła i ambitna, przez jeden miesiąc, potem traktowała Josie z dystansem, mając skłonność do sporadycznych wybuchów. Josie nie zmieniła szkoły, więc miały różnych znajomych, toteż ich wzajemne kontakty były incydentalne i dało się ich uniknąć. Sam traktowała Josie jak włóczęgę darmozjada, który zjawił się w deszczową pogodę, żeby dzielić z nią pokój, za który ona zapłaciła.

W końcu nastąpiło odprężenie i ujawniły swoje słabości po to tylko, żeby to później wykorzystywać. Były bystrzymi i gniewnymi dziewczynami, które nie okazywały należytej wdzięczności Sunny i Helen, kłóciły się z nauczycielami, flirtowały ze swoimi chłopakami i kradły lub niszczyły nawzajem swoje rzeczy.

Ich dom był jednak zdrowy i spokojny i Josie uniezależniła się od matki bez oporu z jej strony.

– Wyłożyłam jej argumenty za i przeciw – powiedziała pewnego dnia Helen, a Sunny tylko się uśmiechnęła; należało się domyślać, że jej matka była w dyskusji z nimi dwiema bez najmniejszych szans. Josie miała poczucie winy. Przez następny rok co miesiąc odwiedzała matkę, a ich spotkania, zawsze w restauracji sieci Denny's usytuowanej przy szosie łączącej ich miasta, były serdeczne, lecz pełne napięcia. Rozmawiały przeważnie o tym, jak dobrze będzie za kilka lat, kiedy wszystko się ułoży, kiedy znikną wszelkie wzajemne urazy i będą mogli wrócić do siebie jako dorosłe, równorzędne osoby. Ha.

Krążyły pewne plotki na temat Helen i Sunny, i tego, co dokładnie szykują – tworzą jakąś sektę, przyjmują po jednej zagubionej nastolatce naraz? Może są lesbijkami? Czyżby były lesbijkami zakładającymi lesbijską sektę? Jednak po przyjęciu Josie nie było następnych bezdomnych dziewczyn, przynajmniej w tamtym roku. Ostatecznie dom Sunny stał się znanym schronieniem dla młodych kobiet uciekających od życiowych katastrof, a zainteresowanie Sunny losami Josie osłabiało pojawienie się każdej kolejnej przygarniętej dziewczyny. Sunny zdawała sobie z tego sprawę i obawiała się, że Josie i Sam poczują się zaniedbywane. Josie powiedziała, żeby się nie martwiła. Ani teraz, ani w przyszłości.

## VI

Josie obudziła dzieci w nerwowym pośpiechu, zapięła im pasy i ruszyła Mierzeją z powrotem na pole kempingowe, żeby spotkać się z Sam. Byli spóźnieni, idiotycznie spóźnieni. Dwadzieścia minut później na parkingu wkładała im buty – te Any przypominały małe kauczukowe cegły – po czym wszyscy stanęli na szczycie skarpy nad plażą i patrzyli na Sam, której towarzyszyło dwadzieścia innych osób. Przyjęcie z potrawami z rusztu trwało w najlepsze; a wszystko po to, żeby powitać Josie i jej dzieci.

– Przepraszam! – krzyknęła w dół, kiedy ruszyli stromą ścieżką, usiłując się uśmiechać i śmiać, jakby to życie na sposób alaskański, bez harmonogramów i ustalonych godzin przyjęć na plaży, było udziałem ich wszystkich. – Zasnęliśmy! – dodała radośnie, starając się, by zabrzmiało to zachwycająco. Paul i Ana wlekli się za nią półprzytomni. Kiedy więc pokonywali ostatni metr dzielący ich od plaży, sztuczny uśmiech nadal okalał jej usta. Po chwili znalazła się w ramionach Sam, której zrobiony na drutach sweter z czarnej wełny i włosy pachniały dymem z palącego się drewna. Gospodyni przyjęcia miała na sobie szorty i niezasnurowane buty. Jej nieumyte włosy były rozwiane wiatrem.

– Nie przejmuj się. Spóźniłaś się na własne przyjęcie tylko godzinę – powiedziała Sam, uwalniając Josie ze swoich objęć i podnosząc wysoko Anę. – Nigdy mnie nie spotkałaś, ale mam zamiar cię zjeść – oznajmiła, a oczy Any rozblęły, jakby wyczuła bliskość kolejnego osobnika swojej dzikiej rasy. Sam pocałowała ją niedbale w ucho; Paulowi przyjrzała się z większą rezerwą. – A to pewnie Paulie? – zapytała i postawiła Anę na ziemi. Paul stanął przed nią, pogodzony już chyba z myślą, że jego też podniesie. Nie uczyniła tego jednak. Przykucnęła przed nim i ujęła jego

twarz w obie czerwone dłonie. – Nigdy nie zapomniałam twoich oczu – zapewniła, a potem wstała.

Przyjęcie odbywało się blisko urwiska, na rozległej w porze odpływu plaży, poprzecinanej osierocnymi pasmami wody z oceanu, która srebrzyła się w przyćmionym świetle. Po drugiej stronie zatoki widać było pasmo Kenai, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Reszta gości przywykła do tego surowego piękna, do wyrzuconego na brzeg drewna, okrągłych szarych kamieni, grubych pni drzew wydrążonych przez morze i zbiegających na słońcu. Zostali przedstawieni wszystkim zebrany – mieszaninie niechlujnych ludzi, którzy obecnie pracowali dla Sam, niechlujnych ludzi, którzy pracowali dla niej w przeszłości, rodziców przyjaciół jej córek oraz sąsiadów, z których większość nosiła puchowe kamizelki lub wełniane swetry, a wszyscy byli w starych, masywnych butach. Wydawało się, że jeden mężczyzna cały czas stoi bardzo blisko Sam, i Josie domyśliła się, że to ktoś w rodzaju przyjaciela. Próbowała sobie przypomnieć, jak Sam podchodzi do małżeństwa. Była na jej ślubie z rybakiem zwanym JJ, ale od tego czasu go nie widziała. Czyżby to było małżeństwo otwarte? Najwyraźniej tak.

Ten stojący przed Josie człowiek, pochylający się ku Sam z wyraźną poufałością, był pewnie o dziesięć, piętnaście lat młodszy od niej, ale gęsta ruda broda sprawiała, że trudno było to ocenić. Sam przedstawiła go na samym końcu.

– A to jest Doug – powiedziała i podniosła jego rękę wysoko nad głowę, jakby właśnie został ogłoszony zwycięzcą.

Nie. To nie było małżeństwo otwarte. Teraz Josie sobie przypomniła. JJ wypływał w morze na wiele miesięcy i oboje ustalili, że cokolwiek się dzieje podczas jego rejsów, nie ma znaczenia. Nie wolno było zadawać żadnych pytań, a JJ miał tylko jedno życzenie: nikt, z kim Sam kręciła pod jego nieobecność, nie mógł być jego znajomym. Tyle że teraz znajdowały się wśród wspólnych przyjaciół ich obojga, a jej towarzyszył człowiek, który zdaniem każdego, kto nie był ślepy, z nią sypiał.

– Dzieci nadal z wami mieszkają? – zapytała Josie. – Czy też mają już pracę w fabryce konserw?

Sam wskazała głową w kierunku brzegu. Kilkaset metrów dalej, przed dużym głazem stały dwie sylwetki. Na kamieniu siedział olbrzymi ptak i Josie zaśmiała się w duchu na myśl o tym, że za chwilę usłyszy, że to biały orzeł.

– Biały orzeł. – Josie odwróciła się w stronę, z której dobiegł męski głos, i ujrzała Douga podającego jej brązową butelkę miejscowego piwa.

– Chcecie się zobaczyć z Zoe i Beccą? – zapytała, posyłając Paulowi błagalne spojrzenie. – Idźcie się przywitać i wróćcie coś zjeść.

Paul wziął Anę za rękę i ruszył w kierunku wody.

Josie miała gwałtownie rosnące poczucie, że Sam urządziła sobie tutaj wygodne życie – miała wielu przyjaciół, przyjaciół skłonnych w tygodniu przyjść wieczorem na plażę, żeby powitać ją i jej dzieci.

– Zabłądziłaś? – zapytała Sam. – Dotarliśmy tutaj o czwartej, wszystko przygotowaliśmy, a o piątej zjawiała się reszta towarzystwa. Umówiliśmy się na piątą, zgadza się?

Josie próbowała wyduć nozdrza.

– Pukaliśmy do drzwi wielu kamperów – ciągnęła Sam – ale nikt was nie widział.

Josie pomyślała, że to fascynujące, jak słabo się orientuje w tym, czego może się spodziewać po Samancie. Pięć lat to szmat czasu i Sam, która w ogóle lubiła się zmieniać, mogła się stać zupełnie nową istotą. Wciąż jednak była osobą pamiętliwą.

Josie wyjaśniła, że jechali cały dzień, a spóźnili się przez to, że drzemali od czasu do czasu. Ponieważ zaś ona nie ma telefonu, nie mają tym samym budzika, a zresztą co z tego, przecież jest lato, a Sam i tak była wśród przyjaciół, więc kogo obchodzi, czy ona się spóźniła, czy ktokolwiek naprawdę się tym przejmuje, ha ha.

Pod koniec swojego monologu Josie spostrzegła, że Sam patrzy na nią w pewien szczególny sposób, badawczo i z rozbawieniem. Przypomniała sobie, że kiedyś często to robiła, sądząc, że ma bezpośredni kontakt z duszą

Josie, że potrafi otrzymywać komunikaty, których nikt inny nie jest w stanie odebrać ani odszyfrować.

– Nie rób tego – powiedziała Josie. – Nie zachowuj się tak, jakbyś mnie znała na wylot. Nie widziałyśmy się pięć lat.

To jeszcze bardziej ucieszyło Sam. Oczy jej się zaświeciły niczym reflektory z kreskówek.

– Zostawiłaś praktykę i uciekłaś przed Carlem. Albo uciekłaś przed praktyką i zostawiłaś Carla. Tak właśnie słyszałam.

Jedyną osobą, od której mogła o tym usłyszeć, wydawała się Sunny, która była zdruzgotana faktem, że Josie straciła gabinet, i która nigdy nie ujęłaby tego w taki sposób. Sam zawsze jednak nonszalancko podchodziła do każdej straty i każdej tragedii. Uważała, że ma do tego prawo jako spadkobierczyni własnego zepsutego świata.

– No cóż – odparła Josie i nie umiała wyczarować sposobu zakończenia tej myśli. Miała nadzieję, że te dwa słowa wystarczą.

W przedłużającej się ciszy radość Sam tylko rosła.

– No właśnie! – skwitowała, jakby wykonywały jakiś uroczy werbalny taniec, który obie znały i bardzo lubiły.

– Moje dzieci powinny coś zjeść – zauważyła Josie, licząc na to, że skupi uwagę Sam i swoją na sprawach praktycznych.

– Doug nad tym czuwa – wyjaśniła Sam, kiwając głową w stronę ogniska, które, jak zauważyła Josie, służyło również do przygotowania potraw z rusztu. Prymitywne rozwiązanie – wielki otwarty ogień zasilany olbrzymimi bierwionami, a wysoko nad nim ruszt podtrzymywany na skomplikowanej kratownicy z patyków.

– Lubią bratwurst? – zapytał Doug.

Josie odparła, że tak, wiedząc, że będzie musiała pokroić kielbasę na małe kawałki i wmówić swoim dzieciom, że to parówki.

Paul i Ana wrócili z bliźniaczkami, trzynastoletnimi, jednojajowymi, smukłymi i wysportowanymi dziewczynami, wyższymi niż ich matka i Josie. Miały gęste blond włosy o rudawym odcieniu, a za sprawą jasnych piegów i ciemnych, błyszczących, przenikliwych, roześmianych oczu



wyglądały niczym średniowieczne wojowniczkę, które właśnie wróciły z wyprawy obfitującej w radosne plądrowanie, bicie mężczyzn i ujeżdżanie wielorybów. Podeszły wielkimi krokami do Josie i objęły ją, jakby naprawdę ją znały i kochały. Josie, pokonana, powiedziała im, że są piękne, że nie może uwierzyć własnym oczom, a one patrzyły na nią i naprawdę słuchały. Sprawiały niezmiernie wrażenie.

Pożegnały się, żeby porzucić patykami, za którymi mogła gonić spora liczba dużych psów, a Josie dała swoim dzieciom talerze ze stertą kawałków kiełbasy i kukurydzy upieczonej w folii. Paul i Ana usiedli na olbrzymiej kłodzie obok kilku chłopców w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat, z których każdy trzymał w zbielonej dłoni nóż do krojenia mięsa. Gdy jedli, chłopcy strugali patyki, a długie włosy zakrywały im oczy. Paul przyglądał się temu obojętnie, ale Ana była urzeczona. Josie wiedziała, że niebawem zażyczy sobie noża i przez wiele dni będzie mówiła tylko o nożach.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważyła Sam.

– A ty na opaloną – odparła Josie. – To twój przyjaciel? – Wskazała na Douga, który uchylał się przed zmieniającym ciągle kierunek dymem z ogniska. Sam wzruszyła ramionami i podeszła do Douga, żeby pomasażować mu plecy, po czym schyliła głowę, broniąc się przed kłębami spowijającego ją dymu.

Josie rozejrzała się i spostrzegła, że Ana przeniosła się w inne miejsce i teraz siedzi na piasku przed małoletnimi rzeźbiarzami, mając oczy na poziomie ostrzy. Chłopcy śmiali się, przekonani, że Ana to ewenement, że ta dziewczynka jest najbardziej szaloną istotą, jaką kiedykolwiek widzieli. Po chwili oczy Any rozbłysły pod wpływem jakiejś myśli. Zadarła sweter, ten boliwijski, z luźno tkanej wełny, i z wielkim trudem ściągnęła go przez głowę, żeby pokazać koszulkę z postacią Zielonej Latarni. Udowadniała tym chłopcom, że nie jest dziewczyną, zwykłą dziewczyną – że jest jak oni, że podoba jej się Zielona Latarnia, że docenia walkę ze złem za pomocą wielkiej nadprzyrodzonej siły, docenia cięcie drewna wielkimi nożami. Chłopców jednak to zbyt nie obeszło; spojrzeli, zachichotali, ale nie

odezwali się ani słowem. Any to nie zniechęciło. Drżąc w swojej koszulce – temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni – dosiadła się do nich i od czasu do czasu kładła któremuś dłoń na rękę, jakby chciała jakoś uczestniczyć w procesie rzeźbienia. Jakby dzięki temu ludzkiemu przeniesieniu ona też mogła rzeźbić. Josie podała jej drugą kiełbasę na tekturowym talerzyku i Ana ją pożarła, ani na chwilę nie odrywając oczu od chłopców i ich rzeźbiarskich narzędzi.

Tymczasem Paul, wzięwszy talerzyk, ruszył w stronę bliźniaczków stojących w pobliżu bielika i głazu. Josie przyglądała się, jak podszedł prosto do nich i znieruchomiał. Dziewczynki odwróciły się do niego i wydawało się, że przyjęły jego obecność z zadowoleniem. Paul przykucnął i zjadł swoją porcję kiełbasy z kukurydzą. Spoglądali we troje na bielika; na horyzoncie, w płytkiej wodzie, przejechało kłusem dwóch jeźdźców. W końcu jedna z dziewcząt rzuciła kamieniem w stronę ptaka i ten wzbił się w powietrze. Wydawało się, że jego ramiona są zmęczone, a ruch skrzydeł zdecydowanie zbyt wolny i ociężały, by umożliwić lot, ale po chwili bielik znalazł się w górze, pnąc się ku niebu, jakby nigdy nic, jakby lot nie był niczym niezwykłym, ziemia w ogóle nie była niczym niezwykłym, a tylko kolejnym miejscem, które w każdej chwili można opuścić.

## VII

Po przyjęciu dzieci wdrapały się na tylne siedzenie pikapa Samantha, ona i Josie siadły z przodu i mijając po drodze młode sosny, pojechali do domu Sam, stojącego około półtora kilometra wyżej, na wzgórzu zabudowanym ładnymi domami. Z okien budynku z pofałdowanym trawnikiem i równo przyszczyżonymi krzewami dokoła rozciągał się widok na resztę miasta. Nie była to żadna prowincjonalna chata z bali, tylko porządny i nowoczesny dom – świeżo pomalowany, solidny i czysty.

Być przewodnikiem dla osób obserwujących ptaki, no! no! Sam dobrze wybrała. Wyjechała na Alaskę i otworzyła specjalizującą się w tym firmę, żadnych ceregieli, nie prosiła nikogo o pozwolenie. Na jakiejś wyspie niedaleko Homer mogła swobodnie korzystać z lasu i miała to rozpracowane. Czy opuściła społeczeństwo, jak chciała zrobić Josie? Tak i nie. Prowadziła firmę, miała dzieci, dzieci chodziły do szkoły, ona płaciła podatki, prowadziła korespondencję. Była w potrzasku tak samo jak Josie, ale miała łódź i nosiła trzewiki, a jej córkami były te wyjątkowe, lubiące przebywać na świeżym powietrzu istoty z długimi, miękkimi niczym znamiona kukurydzy, rozpuszczonymi włosami. Sam zrozumiała kilka rzeczy. Ułatwiła sobie życie.

Paul i Ana przebrali się i poszli na górę za bliźniaczkami, które powiedziały, że położą ich spać. Ana była zachwycona, Paul powściągał swój entuzjazm. Wcześniej Josie zamierzała powiedzieć mu o tym, że Sam jest w istocie jego matką chrzestną, lub oznajmić to jej, teraz jednak nie była pewna. Miała nadzieję, że Paul zapomniał o ich porannej rozmowie.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała Sam.

Okazało się, że pędzi własną whiskey, i chciała, żeby Josie skosztowała jej trunku. Josie nigdy nie nabrała upodobania do kolorowych alkoholi i była raczej pewna, że samogon Samantha nie będzie jej smakował.

Sam przyniosła omszałą flaszkę i mimo wszystko jej naląła, do tego za dużo, a co gorsza – do filiżanki po kawie. Josie powąchała trunek i stwierdziła, że jego woń jest mocniejsza niż zapach zwykłej whiskey – paskudna, zagadkowa i agresywna. Udała, że pije, że się krzywi, przełyka i że whiskey jej smakuje, czyniąc to wszystko śmiało, po męsku, jak tego oczekiwała Sam.

– Niech mnie – mruknęła.

Sam była zadowolona. Wyglądało na to, że celem wytwórczyni samogonu było sprawienie, by pijący się nim zakrztusił.

– Bardzo dobra – dodała Josie. Czegoś takiego jeszcze nie próbowała.

Zabrały filiżanki na taras na tyłach domu. Sam wzięła gruby koc, włączyła gazowy grzejnik i przysunęła go bliżej. Noc robiła się chłodna, a niebo było szare od nisko zalegających chmur. Siedziały, stykając się stopami, ich ciała tworzyły literę V zwróconą w stronę ciemnych drzew.

Josie zakładała, że zaraz dojdzie między nimi do poważnej rozmowy, pociągnęła więc spory łyk whiskey, pragnąc doświadczyć jej działania, a nie poczuć smaku. Smak był jednak wyraźny i koszmarny. Trunek parzył. Przywodził na myśl płonące tenisówki.

– Okropne – powiedziała.

Sam uśmiechnęła się i ponownie napełniła jej filiżankę.

– Cóż więc tutaj robisz, do kurwy nędzy? – zapytała.

Josie się roześmiała. Sam także. Śmiały się głośno, tak głośno, że z okna na piętrze wychyliła się jedna z bliźniaczek; Josie nie umiała ocenić która, i jej śniada twarz powiedziała: „Cicho tam, dziewczęta. Przecież dla tych maluchów to pora snu”.

Okno się zamknęło i Sam zwróciła się do Josie.

– Więc Carl nie chciał przyjechać? – zażartowała. – Mówię poważnie. Masz z nim jakiś kontakt? Orientuje się w sytuacji?

Josie zdała jej relację z udziału Carla w życiu jego dzieci, co zajęło osiem lub dziewięć sekund.

– Fatalnie – stwierdziła Sam. – Pamiętasz, jak nadał Anie przydomek „O Nie”, a potem „Mój Błąd”? Zabawny z niego gość. Właściwie bardzo dobrze sobie radził z dziećmi.

Jedno i drugie było prawdą w odniesieniu do pewnych osób w pewnym momencie, ale zniknięcie Carla sprawiło, że przynajmniej Josie wydawał się zarówno mniej zabawny, jak i mniej życzliwy dzieciom. Ilekroć słyszała pochwały pod jego adresem, przywoływała jego komiczne zbrodnie. Nieraz ją *prosił*, żeby udawała orgazm. Była gotowa o tym powiedzieć, ale Sam przeszła do następnego tematu.

– A czy dobrze słyszałam, że sprzedałaś swój gabinet? Że nie jesteś już dentystką? I że przez blisko rok miałaś sparaliżowaną twarz? Nie zamierzasz chyba zjechać tym kamperem z urwiska, prawda? Powstrzymaj mnie, jeżeli wścibiam nos w nie swoje sprawy.

– Nie – odparła Josie. Nic innego nie przyszło jej do głowy. Pomyślała: „Ty, która uciekłaś na Alaskę, która jesteś i nie jesteś na swój sposób mężatką... ty mnie osądzasz?”. Postanowiła jednak tego nie mówić. Nie było sensu. Wypiła kolejny spory łyk obrzydliwej whiskey i poczuła, że może po prostu pozwolić, by ten wieczór jakoś minął, odczekać godzinę, aż będzie mogła wymówić się zmęczeniem i pójść spać. Wieczorne powietrze było ciepłe, hałasowały świerszcze lub żaby, wiała bryza, a biegnąca gdzieś w oddali droga nuciła niewartą zapamiętania melodię.

Sam dołała jej whiskey.

– Więc zrezygnowałaś? Sprzedałaś gabinet? Co na to Sunny? – Josie się ucieszyła, że Sam przestała nazywać Sunny *mamą*. Gdy widziały się ostatnio, Sam posługiwała się tym słowem. Kiedy u niej mieszkały, żadna z nich jej tak nie nazywała i słuchanie, jak Sam używa tego określenia dwadzieścia lat później czy kiedy to tam się działo, było irytujące – jakby Sam oceniła po latach, kim była dla niej Sunny, i dała temu miano. Czyż nie nazywała jej kiedyś Sunsy? Owszem! Sam lubiła nadawać innym miana i przezwiska. Czemu to służyło? Pomagało jej zdefiniować lub

przedefiniować to, kim ona i Sunny były dla siebie. Zapewniało pewną kontrolę, jakby nazwanie jej Sunsy lokowało ją na właściwym miejscu, jako drobną, starzejącą się kobietę, podczas gdy słowo „mama” stanowiło szczególny tytuł grzecznościowy. Teraz jednak znowu wróciła Sunny. Było to po prostu jej imię. Imię, pod którym ją znali. Josie miała ochotę rzec: Zdecydujmy się na coś i już tego nie ruszajmy.

Sączyła whiskey i patrzyła w obsydianowe niebo. Pomyślała, że przyczyną wszystkich współczesnych neuroz może być to, że nie mamy niezmiennej tożsamości, żadnych niezbitych faktów, że wszystko, co uznajemy za fundamentalną prawdę, podlega zmianom. Na świecie wyczerpują się zasoby wody. Nie, w rzeczywistości pod ziemią znajduje się wystarczająco dużo wody, by pokryć powierzchnię ziemi niemal dwustumetrową warstwą. Więc nie ma problemu braku wody? No cóż, jedynie sześć procent tej podziemnej wody nadaje się do picia. Czyli jesteśmy skazani na zagładę? No cóż... Niekończące się wymijające odpowiedzi i wycofywanie się z poprzednich stwierdzeń. Największą winę ponosili uczeni, astronomowie. Jesteśmy materią. Nie, otacza nas materia. Jest dziewięć planet. Nie, osiem. Jesteśmy wyjątkowi, nasza planeta jest niezwykła w swojej zdolności podtrzymywania życia. Nie, istnieją miliardy ziemopodobnych planet, przeważnie większych od naszej, przeważnie zapewne o wiele lepiej rozwiniętych. Sunny. Sunsy. Mama.

Sam coś do niej mówiła. Josie skupiła się na jej słowach.

– Pewnie była zdruzgotana. *Zdruzgotana.*

No tak. Spodziewała się tego. Kiedy zaczęła studiować stomatologię, Sam była bezlitosna. „Nie musisz się aż tak podlizywać, Joze”. Była wściekła, zdeprimowana tym, że Josie dopięła swego i otworzyła własny gabinet. Wtedy przeprowadziła się do Anchorage, potem do Homer, a Sunny, Josie i Helen wysnuły niewypowiedzianą teorię, że Sam wybrała przenosiny na Alaskę jako sposób na oddanie zwycięstwa i pola Josie. Josie wygrała, zaskarbiła sobie większą miłość Sunny i tym samym mogła mieć ją i resztę Stanów Zjednoczonych dla siebie.

Nagle rozległ się łomot; to rozsznurowane buty Sam spadły na podłogę. Oparła swoje stopy, ogromne w grubych wełnianych skarpetach, na szarym stole piknikowym.

– Cholera jasna, przepraszam cię – powiedziała Sam i jej twarz znalazła się nagle na wprost twarzy Josie. Ich nosy się zetknęły. – Nie jestem na ciebie wściekła. Ani zazdrosna. Wiem jednak, że zawsze myślałaś, że jestem rozgoryczona.

Josie przypomniała sobie nagle moment, w którym Sam oskarżyła ją o to, że szykuje się do odziedzczenia praktyki dentystycznej Sunny po jej śmierci. Tak często bywała paskudna, a teraz znowu wykorzystwała pretekst, że wszystko się popieprzyło. Co z tego.

– Kocham cię. Jesteśmy siostrami – dodała Sam i teraz Josie łzy napłynęły do oczu, a Sam płakała. – Chcę usłyszeć, co się stało. Rozmowa pomaga.

Josie uważała, że to dyskusyjne twierdzenie. Zazwyczaj rozmowy nie pomagały. Rozmowy bolały jak diabli. Tak jakby ktoś powiedział człowiekowi pogrążającemu się w grząskim gruncie: „Stanie bez ruchu pomaga”. W tym wypadku Josie była pewna, że ból będzie przejmujący, że tej nocy, później, leżąc na wysuwany łóżku w suterenie, będzie o tym myślała jeszcze bardziej sugestywnie. Wiedziała tak naprawdę, że będzie tam leżeć, zziębnięta i z głową pękającą od paskudnej whiskey, i to wszystko znowu analizować, myśląc również o swoich dzieciach śpiących dwa piętra wyżej, które mogą się obudzić w środku nocy i nie wiedzieć, gdzie podziewa się ich matka – nie domyślą się, że w suterenie, że tam śpi, i będą przerażone. Josie była przekonana, że rozmowa o tym wszystkim to okropny pomysł – mówienie o okropieństwach nigdy jej nie pomagało, lepiej się czuła, zapominając, budując swoje życie wokół niepamięci. Sam chciała jednak wiedzieć i w chwili słabości wywołanej upojeniem Josie uznała, że otwarcie tej rany to wspianiały pomysł.

Miała taką szlachetną twarz. Z białymi włosami, różowymi policzkami każdemu, kto ją spotykał, przywodziła pewnie na myśl żonę Świętego

Mikołaja. Jak to możliwe, że taka kobieta, kobieta o imieniu Evelyn, i to Evelyn Sandalwood! – nazywająca się jak produkt, który miał nieść ulgę osobom zmęczonym i znużonym! – jak to możliwe, że ta wdowa z pięciorgiem wnucząt stała się taką diabolicą? Josie pomyślała o dziwnych pomnikach na pustyni, pochylonych i wydrążonych bryłach, w które wiatr i rzeki przeobraziły okazałej wielkości góry.

Evelyn była jej pacjentką. Przez lata nie było problemów.

Śmierdziało jej z ust, owszem, była palaczką o delikatnych zębach, dwadzieścia cztery plomby, wrażliwe dziąsła. Ale nic takiego, co zdecydowanie odbiegało od normy. Zazwyczaj wyczuwało się zatroskanych pacjentów – mieli tyle obaw, rzucali się w fotelu, chwyтали za poręcze, patrzyli z wyrzutem, zanim splunęli do spluwaczki. Po zabiegu zadawali mnóstwo pytań, zostawali w gabinecie znacznie dłużej niż powinni, pytali o zdanie jej higienistki. W przeszłości rozstała się z wieloma z tych pacjentów, odsyłając ich do tańszych lub droższych dentystów, gdzie tylko się dało.

Ale Evelyn należała do tych dobrych. Rozmawiały o strumieniu przepływającym nieopodal jej gabinetu, o tym, jak Evelyn w dzieciństwie pływała kajakiem po jego zasiarczonych wodach. Od czasu do czasu w sympatyczny sposób wspominała o zmarłym mężu, nic makabrycznego, rozumiejąc, że odszedł, czując, że miała szczęście być z nim tak długo. Nie była zła z żadnego powodu, z nikim nie miała na pieńku. Sprawiała wrażenie uczciwej osoby. Czemu więc zaatakowała ją tak brutalnie? Josie wyczuwała, że otaczają ją ludzie mający duże wpływy. Zięć, który był prawnikiem specjalizującym się w sprawach o odszkodowania za obrażenia cielesne. Bratanica, która widziała jakiś film dokumentalny o błędach w sztuce. Josie słyszała różne rzeczy, ale nie była pewna. To było małe miasto, Josie nie mogła wiedzieć, jak wygląda prawda, co się dzieje w domu Evelyn, w jej głowie.

Wiedziała natomiast, że pewnego dnia zażądano od niej przesłania dokumentacji medycznej pacjentki Evelyn Sandalwood. Christy, recepcjonistka, otworzyła list od prawnika znanego jako diabelskie



nasienie, zapytała, co ona na to, a Josie oczywiście kazała ją przesłać, przesłać całą dokumentację. Nie mogła jednak złapać tchu. Gapiała się na nagłówek listu. Ten prawnik był bestią. Była trzecia po południu, został jej jeszcze jeden pacjent, tylko przegląd kontrolny i usuwanie kamienia nazębnego. Zerknęła na list, bojąc się go przeczytać, ale dostrzegła słowa „rażące zaniedbanie” oraz „znacząca zwłoka w diagnozie” i już wiedziała, że jej praktyka dentystyczna nie przetrwa. Pozwoliła Christy zamknąć gabinet, a w drodze do domu wstąpiła do spożywczego i kupiła sobie wielką butelkę prosecco. Dotarła na parking, po czym wróciła do sklepu po gin.

Powinna była zauważyć tego guza. O to mieli pretensje. Przy każdym przeglądzie kontrolnym Josie robiła normalne badanie przesiewowe pod kątem raka jamy ustnej i w przypadku kogoś takiego jak Evelyn, palaczki, zrobiła je bez pośpiechu. Uniosła i uważnie obejrzała ten paskudny język kolorem i fakturą przypominający dywanik samochodowy. Pamiętała doskonale, że to robiła, pamiętała, że niczego nie stwierdziła, pamiętała, że zakreśliła na karcie wynik *negatywny*.

Jednak szesnaście miesięcy później Evelyn miała raka w trzecim stopniu zaawansowania i żądała dwóch milionów dolarów. Josie nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Zadzwoiła do Raja. „Wpadnij do mnie pracy” – zaproponował. Raj miał własny gabinet w mieście i oboje często rozmawiali, zasięgaliby swojej opinii na temat kanałów korzeni zęba i dla zabawy podsyłali sobie nawzajem najbardziej wkurzających pacjentów. Raj był korpulentnym mężczyzną przed sześćdziesiątką, z tubalnym głosem i skłonnością do wątpliwej jakości filozofowania. Stawał, zapierając się mocno nogami, jakby był gotów wytrzymać nagły podmuch wiatru, i mówił na przykład: „Nie mogę zaprzeczyć, że kocham moją pracę, ponieważ kocham wszystkich ludzi!”. Albo, w dniu mniej radosnym: „Jedyny problem w naszym fachu, Josie, stanowią ludzie i ich okropne jamy ustne”.

Tym razem, gdy Josie przyszła do jego gabinetu, zastała go stojącego w pustym holu z rozłożonymi rękami. Zamiast jednak ją objąć, Raj zaczął wygłaszać jedno ze swoich oświadczeń. „Powiedziałem moim córkom: Nie

idźcie na medycynę!”. Byli tam tylko we dwoje, ale on mówił tak głośno, jakby przemawiał na wiecu pod gołym niebem. „Możesz sobie wyobrazić? Hindus radzący swoim córkom, żeby nie zostawały lekarzami? To przez te procesy! Ta ciągła odpowiedzialność. Ta kultura narzekania! Nie jesteśmy dawcami nieśmiertelności! Jesteśmy omylni! Jesteśmy ludźmi!” Josie zapytała, czy kiedykolwiek został pozwany przez pacjenta, a on odparł, że oczywiście, raz w Pensylwanii, ale nie zna dobrego adwokata w Ohio. Przez resztę godziny słuchała, jak mówi o swoich kłopotliwych pacjentach, o kilkunastu sytuacjach, w których sam ledwie uniknął procesów.

Gdy Josie wreszcie znalazła prawnika, młodą kobietę, która właśnie odeszła z biura prokuratora okręgowego w Cincinnati, już wiedziała, że nie wygra. Wynajęła młodziutką adwokat do obrony przed kobietą umierającą na raka, kobietą, która przypadkiem przypominała żonę Świętego Mikołaja. Nie miała żadnych szans. Chodziło tylko o warunki ugody i wysokość odszkodowania.

Pomysł, żeby oddać praktykę, przyszedł jej do głowy pewnego dnia, kiedy wchodziła do gabinetu. W chwili gdy klucz obracał się w zamku, myśl o tym zdumiała Josie swą cudowną prostotą. Przekaze firmę Evelyn Sandalwood. Ta kobieta zepsuła reputację gabinetu i teraz mógłby stać się jej własnością. Jej prawnik napomknął o ugodzie na sumę dwóch milionów dolarów. Ubezpieczenie Josie pokrywało roszczenia do wysokości jednego miliona, a jej firma mogła mieć wartość około pięciuset tysięcy, zaproponowała im więc wymianę. Ona odda całość: sprzęt, klientów, wszystko, i odejdzie. Mogli dostać to wszystko, w sumie półtora miliona, teraz albo czekać bez końca na mniejszą sumę.

Prawniki Evelyn uparcie twierdził, że to absurdalne, wykluczone, dopóki była prokurator nie wyjaśniła, ile czasu zajmie Evelyn wydebienie od Josie tej samej kwoty w gotówce. Dom, w którym mieszkała, nawet gdyby go sprzedali, należał do niej tylko w połowie, a po sprzedaży, podziale pieniędzy, zapłaceniu podatków i prowizji mógł przynieść Evelyn sto pięćdziesiąt tysięcy. Reszta przyszlaby w postaci zarobków Josie

zajmowanych przez resztę jej życia – a było wiadomo, że Josie nie zamierza już pracować w swoim zawodzie, więc powrót do dawnego poziomu dochodów był nierealny. Firma mogła stać się własnością Evelyn. Tak wyglądała propozycja Josie. To ona również wpadła na pomysł, żeby dać ludziom Evelyn siedemdziesiąt dwie godziny na podjęcie decyzji. Przez te trzy dni wysyłali oni do gabinetu rzeczoznawców, którzy określali wartość maszyn, lamp, instrumentów. W trakcie tej wyceny zadzwonił Raj.

– Kupię go za milion – oświadczył.

Josie odparła, że nie jest tyle wart.

– Moim zdaniem jest! – ryknął do słuchawki. Nie wiedzieć czemu przez telefon mówił jeszcze głośniej.

Josie powiedziała, że jest świętym człowiekiem.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa! – zawołał. – Chcę, żebyś zapomniała o tej ohydzie i znalazła spokój ducha! Teraz jesteś wolna!

Jeszcze przed historią z Evelyn praca nie sprawiała jej już przyjemności, nie była nawet znośna. Pewnego dnia Josie przysłała do gabinetu i znalazła kartkę przyklejoną taśmą do drzwi. JAK MOGŁAŚ? – zapisano mocnymi pociągnięciami długopisu. To pytanie napełniało ją przerażeniem przez wiele tygodni. Kto to napisał? Co ono znaczyło? Chodziło o Jeremy’ego czy ktoś narzekał na zbyt wysoki rachunek? Josie zrobiła się bojaźliwa. Zaczęła mamrotać. Tak bardzo bała się udzielać rad, przekazywać wiedzę, która mogła doprowadzić do czyjejś śmierci w jakiejś odludnej afgańskiej dolinie, że przestała się niemal odzywać. Obawa przed wywarceniem wpływu! W jej kraju w tym szczególnym obłąkańczym okresie dentystka miała władzę, by posłać człowieka na śmierć. Dentystka! Powiedziała Jeremy’emu szalenie zachęcające rzeczy o jego zdolności zmieniania świata i chłopak zginął od kuli. Potem poszła w innym kierunku, zakreśliła kratkę „negatywny” i to, jak twierdzili Evelyn i jej pazerni krewni, doprowadziło do raka u tej chorej kobiety. No cóż, wystarczy. Lepiej było milczeć, unikać ludzi. Koniec z otwieraniem ust, poczynając od własnych.

– Nie martw się – rzekł Raj.

Spacerowali po pustym gabinecie. Wszyscy odeszli. Raj miał niebawem przejąć praktykę, zatrudnić ponownie większość pracowników. Bardzo go za to lubiła.

– Josie – powiedział, trzymając ją za obie ręce, jakby mieli zaraz zatańczyć w cztery pary – ludzie bezradni zawsze będą zerować na kompetentnych. Tak samo jak tonący pociągnie na dno kogoś, kto tylko płynie w miejscu.

Ostatnie spotkanie z Evelyn i jej ludźmi nie było przyjemne. Od czasu pierwszego wezwania minęło wiele miesięcy i staruszka straciła trzynaście kilogramów. Nie mogła mówić, a spojrzenie jej kiedyś tak życzliwych oczu stało się surowe. Josie pragnęła jej współczuć, ale nie czuła nic. Chciała zniknąć. Evelyn zaakceptowała warunki, wzięła pieniądze, a jej zięć przyglądał się, jak podpisuje dokumenty piórem trzymanym w uschniętych, pożółkłych palcach.

I Josie była wolna.

– I dlatego miałaś zdętwiałą twarz? – wymamrotała Sam. Podczas opowieści Josie zdążyły dwukrotnie opróżnić swoje filizanki.

– Nie wiem – odparła Josie. – Pewnie tak.

Spojrzała w mrok nocy i zapytała:

– Czy tak właśnie powinniśmy żyć?

– Co to znaczy? – zdziwiła się Sam, wstała i spojrzała przed siebie, próbując dostrzec to, co widziała Josie.

– Masz wrażenie, że robisz to, co powinnaś robić? Że wykorzystujesz swój czas tutaj właściwie?

Josie się roześmiała, żeby podważyć znaczenie tego, co właśnie powiedziała, ale nawet w alkoholowym zamroczeniu wiedziała, że to jest najważniejsza myśl, która zaprzętała jej głowę przez znaczną część ostatnich dwudziestu lat. Gdziekolwiek przebywała, potrafiła być zadowolona i wykonywać swoją pracę, karmić swoje dzieci lub chwilowo kochać człowieka takiego jak Carl, mieszkać w mieście, w którym mieszkała, w kraju, w którym się urodziła, lecz codziennie widziała życie

setek innych istot i wydawało się ono warte co najmniej tyle co jej egzystencja.

Sam nie odpowiedziała. I wtedy Josie zdała sobie sprawę, że nie wypowiedziała tych słów na głos. Chciała je wypowiedzieć, ale odpowiedni moment minął i już nie mogła.

– Nieważne – powiedziała natomiast i chodziło jej o to, że one, Josie i Sam, powinny być dla siebie lepsze. „Wszyscy powinniśmy być dla siebie lepsi” – pomyślała. Evelyn nie powinna była zachorować na raka i nie powinna była w ramach rekompensaty pozbawiać Josie środków do życia. A poza tym, dlaczego od jedenastu lat nie miała wieści od swojego ojca, a Jeremy nie żył? Czy można się było na to godzić?

– Na co tak patrzyłaś? – zapytała Sam.

– Nieważne – powiedziała znowu Josie, a potem dodała: – Chyba już pora spać.

Nie spała jednak. Zeszła do sutereny i położyła się na rozkładanej kanapie. Jej firma przepadła i nie było tablic pamiątkowych ani podziękowań. Jej pracownicy winili ją, nie Evelyn Sandalwood, nie kanibalistyczny klimat prawny ani nie otchłań, która pochłonęła porządek moralny, lecz Josie – za upadek gabinetu i utratę miejsc pracy. Tania zrugowała ją za brak odpowiedniego ubezpieczenia. Tania! *Którą ona ubezpieczyła!* Wszystkie te młode kobiety przyszły do Josie w poszukiwaniu pracy, owszem, ale – co ważniejsze – chciały mieć ubezpieczenie. Gabinet dentystyczny zapewniał oczywiście najlepszy zakres ochrony. Cierpiały na jakieś przewlekłe choroby i nie mogły się powstrzymać – pytały o ubezpieczenie w pierwszych dziesięciu minutach każdej rozmowy kwalifikacyjnej. Josie zatroszczyła się o Tanię, Wilhelminę i Christy, zatroszczyła się o wszystkie te kobiety i żadna z nich nie straciła nawet centa. Stracić miała tylko Josie, a one wzięły zapłatę i uważały się za oszukane. Po co było prowadzić małą firmę, po co kogokolwiek zatrudniać? Te kobiety wychowano tak, żeby czuły się niezadowolone z każdego pracodawcy, oszukane przy każdej wypłacie. Josie wielokrotnie proponowała im stworzenie spółdzielni,

systemu, w którym wszyscy uczestniczyli w zyskach i dzielili ryzyko. Żadna nie chciała o tym słyszeć. Wolały być niezadowolone.

Zamknęła oczy.

I napotkała twarz tamtej fanatyczki ze szkoły – kobiety w apaszcze, zawsze w jakiejś apaszcze – która uważała, że Josie to jakaś próżniaczka. „Jak możemy sprawić, żeby się pani tutaj bardziej zaangażowała?” – pytała, a spod potarganych czarnych włosów przypominających miotłę z jeżyn spoglądały jej oszalałe, świdrujące oczy. Nie, nie. Nowa myśl. Jeremy. Nie Jeremy. Ktoś inny. Nie Carl. „Przeczytałem książkę o HTML-u!” – ryknął kiedyś Carl i wtedy jedyny raz słyszała, jak krzyczy. „Przeczytałem od deski do deski!” Dla niego to był rodzaj pracy. Czytanie usprawiedliwiało jego lenistwo. Być może była to najwspanialsza rzecz, jaką zrobił poza ubikacją. Pamiętasz ten moment, gdy kupił dwadzieścia cztery rolki papieru toaletowego w dwóch paczkach? Musiał; codziennie zużywał jedną rolkę. Nie. Koniec z Carlem. Josie usunęła go z myśli. Patti? Co się stało z Patti, jej przyjaciółką z przedszkola? Patti była dobra. Patti była zabawna, rubaszna, wiedziała, kiedy ktoś picuje. Josie uświadomiła sobie szokującą prawdę, że to jej wina – wiosną ubiegłego roku Patti wiele razy próbowała nawiązać kontakt, a ona co? Zapomniała odpisać? Zadzwonić. Nie, Patti się przeprowadziła. Rozwiodła i przeprowadziła. Czemu nie pamiętała o takich rzeczach? Prowadzenie firmy zabija zdolność bycia takim przyjacielem, jakiego inni oczekują i na jakiego zasługują. Mijają dni i tygodnie i już nie da się podtrzymać relacji. Najlepszymi przyjaciółmi Josie były jej najdawniejsze przyjaciółki, które nie oczekiwały stałego kontaktu. Wszyscy inni byli rozczarowani.

To była główna reakcja, jaką wywoływała w innych: rozczarowanie. Jej pracownicy były rozczarowane godzinami pracy i zarobkami, pacjenci niedostateczną dbałością o nich, o ich ubytki, o to, że brzydko pachnie im z ust, o ich delikatne zęby i pokrętne ubezpieczenie medyczne. Skrzynka na sugestie, pomysł jej personelu, okazała się katastrofą. „Trochę rozczarowany”. „Bardzo rozczarowany”. „Ogromnie rozczarowany”. Schowała skrzynkę, przeżyła kilka szczęśliwych lat, po czym pojawiły się

witryny internetowe z ocenami klientów. Chryste, tylu niezadowolonych, wszyscy ci anonimowi pacjenci mszczący się za każde jej potknięcie, każdą chwilę niedoskonałości. Rozczarowanie jej podejściem do pacjenta. Rozczarowanie postawioną diagnozą. Rozczarowanie czasopismami w poczekalni. Każde rozczarowanie zbrodnią.

Żyjemy w czasach powszechnej mściwości. Nie dostałeś kurczaka w sosie pomarańczowym, którego zamówiłeś, *lub* klejącego się ryżu? A teraz jesteś już w domu? Co znaczy, że musiałyś jechać z powrotem, żeby zrealizować swoje zamówienie? niesprawiedliwość! I stąd chęć zemsty. Pomszczenia zbrodni popełnionych przez właściciela restauracji! To nasza współczesna odmiana wyrównywania rachunków, wygarnięcia władzy prawdy w oczy. Zemścij się na właścicielu na stronie internetowej z ocenami klientów! Wyrównaj rachunek! Josie sama też tak robiła. Zrobiła to trzy razy i za każdym razem przez dwie, trzy minuty sprawiało jej to wielką przyjemność, a potem czuła się podła i wykończona. Świat nie zwracał na to uwagi. Zapomnij o tym. Jakim cudem tak długo utrzymała się w branży? Chciała powiedzieć: Ja też jestem rozczarowana. Rozczarowana waszym cuchnącym oddechem, tym, że wam staje, kiedy Tania się nad wami pochyła, napierając biustem na wasze pokryte meksykańskim ramiona. Rozczarowana tym, jak kurczowo trzymacie się poręczy fotela, jakbym zadawała wam ból, pieprzcie się, przecież ledwie was dotykam. Beksy. Dorosłe niemowlęta. Jeżynowowłosa mama była rozczarowana. A najbardziej ze wszystkich rozczarowała się Evelyn. O cholera, to temat na przedstawienie: *Rozczarowani – musical*.

Pomyślcie o tym – publiczność wychodzi *rozczarowana*. Co obejrzelście? Jak by się wam podobało? *Rozczarowani*. To dopiero byłaby reklama! *Po tym spektaklu wyjdziecie rozczarowani*. Sukces gwarantowany. Leżąc w suterenie, z otwartymi teraz oczami, z dala od śpiących i śliniących się dzieci, Josie pomyślała, by sięgnąć po notes. Nie, zapamięta. To był lepszy pomysł niż *Norwegia!* Wszystkie piosenki w *Rozczarowanych – musicalu* będą litanią narzekań napisaną do żywej muzyki. Dekoracje będą kalejdoskopową orgią barw i produktów, niewyobrażalnym

asortymentem rzeczy i dostępnych nam udogodnień, wszystkich jakoś niespełniających oczekiwań, wszystkich sprawiających nam zawód. Produkty, którymi mamy być rozczarowani. Nasi przyjaciele: rozczarowujący. Nasi rodzice: rozczarowania. Linie lotnicze: rozczarowujące. Nasze państwa i przywódcy, same rozczarowania. Spektakl sprawiłby, że to rozczarowanie nabrałoby czterech wymiarów. Aktorzy śpiewaliby i tańczyli w zjawiskowych strojach, które na swój sposób nie spełniałyby oczekiwań. Fotele w teatrze byłyby wygodne, oczywiście, ale przecież mogłyby być lepsze. W antrakcie serwowano by napoje, ale one nie byłyby dostatecznie dobre, a przerwa przed aktem drugim wystarczająco długa, by je dopić. Ceny biletów: niezupełnie szokujące, ale z pewnością rozczarowujące. Ich dostępność też rozczarowująca. Spektakl trwałby zbyt długo.

Gwiazdą byłyby jednak Evelyn. Ktokolwiek grałby jej rolę, byłby po siedemdziesiątce, ale jej otwierający numer traktowałby o wszystkim, dla czego musiała żyć, o setkach otwierających się przed nią możliwości. Widzielibyśmy starzejącą się kobietę, kobietę, która nie jest w pełni zdolna poruszać się po scenie – paliłaby też papierosy i może nawet w ogóle by się nie ruszała, być może siedziałaby tylko na stołku i śpiewałaby piosenkę o wszystkim, co chciałaby robić, w taki sposób, jakby była pełną życia osobą nowo przybyłą do wielkiego miasta. Ale potem... potem ma wizytę u dentystki, która jest nieuważna, jakoś powoduje u niej raka – tak wyglądałoby zakończenie aktu pierwszego. Dentystka powoduje raka, nie dostrzegając go w porę. Jej drugi numer solowy byłby tragiczną pieśnią o utraconych horyzontach, o ograniczonym czasie, o rozczarowaniu. Aplauz publiczności wzbudzałaby piosenka zatytułowana *Każde rozczarowanie jest zbrodnią* i w tym numerze do Evelyn dołączyłyby jej dzieci i wnuki, wszyscy użalający się nad jej losem, ale też liczący na pewną dozę satysfakcji, gdy sprawiedliwości stanie się zadość i niesumienna dentystka zostanie ukarana i usunięta – może przez jakąś zapadnię w scenie? Spektakl kończyłby się w ten sposób: spadaniem dentystki w momencie wznoszenia się Evelyn, która wśród dźwięków



kornetów i waltorni trafiłaby do nieba, gdzie oczywiście też spotkałoby ją rozczarowanie.

## VIII

Obudził ją łoskot dolatujący z pokoi na górze. Zdała sobie sprawę, że to słyhać Sam i bliźniaczki, które jadły śniadanie, ubierały się i – błagała o to w myślach – wkrótce miały wyjść. Nie miała pod ręką zegara i nie chciała wiedzieć, która jest godzina. Chciała jedynie, żeby opuściły dom, zanim zbudzą Paula i Anę. Sam powiedziała, że rano musi jechać do pracy, oprowadzać grupę z New Jersey, a bliźniaczki będą w szkole, więc Josie zostałaby sama z dziećmi aż do popołudnia.

Drzwi domu zamknęły się delikatnie, potem z armatnim hukiem zatrzęsęły się drzwi z siatką przeciw owadom i Josie nakryła głowę poduszką. Po chwili otworzyły się znowu, a siatka waliła jeszcze trzy, cztery razy. Josie uznała, że to jakiś żart. W końcu jednak zapadła cisza, w łóżku było ciepłutko i przez chwilę myślała, że znowu zaśnie, by nagle, zamknąwszy oczy, ujrzeć twarze Jeremy'ego i jego matki oraz jej oskarżycielskie spojrzenie. Mając do wyboru zdecydowanie zbyt wczesną pobudkę albo ponowne zamknięcie oczu, żeby odeprzeć inwazję tych twarzy i ich oskarżenia, odrzuciła na bok koce oraz poduszki i wstała. Na parterze było cicho i czysto. Sam i jej córki nie pozostawiły bałaganu ani żadnych śladów świadczących o tym, że zupełnie niedawno jadły tutaj lub w jakikolwiek sposób zajmowały te pomieszczenia. U niej w domu nie myło się naczyń po kolacji; wydawało się, że lepiej zostawić je do rana, jakby ich zbyt szybkie sprzątnięcie ze stołu i umycie mogło przedwcześnie zatrzeć wspomnienie smacznego posiłku. Josie chodziła po domu i powoli przytomniejąc, pomyślała z odrobiną radości, że mniej więcej przez dwadzieścia minut będzie mogła bez przeszkód, nieobserwowana przez

nikogo, penetrować dom. Sam nie miała kawy, więc Josie zaparzyła herbatę i spacerowała po kuchni, otwierając szafki i wysuwając szuflady.

Wszystko było zdumiewająco dobrze urządzone. Osobna szafka na kieliszki, osobna na talerze oraz miski i do żadnej z nich nie trafił żaden intruz – ani jedna szklanka czy półmisek. Jedna szuflada mieściła foliowe worki. Jedna szafka zawierała garnki. W szufladzie na srebro stołowe nie było nic innego – żadnej tarki do marchwi, żadnych uchwytów do kukurydzy. Te narzędzia miały osobną szufladę. Josie na próżno szukała szuflady, pojemnika lub szafki, gdzie trzymano by lub chowano podczas rozpaczliwego sprzątania wszystkie rzeczy, których nie dało się w żaden sposób zaszeregować. Lodówka, choć nienowa, lśniła czystością, a w środku stały plastikowe pudełka z resztką makaronu i wegetariańskimi burgerami. Mleko zostało jakoś wyczarowane z konopi, a sok pomarańczowy wyciśnięto i zabutelkowano w Homer. Niedojedzony banan był owinięty starannie plastikową folią.

Josie stanęła w drzwiach do salonu i popijając herbatę, zastanawiała się, jak dziwnie jest znaleźć się w jakimkolwiek domu. Była z dziećmi w podróży zaledwie od kilku dni, a już to, ten duży dom o solidnych ścianach, na których można było bez obaw wieszać obrazy i lustra, stanowił obcą, nieodgadnioną świątynię trwałości. Uświadomiła sobie, że dotyka tych ścian, opiera się o nie, zachwyca się ich mocą. W salonie znajdował się kominek, który wyglądał na używany, z równą ścianą pościartowanych polan z jednej strony i mniejszą piramidą drewna na rozpałkę z drugiej. Na gzymsie kominka stały stare rodzinne fotografie, które Josie rozpoznała – jedna przedstawiała Sunny, Helen, Josie i Sam, oczywisty zestaw szkolnych zdjęć bliźniaczek i lacrosse’owych trofeów, a także duża tabliczka, na którą Josie początkowo nie zwróciła uwagi, żeby potem, kiedy ponownie na nią spojrzała, zdać sobie sprawę, że zrobiono ją dla upamiętnienia odejścia Sunny na emeryturę. Skąd *Sam* ją miała?

Usłyszała, jak dwie małe stopy opadają na podłogę na piętrze i z częstotliwości odgłosów stąpania domyśliła się, że to Ana. Rankiem Paul wolniej wkraczał na nowo w otaczający go świat. Byłoby lepiej, pomyślała,

gdyby jej dzieci miały ojca takiego jak ojciec Zoe i Bekki: bohaterskiego i przebywającego z dala od domu zamiast tchórza będącego na wyciągnięcie ręki. Było to zdecydowanie lepsze rozwiązanie i Josie usiłowała stłumić ogarniającą ją zazdrość. Jakim cudem Sam mogła sobie pozwolić na taki dom, oprowadzając wycieczki miłośników ptaków przez trzy miesiące w roku? To było niedorzeczne i niesprawiedliwe. Dlaczego jej pozbawione ojca córki były tak piękne i silne? Dlaczego Sam znajdowała łatwe rozwiązania na wszystko, podczas gdy Josie czuła się tak, jakby miała głowę w imadle?

– Mamo?! – zawołała z góry Ana, nie przejmując się ani trochę śpiącym bratem.

– Tutaj – odparła Josie i Ana zeszła, stąpając ciężko, po schodach.

Dziewczynka była głodna, więc Josie znalazła w lodówce jogurt i podzieliły się jednym kubkiem. Zjadły też winogrona i krakersy. Znalazły jajka, więc Josie zrobiła omlety. Jedząc drugą porcję, Ana spostrzegła w ogrodzie na tyłach domu przyrząd do zabawy i podbiegła ku niemu. Paul jeszcze spał, więc Josie podeszła z powrotem do lodówki, znalazła w niej czekoladki i zjadła sześć z ośmiu. Otworzyła drzwi od frontu, licząc na to, że znajdzie odpowiedź na pytanie o swoje dzisiejsze niezadowolenie, znalazła jednak tylko poranną gazetę.

Przyniosła ją do kuchni i przeglądała, mając równocześnie oko na Anę zajęłą znajdowaniem słabych punktów w ogrodowym przyrządzie. Wiedziała, że prędzej czy później mała uszkodzi jakiś element, wiedziała też, że córki Sam są zdecydowanie za duże, żeby się na czymś takim bawić. W przypadku swojej córki codziennie dokonywała kalkulacji: jakie jest prawdopodobieństwo, że to uszkodzi? Ile czasu i pieniędzy będzie wymagała naprawa? Zlustrowała przyrząd, szukając wzrokiem, co Ana może zrobić w najgorszym razie, i doszła do wniosku, że uszkodzenia obejmą cienkie łańcuchy, którymi do grubych słupków przymocowano huśtawki. Łańcuchy stanowiły najszlaby punkt konstrukcji. Ana zdawała sobie z tego sprawę i już szarpała je gwałtownie.

Josie ponownie napełniła filiżankę herbatą i zainteresowała się lokalnym tygodnikiem. Artykuły z pierwszej strony dotyczyły pracownika ratusza, który ulotnił się z dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów w dwudziestopięciocentowych monetach przez trzy lata podkradanych przez niego z parkometrów. Autorzy byli zdumieni i oburzeni, ale Josie pomyślała: „To przecież nadzwyczajny przykład planowania i realizacji zamierzeń”. Ten człowiek miał talent. Znajdująca się kilka stron dalej grafika w dziale ogłoszeń przedstawiała dwa słowa: NARODZINY, któremu towarzyszył rysunek grzechotki i butelki, oraz POLICJA, z rysunkiem kajdanek. Słowa te i rysunki sąsiadowały z sobą, pochylone energicznie, i widniały nad czymś, co w znacznej mierze stanowiło niezwykle klarowną księgę zatrzymań.

#### **16.08**

Anonimowy rozmówca poinformował o półciężarówce poruszającej się po East End Road i Kachemak Bay Drive z płonącą oponą.

Dzwoniący powiadomił o agresywnym psie na Beluga Court.

Dzwoniący poinformował o leżącej na plaży rannej wydrze. W Alaskańskim Centrum Flory i Fauny Morskiej, gdzie zasięgnięto opinii, poradzono poczekać i sprawdzić, czy wydra wróci do wody.

Dzwoniąca powiadomiła o sąsiadach hałasujących pod jej oknem przy Ben Walters Lane.

#### **17.08**

Dzwoniący zgłosił znalezienie czarnego labradora przy Baycrest Hill.

Mężczyzna ze Svedlund Street poinformował, że jego kobieta ciągle na niego wrzeszczy. Oświadczył, że nie życzy sobie przyjazdu policji.

Kobieta oddała znaleziony przez siebie portfel.

#### **18.08**

Ktoś doniósł o przewróconej przyczepie kempingowej na Ocean Drive Loop.

Dzwoniąca poinformowała, że jej mąż został napadnięty, gdy szedł wzdłuż jezdnii.

Dzwoniący zgłosił kradzież silnika przyczepnego przy Kachemak Bay Drive.

Dzwoniący poinformował o idącym drogą mężczyźnie w kajdanach.

## 19.08

Mężczyzna przyszedł do policyjnej dyżurki i poinformował, że sądzi, iż ktoś ukradł mu golden retrievera.

Dzwoniący powiadomił o rannej wydrze.

Kobieta poinformowała o jasnym świetle wypełniającym wnętrze jej domu.

Wszystkie te wpisy były bardzo jasne, a mimo to Josie nasunęło się wiele pytań. Czy mężczyzna w kajdanach był jakoś zamieszany w napaść na człowieka idącego wzdłuż jezdni? Czy w zgłoszeniach z szesnastego i dziewiętnastego sierpnia chodziło o tę samą wydrę?

Paul zszedł na parter. Coś w jego oczach odzwierciedlało jej własne myśli o tym domu: był ciepły, solidny, sprawiał, że egzystencja jej rodziny w chateau wydawała się całkowicie nieodpowiedzialna i poniżająca dla nich jako ludzi. Josie zrobiła mu omlet i naląła resztki mleka z konopi, a jego oczy pytały tylko, co oni robią – w kamperze, w Homer. Czemu nie mogą mieszkać tutaj lub jak mieszkańcy tego domu? Nagle ciszę poranka zmąciło głośne wycie i Josie ujrzała za oknem mężczyznę z czymś w rodzaju plecaka odrzutowego połączonego z odkurzaczem. O nie. Dmuchawa do usuwania liści. Najłatwiej być świadkiem idiotyzmu i płonnych nadziei całej ludzkości, przyglądając się przez dwadzieścia minut, jak człowiek używa dmuchawy do usuwania liści. Mężczyzna mówił: Tą maszyną unicestwię wszelką ciszę. Zniszczę płaszczyznę słuchu. I zrobię to urządzeniem, które sprząta liście o wiele mniej skutecznie, niż sprzątnąłbym grabiami.

Sam powiedziała, że wróci o trzeciej, więc o drugiej, zdając sobie sprawę, że przez cały dzień nie robili nic poza jedzeniem, Josie stwierdziła, że muszą iść na zakupy do spożywczego. Ubrała dzieci i ruszyli drogą, z radością doświadczając nowej możliwości przespacerowania się do sklepu. Josie była pewna, że jadąc tu poprzedniego dnia, widziała sklep ogólnospożywczy, ale ten, do którego trafili, był po części sklepem z narzędziami, a po części dyskontem spożywczym, i nie o nim myślała. Sufity były wysokie, a półki zapełnione niebezpiecznie wysokimi stertami

towarów w hurtowych ilościach, ogromnymi workami ryżu i mąki oraz najrozmaitszej karmy dla psów. Nie знаła żadnej z oferowanych marek. Dzieci były zdezorientowane. Alejka z płatkami zbożowymi niczym się nie różniła od sąsiedniej, w której wyłożono materiał siewny do ogrodów.

Znaleźli, co mogli, i zapłacili za wszystko jakąś zawrotną sumę. Wracając do domu, Josie niosła cztery torby, a dzieci po jednej. W jednostajnej mżawce pieli się po zboczu wzgórza. Wszystko przebiegało normalnie, dopóki Ana za nierozważnym przyzwoleniem Josie nie zaczęła rozchlapywać wody w kałużach. Papier niesionej przez nią torby szybko przemókł i zakupy wysypały się na jezdnię. Dzieci zaczęły je zbierać z asfaltu, ale drogą przemykały samochody, a chodnika nie było, więc Josie ustawiła Paula i Anę na wąskim pasie trawy między drogą a rowem, dołożyła pozbierane produkty do zawartości pozostałych toreb i jedną, rozmiękłą, dała Paulowi. Sama wzięła pozostałe i podjęli przerwana wędrówkę. Powaga została naruszona.

Gdy w polu widzenia trzy przecznice dalej ukazał się dom Sam, Paul odwrócił się do matki i zapytał:

- Czemu wzdychasz?
- To było ziewanie.
- Nie, wzdychałaś – zapewnił.

Odparła, że nie wie, co robiła i dlaczego, a ponieważ pada deszcz, powinni się pośpieszyć. Kiedy skręcili za rogiem, ujrzała półciężarówkę Sam i serce jej zamarło. Sam wróciła do domu wcześniej i Josie miała wyraźne przeczucie, że zaraz zostanie zrugana.

– O rany, widzę, że dość gruntownie spenetrowaliście dom – powiedziała chwilę później Sam bez cienia wesołości. – No i pojedliście sobie! Musieliście być bardzo głodni!

Josie usiłowała sobie przypomnieć. Czyżby pootwierali szuflady, zostawili je wysunięte? Drzwi szaf? Najwidoczniej.

– Kupiliśmy jedzenie – odparła Josie, pokazując torby. Przyniosła je do kuchni i kiedy zaczęła je rozpakowywać, zdała sobie sprawę, że nie uzupełnili uszczuplonych zapasów. Kupiła trochę podstawowych

produktów, jajka i mleko – normalne; nie mieli tego z konopi, które preferowała Sam – parę rzeczy, na które ona i dzieci mieli ochotę, trochę takich, które Paul i Ana włożyli do wózka, a do tego sporo produktów, co do których nawet ona sama nie miała pewności, że je zjedzą. Przypominała sobie siebie sprzed zaledwie godziny, w sklepie, i nie mogła pojąć, kim jest osoba, która to zrobiła.

- Wygląda na to, że pojedę na zakupy – zauważyła Sam.
- Zrób tylko listę – zaproponowała Josie. – Pójdę jeszcze raz.
- Nie trzeba.
- Pozwól, że pójde, Sam.
- Nie, wszystko gra. Jesteś gościem. Odpręż się.

Po czym, chcąc jak najmocniej podkreślić swoje słowa i dowieść, jak wredną potrafi być cipa, Sam wzięła kluczyki i od razu wyszła.

Wróciła godzinę później z rękami pełnymi nowszych i lepszych produktów spożywczych, z szerokim uśmiechem na ustach. Tak jakby dowiódłszy swych racji – tego, że Josie nie można było powierzyć żadnego zadania – stała się wielce życzliwa. Chyba sądziła, że obie z Josie znowu są sobie bliskie, że reprimenda, której udzieliła siostrze przed godziną, była zasłużona i sprawiedliwa, i że została z pokorą przyjęta. Uśmiechając się od ucha do ucha, jakby były w pidżamach i wciąż dzieliły sypialnię, Sam zaproponowała plan na wieczór, zgodnie z którym bliźniaczki miały przypilnować Paula i Anę, one zaś pojedą się zabawić do miasta. Kiedy dzieci dowiedziały się, że mogą zostać tylko z Zoe i Beccą, zamówić pizzę i oglądać telewizję, sprawa była przesądzona.

Niebawem Josie siedziała w półciężarówce i jechały do baru, który był tylko dla miejscowych, jak twierdziła Sam, jakby Josie niczego nie pragnęła i nie potrzebowała bardziej niż picia z miejscowymi – a picie z turystami lub w ich towarzystwie było niewłaściwe.

– Tu jestem u siebie – powiedziała Sam, a Josie pokiwała z uznaniem głową. Bar przypominał knajpy w Wirginii. Tutaj Sam była u siebie. Sam miała swoje miejsce. Ściany lokalu były ozdobione zdjęciami ryb i okrętów



liniowych. Sam zamówiła dla nich margarity nie u barmana, lecz u Toma, postawnego mężczyzny o rumianej twarzy, która sprawiała wrażenie przedwcześnie obwisłej niczym u topniejącej figury woskowej.

– Kiedyś byliśmy w związku – wyjaśniła Sam wystarczająco głośno, by usłyszał ją Tom i wszyscy inni. Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, odwracając kieliszek do góry dnem i stawiając go na kopczyku soli.

– Zdrówko – powiedziała Sam i stuknęła się kieliszkiem z Josie. Jako nastolatka Sam nie piła alkoholu. W college’u też nie – była młodą purytanką napędzaną pragnieniem samokontroli, zdolnością unikania wszelkich substancji i pokus. Sunny nie mogła jej skłonić nawet do zażycia aspiryny. A teraz Sam tak postępowała. Wypiła jednym haustem pół kieliszka margarity i była w związku z barmanem. Ciekawe kiedy?

Na ekranie nad barem w meczu futbolowym nastąpił jakiś radosny moment.

– Spójrzcie – rzekł Tom.

Gracze nie cieszyli się jednak z przyłożenia. Obecnie dawali upust swojej radości po każdej udanej zagrywce. Bez względu na to, czy wygrywali, czy nie, ilekroć coś zrobili, znajdowali powód do świętowania.

– Muszę zabrać moje córki ze szkoły – powiedziała Sam ze wzrokiem przykutym do telewizora, w którym dorosły mężczyzna w stroju ze srebrzystej lycry wykonywał jakiś taniec z piłką i rącznikiem. – Słyszałaś kiedyś o dziewczynach obciągających chłopakom druta na tęczowo?

Josie pokręciła głową. Tom znieruchomiał, widać było, że słucha, myśląc tak intensywnie, że na czole pojawiły mu się bliźniacze bruzdy biegnące ukośnie od skroni do nasady nosa. Nie mógł się doczekać dalszego ciągu opowieści o obciąganiu na tęczowo.

– Najwyraźniej to się robi – wyjaśniła Sam. – Dziewczyna nakłada na usta czerwoną szminkę i odciska facetowi na kutasie czerwony krążek. Następnie jej koleżanka maluje usta na pomarańczowo, powstaje kolejny krążek. Potem kolejna dziewczyna z żółtą szminką, następna z zieloną, niebieską. Następna byłaby w tym kolorze?

Tom potakiwał energicznie. Tak, zgadza się.

– I teraz muszę to przemyśleć – dodała Sam, dopijając swój pierwszy koktajl i zamawiając jeszcze jeden. – Czy któraś z moich córek będzie to robiła? Chodzi mi o to, że nie ma właściwego rozwiązania. Albo pozwolę im robić, co chcą, a one będą obciążać na tęczowo, albo spróbuję je kontrolować, a one będą to robiły na złość matce.

Wydawało się, że na Alasce nic takiego nie może się zdarzyć, nie tym dziewczynom. Wszystkie, jakie tutaj widziała, a zwłaszcza córki Sam, sprawiały wrażenie nastolatek z zupełnie innego świata, innej epoki, stroniących od wszelkich wygłupów rówieśników, skłonnych raczej poskramiać i ujeżdżać wieloryby niż dotykać maleńkich penisów w domowym zaciszu.

– Ile mają lat? – zapytała.

– Trzyście. Mam przyjaciółkę, starszą panią, która zaproponowała, że zabierze je do siebie, żeby mieszkały z nią w lesie. W pewnym sensie tak, jak Sunny przygarnęła ciebie i mnie.

Sam spostrzegła kogoś na drugim końcu baru i pomachała ręką.

– Stary przyjaciel – rzuciła tytułem wyjaśnienia. Po chwili ruszył do nich i okazało się, że wszystko się zgadza: był stary. Sześćdziesiąt lat. W miarę jak się zbliżał, wydawał się coraz starszy. Sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt.

– *Niemłody* – przyznała Josie i Sam zastanawiała się przez chwilę, jakby decydowała, czy udać, że ten komentarz był zabawny, czy uznać go za obraźliwy. Postanowiła zamrużyć kilka razy.

Kiedy już stanął przy nich, wyglądał na siedemdziesiąt pięć lat. Był kimś w rodzaju alaskańskiego Leonarda Cohena – wysoki i przystojny, ale bez filcowego kapelusza z szerokim rondem.

– Robert – oznajmił i uścisnął Josie rękę. Jego dłoń była pomarszczona i tłusta w dotyku, przypominała konającą rybę. Kilka razy spojrzął na każdą z nich, kiwając głową. – To mój szczęśliwy wieczór! – powiedział donośnie wysokim i zmęczonym głosem. Tom słyszał to, ale się nie uśmiechnął. Josie poczuła, że jest pośrodku zdeformowanego kwadratu – równoległoboku? –

miłosnego, lecz Robert był albo nieświadomy, albo nie uważał, by Tom stanowił godny uwagi wierzchołek tego kwadratu.

Josie zerknęła z powrotem na ekran telewizora. I znowu wydawało się, że gracze świętują jakieś drobne osiągnięcie. Z początku ten widok raził oko, potem zaczęła to rozumieć. „Tego właśnie brakuje w moim życiu” – pomyślała. „Celebrowania każdej chwili, tak jak czynią to ci idioci w telewizji”.

– Po kieliszku jagera dla pań – rzekł Robert do Toma. Woskowa twarz barmana stężała, jakby zmagał się z faktem, że nie pozostaje mu nic innego, jak go obsłużyć. Wybrał życie, w którym musiał obsłużyć każdą istotę ludzką i liczyć na sute napiwki od złych ludzi.

Robert z pewnością sprawiał wrażenie złego człowieka. Miał w sobie coś, wszystko, co nieprzyjemne, niegodne zaufania, lubieżne i chytne. Jego koszula była rozpięta do bruzdy, w której zapadnięta pierś stykała się z zaskakująco okazałym brzuchem.

– Zdrowie sióstr – rzekł, wymawiając słowo „siostry” w dziwnie obleśny sposób. Sam mrugnęła do Josie spod wzniesionego kieliszka. Zapewne nie wdawała się w szczegóły i powiedziała mu, że po prostu są siostrami.

Zamówił następną kolejkę, ale Josie ukryła swoją część drugiej porcji likieru za łokciem. Robert nie zauważył lub było mu to obojętne.

– Josie jest z Ohio – wyjaśniła Sam.

– Naprawdę? – zdziwił się, traktując tę informację jako zezwolenie na zlustrowanie jej od szyi do kolan. Zatrzymując wzrok na oczach Josie, rzucił tekst, który z pewnością uważał za najwspanialszy bon mot tego wieczoru.

– Chciałbym tam kiedyś trafić.

Sam chyba nie zrozumiała, co miał na myśli.

– Dobra – powiedziała Josie, próbując ziewnąć. – Chyba pójdę do domu.

– Zostań – rzekł Robert, starając się dotknąć jej dłoni. Josie cofnęła ją tak szybko, że uderzyła stojącego za nią mężczyznę.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie przepraszaj, tylko zostań – powiedział Robert.

Sam nie śledziła tej sytuacji. Wlała w siebie dwie margarity i dwa kieliszki likieru, trzymała teraz Roberta za rękę i wydawało się, że zamierza się świetnie bawić z tym alaskańskim Leonardem Cohenem. Tom stał po drugiej stronie baru i patrzył na ekran telewizora z miejsca, które chyba nie zapewniało dobrej widoczności.

– Daj spokój – powiedziała Sam. – Tyle tu osób, które możesz poznać. – Robert miał ochotę na orgietkę we troje, a ona chciała zostać z nim sama. Potoczyła wzrokiem po barze w poszukiwaniu kogoś, komu mogłaby przekazać Josie, ale nikogo nie znalazła.

– Zobaczymy się w domu – oświadczyła Josie.

Odwróciła się, nie oczekując, że Sam pozwoli jej wyjść. Kiedy dotarła do drzwi, obejrzała się i spostrzegła, jak Robert sunie swoim siedemdziesięcioletnim językiem po młodej szyi Sam.

Niebo zasnuły niskie białe chmury oraz obłoki szare jak dym z komina parowca, widać było jednak również gwiazdy i śnieżnobiały księżyc. Josie szła z powrotem pod górę, wspominając twarze Sam i Leonarda Cohena. Była trzeźwa i wściekła, cieszyła się też ogromnie, że uciekła z baru i oszczędziła sobie widoku nieuniknionego tańca, do którego Robert chciałby porwać Sam, delikatnego kołysania biodrami, które ów pijany stary rozpustnik chciałby zademonstrować publicznie, ich płasów i obmacywania – nie zależało im już na tym, by z czymkolwiek się kryć. Była przekonana, że zdoła bez przeszkód trafić do domu, a niebawem nabrała niemal całkowitej pewności, że widzi kościół u wylotu ulicy, przy której stał. Wtedy jednak spojrzała na zegarek i spostrzegła, że jest dopiero wpół do jedenastej. Dzieci z pewnością jeszcze nie spały i pomyślałyby, że ich matka nie chce im dać odrobiny swobody, pozwolić spędzić czasu tylko z bliźniaczkami.

Stała na poboczu i rozmyślała – między innymi o tym, że Sam, mimo dbałości o porządek, łodzi Popeye’a oraz pięknych córek, z pewnością jest

potworem, niemoralną bestią, i pora zakończyć tę znajomość. Pomyślała też: „To ja i moje życie”, i zadała sobie pytanie: „Czy Sam jest wielbicielek Leonarda Cohena i stąd to zauroczenie?”. Doszła do wniosku, że nie powinni byli przyjeżdżać do Homer.

Konsekwencja. „Muszę być konsekwentna” – pomyślała. Słońce było konsekwentne. Księżyc także. Życie na Ziemi rozwija się, ponieważ może liczyć na to, że Słońce stale wschodzi i zachodzi, że są przyprływy i odpływy. Jej dzieci potrzebowały jedynie przewidywalności. Po co w takim razie przywiozła je na Alaskę, dlaczego co wieczór trafiały w nowe miejsce? Musi być konsekwentna. Pora ich snu musi być niezmienna. Niezmienny musi być jej ton. Atticus Finch! Atticus! Musi być taka jak on. Bycie taką samą było proste. Bardzo proste! A co z odwrotną sytuacją? Jeśli ktoś jest oryginalny? Rodzice nie mogą być oryginalni, prawda? Najlepsi rodzice funkcjonują niczym słońca i księżyce. Krążą wokół swoich pociech z regularnością planet. Josie doskonale zdała sobie sprawę z niezaprzeczalnej prawdy: oryginalne osoby nie mogą płodzić dzieci. Rozmnażanie się gatunków zależy od trutni. Z chwilą gdy stwierdzisz, że jesteś inna, że masz nastroje, kaprysy, że się nudzisz, że chcesz zobaczyć Antarktydę, nie powinnaś mieć dzieci. Co się dzieje z dziećmi oryginalnych osób? Są zawsze zboczone. Stłamszone. Nie miały przy sobie przewidywalnych słońc, więc są upośledzone, zrozpaczone i niepewne – gdzie jutro będzie ich słońce? „Cholera” – pomyślała. „Czy powinnam oddać te dzieci jakiejś niezawodnej osobie? Nie jestem im potrzebna. Potrzebują dobrych posiłków oraz kogoś, kto będzie je sumiennie kąpał i sprzątał w domu nie dlatego, że powinien, ale dlatego, że chce. Nie kogoś, kto trzyma je w kamperze z płyty pilśniowej, wożąc naczynia pod prysznicem, a fekalia w zbiorniku”.

„Zaczekaj” – pomyślała. Może mogliby mieszkać tutaj? Może przyjazd tu z zamiarem zamieszkania w pobliżu Sam, jej zdziczałej kumpelki, był jej przeznaczony i nosił znamiona symetrii? Któż jednak mógłby tutaj żyć? Teraz było pięknie, owszem, ale zimy to z pewnością totalny horror. Chmury nadal sunęły nad Josie niczym żołnierze w szyku.

Postanowiła, że jutro opuści Homer, nie wiedziała jednak, dokąd jechać. W tym mieście, z uwagi na obecność takich ludzi jak Robert, nie dało się mieszkać, nie różniło się ono w niczym od miasta, które opuściła, tamto zaś niespodziewanie się zmieniło. Co się stało w jej miasteczku? „Naprawdę muszę się stąd wydostać” – powiedziała pewnego dnia Deena. „Już nie daję rady”. Dorastała tam. Kiedyś było to prawdziwe miejsce do życia, niewielkie miasto z prawdziwym brukowanym placem, po którym dzieci jeździły na skuterach, a za nimi goniły, ujadając, spuszczone ze smyczy maleńkie psy, żalosne, wypaczone wytwory selektywnej hodowli. Teraz panował tu tłok, obowiązywał zakaz parkowania, kobiety z końskimi ogonami jeździły samochodami niebezpiecznie szybko w drodze na jogę i pilates, siedząc na ogonie innym kierowcom, trąbiąc i wymuszając pierwszeństwo na skrzyżowaniach dróg równorzędnych. Stało się miejscem pozbawionym radości.

Grzech pań z końskimi ogonami polegał na tym, że wiecznie się śpieszyły, śpieszyły się, żeby ćwiczyć, śpieszyły, żeby zobaczyć efekty szkolnego programu nauki chińskiego, śpieszyły się, żeby kupić surowe kielki w nowym, porośniętym bluszczem sklepie ze zdrową żywnością, należącym do dominującej od niedawna krajowej sieci stworzonej przez skrajnie liberalnego megalomana, sklepie, gdzie żywność została wyselekcjonowana, po którym kobiety z końskimi ogonami wędrowały pośpiesznie, uśmiechając się zjadliwie, kiedy coś przez chwilę blokowało ich wózkom drogę. W radykalnym dążeniu do poprawy sposobu odżywiania, stanu zdrowia i wykształcenia swoich mieszkańców miasto stało się miejscem żalonym, a sklep ze zdrową żywnością był najsmutniejszym miejscem w tym żalonym mieście. Obsługa kas nie była zadowolona, że tam pracuje, a pakujący zakupy byli wściekli. Rzeźnicy sprawiali wrażenie usatysfakcjonowanych, sprzedawcy serów także, ale wszyscy inni mieli mordercze spojrzenia. Te same straszne kobiety (i straszni mężczyźni), które jeździły agresywnie na jogę, teraz jeździły agresywnie do sklepu ze zdrową żywnością i parkowały ze złością – zajmując ostatnie wolne miejsca parkingowe seniorom liczącym na to, że

skorzystają z usług pobliskiej apteki – wysiadały z samochodu i niemal wściekle pędziły kupić havarti, prosecco i jarskie burgery. Ludzi tych można było teraz spotkać w jej miasteczku na każdym kroku, zagrażali bezpieczeństwu jej dzieci drapieżnym stylem jazdy i ledwie powstrzymaną furia.

Miasto – zielone, pagórkowate, poprzecinane strumieniami, chociaż usytuowane dość blisko nieczynnej stalowni – zostało odkryte przez hordy tych gniewnych ludzi z nowymi pieniędzmi, a ich nowy gniew znalazł w końcu ujście w Okaleczeniu Pompką do Roweru – tylko Josie określała ten incydent takim mianem, ale jednak – w środku miasta. W incydencie uczestniczyli mężczyzna jadący pikapem i mężczyzna na rowerze, a w rezultacie doszło do bójki, z której jeden z nich ledwie uszedł z życiem. Jednak to nie kierowca pikapa pobił rowerzystę, nie w tamtym momencie, nie w tym mieście – nie, doszło do współczesnego odwrócenia ról, do sytuacji, w której człowiek w stroju z lycry jadący na rowerze wartości pięciu tysięcy dolarów triumfuje nad poczciwym ogrodnikiem w zardzewiałej półciązarówce. Rowerzysta najwyraźniej poczuł się urażony zachowaniem kierowcy pikapa, który ledwo wiązał koniec z końcem, strzygąc trawę i dając solowe występy w roli fachowca od architektury krajobrazu, i który najwyraźniej minął rowerzystę w zbyt bliskiej odległości. Obaj znajdowali się na drodze, poruszali się wzdłuż brzegu małego stawu, który jakaś grupa obrońców środowiska zachowała dla wędrownych kaczek i czatujących nieruchomo czapli. Tak więc przy znaku „stop” rowerzysta zatrzymał się, wykrzyknął kilka ostrych słów, na co kierowca pikapa wysiadł i natychmiast oberwał po głowie pompką do roweru. Upadł i był bity dopóty, dopóki rowerzysta w stroju z lycry i w małych kolarskich butach nie rozłupał mu czaszki i nie zalał twarzy krwią, która obryzgała rododendron niedawno zasadzony na pasie rozdzielczym przez członków Klubu Emerytowanych Ogrodników, który kiedyś zastąpił Związek Zielonych Emerytów. Było to zachowanie szalenie gwałtowne i absolutnie nienowoczesne, ale zupełnie typowe dla tych nowych gniewnych ludzi pędzących tam i z powrotem, wiecznie się

śpieszących, żeby ze złością biegać, ze złością wyjaśniać, ze złością rozprawiać, żeby wybuchać, kiedy ktoś im przerwie lub zmusi ich do zwolnienia tempa, gotowych w każdej chwili wyrazić swoje rozczarowanie. „To właśnie ci ludzie!” – zauważyła w myślach Josie. Ten rowerzysta, okaleczający bliźniego, wystąpiłby w jej musicalu *Rozczarowani*. Czy mogłaby w nim nawiązać do *Mame*? Czy nie byłoby to przesadą?

Josie знаła tego człowieka, rowerzystę. Był kiedyś jej pacjentem. Kiedy przyszedł pierwszy raz kilka lat wcześniej, miał już gotowy plan leczenia i rzekł: „Możemy pominąć usuwanie kamienia? Wiem, czego chcę”. Chciał zastąpić sześć plomb z amalgamatu srebra ceramicznymi. Amalgamatowe były już prawie czarne, a on ożenił się z młodą kobietą, która stwierdziła, że jego uzębienie wymaga ulepszeń, umówił się więc na dwie wizyty w kolejne piątkowe popołudnia, po czym przyjechał do gabinetu na rowerze w paradnym kolarskim stroju, w legginsach z lycry i przepoconej koszulce. Po kamiennej posadzce kroczył, stukając specjalnymi pomarańczowymi butami. Był drobnym, bezustannie spiętym mężczyzną, który sprawdzał wiadomości w telefonie, kiedy jego nowe ceramiczne plomby schły, który poprosił, żeby odrobinę przyciszyć muzykę w gabinecie – tego dnia puszczała piosenki z *Oklahomy!*. Był obrzydliwy. Po okaleczeniu kierowcy pikapa nie trafił do więzienia. Groziły mu wprawdzie zarzuty w procesie cywilnym, ale nikt nie oczekiwał, że poniesie dotkliwą karę.

Jakiś czas Josie jeździła do gabinetu na rowerze, mając nadzieję, że jej odczucia w podróży do pracy w jakiś sposób się zmienią. Przez mniej więcej tydzień tak było. Potem jednak wszystko wróciło do normy. Próbowwała dojeżdżać autobusem, który wysadzał ją osiemset metrów dalej i musiała iść pieszo wzdłuż szosy niczym jakaś donkiszotowska autostopowiczka. Ale bez względu na sposób podróżowania wciąż mijała te same budynki i te same parkingi. Jak ludzie to wytrzymują? Po rozpadzie małżeństwa jej rodziców zawsze utożsamiała się z tymi, co zostawiali, z osadnikami. Nie знаła jednak nikogo, kto gdziekolwiek zagrzewał miejsce. Nawet w Panamie większość poznawanych tubylców miała niebawem mieszkać gdzie indziej i przeważnie pytali ją, mimochodem bądź



wprost, o możliwość zdobycia wiz wjazdowych do Stanów. Któż więc zostawał? Czy zostawanie gdziekolwiek było szaleństwem? Ci, co zostawali, byli albo solą ziemi, gwarantami istnienia rodzin, społeczności oraz ciągłości kultury i narodu, albo zwykłymi idiotami. Zmieniamy się! Zmieniamy się! A cnota znamionuje nie tylko ludzi niezmiennych. Można zmienić swój umysł lub otoczenie i nadal być człowiekiem prawym. Można się wyprowadzić, nie stając się kimś, kto łatwo się poddaje, duchem.

To miasto w Ohio było zatem częścią jej przeszłości. Przeszłość, skończenie z czymś, rozstanie z jakimś miejscem mogły być rzeczą wyborną. Skończyć i być w stanie spakować początek, środek i koniec, umieścić je w pudle i odstawić na półkę. Mieszkali tam kiedyś hipisi, sprawiający na Josie wrażenie nadnaturalnie wdzięcznych ludzi, którzy cieszyli się istnieniem drzew, rzek, strumieni i ptaków oraz tym, że sami żyją, że istnieje trawka i seks bez barier. Budowali swoje domy z gliny i gałązek, tu i ówdzie kopuła, tu i ówdzie wanna z jacuzzi. Teraz jednak byli już starsi i wyprowadzali się bądź umierali, zastępowani przez tych rowerzystów, te szybko jeżdżące samochodem kobiety z końskimi ogonami, które pożyły wszystkiego, które tak bardzo pragnęły świata, że nie godziły się na ograniczenia, przerwy, obecność niemowląt w restauracjach i skuterów na chodnikach. Ohio, miejsce narodzin większości prezydentów tego kraju, było teraz siedliskiem większości jego dupków.

JEŚLI NIE TY, TO KTO? Kolejna z tych tablic. Ta była namalowana ręcznie i wetknięta w nasyp. Czyżby tu też groziły im pożary lasów? Josie widziała przed sobą dom Sam. Wyglądał na dom szczęśliwych ludzi i w miarę jak się zbliżał, serce jej rosło. JEŚLI NIE TY, TO KTO? Josie uśmiechnęła się na myśl o tym, jak wspaniale głupie jest to pytanie. A może by tak ty i ja? Ja i ty? Skąd ten sceptycyzm? Po co nas dzielić? Nagle poddała się wpływowi chłodnego wiatru, granitowego nieba, szybko przesuwających się po nim chmur i poczuła się mocno osadzona w świecie. Świat Sam był trwały, nieznan jej, ale logiczny i głęboko zakorzeniony. Dzieci Josie były w tym solidnym domu, zachwycone kontaktem z kuzynkami. Zostaną tu kilka dni. Mogłaby zaparkować chateau przed

domem. Ich dzieci jadłyby razem śniadania. Mogłyby spędzić tu wiele pogodnych tygodni, miesięcy. Było za wcześnie, żeby myśleć o posłaniu ich tu do szkoły, ale tak czy owak. Sam mogłaby być jej ostoją. Dzisiejszy wieczór był przypadkiem, to tylko epizod. Ważniejsze, by pamiętać ich długie wspólne dzieje, ich wspólną opowieść. Ile młodych kobiet uniezależniło się jak one? Machnięcie ręką na Sam z taką łatwością byłoby małostkowe i szalone, prawda? Musiała związać się z tym światem, tym wytrzymałym i racjonalnym światem, który stworzyła Sam. Mogła się związać i to zrobi. Ale co to za świst, co to za potworne białe światło?

## IX

Leonard Cohen pilnował jej dzieci. Miała wrażenie, że właśnie o tym mówi jej teraz Sam, trzymając ją za rękę jak kogoś, kto kona. Najwyraźniej znajdowały się w szpitalu.

– Mam raka? – zapytała.

– Leżałaś w rowie – wyjaśniła Sam.

Teraz sobie przypominała. Została zepchnięta z drogi przez ciężarówkę, ześlizgnęła się po nasypie, a potem... potem już nie pamiętała. Musiało się stać coś jeszcze. Rękę miała zabandażowaną, a Sam wyjaśniała, że Robert jest w domu z dziećmi. Z dziećmi Josie. Kim był Robert? I wtedy ukazała się jej twarz Leonarda Cohena.

– Śpią od wielu godzin – dodała Sam. – Jest czwarta nad ranem. Nie wiedzą, że tu jesteś. Zasnął lub zemdlął.

– Czy Leonard Cohen molestuje moje dzieci? – zapytała Josie i Sam zapewniła ją, że nie zrobiłby tego, nie mógłby, że sam jest dziadkiem sześcioro wnucząt. Josie się roześmiała. Sam, mężatka, spotykała się z jakimś dziadkiem. Poczula ból.

– Czy coś sobie złamałam? – zapytała, sądząc, że pewnie ma połamane żebra. Oddychanie było bolesne.

– Chyba nie – odparła Sam i teraz stało się oczywiste, że wciąż jest pijana. Kiedy Josie została potrącona przez ciężarówkę i zepchnięta do rowu, ona siedziała przy barze, ostro tankując.

Josie spojrzała na jej słodką twarz i miała ochotę ją uderzyć. Sam ścisnęła jej rękę, myśląc, że przeżywają chwilę bliskości. Nie wspomniała jeszcze ani słowem, że jest jej przykro. W swoim życiu Josie słyszała przeprosiny tylko od paru osób. Czyż to nie było ciekawe? Czyż nie byłoby

ważne dla przyszłych antropologów? Nastąpiły takie czasy w dziejach, gdy nikt nikogo nie przeproszał. Nawet Ana, która przez rok nosiła przydomek „Przepraszam”, nadal nigdy nie przeproszała. Przepraszenie wymagało zbyt dużo odwagi, zbyt dużo siły i prawości, by mogło mieć miejsce w tym tchórzliwym stuleciu.

– Dali mi jakieś leki? – zapytała Josie.

– Nie sądzę – odparła Sam.

Josie znalazła przyczynę. Stała obok tej tablicy z napisem JEŚLI NIE TY, TO KTO?, gdy ciężarówka gwałtownie skręciła i znalazła się zbyt blisko niej. Josie odwróciła się za szybko i walnęła głową w róg tablicy. Stąd rana szarpana z boku głowy.

– Mogę stąd wyjść?

– Nie wiem. Pozwól, że zapytam.

Niebawem u boku Josie zjawił się lekarz, łysy brodacze o beztroskiej twarzy. Wyglądał jak wzorowy pedagog szkolny. Przedstawił się, lecz Josie nie dosłyszała nazwiska. Doktor Pleple. Poprosiła, by powtórzył, i spełnił jej prośbę. Tym razem wydało się jej, że w środku nazwiska pojawiła się dźwięczna głoska. Doktor Pleble?

Zapytał, jak się czuje.

Odparła, że czuje się wspaniale.

Powiedział, że sprawdzili jej neurony czuciowe, są nienaruszone, żadnych oznak wstrząśnienia mózgu, rozszerzonych źrenic.

– Czy siostra powiedziała pani o szwach?

– Nie. – Josie spojrzała na Sam, ale ta patrzyła przez okno.

– Osiem na głowie. Tutaj – wyjaśnił doktor Pleble i dotknął miejsca nad uchem. Teraz Sam znowu spojrzała na Josie; miała łzy w oczach. – Początkowo obawialiśmy się wstrząśnienia mózgu – dodał lekarz – ponieważ sanitariusz powiedział, że śpiewała pani, gdy panią znaleźli.

Teraz twarz Sam stężała, jakby Josie przestała być osobą godną politowania i stała się istotą niższą, kimś niedotykalnym. Śpiewanie w rowie – to był punkt zwrotny.

– Rozumiem, że jest pani dentystką? – upewnił się doktor Pleble. – Myślę, że zęby ma pani nienaruszone, ale to już pani specjalność. – Uśmiechnął się, sądząc, że udał mu się żart.

O piątej dotarły do domu Sam. Leonard Cohen spał na siedząco na kanapie niczym posąg w rodzaju tych, które umieszcza się na ławkach w miejscach publicznych, żeby straszyć dzieci. Słyszając, jak zamykają się drzwi, leciwy partner seksualny gospodyni otworzył oczy i rozejrzał się, jakby podczas snu świat i jego kończyny zastąpiono nowymi, nieznanymi mu wersjami. Kiedy odzyskał orientację, wstał niczym strach na wróble obdarzony życiem i pocałował Sam w policzek.

– Nie obudziły się – rzekł, po czym zdał sobie sprawę, jak makabrycznie to zabrzmiało. – Śpią jak aniołki – dodał z jeszcze gorszym skutkiem.

Josie chciała wiedzieć tylko jedno: czy jej dzieci żyją.

Poszła na piętro, żeby to sprawdzić, i okazało się, że śpią, cała czwórka, w pokoju bliźniaczek. Jej dwójka na materacu ułożonym na podłodze. Paul i Ana położyliby się na rżniętym szkle, byleby mogli spać obok tych dwóch młodych wojowniczek.

Na dole Josie przyjrzała się swojej ranie w łazienkowym lustrze. Wygolili jej z boku głowy gustowny kwadrat osiem na osiem centymetrów. Wyglądało to niemal na efekt celowego zabiegu, jakby poszła do fryzjera będącego reliktem lat osiemdziesiątych i poprosiła, by zrobił coś, co powiedziałyby światu, że nie można jej powierzać materiałów biurowych i nigdy nie powinna mieć dzieci.

Wróciła do łóżka w suterenie i pod wpływem wspomnień szpitala oraz gumowych rękawiczek snuła bezproduktywne myśli, począwszy od Jeremy'ego i Evelyn. Jeremy wykrwawiający się na pokrytym pyłem zboczu afgańskiego wzgórza. Czarny język Evelyn. „Nie” – pomyślała. „Nie to, nie teraz”. Mogłaby napisać list do rodziców Jeremy'ego. Nie. Już to zrobiła i nie otrzymała odpowiedzi. Pomyślała o wielu listach, które napisała w ostatnim roku. Żaden nie został odesłany. Dlaczego nie odpisywano na jej listy? List pozostawiony bez odpowiedzi sprawiał, że

nadawca czuł się jak głupiec. Po co wysyłać listy? Po co czuć się jak idiotka? Po co opuszczać dom? Po co sięgać po pióro? „Czy ja gniję?” – zastanawiała się Josie. Poczowała kwaśną woń i zdała sobie sprawę, że sama ją wydziela.

Obudził ją ból. Świtało, a ona miała opuchnięty mózg. Leżała na kanapie. Sam była na piętrze z Leonardem Cohenem, nie mogła więc poprosić o advil, a Sam nie pomyślała, żeby zostawić jej trochę – chociaż wcześniej zapewniała doktora Pleble, że ma w domu mnóstwo tego leku.

Leżała na kanapie i obserwowała, jak niebo robi się najpierw spizowe, następnie szare i wreszcie białe. Każdy ruch głową wywoływał piekący ból, który przecinał jej mózg z góry na dół, zamknęła więc oczy i dokładnie zaplanowała, jak zostawi Sam i Homer. Coś się zmieniło – czyżby wskutek upadku? Czy to zmieniło charakter jej odwiedzin? – i teraz szybki wyjazd, pod nieobecność Sam, nabrał pewnego uroku.

Próbowała sobie przypomnieć, jaki to dzień. Piątek? Środa? Naprawdę? Mogła wyjechać. Niebawem Sam uda się do pracy i wtedy mogliby ruszyć w drogę. Mogłaby napisać krótki list, informując Sam, że jadą na północ i wkrótce wrócą. Może naprawdę tak by się stało. Josie poszła do kuchni i oczywiście znalazła porządny blok z przymocowanym do niego piórem. Wzięła pióro, zaczęła pisać i pisząc, nie po raz pierwszy miała poczucie, że dokonuje wyboru sprzecznego z tym, co byłoby najlepsze dla dzieci. Wiedziała, że one wołałyby zostać tutaj, z Zoe i Beccą, uczyć się od nich, uwielbiać ich bliźniacze zwyczaje i korzystać z normalnej instalacji wodno-kanalizacyjnej, uwolnić się na jakiś czas od nieznanymi niebezpieczeństw czyhających w chateau. Pióro w jej dłoni zawisło nad kartką, nie postawiwszy kolejnego słowa.

Leonard Cohen, który teraz, z twarzą przypominającą z mumifikowanego w lodówce banana, wyglądał jakoś starzej, zszedł na parter, a Josie ukryła się w spiżarni. Włożył buty i po cichu wyszedł. Josie, nagle niepewna swoich zamierzeń, wróciła na kanapę i zasnęła.

O siódmej Sam zeszła, tupiąc po schodach. Nawet nie próbowała stąpać po cichu. Przyrządziła śniadanie dla wszystkich dzieci, a Josie, wciąż siedząc na kanapie, pozwoliła na to, by ją też obsłużyła. Przez cały ten czas Sam nie wspomniała ani słowem, że Josie kilka godzin wcześniej była w szpitalu, bliska śmierci. Wydawało się, że to milczenie jest szczególnie charakterystyczne dla Alaskańczyków, i Josie, chcąc nie chcąc, podziwiała takie podejście – potrącenie przez ciężarówkę i lądowanie w rowie stanowiły właściwy sposób spędzenia wieczoru, nie było się czym podniecać.

– Jak się czujesz? – zapytała w końcu.

– Jak czempion. Czuję się jak czempion – odparła Josie.

– Chcesz vicodin?

Josie odmówiła.

– Zachowaj dla siebie – zaproponowała ze stoickim spokojem i poczuciem wyższości. Bardzo jej na tym zależało, bo to by znaczyło, że Sam użyje vicodinu w przyszłości, a gdy już to zrobi, wtedy ona odnotuje na swoim koncie drobne i mało istotne zwycięstwo.

Sam usiadła przed nią na niskim stoliku.

– Słuchaj, zapomniałam ci w nocy powiedzieć, że zadzwonili do Carla.

Josie wstrzymała oddech. Podniosła palec i przeszyła ją wzrokiem, bezgłośnie nakazując, żeby się zamknęła. Wzięła Sam pod rękę i wyprowadziła na zewnątrz, na tylną werandę. Sam, jak to wyjaśniła, powiedziała pielęgniarce, że musi wrócić do dzieci nieprzytomnej ofiary wypadku, i wtedy jedna z nich zapytała o ich ojca, a ona chyba trochę dała ciała – dosłownie: *chyba dałam ciała* – przedstawiając sytuację w ogólnym zarysie i zdradzając, że ojciec przebywa na Florydzie. Pielęgniarka bardzo grzecznie zasugerowała, że mogą do niego zadzwonić, i chyba wtedy, ciągnęła Sam, ona straciła zimną krew i odmówiła stanowczo. Pielęgniarki nabrały podejrzeń i wówczas powstał prawdziwy problem, bo wszyscy z doktorem Pleble włącznie zaczęli nalegać, żeby zadzwonić do Carla, a potem przez prawie godzinę toczyli nieco dziwaczny spór.

– Nie mogłaś po prostu powiedzieć tym pigułom, że *sama* dzwoniłaś do Carla?

– Nie mam obowiązku kłamać za ciebie, Joze.

– Masz rację – przyznała Josie, wiedząc już, że godzinę po tym, jak Sam uda się do pracy, ona i dzieci będą w drodze. – Masz rację. Dzięki za wszystko, co zrobiłaś.

Sam była zaskoczona; głos jej złagodniał.

– Może dobrze się stało. To zmniejsza presję – zauważyła idiotycznie i znowu położyła Josie dłoń na rękę.

Powiadomienie ojca nie tylko o tym, że Josie porwała jego dzieci, ale również o tym, dokąd je wywiozła, nie mogło zmniejszyć presji.

– Znowu masz rację – powiedziała, powstrzymując wybuch śmiechu. – Lepiej się zbieraj. Nie chcę, żebyś się spóźniła do pracy.

Kiedy Sam pojechała na przystań, a bliźniaczki do szkoły, Josie spakowała rzeczy Paula i Any, postanawiając nie mówić im, że wyjeżdżają na dobre.

Odnalazła bloczek na informacje do zapamiętania i napisała: „Wyjeżdżamy”.

– Co tam piszesz? – zapytał Paul.

– Wiadomość dla cioci Sam.

– Co w niej jest?

Ana podeszła, żeby sprawdzić.

– To bardzo krótka wiadomość – zauważyła.



## X

Wygolony kwadrat na głowie Josie fascynował Paula. Właśnie dlatego chciał siedzieć w fotelu obok kierowcy. Wyjechali z miasta i zbliżali się do zbiegu dróg prowadzących na wschód, zachód i na północ.

– Czy to boli? – zapytał.

– Nie – odparła Josie. – Dobrze wygląda?

Paul powoli pokręcił głową. W jego oczach można było wyczytać, jak bardzo przeraża go widok tego kwadratu wyciętego we włosach matki. Nie pasował do matczynego wizerunku. Wstrząsnął nim, tak jak nią wstrząsnął kiedyś widok własnej matki z obandażowaną głową po powrocie ze szpitala. Upadła na tarasie z tyłu domu, stąpając po nim niezdarnie pod wpływem różnych wymieszanych z sobą leków. Wtedy właśnie zaczęła zażywać środki, które dawali żołnierzom; było to jeszcze przed wybuchem skandalu, przed ucieczką jej córki do Sunny. Josie obróciła głowę, żeby przyjrzeć się w lusterku kwadratowi tak równo wygolonej skóry. Nie chciała straszyć syna w ten sposób, nie chciała, żeby miał świadomość jej słabości, łatwości, z jaką pozostawiła ją na pastwę losu jej niby-siostra i z jaką dała się potraścić przez miejscowy wóz dostawczy i zepchnąć do rowu. Ale czy konfrontacja ze słabością matki lub ojca rzeczywiście jest taka straszna? Być może powinna nastąpić od razu, tak żeby później szok nie był tak silny. Kiedy spodziewamy się tragedii, nieszczęścia i chaosu, czujemy się lepiej, gdy już nas dotkną.

– Budżet! – powiedział do niej Raj w trakcie którejś ze swoich hałaśliwych tyrad. – Po prostu musisz sporządzić budżet! – dodał, a raczej wykrzyknął.

Był jedynym znanym jej człowiekiem, który rzeczywiście mówił w sposób mogący uzasadnić użycie czasownika „wykrzyknąć”. Słowo to było dziwne, bardzo częste w książeczkach z obrazkami, które czytała swoim dzieciom. Tam, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wszyscy wykrzykiwali, ale w prawdziwym życiu nigdy się nie zetknęła z autentycznym zastosowaniem tego czasownika. Potem jednak pojawił się Raj ze swoimi szeroko otwartymi oczami i donośnym głosem, który cały czas wykrzykiwał.

– Musisz zrobić budżet życiowy! – wykrzyknął. – Robiłaś kiedyś budżet domowy?

Josie zaprzeczyła. Nie, niezupełnie. Zamiast tego postanowiła określać swoje oszczędności na wycucie, znać z grubsza saldo na rachunku bieżącym, przeliczywać swoje wpływy i zaniżać wydatki.

– Nigdy?! – wykrzyknął Raj. – No cóż, może ci to zapewnić wielki spokój, gdy sytuacja jest trudna lub gdy sprawia wrażenie zawikłanej. Kilkanaście rachunków do zapłacenia może się wydać lawiną, ale w ramach budżetu, przewidywań, stają się uzasadnione i nawet nie są w stanie wyprowadzić cię z równowagi. Spodziewasz się ich i masz środki, żeby je uregulować.

Josie rozejrzała się w nadziei, że znajdzie drogę ucieczki.

– Myśl więc o tym tak samo w przypadku swojego życia, kraju i świata. W danym roku powinnaś się spodziewać pewnych rzeczy. Możesz się na przykład spodziewać, że będziesz świadkiem jakiegoś potwornego aktu terroru. Ścięcie głowy kolejnemu człowiekowi w pomarańczowym kombinezonie jest szokujące i sprawia, że nie chcesz więcej wychodzić z domu, ale gdy to przewidziałaś, już tak nie jest. Kolejna strzelanina w galerii handlowej lub w szkole może cię sparaliżować na jeden dzień, ale tylko wtedy, jeżeli jej nie przewidziałaś. Możesz powiedzieć, że to strzelanina tegomiesięczna. Jeśli zaś w tym miesiącu strzelaniny nie będzie, to tym lepiej. Masz zysk w księdze rachunkowej. Nadwyżkę. Zwrot kosztów.

Między innymi z powodu Raja uważała, że wszyscy jej koledzy i koleżanki z kręgów medycznych lub paramedycznych są o jedną synapsę od prawdziwego szaleństwa.

– Uwzględnij, że twoje dzieci odniosą jakieś obrażenia przed ukończeniem dziesiątego roku życia – ciągnął. – Połowa twoich przyjaciół się rozwiedzie. Jedno z twoich rodziców umrze młodziej, niż powinno. Dwaj spośród twoich heteroseksualnych znajomych są w rzeczywistości gejami. I w którymś momencie ktoś, jakiś nieznajomy, jakiś pacjent, obudzi się i postanowi cię zniszczyć i przejąć twoją firmę! – powiedział. Wykrzyknął.

Josie zlekceważyła tę rozmowę. Odrzucała teorię Raja, dopóki nie zetknęła się ze wszystkimi jej aspektami: ścinaniem głów, strzelaninami, a potem pozwem Evelyn, a wszystko to stało się w ciągu kilku tygodni. Ten człowiek okazał się prorokiem.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Paul.

– Myślę o północy – odparła, mając nadzieję, że zdoła przekonać swoje dzieci, że od początku taki był plan: zamierzali zatrzymać się u Samanthy tylko na dwie noce, a potem wyjechać bez pożegnania i bez konkretnego celu podróży. Odnotowała w myślach, że ma kupić sobie kapelusz.

– Wrócimy – zapewniła.

Teraz to Ana zdała sobie sprawę, że coś się dzieje, i zapytała:

– Dokąd jedziemy?

– Opuściliśmy dom ciotki Sam i już tam nie wrócimy – wyjaśnił jej Paul i Ana zaczęła płakać.

– Chyba powinniśmy wrócić – rzekł chłopiec. Użył tych słów jako groźby. Zademonstrował swoją zdolność do doprowadzenia małej do płaczu i zdaje się sugerował, że może to zrobić i robi to znowu.

– To nie ma sensu – odparła Josie. – Ciocia pracuje, jej dzieci chodzą do szkoły, a po lekcjach grają w lacrosse. Cały dzień siedzielibyśmy tam bezczynnie.

Chłopiec długo milczał i Josie odniosła mylne wrażenie, że otrzymał nokautujący cios. Bo rzeczywiście – po co zatrzymywać się w czyimś

domu, kiedy domowników przez cały dzień nie ma, a wieczorem są zmęczeni? Po prostu przekonała się, że to nie ma sensu. I bardzo słusznie, że wizyta w Homer, której nie narzuciła sztywnych ram, była krótka. Josie spojrzała w lusterko wsteczne i spostrzegła, że syn patrzy na nią spod przymrużonych powiek.

– Czemu *my* nie chodzimy do szkoły? – zapytał.

Josie spojrzała na jezdnię.

Ana przestała płakać.

– Czy już pora iść do szkoły? – zwróciła się do nich obojga.

– Nie, skarbie – uspokoiła ją Josie.

– Owszem, tak – rzekł Paul, a wypowiedział te słowa głośno jak prawnik, kierując je do zebranych w sali rozpraw w pędzącym chateau. – Jest wrzesień. W poniedziałek powinniśmy byli zacząć lekcje. Wszyscy są w szkole, tylko nie my.

Ana znowu zaczęła płakać, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Szkoła w ogóle jej nie obchodziła, ale Paul stworzył wrażenie, że rozpręgnął się cały porządek, że nie ma przeszłości, nie ma przyszłości.

– Dlaczego przyjechaliśmy tutaj akurat wtedy, kiedy zaczął się rok szkolny? – zapytał Paul.

– Ja chcę do szkoły! – jęknęła Ana.

Josie chciała im to wszystko wyjaśnić. Pragnęła tego. Przynajmniej Paulowi. Zrozumiałby jej pogląd; nie był szczególnie lojalny wobec Carla. Przestał być, odkąd Carl podjął się roli szefa jego klubu poszukiwacza przygód. Stworzyli go wspólnie, ale potem Carl po prostu się wycofał. Paul namówił czterech innych chłopców do wieczornych wycieczek do lasu co sobotę, z Carlem na czele, kiedy jednak nadszedł czas, żeby wyruszyć w drogę, Carl się nie pojawił, udał, że takich planów nie było, a jeśli były, to przecież niewiążące. Czterej chłopcy zostali na noc w domu Josie, pod dachem, i zamiast szukać przygód, czytali nieodpowiednie komiksy.

Paul był jednak za młody, by tego wszystkiego słuchać.

– Koniec dyskusji. Pięć minut spokoju – zawyrokowała, a potem pomyślała o przyjemnym epilogu. – A nasza podróż ma charakter

edukacyjny. Uzgodniłam to wszystko z waszą szkołą. To indywidualny tok nauki.

– To nieprawda – odparł Paul.

– Wracaj do tyłu – syknęła Josie. Miała już dość bezczelności ośmiolatka. – I mylisz się.

Nie kłamała. Rzeczywiście powiedziała zastępczyni dyrektora, figlarniej starszej kobiecie, która ubierała się jak seksowny przedsiębiorca pogrzebowy, wszystko o Carlu, a ona pozwoliła, by Paul i Ana rozpoczęli rok szkolny trochę później. „Nikogo nie należy zmuszać, żeby się z tym godził” – powiedziała i teraz, ilekroć Josie ogarniały wątpliwości, myślała o pani Gonzales i o tym, jak cudownie przewracała oczami na wieść o każdym z występków Carla.

A było ich sporo; wszyscy, którzy znali Carla, wiedzieli, że jest człowiekiem śmiesznym, ale ten jego nowy plan był już grubą przesadą na miarę pomysłów Kaliguli lub Rove’a, i Josie nie miała obowiązku współdziałać. Podobnie jak wiele poczynań Carla, jego życzenie – żądanie niemal – urągało wszelkiej przyzwoitości, świadczyło o tak niebywałym zepsuciu, że aż zapierało dech w piersiach. Jak to wytłumaczyć? Carl żenił się z inną kobietą. Miała na imię Teresa, jakżeby inaczej, jej imię musiało brzmieć właśnie tak. Pochodziła z jakiejś szacownej rodziny i niektórzy jej członkowie mieli pewne wątpliwości co do Carla. Wątpliwości co do Carla! Kiedy Josie usłyszała to z czyichś ust, zachichotała, tak bardzo jej się spodobały te słowa. Wątpliwości co do Carla. Wątpliwości co do Carla. Jego imienia nie dało się wypowiedzieć bez wątpliwości. Wymagało przestankowania: Carl? Bez pytajnika nie brzmiało należycie.

– Mamo? – zawołała z tyłu Ana. – Minęło pięć minut.

Josie spojrzała we wsteczne lustro, ujrzała córkę, a potem zerknęła w lustro boczne; za nimi ciągnęło się siedem, osiem samochodów. Zjechała na pobocze, żeby je przepuścić, przeklinając diabelnego Stana. Gdy karawana kierowców rzucających jej gniewne spojrzenia ruszyła dalej, Josie wróciła na jezdnię.

– Jeszcze pięć – odparła.

Carl zadzwonił pewnego dnia i wyjaśnił to po swojemu.

– Chciałbym mieć dzieci tutaj przez mniej więcej tydzień – oświadczył, jakby robili to regularnie, dzielili czas w ten sposób, jakby co miesiąc wystrzeliwali je niczym z procy na drugi koniec kraju na czas odwiedzin u ich cudownego, biegającego do kibla ojca. – Rodzice Teresy chcą spędzać z nimi czas – dodał, posługując się wymową stylizowaną na florydzką gwara, która była w stu procentach jego wymysłem (pochodził z Ohio). – I oczywiście chciałbym się nimi pochwalić.

Odjęło jej mowę. Nie po raz pierwszy. Jak w paru zdaniach można było popełnić tyle zbrodni na języku i etyce? Od czasu rozstania, ilekroć się z nim komunikowała, tylekroć była zniecierpliwiona, oszołomiona, osłupiała i przerażona. Warto było odbierać telefony Carla, ponieważ zawsze słyszała w słuchawce coś nadzwyczaj nikczemnego i niewątpliwie istotnego z punktu widzenia antropologów i studentów psychiatrii. Był czas, że dzwonił o wpół do jedenastej wieczorem, żeby porozmawiać na temat jakiegoś reportażu o soi obejrzanego w wiadomościach telewizyjnych.

– Mam nadzieję, że kontrolujesz spożycie soi u naszych dzieci. Zwłaszcza u Any. Podobno przyspiesza ona wejście dziewcząt w okres dojrzewania.

Naprawdę to powiedział. Naprawdę mówił i robił tyle rzeczy i tak niewiele z nich mieściło się w granicach przewidywalnych ludzkich zachowań. A teraz ta wizyta w Punta del Rey.

– Bardzo im się spodoba – zapewnił. – Mogą tutaj popływać, poznać swoich nowych dziadków. Pograć w golfa. Może w jarts. – Tak powiedział. Jarts, których zakazano w latach osiemdziesiątych. To było cudowne, perwersyjne, takie jak Carl. Carl?

W końcu, dzięki pośrednikom – no cóż, tej samej pośredniczce, jego mamie, która lubiła Josie bardziej niż on – uzyskała pełny obraz sytuacji: ślub zaplanowano na jesień, ale w rodzinie Teresy byli tacy, którzy sprzeciwiali się temu związkowi, sądząc bądź wiedząc, że Carl jest tym, kim był – ojcem leniem uchylającym się od obowiązków, człowiekiem

urodzonym bez kręgosłupa – więc Carl (razem z Teresą? Nie było jasne, ile ona wiedziała) obmyślił plan pokazania im, że dzieci są mu bliskie, że jest częścią ich życia. I Josie pomyślała: „Wiesz co, niech cię szlag trafi. Jesteś na Florydzie? To ja będę na Alasce”.

Nie powiedziała mu tego jednak.

– Wrócimy do czerwonego domu? – zapytała Ana z głębi kampera. Rozpięła pasy i stała teraz koło łazienki.

– Usiądź i zapnij pasy – poleciła Josie.

– Paulie powiedział, że nie muszę zapinać.

– Paul, dostajesz wyrok w zawieszeniu – powiedziała Josie.

– Wielkie dzięki – odparł.

Co, u diabła, się tutaj działo? Paul nauczył się, co to sarkazm. Ana usiadła i przypięła się pasami.

– Jasne, że wrócimy – zapewniła w odpowiedzi na pytanie córki. Ich dom nie był czerwony, lecz szary, ale miał rdzawoczerwone listwy wykończeniowe, więc Ana zaczęła nazywać go czerwonym domem, a Paul i Josie nigdy jej nie poprawiali.

Czyżby wcześniej powiedziała córce, że nie wrócą? A jeśli nawet wrócą, to tylko po to, żeby się wyprowadzić? Jej odczucia wobec tego domu były pełne goryczy i bardzo skomplikowane. Kiedyś oboje z Carlem myśleli, że kupno domu to rozsądne rozwiązanie, cel rzadko kwestionowany w cywilizowanym świecie. Oglądali różne domy, dyskutowali na temat ich zalet i w końcu kupili jeden, wymagający remontu. Carl powiedział, że wykona niezbędne prace, a przynajmniej będzie je nadzorował, a część wykona własnoręcznie (nie miał pojęcia, jak się to robi), i Josie myślała, że to nie pozwoli mu na beczynność i rozkojarzenie, nawet gdyby miał tylko się przyglądać, jak inni pracują. Zaciągnęli więc pożyczkę i kupili dom za żadaną cenę. Wszystko to było bardzo proste i w czasie gdy mieszkali w wynajętym mieszkaniu, Carl przystąpił do pierwszych podstawowych prac remontowych (wpadał od czasu do czasu, żeby ich doglądać) trwających trzy miesiące, potem mogli się wprowadzić. Co też zrobili, dzieci wprowadziły się z prawdziwą

radością, nie mogły się nacieszyć nową wspólną sypialnią, niezwykle dużą garderobą oraz dziwnie małą i przerażającą piwnicą; i wtedy, po tygodniu spania w tym domu, pięknym, solidnym domu wycenionym na średnim poziomie cen domów w ich mieście, Carl zaczął wariować.

– To niewłaściwe – stwierdził. – Dekadenckie. – Stał w ich sypialni, rozglądając się z taką miną, jakby weszli do rozległej rezydencji Vanderbiltów w Newport. – Spójrz na to!

Josie rozejrzała się po pokoju i spostrzegła jedynie materac, niezmontowane łóżko oraz małe okno z widokiem na przechyloną jabłoń. Josie była zaszokowana, ale nie tak bardzo, jak byłaby, gdyby miała do czynienia z kimś zdrowym na umyśle lub zrównoważonym.

– Co? Dlaczego? Właśnie się wprowadziliśmy.

Okazało się, że Carl jest targany sprzecznościami, rozdarty na myśl o niedawnym zakupie domu w zestawieniu z koniecznością prowadzenia remontu – czy to nie paradoksalne? Zastanawiał się, o co chodzi. „Co to jest?” – lamentował głośno. Słowo „remont” wypowiedział tak, jakby było czymś plugawym, jakby palili banknoty u stóp głodnych sierot, w czasie gdy ruch Occupy dzielnie starał się zmienić fundamenty naszego systemu finansowego. Jak oni oboje mogą debatować nad wyborem drewnianych podłóg? Gdzie indziej, wszędzie, tworzy się historia, a oni dobierają kolory farb i decydują, czy lampy powinny być wykończone niklem czy miedzią. Pewnego dnia pod sklepem z wyposażeniem, gdy mieli wybrać szafkę pod umywalkę łazienkową, Carl nie mógł wysiąść z samochodu.

– Nie dam rady – powiedział.

– Klamka jest tuż obok, pod oknem. Pociągnij za nią – poradziła Josie. Wiedziała już, co on w tej chwili czuje. Carl był nieprzewidywalny, ale nigdy nie zaskakiwał swoją zmiennością. Był niekonsekwentny we wszystkim oprócz własnej tchórzliwości. Na jego nierzetelności można było polegać. Czy powinna była mu wytknąć niesamowitą hipokryzję? To, że jest synem hodowcy bydła, który przetrzebił lasy na obszarze wielu kilometrów kwadratowych Ameryki Środkowej, żeby stworzyć pastwiska dla krów, które stanowiły pożywienie dla Amerykanów i Japończyków?



I to, że nigdy nie pracował? A teraz osądzał ją, ich życie, życie, za które płaciła...

To było nie do przyjęcia. Nie było od czego zacząć, o czym mówić.

– Nie! Nie. Idź sama – odparł. – Ja zostanę tutaj.

Chciał wiedzieć, czy naprawdę zaraz wydadzą sześćset dolarów na szafkę. Czy naprawdę wydali pięćset pięćdziesiąt dolarów na łóżka dla dzieci?

– A na czym miałyby spać? – zapytała. Wydawało jej się, że Carl naprawdę może mieć jakieś inne rozwiązanie.

– Nie wiem – odparł. – Ale myślę, że musimy zacząć zadawać sobie takie pytania.

Josie parsknęła śmiechem. Nie było to zamierzone.

Oznajmił, że nie może uczestniczyć w wydawaniu w taki sposób pieniędzy. Pieniądzy, do których zarobienia nie przyłożył zresztą ręki. Kiedy się poznali, został zwolniony z jakiejś nieokreślonej posady w agencji reklamowej; w żadnej pracy nie utrzymał się dłużej niż rok. Czy naprawdę pozwoliła mu nic nie robić? Czy to była jej wina? Czy rzeczywiście kazała mu – czy wypowiedziała te słowa – *kierować się zamiłowaniem*? Boże. Carl nie miał pomysłu na to, jak zarobić na dzieci lub na siebie, nie miał poczucia, że otrzymanie zapłaty za wykonaną pracę wymaga podjęcia określonych kroków, gdy już się człowiek obudzi i wstanie. Wiedział, jak wstać z łóżka, wiedział też, jak zrealizować czek, ale wszystko, co dzieliło jeden moment od drugiego, było dla niego niejasne. Wszyscy jego szefowie byli potworami i psychopatami – głównie dlatego, jak się wydawało, że próbowali mu mówić, co ma robić. Samo w sobie było to karygodne.

Wszystkie te miesiące zaangażowania w ruch Occupy były katastrofą. Carl był sparaliżowany. Josie zastawała go w łóżku, leżącego na wznak na ich kapitalistycznym materacu, z ręcznikiem na głowie. Zastawała go na podłodze pokoju dzieci z rozrzuconymi rękami i nogami, jakby wpadł do rowu. Mówił, że ma migrenowe bóle głowy. Mówił, że nie może tego zrobić. Odwołał prace remontowe, odesłał robotników, a w domu zostało

pełno plastikowej folii wydymającej się z głośnym szelestem w przeciągach od otwartych okien.

– Teraz ci ludzie nie dostaną pieniędzy – zauważyła Josie. – Oni też nie muszą pracować?

– Nie o to chodzi – odparł, ale w jego oczach pojawiła się świadomość, że właśnie o to po części może chodzić. Carl nigdy nie był osobą, która dostrzegала związek między jakimikolwiek swoimi poczynaniami a panowaniem nad sytuacją finansową ich gospodarstwa domowego, miasta lub świata.

On tak naprawdę pragnął jedynie być w parku Zuccottiego, nie w Ohio. W tym cała rzecz. Średnia wieku aktywistów ruchu wynosi około dwudziestu czterech lat, powiedziała Josie. Nie ma tam rodziców małych dzieci. Nie ma tam dzieci, a jeśli są, żyją w brudzie i nędzy. Carl zgodził się z nią, ale był katatonikiem. Nie umiał żyć z dnia na dzień. Po przebiegnięciu ponad dwudziestu kilometrów upijał się. Przesypiał pół dnia, a potem oglądał formularze zgłoszeniowe na kursy podyplomowe. Szukał na Bali miejsc do zamieszkania. Sprawdzał oferty szkół międzynarodowych dla dzieci w Brazylii. Potem przebiegał dwadzieścia kilometrów i upijał się jeszcze bardziej.

– Po co tu jesteśmy? – zapytał.

– Na Ziemi? – zapytała Josie. Żartowała, ale Carlowi nie było do śmiechu.

– Jakim cudem tak bardzo oddaliliśmy się od wszystkiego? – zapytał, a ona zdała sobie sprawę, że naprawdę nie żartuje. Jakoś zaczął mylić siebie z rewolucjonistą z Weather Underground, który ostatnio złągodniał. Josie nie mogła przywołać wspomnienia żadnej w miarę rewolucyjnej rzeczy, której dokonał. Wiedziała, że głosował kiedyś na partię Zielonych. Może wtedy. Teraz usychał z tęsknoty za swoimi braćmi z Occupy, jakby Josie osobiście wykradła go ze stanowiska na barykadach. Aha – w dniu, w którym protestujący opuścili park Zuccottiego, Carlowi poprawił się nastrój. Aktywiści wrócili do domów i Carl, jak się wydawało, sam też był gotów mieszkać w domu.

Potem zaczęły się starty w triathlonie. Carl dołączył – zapłacił, żeby się wśród nich znaleźć – do grupy mężczyzn i kobiet trenowanej przez byłego żołnierza piechoty morskiej. Biegali, jeździli na rowerach i wspinali się po sztucznych ściankach. Josie poznała ich imiona: Tim, Lindsay, Mercury, Warren, Jennifer. Cudownie było wiedzieć o nich tyle rzeczy. Trenował w całym Ohio, a niemal w każdą sobotę i niedzielę poza stanem. W dni powszednie Josie załatwiła opiekę nad dziećmi, ale uważała, że obecność ich ojca w weekendy byłaby pomocna.

– Jestem z nich bardzo zadowolony – powiedział.

Z treningów, nie ze swoich dzieci. Carl nigdy nie wystartował w zawodach triathlonowych. Wyjeżdżał jednak w każdy weekend i Josie była zdruzgotana monotonią swojego weekendowego życia. Sama z Paulem i Aną, po śniadaniu była zdeterminowana, żeby do jedenastej załatwić poranne sprawunki. Uporawszy się z tym, walczyła z pragnieniem zdrzemnięcia się. Paul szedł do sąsiadów, żeby bawić się z gadatliwym jedynakiem, który mówił mu okrutne rzeczy. Zostawała więc z Aną, jej zaś było właściwie obojętne, co wspólnie robiły. Mogły na przykład obejrzeć film w telefonie. Następnie, jednak, dwudziestominutowa drzemka – a w każdym razie próba zdrzemnięcia się, bo w ciągu tych dwudziestu minut Josie myślała o kilkudziesięciu najgorszych rzeczach, jakie zrobiła, i najgłupszych rzeczach, jakie powiedziała w swoim życiu – u boku małej. Otwierała oczy zdołowana. Wkładała buty do biegania, po czym rezygnowała z joggingu, zastanawiając się, czy nie zrobić sobie drinka. Przecież nikt by się nie dowiedział. Przyrządzała sobie drinka i natychmiast wlewała alkohol z powrotem do butelki. Jak mijały te godziny?

Przed wieczorem Carl wracał do domu. Po treningu, prawdziwym lub na niby, był napalony i mało wybredny w kwestii rozładowywania napięcia seksualnego – równie chętnie posługiwał się własną dłonią lub dłońmi Josie, ale nie wiedzieć czemu ten ręczny sposób zawsze wymagał więcej czasu i było to dwa razy nudniejsze. Następnie, leżąc na wznak, ze śnieżnobiałym sufitem przed oczyma, niby czegoś dokonawszy, przeżywali

to wspólnie przez chwilę. Później Carl mlaskał językiem, wstawał i mówił: „Muszę iść do sracza”.

Jej wspomnienia Carla wiązały się albo z tym, jak srał, albo jak leżał, sparaliżowany myślą o bohaterach z placu Zuccottiego. Chwileczkę. To przecież lepszy pomysł niż *Rozczarowani* – *musical*. Pomyślcie tylko: *Bohater z placu Zuccottiego*. Musical opowiadałby o Carlu, mężczyźnie z Ohio, synu latyfandy, który wyciął w pień setki kilometrów kwadratowych kostarykańskiego lasu, żeby paść swoje krowy. Teraz Carl był bohaterem z placu Zuccottiego. Dziecko bogacza oddane sprawie ubogich, mimo że formalnie rzecz biorąc, nigdy nie trafił na plac Zuccottiego ani nie uczynił jawnie nic, żeby wesprzeć okupujących plac. Może czuł się częścią tych dziewięćdziesięciu dziewięciu procent, ponieważ formalnie nie miał żadnego dochodu? Czy właśnie na tym polegał ten związek? Spektakl koncentrowałby się na Carlu biegnącym – biegnącym nocą przy świetle czołówki! Po ruchomej bieżni. Po prostu by biegł. Jego myśli i marzenia przedstawione na tle filmu z rozmaitych demonstracji i marszów wyświetlanego za jego biegnącą postacią, kiedy po biegu rozciągał się, wcierał sobie maść przeciwbólową w nogi, pił zimne piwo, oglądał na ekranie telefonu mecz piłki nożnej kobiet i walił konia w łazience na parterze – tutaj można by pokazać Josie, na piętrze, samą w łóżku – a tymczasem resztę świata i rozgrywających się zdarzeń: namioty, transparenty, marsze i starcia z policją widać byłoby na ekranie za nim, on zaś od czasu do czasu podnosiłby wzrok i kiwał znacząco głową, jakby jednoczył się z protestującymi, mimo że stał sam, z kutasem w dłoni.

Kilka miesięcy po ich rozstaniu Carl dostał pracę na Florydzie i wyjechał. Wydawało się, że zatrudnienie w innym stanie dało mu prawo do tego, by stać się ojcem widmem. Uznał, że to logiczne i niepodważalne. „Nie mogę być w dwóch miejscach naraz”, stwierdził. Znajomy ze studiów dał mu pracę sprzedawcy z wynagrodzeniem wyłącznie prowizyjnym w jakimś start-upie. Czy można było nazwać to start-upem, skoro sprzedawali bagażniki dachowe do małych samochodów? Alimenty nigdy nie były przedmiotem dyskusji ani rozważań. Carl zniknął całkowicie na

sześć miesięcy. Kiedy jednak się pojawił, zachowywał się, jakby cały czas był na miejscu.

– Jesteś pewna co do tej szkoły, do której chodzą? – zapytał zeszłej jesieni, kiedy odwiedził ich po raz ostatni. – Czy stawia się im należyte wymagania?

Kiedy to mówił, miał na sobie szorty, sandały i przezroczysty daszek na głowę. Był to strój plażowy, odpowiedni na Florydę, ale Carl znajdował się w Ohio. Przyleciał na weekend, wynajął samochód i zjawił się w ich domu. Kim był ten człowiek? Gdzie znalazł ten daszek? Josie naprawdę go o to zapytała, musiała wiedzieć.

– Skąd masz ten daszek?

Odparł, że kupił go w sieci. Chodził zatem po ziemi człowiek, który zamawiał daszki przez Internet i zadawał pytania w stylu: *Czy stawia się im należyte wymagania?*

Od tego czasu Josie poznała inne kobiety w podobnym położeniu, samotne matki, które miały widmowych partnerów, ludzi takich jak Carl, który nic nie robił, którego po prostu nie było, w żaden sposób nie uczestniczył w życiu swoich dzieci – ale żył w pełnym przekonaniu, że dokłada wszelkich starań. Josie sterowała jachtem życia swoich dzieci, podnosząc żagle, kręcąc kabestanem i wylewając wodę, a Carla nie było na pokładzie, Carl wygrzewał się w słońcu na jakiejś odległej, nienazwanej wyspie – z osłoną przeciwsłoneczną na głowie! – ale sądził, że jest na tym jachcie. Naprawdę tak uważał! Jak można być na pokładzie, skoro w rzeczywistości jest się gdzie indziej, na jakiejś odległej wyspie? W ostatnich czternastu miesiącach Carl widział się ze swoimi dziećmi raz, ale we własnym mniemaniu co noc układał je do snu. Jaka ewolucyjna mutacja pozwalała mu żywić takie złudzenia?

Wszystko to mogłoby się znaleźć w musicalu. Przez cały czas, kiedy Carl biegał, rozciągał się i walił konia, jego rodzina oraz aktywiści Occupy krążyliby wokół niego, wyświetlani na ekranie, chociaż jemu myliłoby się to z prawdziwą obecnością. A pod koniec spektaklu, podczas którego aktor grający Carla niczego dla nikogo nie zrobił, wchodziłby na scenę, kłaniał

się i wywoływany przed kurtyną mówił: „Dziękuję, dziękuję, bardzo wam dziękuję”.

Teraz Josie pragnęła jedynie, żeby dał jej spokój. Chciała mu powiedzieć: Nie zjawiaj się więcej. Nie dawaj mi rad. Nie wchodź do mojego domu i nie oceniaj, jak go prowadzę. Nie komentuj wpływu soi na wejście mojej córki w okres dojrzewania. Nie, nie wyśle dzieci do Punta del Rey. Nie nabierze się na jego sztuczkę, nie przyłoży do tego ręki. Czy świadczyło to o jej małostkowości? Rozgoryczeniu? Małoduszności? Czy ucieczka z domu na Alaskę, gdzie nie mógł ich znaleźć, żeby urządzić ustawkę, była niedorzeczna? Owszem, Carl, Teresa oraz jej rodzice i chuj wie kto jeszcze chcieli mieć jego zdjęcia z dziećmi – żeby pokazać, że jest prawdziwym ojcem. Spójrzcie, jak dowodzi z córką i synem! Chcieli oprawić to zdjęcie, te zdjęcia i mieć je na weselnym stole, jako najważniejszy element pokazu, który by zmontowali dla swoich pożałowania godnych gości. Jakiś potomek Goebbelsa zajmował się teraz urządzaniem wesel i został wynajęty przez te hieny do stworzenia fikcji.

– Mamo, czuć jakiś zapach.

Głos Paula.

– O co chodzi? Minęło już pięć minut spokoju?

Josie straciła rachubę.

– To naprawdę przykry zapach – zaznaczył jej syn.

Josie zrobiła głęboki wdech. Ta woń była zarazem znajoma i obca – ostra, organiczno-chemiczna.

– Rozpył trochę tej emulsji z filtrem – zaproponowała i powietrze w chateau zapachniało mlekiem i ananasami. Ów zapach nie utrzymał się długo. Był za słaby, by zneutralizować wcześniejszą woń.

Josie opuściła szybę i szukała wzrokiem pożarów lub strażaków, ale nic nie zauważyła. W końcu ujrzała przed sobą smugę dymu wylatującą z komina jakiegoś budynku przemysłowego.

– Prawdopodobnie to z tego komina – powiedziała, wskazując na dym. Zasunęła szybę. Przez dziesięć minut jechali w milczeniu, aż znaleźli się daleko poza zasięgiem dymu.

Odkąd rozstała się z Carlem, jedynym liczącym się mężczyzną w jej życiu, oprócz człowieka, który chciał wachać swój pokryty kałem palec, był Elias. Przeczytała o nim w lokalnej gazecie. Był prawnikiem i szykował pozew zbiorowy przeciwko pobliskiej elektrowni węglowej pod zarzutem naruszeń różnych przepisów dotyczących ochrony środowiska. Artykuł przedstawiał go jako zwykłego prawnika, który postanowił z własnej inicjatywy stanąć do walki z firmą wartości miliarda dolarów. W zasięgu oddziaływania elektrowni znajdowały się tysiące gospodarstw domowych, wszystkie narażone na nieznaną zagrożeń z powodu pyłu zawartego w powietrzu, lotnego popiołu oraz produktów ubocznych spalania osiadających na trawnikach i dachach domów. Elias proponował, by każdy, kto mieszka w promieniu pięciu kilometrów od elektrowni, zgłosił się i pociągnął ją do odpowiedzialności.

Josie z zaskoczeniem stwierdziła, że znajduje się w zasięgu oddziaływania elektrowni – odległej zaledwie o trzy i pół kilometra – wysłała więc do niego list, on zadzwonił i już po chwili siedziała w samochodzie i jechała zobaczyć się z nim w centrum. Spodziewała się, że pracuje w jakimś labiryncie pomieszczeń kancelarii prawnej, z papierami ułożonymi w równych stosach na podłodze i pudłami dokumentów noszonymi przez współpracowników. On jednak pracował sam, a jego biuro było schludne, przestronne i nie było w nim żadnych papierów.

Ulżyło jej. Odkąd do niego napisała, czuła się dziwnie, obserwowana jak zdrajca. Gdyby Elias pracował w jakimś ciemnym biurze w suterenie, obawy Josie przerodziłyby się w paranoję. Elias był jednak młodym człowiekiem o szczerym spojrzeniu i ściskając jej dłoń, uśmiechał się swobodnie. Miał wspaniałe zęby. Poszli do pobliskiego baru, a prawnik zapytał, czy Josie przyłączy się do pozwu. W nagłym irracjonalnym odruchu na widok jego nieskazitelnej cery i promiennych oczu wyraziła zgodę. Zapytała, czy jest możliwe, że proces wywoła odwet ze strony firmy, że odpowie ona pozwem lub uczyni coś niezgodnego z prawem i nikczemnego. Czytała kiedyś o takich rzeczach. „Owszem” – odparł, ale nie wydawał się ani trochę zaniepokojony. Złożył pozew z jej nazwiskiem

wśród reprezentantów grupy. Była z tego dumna – Elias powiedział, że pozycja w lokalnej społeczności czyni z niej cenny nabytek.

Kilka tygodni później przyjechał przekazać jej najświeższe nowiny w sprawie, a ona pokazała mu białą furgonetkę, która od miesiąca stała przy jej ulicy. Obeszli ją razem, śmiejąc się, lecz mimo to rozważali, dlaczego taka nieoznakowana furgonetka parkuje przed jej domem, za każdym razem dokładnie w tym samym miejscu, nigdy dalej – choćby po drugiej stronie jezdni, a jej tylna szyba zawsze jest zasłonięta.

– Spróbuj zapukać do drzwi – zaproponowała. Znowu miała czternaście lat, serce jej waliło jak młot. – Zobacz, czy siedzi tam ktoś w słuchawkach.

Elias rzeczywiście zapukał. Josie wydała stłumiony okrzyk.

– Przecież to ty tutaj mieszkasz – zauważył prawnik i śmiejąc się, uciekli z powrotem do domu.

Josie podkochiwała się wtedy trochę w Eliasie, chociaż wyczytała w jego oczach, że uważa, iż jest za młody (a raczej, co ważniejsze, że ona jest za stara). Elias liczył sobie co najwyżej trzydzieści lat, a wyglądał jeszcze młodziej. Kiedy wpadli do środka i zamknęli drzwi, dysząc i śmiejąc się, Josie wydawało się niemal pewne, że padną sobie w ramiona i zaczną się całować. On jednak powiedział, że musi skorzystać z łazienki. Wszyscy mężczyźni w jej życiu woleli być sami w łazience niż zostać z nią sam na sam.

Potem Elias wyjął z torby dwustustronicowy pozew z normalną i funkcjonalną, ale dziwnie piękną okładką. Josie zadrżała na widok swojego nazwiska. Co to znaczyło? Jej nazwisko nad nazwą elektrowni, GenPower, jakby ich uszeregowanie kodyfikowało moralną wyższość powódki. Następnie słowo „przeciwko”, oznaka oporu i agresji. Pozywam was. Jestem przeciwko wam. Rzucam wam wyzwanie. Pociągam was do odpowiedzialności. Wskazuję was z nazwy, wskazuję siebie.

Kiedy oboje z Eliasem patrzyli na tekst pozwu, a ich ramiona stykały się z sobą nie całkiem niewinnie – Josie czuła ciepło jego ciała przez błyszczącą białą koszulę i dzięki temu czuła, jak bardzo sama jest



rozgorączkowana – rozległo się pukanie do drzwi, a potem w jej życiu znowu pojawiła się twarz Carla.

Nie mogłaby udowodnić, że właśnie wtedy, z nietypową dla siebie skwapliwością, Carl postanowił się ożenić ze swoją ówczesną przyjaciółką Teresą, ale było to dość prawdopodobne. Wszedł do domu, zanim Josie go zaprosiła, i zauważył ich oboje, ją u boku tego przystojnego prawnika w czystej białej koszuli. Siedzieli pochyleni nad dokumentami, nie było więc widać, jak postawny jest Elias. Carl ruszył pośpiesznie naprzód, sądząc, że po swoim w jakiś sposób stawi czoło temu nowemu mężczyźnie obecnemu w domu, który kiedyś był jego własnością – a przynajmniej lokum – ale kiedy się zbliżył, Elias się wyprostował i stanął w całej okazałości, a Josie serce omal nie wyskoczyło z piersi. Bardzo lubiła wspominać teraz, jak na jej oczach Carl obejmuje spojrzeniem wysokiego, przystojnego prawnika. Jak na jej oczach zwalnia kroku, ponownie ocenia sytuację i wyciąga rękę, by uścisnąć mu dłoń – już nieskłonny do konfrontacji, uległy, udający życzliwość – to było wyborne.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzekł.

– Powinienem już iść – stwierdził Elias.

– Zostań – poprosiła Josie, ale prawnik wkrótce wyszedł, a Carl cierpiał katusze, miał mętlik w głowie i tłumił wściekłość. Kim był ten drugi mężczyzna, ten dryblas w czystej koszuli i lśniących butach? W tej samej kuchni chwila intelektualnej zażyłości z Eliaszem przeobraziła się w idiotyczną sprzeczkę z jakimś idiotą.

– Czego szukasz? – zapytała.

Carl przemierzał kuchnię, spoglądając na każdą płaską powierzchnię, wysuwając szuflady niczym mała nieobeznana ze skomplikowanym wnętrzem ludzkiej siedziby. Miał na sobie bluzę z kapturem i ogromne kolorowe adidas, co w zestawieniu z maksymalnie stonowaną paletą barw ubioru młodszego Eliasa sprawiało, że Carl wyglądał jeszcze bardziej dziecinnie i bezradnie.

– Klucza do magazynu – skłamał Carl.

– Wzięłeś go z sobą. Wiesz o tym – powiedziała Josie, chociaż nie miała pojęcia, jak ten klucz wygląda ani czy rzeczywiście go zabrał.

– Góra naczyń w zlewie... – zauważył Carl. Chyba zrezygnował z udawania, że chodzi mu o klucz, i cmoknął niczym jakaś babcia z lat pięćdziesiątych. Czemu naczynia w zlewie stanowią powszechny symbol brudu w domu i rodzicielskiej nieudolności? Chodzi o układanie w stos? Naczynia nie powinno się tak układać – tak brzmiał wniosek? Czy też chodzi o to, że są w zlewie? W porządku, że tworzą stos, ale nie w takim miejscu? Czy powinny stać gdzie indziej? W szafie wnękowej, na łóżku?

– Twojego klucza tu nie ma. Powinieneś wyjść – zauważyła Josie.

– Dzieci wkrótce wrócą ze szkoły – rzekł Carl, spoglądając na zegarek i widząc, że jest dopiero pierwsza, podczas gdy wiedział (na pewno? Nie! Nie wiedział!), że kończyły lekcje dopiero o drugiej. – Miałem nadzieję, że się z nimi zobaczę.

– Nie możesz czekać przez godzinę – odparła Josie. – Nie tutaj.

– Zaraz, zaraz. Ana jest w przedszkolu do drugiej? To bardzo długo.

Josie spostrzegła nóż na blacie i pomyślała, z jaką łatwością mogłaby to wszystko zakończyć. Carl patrzył teraz na okno nad zlewem, pod kątem, sprawdzając, czy szyby są czyste. Nie były. Czyżby zapamiętywał to na czas ewentualnego pozwu? Z pewnością.

– Czy przerwałem wam schadzki? – zapytał, kierując na nią spojrzenie swoich maleńkich zielonych oczu. Josie zastanawiała się, kim jest ten człowiek. Zawsze był taki groteskowy? Po chwili uświadomiła sobie z całą mocą – po raz enty odkąd się rozstali – że była z tym szpiclem przez osiem lat, że spółdziła z tym podłym padlinożercą dwójkę dzieci i że nigdy od niego nie ucieknie. Kiedy wyszedł – jednak wyszedł i być może dzięki temu ocalił życie, bo chwycenie za nóż wydawało się słusznym rozwiązaniem – musiała pójść na szybki spacer, żeby spróbować oczyścić umysł z fali samooskarżeń. Nie chciała wypowiedzieć ani pomyśleć słów: „Zmarnowałam młodość”, ale oczywiście zrobiła to. Może nie młodość – zmarnowała lata po trzydziestce, czas swojego rozkwitu, kiedy ugruntowała pozycję zawodową, zapanowała w pełni nad własnym ciałem, wydała na

świat Paula oraz Anę i była gotowa rozejrzeć się i budować. Zmarnowała tyle czasu z Carlem. Osiem lat. Osiem lat z Carlem pozbawionym kręgosłupa, bezrobotnym, zdeorientowanym, a teraz miała czterdzieści i było za późno na Eliasa, kogoś takiego jak on. Kogoś odważnego. Teraz przebywała na Alasce, w stanie, w którym roiło się od strażaków. Czy to stwarzało nowe możliwości?

– Teraz śmierdzi jeszcze bardziej – rzekł Paul, a Josie wiedziała, że to prawda. Ta woń była drażniąca, przypominała smród palonych śmieci.

Tym razem, zanim się zorientowała, że rozpiął pasy, wstał, żeby sprawdzić kuchenkę, i zameldował, że wszystkie pokręta są w należytym położeniu.

– Otwórzcie okna – poleciała, sięgając ręką, by opuścić szybę w drzwiach od strony pasażera. Odór złagodniał, ale tylko nieznacznie.

Jechali dalej i chociaż nie było ku temu podstaw, Josie nadal uważała, że ta woń – z ziemistą nutą wzmocnioną jakimś toksycznym dodatkiem – dociera z zewnątrz. Cieszyła się jednak, że Paul ma ochotę współpracować, a przynajmniej zrezygnował z postawy otwartej wrogości. Ten smród ich zjednoczył.

Przejechali w tych warunkach dziesięć, może piętnaście kilometrów. Wracając później myślami do tej sytuacji, Josie mogła przyznać, że ktoś bardziej odpowiedzialny nie kontynuowałby jazdy tak długo.

W końcu Paul powiedział, że jest mu niedobrze i chyba zaraz zwymiotuje, więc Josie zatrzymała się przy drodze, tym razem pozbawionej odpowiednio szerokiego pobocza, więc kamper stał przechylony pod tak dużym kątem, że silny wiatr przewróciłby go jak postrzelonego grubym śrutem słońca.

Dzieci wysiadły, a Josie kazała im biec poboczem, dopóki nie stanęły obok samotnego świerka, przysadzistego i mocno wygiętego przez jakiś sztormowy wiatr. Sama pośpiesznie weszła do części mieszkalnej i chociaż wiedziała, że Paul nie mógł się pomylić, sprawdziła kuchenkę i potwierdziła, że nie jest włączona. Jednak smród koło kuchenki był

znacznie silniejszy niż na przednim fotelu. Otworzyła szafki, myśląc, że może znajdzie jakieś gnijące owoce lub zdechłe zwierzę. Nie znalazła ani jednego, ani drugiego, ale była już pewna, że właśnie martwe zwierzę stanowi wyjaśnienie kwestii źródła tego smrodu. Otworzyła wszystkie szuflady, zajrzała pod poduchy. W końcu, spodziewając się, że tam tkwi przyczyna, zajrzała do łazienki. I choć pod prysznicem znalazła jedynie stertę naczyń kuchennych i ręczników, odkryła, że tam fetor jest mocniejszy. Podniosła sedes, sądząc, że któreś z dzieci wrzuciło tam jakiś tajemniczy przedmiot, i stwierdziła, że muszla jest wprawdzie pusta, ale to z niej z wielką siłą wydobywa się fetor.

Wyszędłszy z chateau, zakrztusiła się, po czym dołączyła do dzieci na poboczu i stała tam przez chwilę, ogarniając spojrzeniem zaśmieconą jezdnię. Ktoś wyrzucił przez okno samochodu tampon, zważywszy zaś na jego niewielką odległość od Any i to, jak dziewczynka mu się przygląda, Josie w ciągu kilku sekund zrozumiała, że pod jej nieobecność Ana podniosła tampon z ziemi, ale brat kazał jej go wyrzucić. Córka patrzyła na Josie z obawą, zastanawiając się, czy za chwilę po raz pierwszy zobaczy, jak jej matka wymiotuje, ale równocześnie utrzymywała tampon w polu widzenia – czekając na możliwość dokładniejszego zbadania, a może nawet włożenia go do ust.

– Znalazłam źródło smrodu – oświadczyła Josie, co niezupełnie było prawdą.

Wróciła do chateau, zastanawiając się nad sposobem szczelnego oklejenia drzwi łazienki taśmą lub owinięcia klozetu plastikową folią bądź jakimś materiałem nieprzepuszczalnym dla woni fekaliiów. Kierując się z powrotem do łazienki, spostrzegła coś, czego wcześniej nie zauważyła. Na ścianie tuż obok kuchenki znajdował się przełącznik, o którym Stan jej nie powiedział, ponieważ był skurwysynem. Przełącznik wyglądał jak wszystkie metalowe przełączniki, których nie brak w starych samolotach i które wydają przyjemny dla ucha trzask. Nad nim widniał napis „Podgrzewacz zbiornika”.

Josie zauważyła, że przełącznik był włączony, co znaczyło, że podgrzewany był jakiś zbiornik. Pomyślała najpierw o baku, ale miała dość rozsądku, by nie zakładać, że między kuchnią a łazienką umieszczono przełącznik, który uruchamiał podgrzewanie zbiornika pełnego łatwopalnej benzyny. Zatem jedynym zbiornikiem, który mógł się znaleźć w sferze jej przypuszczeń, był rezerwuar z fekaliami i moczem umieszczony pod muszlą klozetową.

Z ust wyrwał jej się stłumiony okrzyk. Wszystko zaczęło się składać w jedną całość. Kamper był wyposażony w urządzenie do podgrzewania zbiornika. Dlaczego? Josie wywnioskowała, że właściciele nie chcieli, żeby zimą fekalia zamarzały, ponieważ wtedy nie dałoby się ich spuścić przez błękitną żebrowaną rurę, więc nie byłoby miejsca na nowe. Musiały być ciepłe i płynne, żeby dało się je spuścić i znowu zapełnić zbiornik.

Ana włączyła urządzenie. Zrobiła to w sierpniu, kiedy fekalia nie wymagały podgrzewania. Tak więc, podróżując przez południową Alaskę, Josie i jej dzieci nie dość, że wiozły swoje odchody, to jeszcze je podgrzewały. Gotowały wręcz. Jak należałoby to określić? Josie szukała odpowiedniego rzeczownika. Opiekanie? Kiedy źródłem ciepła są wewnętrzne powierzchnie pieca, nie zaś płomień spalanego gazu? Była pewna, że opiekanie to właściwe słowo.

Wyłączyła podgrzewacz, wróciła do Paula i Any stojących przy świerku i powiedziała, że nie powinni przekręcać żadnych przełączników w żadnym miejscu chateau. Wyjaśniła, co się stało, powiedziała o fekaliami i ich opiekaniu, a oni kiwali głowami, bardzo teraz poważni. Uwierzyli jej bez wahania, a Josie z zachwytem obserwowała ten etap życia, na którym niewinne dziecko po raz pierwszy dowiaduje się o takich rzeczach, o tym, jak opiekąć fekaliami i dlaczego nie należy tego robić latem.

Wsiedli do kampera i pojechali dalej. Wspaniale było przeżyć taki dzień.

## XI

– „Próbuję się skontaktować z panem i panią Wright. Zapomniałem, jak mają na imię” – przeczytał na głos Paul. – „Było trzech chłopców: L.J., George i Bud Wright. Oraz dwie dziewczyny, które znałem: Anna i jeszcze jedna, której imienia nie pamiętam. Ja i mój brat Wheeler pracowaliśmy dla nich w 1928 i 1929 roku przy zbiorze pszenicy. Młóciliśmy również len, który widzieliśmy wtedy pierwszy i jedyny raz w życiu. Wrightowie mieszkali w ziemiance w Chaseley koło Bowdon, w Dakocie Północnej. Kiedy ostatnio miałem od nich jakieś wieści, George był żonaty i mieszkał z żoną niedaleko Scottsbluff w Nebrasce. Bardzo lubiliśmy tych bliskich nam ludzi. Chcielibyśmy skontaktować się z każdym, kto może nam udzielić informacji o miejscu ich pobytu”.

Josie doszła do wniosku, że pomysł, by skłonić Paula do czytania *Zatartych szlaków* podczas jazdy, był genialny. Przejechali z otwartymi oknami około stu sześćdziesięciu kilometrów na północ od miejsca, w którym wyłączyła podgrzewacz fekaliów, i powietrze w kamperze było teraz wyraźnie świeższe, chociaż oni akurat nie byli najlepszymi sędziami – tak długo wdychali kloaczne wyziewy, że nie czuli już różnicy.

Minęli duży parking przy opuszczonym centrum handlowym, gdzie urządzono strażacki punkt przerzutowy. Na jednej tablicy widniał napis TRANSPORT PALIWA. Na drugiej – TUTAJ SPRZEDAJE SIĘ KOSZULKI STRAŻACKIE. Sześć czerwono-żółto-białych wozów strażackich różnej wielkości czekało na dalsze rozkazy.

– Przeczytaj jeszcze jeden – powiedziała Josie.

– Dobrze – rzekł Paul z poważnym, lecz zachwyconym wyrazem twarzy. Siedział obok niej i Josie była niemal pewna, że posadzenie

ośmiolatka na stosie ręczników na przednim fotelu nie jest zgodne z przepisami nawet tutaj, w tym stanie buntowników. Za bardzo jednak cieszyła się jego towarzystwem, żeby mu pozwolić zniknąć w tyle samochodu. – To ostatni na tej stronie – wyjaśnił. – „Interesuje mnie miejsce pobytu mojego stryjecznego dziadka, Melvina H. Lahara (nazwisko wymawia się jak słowo *liar*). Urodził się między 1889 a 1893 rokiem w stanie Waszyngton, w rodzinie Charlesa A. Lahara oraz Idy Mae Gleason Sharp. Miał siostrę, Nancy L. Lahar Farris (o przydomkach „Emma” i „Dottie”). Ostatni raz widziano go w Waszyngtonie tuż przed pierwszą wojną światową. Od tego czasu nikt z rodziny nie widział go ani o nim nie słyszał. Wychowywał się w Colfaksie w stanie Waszyngton, w domu swojej ciotki, pani Minnie Longstreet. Mówi się też, że rabował banki, że brał udział w strzelaninie w Bend w Oregonie. Byłbym wdzięczny za wszelkie wyjaśnienia lub informacje”.

– Ciekawy list na zakończenie – zauważyła Josie, mając nadzieję, że Ana nie dosłyszała słowa „rabował”. Sprowokowałoby to szereg pytań, mogłaby nawet nie zmrużyć oka przez całą noc z tego powodu. – Ana śpi? – zapytała.

Paul nie musiał się odwracać.

– Nie. Patrzy przez okno – odparł i skinął głową w kierunku przejeżdżających obok terenówek. Był to nowy fenomen. Wzdłuż głównych dróg biegły wąskie drogi gruntowe, którymi mężczyźni, kobiety i całe rodziny podróżowali pojazdami z napędem na cztery koła do i z miasta, z produktami spożywczymi lub czymkolwiek innym. W tej części Alaski wszędzie widać było te alternatywne szlaki komunikacyjne.

– Czemu nie możemy jeździć tamtędy? – zapytała Ana z tylnego siedzenia. Odwróciwszy się, Josie stwierdziła, że dziewczynka przywarła twarzą do szyby.

Przyglądali się matkom z małymi dziećmi, siedzącymi z przodu i pomagającymi im kierować pojazdami terenowymi, gdy te wspinały się i zjeżdżały po łagodnych zboczach wzgórz. Josie też doszła do wniosku, że to chyba logiczny sposób podróżowania. W końcu spostrzegli ośmiolatka

kierującego własnym małym pojazdem terenowym. Josie wiedziała, że ten widok rozbudzi wyobraźnię Any. Wypowiedziała bezgłośnie te słowa, zanim chwilę później usłyszała je z ust córki:

– Ja też chcę taki.

– Nie możesz go mieć – odparł Paul. – Jesteś za mała – dodał. Potem odwrócił się do Josie. – Więc mam ci opowiedzieć o szkole? – zapytał takim tonem, jakby od tygodni zawracała mu tą sprawą głowę, a on wreszcie uległ. To był nowy Paul – zdolny szybko zapomnieć o Anie, czujący, że ma pełne prawo zdominować rozmowę. Czyżby siedzenie na fotelu z przodu aż tak go ośmieliło? Josie powiedziała, że z radością posłucha jego opowieści.

Opisanie wszystkiego zajęło mu pełne pół godziny. Dużo czasu poświęcił rzędom ławek w klasie. Wyjaśnił, że są cztery i w jednym z nich, niebieskim, posadzono rozwydrzone dzieci oraz jego.

– Posadzono cię w niebieskim rzędzie dla równowagi? – zapytała.

– Tak przypuszczam.

Opowiedział jej o wizycie policjanta, który przyszedł porozmawiać z dziećmi na temat bezpiecznego przechodzenia przez jezdnię oraz o zagrożeniu ze strony obcych, i niemal natychmiast potem czwórka dzieci niepytana wyznała, że ich ojcowie siedzą w więzieniu. Policjant nie wiedział, jak się do tego odnieść, i musiał powiedzieć dzieciom, żeby przestały podnosić rękę.

W mieście, w którym mieszkali w Ohio – jak miło było o tym myśleć w czasie przeszłym – działała również prywatna szkoła, do której chodziła druga połowa tamtejszych dzieci. Josie słuchając interesującej, jej zdaniem, opowieści syna, pomyślała, że dla rodziców z jej miasta nadrzędnym celem posyłania swoich pociech do szkoły prywatnej za nedorzecznie wysoką cenę jest to, by uczniowie nie mieli okazji dzielić się nożyczkami i klejem z dziećmi, których ojcowie trafili za kratki. Tak wyglądał marsz cywilizacyjny. Najpierw barbarzyństwo, zupełny brak szkół, cała nauka prowadzona w domu, realizowana chaotycznie, jeżeli w ogóle. Potem pojawiły się: społeczeństwo obywatelskie, demokracja i prawo do



bezpłatnego szkolnictwa dla wszystkich dzieci. Tuż po prawie do darmowej edukacji przyszło prawo do wyciągnięcia dzieci z bezpłatnych szkół i ulokowania ich w szkołach prywatnych – przecież *mamy prawo płacić za to, co zapewniają nam bezpłatnie!* Po tym zaś przyszło, nieuchronnie i w sposób budzący rozdrażnienie, prawo zabrania ich ze szkoły całkowicie, uczenia ich samemu w domu, a wszystko wracało do punktu wyjścia.

– Łucznictwo – rzekł Paul, a przed nimi ukazała się tablica. ŁUCZNICTWO. LEKCJE. TARCZE.

Tego dnia nie musieli trafić w jakieś konkretne miejsce, chociaż Josie liczyła na to, że nazajutrz dotrą do Denali.

– Możemy? – zapytał Paul, a ponieważ tak rzadko o cokolwiek prosił, Josie zjechała z drogi na długi zwirowy podjazd. Kamper niczym zmęczony muł jęknął w proteście przeciwko wyborowi tej drogi.

Przez niemal kilometr podążali za drogowskazami, po czym ujrzeli tor łuczniczy, szeroki teren, czerwono-białe tarcze. Nie zauważyli jednak żadnych ludzi. Mimo to wysiedli i nie budząc Any, która spała mokra od potu, rozejrzeli się. W pobliżu stała drewniana budka pomalowana na ciemnozielony kolor, gdzie normalnie pobierano opłatę, wydawano łuki i wyjaśniano, dokąd należy iść. Drzwi budki okazały się zamknięte, ale okienko już nie. Josie zerknęła do środka, ale nikogo nie zauważyła. Nie było innych samochodów, więc należało przypuszczać, że tor jest nieczynny. I prawdopodobnie tak właśnie było.

– Popatrz – rzekł Paul, wskazując na drzewo koło pierwszej tarczy od prawej strony. Opierał się o nie łuk – stary, jakiś archaiczny model. Josie uznała, że nic się nie stanie, jeśli chłopiec go obejrzy, pobiegł więc na drugą stronę toru i wrócił z łukiem oraz trzema strzałami, które znalazł w pobliskich zaroślach. Jedna strzała była wygięta. – Mogę spróbować? – zapytał.

Paul nigdy jeszcze nie zrobił sobie krzywdy, nigdy nie naraził na szwank ani siebie, ani nikogo z otaczających go osób, więc Josie się zgodziła. Chłopiec jedną dłonią chwycił łuk, a drugą strzałę i potrzebował trochę czasu, by dojść do tego, jak się posługiwać tym sprzętem, ale

niebawem przynajmniej posyłał strzały przed siebie, chociaż ta wygięta wiła się w locie niczym wąż.

Josie błądziła po torze spojrzeniem i wkrótce zatrzymała je na budce i jej otwartym okienku. Pochyliwszy się, zobaczyła, że wewnątrz nie ma nic oprócz paczki styropianowych kubków, pojemnika z połamanymi łukami i zawieszzonego na gwoździu zielonego daszka na głowę z napisem PROSTA STRZAŁA wydrukowanym na poprzecznym pasku. Od razu zrozumiała, że zabierze daszek, wiedziała jednak również, że będzie się nad tym zastanawiać przez kilka minut, obserwując, jak Paul strzela z łuku. W końcu sięgnęła do środka, chwyciła daszek, przymierzyła go, stwierdziła, że na nią pasuje, a następnie znalazła wytłumaczenie – był w pojemniku na śmieci – dla Paula, gdy ten zobaczy go na jej czole i zapyta, skąd go wytrzasnęła.

– Skąd to masz? – zapytał, wróciwszy spod tarczy z łukiem i strzałami; wyglądał dziwnie profesjonalnie.

– Zobaczyłam, że leży na ziemi obok budki – odparła Josie, na bieżąco korygując nieznacznie swoją wersję, czując, że dzięki temu jej kłamstwo staje się bardziej niewinne i błahe. – Zakrywa wygolone miejsce.

Paul zerknął na jej głowę, a następnie delikatnie podciągnął daszek, dokładniej zasłaniając łysinę, i wrócił do strzelania. W końcu, ćwicząc i coraz bardziej przybliżając się do tarczy, kilka razy trafił niemal w środek, a potem nie chciał przestać. Zostali więc. W chateau mieli jedzenie, nie musieli nigdzie jechać, więc Josie wyciągnęła składane krzeselko, usiadła na nim i przyglądała się, jak Paul strzela, dopóki nie obudziła się Ana. Słońce opadało za linię drzew na wysokim grzbiecie górskim za nimi, kiedy mała wysiadła z kampera. Była otępiąta, dopóki po chwili nie spostrzegła daszka na głowie matki.

– Jak tata – powiedziała.

Josie opowiedziała jej bajeczkę o tym, jak znalazła go obok budki, a córka uznała, że to wiarygodne; sama zrobiłaby na miejscu matki to samo – Paul, gdyby mógł, zaniósłby daszek na posterunek policji – ale to, że Ana przypomniała jej o Carlu i jego zwyczaju noszenia daszków,

w dużym stopniu pozbawiło opatrzone napisem nakrycie głowy atrakcyjności. Josie zastanawiała się nad wyrzuceniem daszka i postanowiła, że zrobi to, gdy tylko znajdzie inne nakrycie głowy.

Obserwując, jak jej dzieci strzelają z łuku, biegając i chichocząc, zdała sobie sprawę, że niepamiętanie o radosnym dzieciństwie to główny grzech popełniany przez dziecko wobec matki i ojca. W jednej ze swoich tyrad Raj stwierdził to samo. Jego córka miała siedemnaście lat. „O Boże” – powiedział kiedyś. „Te siedemnastolatki wydrą ci serce z piersi. Pełne radości dzieciństwo, a dowiadujesz się, że to wszystko był syf. Każdy rok był oszustwem. Odrzuć to wszystko”. Josie współczuła Rajowi i bała się gniewu swoich dzieci, potem jednak przypomniała sobie, że przecież sama uniezależniła się od własnych rodziców.

W przypadku własnych dzieci była jednak zdecydowana udaremnić ten grzech niepamięci. Będzie im przypominać o radości. Udokumentuje ją, będzie snuć radosne opowieści przed snem, robić zdjęcia i pisać pamiętniki. Dzienniki radości, której nie można będzie zakwestionować i nie da się łatwo zapomnieć. Zaczęła tworzyć nową teorię rodzicielstwa, w której celem nie jest osiągnięcie upragnionego wyniku. Celem wcale nie jest wychowanie dziecka dla jakiegoś przyszłego efektu! Chwile takie jak te, spędzane razem wśród sosen w gasnącym świetle, kiedy dzieci biegają po wysokiej trawie, jej syn z powagą uczy się strzelać z łuku, a córka próbuje zrobić sobie krzywdę, same te chwile stanowią cel. Przez moment czuła, że może umrzeć po takim dniu. Dotrzeć do takiego miejsca, do takiego momentu – już samo to jest celem. Lub mogłoby nim być. Nowy sposób myślenia. Przedłużmy niektóre z tych wspólnie spędzonych dni, a niczego więcej nie będziemy pragnęli ani oczekiwali. W wychowaniu dzieci nie chodziło o ich doskonalenie ani o przygotowywanie do znalezienia pracy. Jakże niewiele wart jest taki cel! Dwadzieścia dwa lata zmagania po co? Twoje dziecko siedzi pod dachem przy biurku z Ikei, gapiąc się w ekran, podczas gdy na zewnątrz zmienia się wygląd nieba, słońce wschodzi i zachodzi, jastrzębie szybują niczym sterowce. Tak wyglądało powszechne grzeszne dążenie całego współczesnego rodzaju ludzkiego. Dajcie mojemu

dziecku biurko z Ikei i dwanaście godzin dziennie pisanie na siedząco. To będzie oznaczać sukces dla mnie, dla niego, naszej rodziny, naszego rodu. Ona nie będzie do tego dążyć. Nie narazi na to swoich dzieci. One nie będą zabiegały o te zwodnicze rzeczy. Chodziło tylko o sprawienie, by były kochane w chwili spędzonej na słońcu.

Ana podeszła do jej krzeselka i wsparła się na nim. Łuk spoczywał na jej ramieniu w zaskakująco profesjonalny sposób.

– Mamo? Czy tutaj są rabusie?

– Nie – zaprzeczyła Josie. Jak na zawołanie, powietrze przeszył dźwięk odległej syreny. – To wóz strażacki – dodała, uprzedzając pytanie córki. Paul był nieopodal, nadal strzelał z łuku.

– A źli ludzie?

– Nie.

– To gdzie są?

– Naprawdę daleko – odparła i napotkała wzrok syna. Wydawało się, że mówi: Po co jej uświadamiać, że w ogóle istnieją źli ludzie? – W całym swoim życiu nigdy ich nie zobaczysz – uspokoiła małą. – Mamy też żołnierzy, którzy z nimi walczą. – Znowu przyłapała się na tym, że to, co mówi, jest bezużyteczne.

– A Joker? – zapytała Ana.

– Nie rozumiem.

– Czy jest prawdziwy?

– Nie, na niby. Ktoś go po prostu narysował, tak samo jak ja mogłabym go narysować. Jokera wymyślił ktoś taki jak ja.

– Ktoś taki jak ty?

– Taak. Albo ktoś taki jak twój tata. Raczej jak on.

– A skunksy?

Josie usiłowała zachować powagę.

– Skunksy?

– Czy one są prawdziwe?

– Oczywiście, ale nie są groźne. Nie mogą ci zrobić krzywdy.

– Ale potwory są prawdziwe?

- Nie, nie ma prawdziwych potworów.
  - To skąd o nich wiemy?
  - No cóż, wymyślili je ludzie. Ktoś wpadł na pomysł, narysował potwora i wymyślił mu imię.
  - Więc ktoś może wymyślić takie imię jak Iron Man?
  - Oczywiście.
  - A Randall?
  - Randall?
  - Taak, czy to imię?
  - Owszem. Usłyszałaś je gdzieś?
  - Chyba tak. Usłyszałam to słowo. – Ana zmarszczyła czoło. – Nie wiedziałam tylko, czy to imię.
  - To jest imię – zapewniła Josie.
- Dźwięk kolejnych dwóch syren przeszył niebo. Ana nasłuchiwała ze wzrokiem skupionym na ręce matki. Stukała w nią małąkimi palcami, jakby wysyłała zaszyfrowaną podziemną wiadomość.
- Czy żołnierze są duzi? – zapytała.
  - Owszem. Są znacznie więksi od złych ludzi.
  - Są potworami?
  - Kto?
  - Żołnierze.
  - Nie. To normalni ludzie. Też mają dzieci. Ale wkładają mundury i walczą ze złymi ludźmi. – Chcąc spróbować zakończyć tę rozmowę, Josie dodała: – I zawsze wygrywają.
  - Ale zabili Jeremy’ego.
  - Co?
  - Ktoś go zabił, prawda?
- Josie zdała sobie sprawę, że Ana stopniowo szykowała się do tego stwierdzenia. Usłyszała zapis z *Zatartych szlaków*, słowa „rabował” oraz „strzelanina”, i od tego momentu to analizowała.
- Kto ci powiedział, że Jeremy został zabity?

Teraz Ana odwróciła się do Paula, który usłyszawszy ich rozmowę, przestał strzelać z łuku. Kiedy z powrotem spojrzała na matkę, ta miała łzy w oczach. Josie nie powiedziała córce o śmierci Jeremy'ego, nie mówiła również synowi. Spojrzała teraz na niego zawiedziona.

– Mario mi powiedział – wyjaśnił z rozdrażnieniem. Mario był kolejnym obozowiczem, kolejnym chłopcem, którym kiedyś opiekował się Jeremy. Po czym, jakby chciał odpowiedzieć na następne pytanie matki, Paul dodał: – Ana powinna wiedzieć, bo inaczej będzie myślała, że ktoś, kto umarł, żyje. To idiotyczne.

Za plecami Josie rozległo się mechaniczne rżenie. Odwróciwszy się, ujrzała ogromny pojazd, który zwalniał, żeby zaparkować za chateau. Wokół unosiły się kłęby kurzu. Kiedy opadły, zobaczyła, że to srebrny pikap ze spoczywającym na platformie drewnianym domem krytym papą i pomalowanym na czarno. Ów niewielki budynek miał okna oraz maleńką blaszaną rurę od pieca i w sumie wyglądałby uroczo, gdyby nie słowa OSTATNIA SZANSA namalowane na ścianie z przodu. Poniżej tych słów, mniejszymi literami, napisano: BEZ ŻADNYCH ZOBOWIĄZAŃ.

– Co to takiego, mamo? – zapytała Ana.

Josie nie odpowiedziała. Spodziewała się, że drzwi pikapa za chwilę się otworzą, a nie chciała być przyłapana na tym, że opisuje to lokum na kółkach w obecności jego mieszkańców. Miała uzasadniony powód, żeby szybko zapakować dzieci do samochodu i odjechać, biorąc pod uwagę, że za życzliwość osób podróżujących takim pojazdem, który najprawdopodobniej nie był dopuszczony do ruchu i na którym widniała aluzja do końca świata, nie można było ręczyć.

– Paul, chodź tu – szepnęła. Chłopiec przyniósł łuk i strzały, a ona w dyskretny sposób ustawiła się między obojgiem swoich dzieci a tym zwiastunem zagłady.

Drzwi pojazdu się otworzyły i Josie usłyszała radosny głos:

– Czynne?

Pytanie to zadała młoda kobieta z grzywą wspaniałych kruczoczarnych włosów. Wyłoniła się z pikapa, zeskakując na obie nogi, i chrząst białego

żwiru pod jej ciężkimi butami zasygnalizował jej przybycie. Odziana w luźną czarną koszulkę i dżinsowe szorty, zaczęła się przeciągać. Jedna podniesiona wysoko ręka ukazała szczupłość jej tułowia i wydatny biust, druga zaś popchnęła fotel pasażera do przodu, umożliwiając trojgu dzieciom, atletycznym i opalonym, wyjście z samochodu. Każde z nich zeskoczyło na ziemię jak ona – to znaczy tak, jakby lądowały na Księżycu. Wydawało się, że są w przedziale wiekowym od pięciu do ośmiu lat. Od razu podbiegły do pustej budki, uznawszy, że Paul i Ana właśnie tam dostali swoje łuki.

Drzwi od strony kierowcy pikapa otwarto i ukazał się niski, nie wyższy od swojej towarzyszki mężczyzna.

– Otwarte? – zapytał i odchylił się do tyłu, przeciągając się z głośnym jękiem. Był barczysty i muskularny. Miał na sobie podkoszulek z dekoltem w serek oraz spodnie z grubego płótna wpuszczone w buty turystyczne. Obszedłszy samochód, ruszył w dół z boku w stronę toru łuczniczego.

– Zapytałam ją, ale nie odpowiedziała – odparła kobieta konfidencjonalnym tonem, wskazując ruchem głowy na Josie.

– Przepraszam – rzuciła Josie. – Nie wiedziałam, że to pytanie do mnie. Nie pracuję tu. Przyjechaliśmy tutaj po prostu i się bawimy.

– Więc to za darmo – zauważył mężczyzna. Uśmiechając się szelmowsko, nie otwierał ust, ale oczy miał skupione, bystre i rozświetlone wyrazem figlarności, która mogła mieć różne konsekwencje – w postaci złośliwych psikusów w domu albo bomb własnoręcznie konstruowanych w ogrodowej szopie.

– Nie ma więcej łuków, tato – oznajmiło jedno z jego dzieci, mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka. Ona i jej młodsi bracia zdążyli już zajrzeć do budki i stwierdzili, że jest pusta.

– Sami je przywieźliście? – zapytała kobieta, wskazując na łuki i strzały w rękach Any i Paula.

– Nie, po prostu ktoś je zostawił na torze. Pani dzieci mogą z nich postrzelać. Jesteśmy tu już jakiś czas. – Josie chciała przez to powiedzieć, że zostawią tor do dyspozycji jej rodziny i szybko odjadą.

– Nie, nie. Przyjechaliśmy, bo zobaczyliśmy tu was. Możemy zaczekać – odparł mężczyzna, wyciągając rękę. – Jestem Kyle. A to jest Angie.

Josie uścisnęła im dłonie i przedstawiła Anę oraz Paula. Niebawem dzieci Kyle’a i Angie – Suze, Frank i Ritter – podeszły i przedstawiły się tak niezwykle uprzejmie, że w porównaniu z nimi Paul i Ana sprawiali wrażenie bojaźliwych i niegrzecznych.

– Mieszkacie tam? – zapytała Ana, wskazując czarny domek stojący na platformie pikapa.

– Ana! – rzuciła Josie, po czym zwróciła się do Kyle i Angie: – Przepraszam.

– Niech pani nie przeprasza. Owszem, śpimy tam nocą – wyjaśnił Kyle, kucając przed Aną. – Podoba ci się? – Z początku Ana unikała odpowiedzi, a potem powoli skinęła głową. – Jasne, że tak – rzekł właściciel pikapa, uśmiechając się po swojemu, a jego bystre oczy promieniały jak u diabła lub świętego. Uśmiech rozchylił mu wargi i Josie zobaczyła teraz zęby, ogromne siekacze nadające jego twarzy wilczy wygląd. – Sami go zbudowaliśmy – dodał. – Chcesz zajrzeć do środka?

– Nie, nie. Nie ma potrzeby – zastrzegła Josie, ale przejęty właściciel już prowadził ich w stronę samochodu. Angie została ze swoimi dziećmi, które teraz strzelały z łuków porzuconych razem ze strzałami w wysokiej trawie przez Paula i Anę. Kyle wskoczył na zderzak i otworzył tylne drzwi drewnianej budowli, która z zewnątrz przypominała kojec, a w środku wojskowy barak z piętrowymi pryzkami po obu stronach i podłogą pokrytą resztkami wykładziny dywanowej. Były tam również sterty ręczników, czasopism i koców oraz piłki i kije bejsbolowe. Na końcu każdej pryczy zwisała z haka latarka.

– Super, co? – zapytał Kyle.

Ana chętnie się zgodziła, po czym powiedziała:

– My też mieszkamy w samochodzie.

Kyle się roześmiał.



– No cóż, w takim razie to dobrze, że się spotkaliśmy, prawda? Towarzysze podróży. Pozwól, mamusiu, że przyniosę ci krzesło. – Josie myślała przez chwilę, że gdzieś w pikapie, może w dolnej części, znajduje się również matka Kyle’a, po czym zdała sobie sprawę, że mężczyzna ma na myśli właśnie ją.

Kyle wyciągnął z kojca – wewnątrz przypominało jacht, wzór oszczędnego wykorzystania przestrzeni – trzy składane krzesła i ustawił je w rzędzie tak, by mieli widok na cały tor. Po chwili Josie dostała butelkę cydru i siedziała obok Angie i Kyle’a. Przyglądali się we troje, jak piątka dzieci strzela po kolei z łuku, gratulując sobie nawzajem i zachowując się z szokującą uprzejmością.

Kyle trącił się butelką z Josie, a potem z Angie w czymś na kształt toastu bez toastu i zapytał:

– Więc dokąd jedziecie?

Josie wyjaśniła, że nie mają ustalonej marszruty.

Angie uniosła gwałtownie brwi i posłała Kyle’owi porozumiewawcze spojrzenie.

– Mówiłam ci – powiedziała. – Samotna mama z dwójką dzieci, korzystająca z opuszczonego toru łuczniczego. Ludzie tacy jak my.

Porównywali swoje spostrzeżenia na temat Homer, Seward i Anchorage oraz parkingów i atrakcji po drodze. Kyle i Angie także zwiedzili tragiczne zoo pod Anchorage i zauważyli niewątpliwy smutek jednej antylopy. Też wypatrywała ocalenia w górach, kiedy ją ujrzeli. Josie zdała sobie sprawę, że Angie jest piękną kobietą i że oboje z Kyle’em są młodszy, niż początkowo myślała. Żadne z nich nie miało zmarszczek, chociaż było jasne, że nie unikali słońca. Z jedwabistymi włosami i opalonymi ciałami aktorów z dawnych reklam papierosów przypominali studentów z lat siedemdziesiątych.

– Wyjechałaś na dobre? – zapytała Angie.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała w odpowiedzi Josie, chociaż domyśliła się, że chodzi o to, czy kiedyś powróci do normalnego

społeczeństwa. Na razie nie wybiegała myślami naprzód poza koniec września. – Nie wiem – odparła.

Kyle i Angie zwierzyli się z uśmiechem, że sami wyjechali na zawsze. Wcześniej ona była księgową w firmie naftowej, a on uczył przyrody w szkole średniej. Nakreślili z ożywieniem swój plan dotarcia do położonego najdalej na północ punktu Alaski, a potem jazdy wzdłuż zachodniego wybrzeża do Kanady. W swoim wcześniejszym życiu narzekali na mieszkanie w dzielnicy psów szczekających za płotami oraz na korki w drodze do pracy i z powrotem, ale głównie na podatki – dochodowy, od nieruchomości, od sprzedaży i zysków kapitałowych. Skończyli z ich płaceniem.

– Kyle się *uchyla* – wyjaśniła Angie. – Ja *walczę*. – Oboje poczekali, aż sens tej gry słów dotrze do świadomości Josie. Najwyraźniej byli z niej ogromnie dumni.

– Żadnego dochodu, żadnego majątku, żadnych podatków – rzekł Kyle, a Angie, księgowa, dodała:

– Zastanawialiśmy się nad zrzeczeniem się obywatelstwa, ale sądzę, że w tym celu musielibyśmy zostać Kanadyjczykami. Analizujemy możliwość uzyskania statusu bezpaństwowców.

Josie, która normalnie spostrzegłaby, że oboje są bliscy szaleństwa, i już planowałyby ucieczkę, była zajęta obserwacją idealnej twarzy Angie. Wydatne kości policzkowe, uśmiechnięte oczy – podejrzewała, że w żyłach kobiety płynie indiańska krew, ale bała się o to zapytać. Nie mogła. Uświadomiła sobie, że gapi się na nią – Angie miała też wspaniałe, fantastycznie białe zęby – więc odwróciła wzrok i spojrzała w stronę toru, gdzie Ritter, młodszy syn Angie i Kyle'a, szykował się do strzału. Ana stała obok, trzymając go delikatnie za połą koszuli, jak zawsze znajdując sposób, by dotknąć sprawcy przemocy. Ale gdzie był Paul? Teraz Josie go dostrzegła. Stał pochylony, zbierał strzały, które wylądowały za tarczami.

– Ritter! – krzyknęła Angie.

Chłopiec już miał strzelić, gdy Paul, usłyszawszy głos Angie, wyprostował się. Zaskoczony Ritter wypuścił strzałę, ale ta spadła tuż przed

nim.

– Przepraszam – powiedziała Angie i podbiegła do syna. Pochyliła się nad nim, obejmując go jedną ręką, a drugą wskazując na Paula, który ze strzałami w garści sadził susami z powrotem do grupy małych łuczników. Jej kruczoczarne włosy spływały na ramię syna, gdy ten słuchał matczynej połajanki. Niebezpieczeństwo było niewielkie, zważywszy, że Ritter miał zaledwie sześć lat, a Paul stał niemal pięćdziesiąt metrów od niego, ale zawsze.

– Uważaj, co robisz! – krzyknęła do niego Josie, starając się zachować spokojny głos. W następnych dniach będzie się zastanawiała, dlaczego było dla niej takie ważne, żeby sprawiać wrażenie spokojnej i pozostać na torze, na tym składanym krześle, z butelką cydru w dłoni, starając się jakoś zaimponować tym dwojgu pięknych młodych ludzi.

– Moje dzieci są zazwyczaj bardziej odpowiedzialne – rzekł Kyle.

– Bądź czujny – powiedziała Josie do Paula. Miała na myśli to, że zbieranie strzał na czynnym torze łuczniczym jest rzeczą dość normalną. Że dość normalne jest robienie tego z trójką dzieci, które właśnie poznałeś, które mieszkają w drewnianej szopie na platformie pikapa. Że obowiązkiem jej syna jest rozglądać się, na wypadek gdyby mały nieznajomy posłał w jego kierunku śmiertelnośc strzałę.

– Polujesz? – zapytał Kyle.

Josie odparła, że nie.

– Angie! – krzyknął. – Myślisz, że mogę sobie strzelić? Tylko raz.

Angie oderwała wzrok od syna i wzruszyła ramionami. Potem chyba się rozmyśliła i zaprzeczyła ruchem głowy. Wtedy Kyle zwrócił się do Josie:

– Widzisz tu kogoś? – Nie widziała. – I tak mi pozwoli – dodał. – Widziałaś, jak wzruszyła ramionami? Zawsze mi pozwala. I te tarcze... trudno się im oprzeć, prawda?

Uśmiechnąwszy się do niej porozumiewawczo, poderwał się z krzesła i pobiegł do pikapa. Wrócił z krótką bronią palną i karabinem. Pistolet położył na krześle, a karabin oparł o siedzenie.

– Proszę, nie – powiedziała Josie.

– Byłbym zapomniał – rzekł Kyle i znowu popędził do samochodu. Wrócił z plastikowym pojemnikiem, z którego dobiegał głośny grzechot. Naboje.

– Paul! Ana! – krzyknęła Josie i oboje przybiegli do niej, rozpoznając w głosie matki nowy ton, który świadczył o tym, że coś wyprowadziło ją z równowagi.

– Teraz była moja kolej – poskarżyła się Ana, gdy Josie chwyciła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Masz cudowne dzieci – zauważyła Angie, która znowu siedziała obok Josie, trzymając teraz dłoń na jej kolanie i ściskając je trzy razy, po jednym na każdą sylabę słowa „cudowne”.

Josie podziękowała, ponownie zatracając się na chwilę w zachwycie nad urodą i młodością Angie i myśląc, że wciąż wygląda na dwadzieścia cztery lata. Musiała mieć piętnaście, kiedy rodziła pierwsze dziecko.

Powietrze rozdarł huk. Josie obróciła się gwałtownie, by stwierdzić, że Kyle klęczy z pistoletem w wyciągniętych rękach, wycelowanym w tarczę.

– Kyle! – ryknęła Angie. – Może byś nas przynajmniej uprzedził. – Odwróciła się do Josie i dodała: – Przepraszam. On jest idiotą.

– To prawdziwa broń? – zapytała Ana, mając nadzieję, że tak jest.

Kyle pobiegł przynieść tarczę, a Angie potwierdziła nadzieje dziewczynki.

– Nigdy nie widziałaś wystrzału z prawdziwej broni? – zapytała Anę, która była sparaliżowana, zastygła gdzieś pośrodku między radością a przerażeniem.

Josie chciała wstać, ale ciepła dłoń Angie nadal spoczywała na jej kolanie.

– Cholera – mruknął Kyle, stając przy tarczy.

„Co ja tu jeszcze robię?” – Josie nadal zadawała sobie to pytanie, w miarę jak popołudnie bladło i ciemniało. Kyle ustawił jednak ruszt do pieczenia, a ona oraz jej dzieci wciąż tam byli. Niebawem piekł na nim hamburgery, które Paul i Ana jedli łączywie na stojąco, Josie zaś piła drugą butelkę cydru, nie przestając się zastanawiać, jak może tkwić pośród

tego obłądu. Angie dalej jednak ją dotykała – jej ręki i ramienia, a przy każdym dotknięciu Josie czuła przyływ emocji i chociaż obawiała się tych dwojga, chociaż w co piątym zdaniu mówili coś o uchylaniu się bądź walce, ona chciała być blisko nich. Poza tym zaczęło jej za mocno szumieć w głowie, żeby mogła odjechać.

– Jeszcze raz? – zapytał Kyle. – Zanim zrobi się ciemno?

Dzieci były daleko na coraz ciemniejszym torze, każde z latarką, błąkały się niczym olbrzymie świetliki i Josie nabrała przekonania, że Kyle i Angie to ludzie jej pokroju. Rzeczywiście bez żadnych zobowiązań. Ich dzieci były szczęśliwe, silne i grzeczne. Ta rodzina robiła, co chciała. No i wszyscy mieli idealne uzębienie.

Potem jednak rozległ się kolejny strzał i Josie krzyknęła.

– Nie zapytałeś! – zawołała Angie.

– Zapytałem! – odkrzyknął Kyle ze śmiechem, trzymając karabin wycelowany w koniec toru. – Josie słyszała – dodał, idąc w stronę tarczy. Josie pamiętała, że rzeczywiście powiedział „Jeszcze raz”, ale wtedy nie zwróciła na to uwagi.

– Na tym koniec! – zawyrokowała Angie, a on podniósł rękę nad głowę w geście wymuszonej zgody.

– No cóż, chyba powinniśmy się zbierać – powiedziała Josie, dokładnie sobie wyobrażając, jak pośpiesznie wsadza dzieci do samochodu i błyskawicznie ucieka. Pomyślała, że za niespełną minutę będzie już w drodze, z dala od tych ludzi.

Angie ścisnęła ją za rękę.

– Nie możesz prowadzić samochodu. To wykluczone – powiedziała, po czym krzyknęła do Kyle’a: – Josie zamierzała jechać dziś wieczorem!

Kyle opuścił rękę, nic nie mówiąc, wrócił do nich i położył karabin na trawie przed krzesłem Josie. Popatrzył na nią, jakby sam nadal był nauczycielem, a ona uczennicą, która sprawia mu zawód.

– Nie możesz prowadzić, Josie – rzekł. – Byłoby to nieodpowiedzialne. – Spojrzał na Angie i wydawało się, że przez chwilę

wspólnie rozważali, czy poruszyć jakąś okropną kwestię. – Moja mama zginęła przez pijanego kierowcę.

– Przykro mi – odparła Josie.

– Nie powinnaś siadać za kółkiem – rzekł z powagą Kyle. – Poproszę o twoje kluczyki.

Josie nie wsiadła za kierownicę. Dała kluczyki temu człowiekowi. Jej plan się nie powiódł. Wokół gęstniał wieczorny mrok, komary zgłodniały. Nadal sporadycznie rozlegało się wycie syren, a ona siedziała z Kyle'em i Angie, którzy śmiali się na całe gardło, którzy wydawali się cieszyć niezmiernie z jej towarzystwa i z tego wieczoru. Od czasu do czasu przybiegało do nich któreś z dzieci i pytało, czy mogą zrobić coś nowego, na przykład walczyć, siedząc jedno drugiemu na barkach, lub wspinać się na usypaną nieopodal stertę ziemi, i za każdym razem Kyle i Angie zastanawiali się nad odpowiedzią z istic salomonową powagą. Dzieci piszczwały i chichotały w zapadającym zmierzchu, w końcu jednak Ana wróciła, by położyć mamie głowę na kolanach, i nadeszła pora, by udać się na spoczynek. Josie, Kyle i Angie wymienili chwiejne uściski na dobranoc i zebrali swoje dzieci. Josie była przekonana, że to już koniec, że jest po wszystkim, ale wtedy Paul zapytał, czy jeden z braci, ten starszy, Frank, może spać z nimi. Angie i Kyle uznali to za wspaniały pomysł, naprawdę niewart dyskusji. Niebawem, zaopatrzony w śpiwór i poduszkę, ułożył się na łóżku nad szoferką, wciśnięty we wnękę razem z Paulem i Aną, wszyscy oszołomieni.

Josie posłała sobie dolne łóżko i zrobiła bilans, uświadamiając sobie, że ci obcy ludzie mają jej kluczyki, a ona ma ich syna. W chwili gdy ułożyła się pod kołdrą, ktoś głośno zastukał do okna. Poderwała się.

– Jeszcze tylko jeden! – uprzedziła Angie.

Josie się nie odezwała, wciąż niepewna, co się zaraz stanie. Nocną ciszę przeszył głuchy trzask, co znaczyło, że Kyle wystrzelił z kolejnej krótkiej broni palnej, a może tym razem z karabinu.

– Na tym koniec! – krzyknęła Angie z dalszej odległości. – ...branoc!

Josie odpowiedziała na życzenie, dzieci również to uczyniły, ale nikt nie zasnął. Paul i Ana drżeli na myśl o niezwykłości tej nocy, wystrzałach, obecności opalonego chłopca tuż obok, a ona poważnie myślała, że postradała zmysły. Jak mogła tu zostać? Jej kluczyki znajdowały się w rękach tej bojowniczk. A może ona się uchylała, zamiast walczyć? Usłyszała, jak w łóżku pod sufitem Ana pyta Franka o broń. Podczas dyskusji padły zapewnienia o tym, że Kyle zastrzeliłby każdego rabusia, i na wieść o tym jej córka zachichotała.

Słysząc też było syreny. Coś, jakiś wypadek, wydarzyło się w pobliżu. Może też zbliżały się pożary. Syreny brzmiały teraz głośniejsz. Nie dało się spać. Josie przemykała myślami przez ciemny las. Czy naprawdę spędziła popołudnie z tymi ludzmi, z ojcem rodziny strzelającym z broni do odległego o niespełna pięćdziesiąt metrów celu? Co ona o nich wiedziała? Nic. Musiała jakoś wierzyć, że użyją swoich nabojęw, by strzelać do tarcz, nie do jej dzieci; ta nonsensowna wiara wydawała się warunkiem życia w Ameryce. Myślała o swojej głupocie. Rozśmieszyło ją własne zdziwienie, że znalazła takich ludzi tutaj, na sielskiej Alasce. Czego się spodziewała? Uciekła przed uprzejmą, stonowaną przemocą w swoim życiu w Ohio tylko po to, żeby zawieźć swoje dzieci do barbarzyńskiego serca kraju. Zdała sobie sprawę, że Amerykanie nie są narodem cywilizowanym. „Kiedy uznamy tę zasadniczą prawdę – pomyślała – można będzie odpowiedzieć na wszystkie pytania o charakter narodowy, motywacje i agresję”. I dlaczego ten chłopiec znalazł się w jej kamperze? Co z tym draniem Mariem, który powiedział Paulowi o Jeremym? Nie miał prawa tego robić. A Paul nie miał prawa o tym wiedzieć. Kolejny ryk syreny, tym razem dziki i samotny, a po nim skowyt kojota, dziwnie podobny, jakby to zwierzę pomyliło syrenę z krewniakiem.

## XII

Obudziła się gwałtownie. Było jeszcze ciemno. Dzieci spały i noc była cicha, ale Josie wiedziała, że nic nie jest jak trzeba. Wsparła się na łokciu, nasłuchując, i przez kilka minut nic nie usłyszała. Potem zaś rozległo się ogłuszające stukanie do drzwi chateau. Dzieci poderwały się z pośłania, Paul uderzył głową w sufit. Josie zeskoczyła na podłogę, żeby otworzyć. Usłyszała na zewnątrz jakieś poruszenie. Dźwięk uruchamianego samochodu. Ktoś w oddali krzyknął:

– Frank!

Josie otworzyła drzwi i ujrzała Kyle’a; był w szlafroku.

– Trzeba się wynosić – powiedział. – Ewakuacja. Za pięć minut wyruszamy.

– Zaczekaj. Że co? – zapytała Josie, spojrzała na drogę i spostrzegła daleko za drzewami czerwono-niebiesko-białe błyski kogutów na dwóch policyjnych radiowozach. Kyle pobiegł z powrotem do swojego pikapa i wtedy w drzwiach chateau ukazała się głowa Angie.

– Frank, zbudź się – powiedziała. Kiedy chłopiec schodził z łóżka, wyjaśniła, że w związku ze zmianą kierunku wiatru niekontrolowany ogień rozprzestrzenił się na południe. Działo się to znacznie szybciej, niż przewidywano, i pożar mógł dotrzeć do nich w ciągu najbliższej godziny. – Jedziemy na północ – oznajmiła, odchodząc z Frankiem na rękach. – Jedź za nami.

Josie zamknęła drzwi i stwierdziła, że Paul i Ana stoją tuż za nią z wybałuszonymi oczami.

– Zapnijcie się – poleciła.



Nie miała kluczyków. Wyskoczyła z chateau i pobiegła za Kyle'em i Angie.

– Zaczekajcie! – krzyknęła. Tylne światła pikapa odlewały jej sylwetkę w czerwieni. – Macie moje kluczyki!

– Przepraszam – rzekł Kyle. – W końcu jednak byśmy to zauważyli. Nie zostawilibyśmy was tutaj na pastwę płomieni. – Wręczył jej kluczyki do kampera i dodał: – Lepiej się pośpiesz.

Josie wróciła biegiem do samochodu.

– Mieli nasze kluczyki? – zdziwił się Paul.

– Tak – przyznała Josie.

– Dlaczego? – zapytała Ana.

– Nie mam pojęcia – odparła Josie. Zjechała za pikapem ze wzgórza, kierując się w stronę szosy. Przed sobą nie widziała nic osobliwego – po prostu kilkanaście mrugających czerwonych tylnych świateł, świadczących o rozpoczęciu procesu opuszczania okolicznych terenów. Najwyraźniej tor łuczniczy znajdował się niedaleko niewielkiego miasta, które było opróżniane przez policję. Sylwetki kilku osób przemknęły obok kampera, ale poza tym panował spokój. Josie dołączyła do kolumny uciekinierów, lecz w zamieszaniu straciła z oczu pojazd Kyle'a i Angie.

W miejscu, gdzie droga gruntowa dochodziła do szosy, większość samochodów jechała w lewo, lecz Josie dostrzegła jakiegoś mężczyznę gwałtownie machającego ręką. Chciała podążyć za pozostałymi pojazdami, ale ten człowiek – teraz zauważyła, że ma na sobie żółty uniform – wskazywał jej ruchami ręki przeciwny kierunek z taką pasją, że posłuchała. Po przejechaniu kilkuset metrów w pojedynkę zatrzymała się i spojrzała w lusterko wsteczne, próbując ocenić, czy postąpiła właściwie. Lecz zobaczyła tylko niewyraźną masę świateł. Wydawało się, że jeden samochód zawraca, żeby jechać za nią. Uznała, że innym pojazdom wskazano niewłaściwą drogę i teraz wszystkie posyłane są jej śladem we właściwą stronę. Przypuszczalnie sama była na przedzie, najdalej od pożaru.

Ruszyła dalej. Na odcinku około półtora kilometra nie było żadnych drogowskazów, potem jednak ujrzała jeden, zielono-srebrny w nagłym świetle reflektorów, z informacją, że do szosy zostało jeszcze pięć kilometrów. Wydawało się, że to dobry znak.

– Czy tam jest pożar, mamó? – zapytała Ana.

– Daleko stąd – odparła Josie.

– Angie mówiła, że jest blisko – zauważył Paul, po czym zdał sobie chyba sprawę, że popełnił błąd. Zazwyczaj bowiem starannie ukrywał przed siostrą wieści o zagrożeniach.

– Nie – zaprzeczyła Josie. – Angie powiedziała, że dotrze do nas dopiero za godzinę. To kawał drogi, a my oddalamy się od pożaru, więc z każdym przejechanym kilometrem podwajamy tę odległość. Za godzinę znajdziemy się dwie godziny od ognia. Za dwie godziny dystans wzrośnie do czterech godzin. Rozumiecie? Jedziemy w przeciwną stronę.

Droga była pusta i Josie uznała, że opuściła parking jako pierwsza i już niebawem pierwsza dotrze do szosy. Czowała się niczym pilot samotnego pojazdu kosmicznego uciekający z wybuchającej planety – wszędzie ciemność, wszędzie cisza, a ona z dwójką dzieci ma wszystko, czego potrzebuje. W zmaconym umyśle pod wpływem emocji na chwilę połączyła pożar i to miejsce ze swoim miastem. Wyobraziła sobie swój dom na drodze ognia, trawiony przez płomienie, i zastanawiała się, czy wewnątrz jest coś, czego będzie jej brakowało. Pomyślała o kilkunastu rzeczach, po czym cofnęła się, sądząc, że poczuje się oczyszczona i wolna, jeżeli wszystko spłonie, zniknie, zostanie spopielone.

– Dokąd mamy jechać? – zapytał Paul.

– Będziemy podróżowali przez kilka godzin, żeby mieć pewność, że jesteśmy wystarczająco daleko, a potem znajdziemy inne miejsce na nocleg. Albo gdzieś zaparkujemy. – Josie wyobraziła sobie miejsce w pobliżu wody, podobne do tego, z którego skorzystali pierwszej nocy, kiedy policjant kazał im jechać dalej. Chciała być w pobliżu wody na wypadek, gdyby – no właśnie, gdyby co? Gdyby zaskoczył ich pożar i musieli wskoczyć do jeziora? Pływaliby w tym jeziorze? Albo zbudowali tratwę

i odpłynęli na niej? Doszła do wniosku, że szczegóły nie mają znaczenia. Usłyszała, jak mówi do siebie na głos:

– Dziwne.

– Co jest dziwne? – zapytała Ana.

Josie uznała za rzecz dziwną to, że nie widzi żadnych samochodów, potem jednak przypomniała sobie, że przecież pierwsza wyjechała z parkingu, że jest środek nocy i znajdują się na Alasce, gdzie nocą nigdy nie ma dużego ruchu, a tym bardziej nie będzie go w sytuacji, gdy mają za plecami niekontrolowany ogień.

– Nic takiego – odparła.

– Co jest dziwne? – powtórzył pytanie siostry Paul.

– To, jak bardzo was kocham – spróbowała ich zbyć.

– Nie żartuj. Powiedz nam. Powiedz mi – nie rezygnował Paul, który usiadł na fotelu obok. Uznał, że chodzi o coś, o czym tylko on powinien wiedzieć.

– Nie. Nic nie jest dziwne.

– Ja nie chcę być tutaj sama! – ryknęła Ana.

– Mamo – wyszeptał Paul. – Powiedz mi.

– Wszystko jest dziwne.

Teraz umilkł. Usłyszał zwyczajne i szczere stwierdzenie, które do niczego nie prowadziło, nie zaś zakazaną tajemnicę, na poznanie której liczył.

Josie włączyła radio, natrafiła na *Here You Come Again* Dolly Parton i to ją uspokoiło.

– Możesz usiąść obok siostry? – poprosiła.

Paul wrócił do tyłu i zapytał:

– To Dolly?

Josie potwierdziła jego przypuszczenia i pogłośniła radio. Zobaczywszy przed sobą szosę, wjechała na nią. Chociaż nie spodziewała się dużego ruchu, widok zupełnie pustej jezdni ją zaskoczył. Jeszcze silniej poczuła, że są sami w przestrzeni, w wiekowym i hałaśliwym pojeździe kosmicznym, tyle że nie mają wytycznych, którymi mieliby się kierować.

I teraz za wysokim wzgórzem położonym czterysta metrów przed nimi pojawiło się światło. Była to pomarańczowa poświata wyzierająca zza falistego konturu ziemi niczym przy wschodzie słońca i Josie uświadomiła sobie, że sprawdza, która jest godzina, żeby mieć pewność, że to nie może być słońce. Zakładała, że to jakieś urządzenie zabezpieczające, jakieś światła ostrzegawcze. Przygotowała się do zatrzymania samochodu.

Droga znikła za zakrętem i kiedy kamper wyłonił się zza niego, pole jej widzenia wypełnił jaskrawopomarańczowy pas. Zbocze wzgórza płonęło.

– Czy to pożar, mamó? – zapytała Ana.

To rzeczywiście był pożar, sięgająca po horyzont ściana ognia szerokości półtora kilometra, ale przecież to nie mógł być pożar. W pobliżu nie było żywej duszy. Żadnej policji, żadnych wozów strażackich, żadnych barier. Droga, którą jechali, prowadziła ich niemal prosto w płomienie. Jej statek kosmiczny zmierzał w środek słońca.

– Mamó, co my robimy? – zapytał Paul.

Josie zatrzymała chateau. Serce jej waliło, ale oczy były zafascynowane widokiem dziwnie nieruchomej ściany płomieni. I nagle ów obraz przesłoniły białe kłęby pyłu niesionego gwałtownym podmuchem.

Gdzieś nad nią rozległ się głośny klekot śmigłowca, a krąg punktowego światła najpierw pojawił się na zboczu wzgórza, potem przesunął się na jezdnię przed nimi i w końcu spłynął na ich kamper. Białe światło przedarło się przez żaluzje, znacząc twarze jej dzieci jasnymi pręgami.

– Moja ręka się jarzy! – powiedziała radośnie Ana.

Z góry dobiegł czyjś szczekliwy głos. Josie nie mogła zrozumieć słów. Otworzyła okno i natychmiast zaczęła się dławić. Powietrze na zewnątrz było drażniące i zatrute. Zakaszłała, zakrztusiła się i zasunęła szybę.

– Mamó, musisz zawrócić – rzekł Paul. – Tak mówią.

Teraz Josie też to usłyszała.

– Zawróć natychmiast – poleciała jakaś kobieta, której głos brzmiał niczym głos rozsierzonego mechanicznego boga. – Zawróć i odjedź. Natychmiast.

Josie zawróciła na trzy tempa, gdy helikopter unosił się nad nią, po czym ruszyła w przeciwną stronę. Na odcinku kilku następnych kilometrów śmigłowiec sporadycznie opadał w pole widzenia, jakby chciał potwierdzić, że nie ma do czynienia z kierowcą samobójcą, zdecydowanym dokonać samozniszczenia.

– Pozostań na tej drodze – usłyszała. – Nie zawracaj. Jedź dalej na północ.

Niebawem śmigłowiec przestał się nią interesować i znowu zostali sami w ciszy i ciemności.

– Czy to był prawdziwy pożar, mamó? – zapytała Ana.

– Jasne, że tak – odparł Paul. – Pożar lasu. Setek tysięcy hektarów.

– Czy teraz nas spali?

Josie odparła, że to nie są setki tysięcy hektarów i pożar ich nie spali, że nic im nie grozi, a zresztą są już daleko, bezpieczni, żaden pożar ich nie dogoni.

Jechała na północ przez godzinę, dwie, i dzieci w końcu zasnęły. W tej części stanu nie było żadnych drogowskazów, przydrożnych parkingów ani tablic z nazwami ludzkich osad. Szaleństwem było jechać dalej, nie wiedząc, czy zmierzają do mrocznego serca stanu – czyż znacznej jego części nie stanowił park narodowy, którym władały niedźwiedzie?

Szukała jakiegokolwiek lokum lub pola kempingowego, nic jednak nie znalazła. Kontynuowała jazdę, aż w końcu ujrzała tablicę z napisem NOCLEGI ZE ŚNIADANIEM. Zatrzymała się. Zerknęła na zegarek. Było wpół do piątej. Wjechali na szutrowy podjazd; zmiana prędkości obudziła Paula i Anę. Posiadłość zajmowała powierzchnię ponad jednego hektara i graniczyła z wysoką skarpą. Główny budynek był piętrowym domem rodzinnym. Przed nim stały rowery, trycikle, a nawet dziecienny samochód wyposażony w silnik, na którym już zatrzymało się spojrzenie Any. Wysiedli z kampera i rozejrzeli się w ciemności wokół domu, próbując się zorientować, gdzie jest wejście, a potem zadzwonili do drzwi. Nikt nie otworzył.

Przez zarośla za domem widać było żółte światelko i Josie domyśliła się, że to domek dla gości. Zaprowadziła do niego dzieci.

– Nocujemy tutaj? – zapytała Ana, a Josie pomyślała, jak dziwne jest to, co robią, wędrując ścieżką przez las do domku stojącego wysoko na skarpie, sami, grubo po północy.

Z bliska domek wyglądał na nowy. Żółte światelko padało z kinkietu na werandzie, pieszcząc nowe fotele i grube poduchy. Wewnątrz także paliło się światło i Josie, na wpół pewna, że domek jest zamieszkały i jest niewielkie ryzyko, że zaraz zjawi się ktoś rozgniewany lub uzbrojony, żywiła zarazem mocne przekonanie, że domek jest pusty. Zerknąwszy do środka, czekała, aż coś się poruszy. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Domek miał kształt litery A i widoczne było całe wnętrze, w którym wszystko – schludna kuchnia, dwie kanapy oraz dopasowane do nich fotele, a u góry antresola z dużym pustym łóżkiem pokrytym grubą żółtą kołdrą – zrobione było z sosnowego drewna.

– Nie możemy tam wejść – rzekł Paul.

– Dlaczego? – zdziwiła się Josie.

– Nie zapytaliśmy nikogo – odparł.

Josie postanowiła już, że albo prześpią się w tym domku, albo w zaparkowanym na podjeździe chateau. Tej nocy już dalej nie pojedzie, a właściciele posesji chyba przywykli do wizyt niespodziewanych gości.

Obróciła gałkę w drzwiach. Ustąpiły. Wnętrze było najwyraźniej nowe, wszystko porządnie wykonane, nadal pachnące ciętym drewnem i lakierem bezbarwnym. Wyposażenie było solidne, czyste, chyba jeszcze nieużywane. Weszła do środka.

– Wejdźcie – powiedziała do swoich dzieci, które stały na werandzie; Paul powstrzymał siostrę ręką. – Próbowaliśmy zapytać. Nie ma ich w domu – dodała Josie i wtedy doznała olśnienia. Paul potrzebował ładu, musiał kroczyć drogą prawości, a także, na szczęście, lubił zadania i był dumny ze swojego pisma. Josie poskładała to wszystko i przybierając ton niemalże zblazowanego autorytetu, wyjaśniła: – Pensjonaty działają w taki sposób, że często przyjeżdża się po tym, gdy właściciele posesji –

wiedziała, że Paul nie zna tego słowa, ale ono miało jej przydać autorytetu – pójdą spać. Czasem zaś mieszkają w pobliżu, ale nie na terenie posesji. W takich sytuacjach normalne jest zatem to – teraz naprawdę była zblazowana, zastanawiała się, czy nie ziewnąć – że pisze się krótki list i przykleja go do drzwi.

– Tych drzwi?

– Nie, w budynku głównym. Możesz być tym, kto to zrobi?

Oczywiście, że Paul chętnie by to zrobił, napisałby list, złożył kartkę i przykleił taśmą do drzwi. Przystąpiłby do tej pracy z powagą i radością. Sztuka polegała jedynie na tym, żeby to zrobić szybko. Zważywszy na jego dokładność i ostrożność, takie zadania zazwyczaj zajmowały mu godzinę. Wspominano o tym w szkole: problemem nie było porządne i staranne wykonanie, ale gospodarowanie czasem.

Poszli więc do chateau i kiedy Paul zasiadł na ławie, żeby popracować nad listem – nie potrzebował wskazówek; rozumiał istotę sprawy i zamierzał tchnąć nowe życie w tę formę – Josie zebrała przybory toaletowe, po czym szybko spakowała torbę z ubraniami i zabawkami. Do tego czasu Paul skończył pisać.

„Pozdrowienia! Zobaczyliśmy wasz Szydł. Śpimy w waszej códowej Chacie. Dziękujemy!”

Właściwie wydawało się, że to wystarczy, i Josie tak powiedziała. Chłopcu zrzęda mina.

– Mógłbyś pisać dalej – dodała – ale musimy się zbierać. – Zaproponowała, że obie z Aną zainstalują się w domku, a on zostanie w chateau, żeby dokończyć list; Paul nawet na nią nie spojrział.

– Zostanę z nim – oświadczyła Ana. Przysunęła się do brata i z uwagą przyglądała się jego pracy.

Josie wróciła do domku i przestępując próg, wyczuła woń czystości. Zbudowano go z wielką dbałością o detale oraz pełną wygodę gości i urządzone ze smakiem. Wewnątrz były nowa lodówka, nowa kuchenka, nowy ekspres do kawy – tak naprawdę w kuchni znajdowało się więcej urządzeń i nie wyglądało na to, by którekolwiek było w ogóle używane.

Otworzywszy lodówkę, stwierdziła, że wprawdzie jest włączona i zimna, ale pusta, nienaruszona.

Bez wątpienia byli pierwszymi lokatorami.

Gdy wróciła do chateau, zastała Paula i Anę w tym samym miejscu; Paul wysunął wymownie język i bardzo mocno – jak zawsze – dociskając ołówkę, prowadził go po kartce. Zapytała, czy już kończy.

Ana pokręciła głową, jakby była jego asystentką i miała za zadanie zapewnić mu spokój.

– Prawie – odparł Paul, nie odrywając wzroku od kartki.

– Mogę zobaczyć? – zapytała.

Odmówił, ale kilka sekund później skończył.

„Pozdrowienia!” – napisał w liście. „Zobaczyliśmy wasz Szyld. Śpimy w Waszej códownej Chacie. Dziękujemy! Pukaliśmy i dzwoniiliśmy do waszych drzwi, ale nikt nie otworzył. Może śpicie? Nie będziemy was zbudzimy. Prosimy nie budzić nas rano. Widzieliśmy pożar lasu i jesteśmy zmęczeni. Dziękujemy,

Josie, Paul i Ana

PS. Zapłacimy wam za skorzystanie z Chaty”.

Kiedy Josie zwróciła mu uwagę, że zamiast „zbudzimy” powinno być „budzili”, Paul naniósł poprawkę i przykleił list taśmą do drzwi głównego budynku. Josie zaprowadziła dzieci z powrotem do domku. Zajęli wszystkie fotele. Chwilę później Ana wlaźła po drabinie na antresolę i udała, że stamtąd spada.

– Och nie! – krzyknęła. – Omal nie zginęłam.

Łóżko u góry było wystarczająco duże dla nich wszystkich. Ana wierzgała i wiła się, dając wyraz swojej radości i poczuciu wygody, a Paul złożył swoją poduszkę. Josie leżała razem z nimi w domu, do którego właściwie się włamali. Gdyby teraz ktoś się tu zjawił, nie wyglądałoby to dobrze. Gdyby ktoś przyszedł za kilka godzin, kiedy ona też będzie już spała, mogłoby być fatalnie. Czy przeczytają list napisany przez Paula? Josie pomyślała, że powinni byli zostawić też list na drzwiach kampera,



kierując czytającego do domku. Paul byłby zachwycony świadomością, że dysponuje mapą z umiejscowieniem skarbu i tworzy ciąg tropów.

Wytłumaczyła sobie jednak, że to, co robią, jest dopuszczalne, mieści się w granicach dozwolonego lub nawet właściwego zachowania zbłąkanych wędrowców. Kiedyś przecież wręcz wypadało wybrać się na podróż, znaleźć niezamieszkaną chatę w lesie i spędzić tam noc, a potem ją wysprzątać, doprowadzając do poprzedniego stanu, i pozostawić gotową na przyjęcie kolejnego strudzonego wędrowca, nieprawdaż? Wszystko to powinno być dozwolone. Josie i jej dzieci, tak bardzo zmęczone w wygodnym i ciepłym łóżku na antresoli pachnącej cedrem i sosną, też powinny mieć taką możliwość.

Po lekturze „Yachts and Yachting”, jedyne go czasopisma, jakie znajdowało się w chacie, Josie zeszła na parter, zamknęła drzwi, zgasiła światło, wdrapała się z powrotem po drabinie i potem leżeli we trójkę, przytuleni do siebie pod grubą kołdrą. Dopiero wtedy zauważyli, że u góry znajduje się świetlik, przez który widzieli kawałeczek blado uśmiechającego się do nich księżycy.

Ana zasnęła w ciągu paru sekund. Josie nie musiała spoglądać w kierunku Paula, żeby wiedzieć, że jej syn nie śpi i patrzy na księżyc.

– Przedwczoraj słyszałam twoją rozmowę z Aną – powiedziała. – Kiedy wymyśliłeś tę bajkę o ptasim pierścieniu wokół ziemi.

Kiedy chłopiec odwracał się ku niej, dostrzegła niewyraźny zarys jego buzi. Wydawało się jej, że się uśmiecha, ale nie mogła być pewna.

– Pięknie razem wyglądaliście – dodała, roniąc łzy.

Była pewna, że Paul na nią patrzy. Milczał, ale w ciemności wyczuła, że mówi jej, że ją zna. Że wie o niej wszystko. To, jaka jest słaba. Pełna wad. Mała i ludzka. Przekazał jej, że taką ją kocha. Wie, że przynależy do świata, nie została zesłana przez niebo i nie jest istotą nieomylną – coś takiego byłoby trudniejsze dla niego, a jeszcze bardziej dla Any.

„Wiem, że dziś w nocy byłaś przerażona” – wyczytała w jego oczach.

Ty też się bałeś, wyraziła spojrzeniem Josie.

Po czym, jakby ta wymiana zdań dobiegła końca lub była zbyt intensywna, by ją ciągnąć, Paul odwrócił się i zasnął.

Josie zamknęła oczy i niebawem zapadła w głęboki sen, niosący ulgę, jakiej jeszcze nie czuła w tym płonącym stanie.

## XIII

Kiedy złocisty blask poranka, ciepły i delikatny, spłynął przez świetlik, nadal byli sami, wciąż w łóżku. Dochodziła dziesiąta. Josie usiadła i spojrzała przez okno na główny budynek; list Paula nadal wisiał na drzwiach. Nikt nie przyszedł. Przeciągnęła się, czując się tak, jakby spała w chmurze. Nigdy nie spędziła nocy w tak nieprzyzwoicie wygodnym łóżku. Spojrzała na Paula, wciąż pogrążonego w głębokim śnie, spod kołdry widać było tylko włosy i czoło. Ana, która obudziła się teraz, przecierała oczy. Josie przytknęła palec do ust, chcąc poprosić, by nie budziła Paula, i dziewczynka skinęła głową w niezwykle u niej przejawie powściągliwości. Pozwolili sobie tutaj we trójkę na coś niewinnego, kradnąc noc spokojnego snu.

Głowa Paula drgnęła.

– Wstajemy? – zapytał.

– Nie – odparła Josie i zamknęła oczy, mając nadzieję, że on też tak zrobi.

Jednak dźwięk jego głosu pobudził Anę, ona zaś zachowywała się jak kometa – nie była w stanie zawrócić. Już po chwili stała na łóżku, potem znalazła się pod kołdrą, wierzgając zawzięcie w radosnym uniesieniu. Później znowu się podniosła i siedziała Josie na brzuchu, opuszczając swą ciężką głowę, stalową kulę porośniętą rudym futrem, ku twarzy matki.

– Przyniosę jedzenie – oznajmiła Josie.

Poszła do kampera, mijając główny budynek, gdzie nadal nie było śladu mieszkańców ani nowych pojazdów. Widok części mieszkalnej chateau zrobił na niej strasznie smutne wrażenie. Teraz wewnątrz kampera wyglądało jeszcze bardziej obrzydliwie niż poprzednio. Oni zaś byli obrzydliwymi

ludźmi, których miejsce było w tym obrzydliwym pojeździe. Z drugiej strony byli pięknymi istotami, które czuły się jak u siebie w nieskazitelnej chacie na trzydziestometrowej skarpie. Zabrała mleko, płatki zbożowe oraz jabłka i wróciła do domku w kształcie litery A.

Na zewnątrz plotkowały ptaki, słońce pięło się po niebie. Ściana gór po drugiej stronie zatoki wielkodusznie przyjmowała strumienie słonecznego światła. Zjedli posiłek, umyli naczynia w wypływającej pod cudownym ciśnieniem wodzie z kranu i wytarli je ręcznikami z miękkiego higroskopijnego papieru. Josie doszła do wniosku, że mogą tu zostać jeszcze jeden dzień. Mogą pościelić łóżko i tak uporządkować wnętrze domku, żeby to, że spędzili tam noc, nie było oczywiste. Pozostaną na terenie pensjonatu, zobaczą, co się wydarzy, a potem, jeżeli do wieczora nikt nie przyjedzie, znowu się tam prześpią. Biorąc pod uwagę, że mogą ich szukać wszyscy: policja, służby opieki nad dziećmi, Carl, wysłannik kogoś z nich, to miejsce wydawało się idealne. Tutaj ich samochód był ukryty, oni też, nie było księgi meldunkowej, żadnego śladu ich obecności. Josie pomyślała, że w istocie ich gwałtowne zmiany planów oraz jazda przez tereny objęte pożarem mogły się przysłużyć – przypadkiem, lecz znakomicie – do zgubienia każdego, kto mógłby być na ich tropie.

Po śniadaniu spenetrowali posiadłość, w każdej chwili gotowi na przybycie jej właścicieli lub dozorców. Usunęli list z drzwi domu, postanawiając, że gdy ktoś się zjawi, Josie uda, że właśnie przyjechali.

Znaleźli ścieżkę przez las wiodącą w stronę skarpy. Jednak przed samą skarpią ścieżka skręcała i dotarli nią do niewielkiej białej altany stojącej kilka metrów od skraju urwiska. Josie uznała, że to miejsce nadaje się na ceremonie ślubne. Może cała posiadłość była wynajmowana na uroczystości, podczas których pięć lub dziesięć rodzin mogło się zgromadzić i przyglądać przysiędze małżeńskiej, a potem zostać na noc. Ana zaczęła biegać w kółko po altanie; przy trzecim okrążeniu zakreśliło jej się w głowie i dysząc, chwyciła za poręcz. Żadnej innej zabawy nie zdołali wymyślić.

Wrócili na trawnik przed domem i niebawem Ana przyniosła piłkę, którą wcześniej znalazła. Najpierw ją kopała, a potem biegała za piłką, rzucając się na nią niczym kotka na olbrzymią kulę sznurka. Paula bardzo to śmieszyło. Trawnik był szeroki i płaski, słońce jasne, a niebo bezchmurne, więc Josie uznała, że nic złego się nie stanie, jeśli usadowi się na plastikowym krześle ogrodowym i siedząc beczynn timer, pozwoli dzieciom biegać w pobliżu. Czy mogłabym tu mieszkać? – zastanawiała się. Z dala od wszystkiego. Z podwórka nie słycać pojazdów na drodze. Od czasu do czasu pojawi się jakiś łoś. Możliwość zetknięcia się z niedźwiedziami i wilkami. Ten spektakularny widok. Brak sąsiadów narzekających na to, że pozostawiasz zepsute urządzenia w swoim ogrodzie. Myślała o tym, żeby zostać tu bezterminowo, ale to oznaczałoby oczekiwanie, aż ich złapią, a potem byłyby pertraktacje i musiałaby stawić czoło nieufnym spojrzeniom osoby, która ich znalazła. Gdyby tylko zdołała odtąd unikać potępiających spojrzeń, mogłaby przetrwać. Ale wszystkie spojrzenia były potępiające, lepiej więc ruszyć w drogę i widzieć, nie będąc widzianą.

A z drugiej strony ten dom i ta posiadłość stanowiły świadectwo wspaniałości tej ziemi, tego kraju. Było tutaj tak wiele. Tyle przestrzeni, tyle ziemi, tyle rzeczy do wykorzystania. To zachęcało znużonych i bezdomnych, jak ona i jej szlachetne dzieci. Naszła ją niejasna myśl, że poszukujący i prześladowani z całego świata mogliby znaleźć tu swój dom. Klimat na Alasce się ociepla, prawda? Niebawem stan ten będzie przyjemnym miejscem, z łagodniejszymi zimami, niezliczonymi milionami hektarów niezamieszkaney powierzchni oraz wieloma pustymi domami jak ten, czekającymi na przyjęcie zdesperowanych wędrowców. Była to cudowna myśl, paraliżujące wyobrażenie. Josie zamknęła oczy, nie spodziewając się, że zmorzy ją sen.

Kiedy je otworzyła, powietrze było chłodniejsze, a dzieci zniknęły. Poderwała się na nogi, zaczęła je wołać, w jej myślach pojawiały się obrazy Any skaczącej z urwiska i Paula usiłującego ją ratować, a potem

spadającego razem z siostrą i zastanawiającego się, gdzie podziewa się ich matka. Zasnęła na plastikowym krześle.

Znalazła ich w stodole, siedzieli na wiekowym traktorze. Nie było to całkiem bezpieczne, ale też niczym szczególnym nie groziło. Paul siedział na metalowym fotelu kierowcy, a Ana na jego kolanach, z rączkami na kierownicy. Odwróciła się do Josie, uśmiechając się od ucha do ucha, i powiedziała:

– Popatrz, mamo!

Prowizoryczny garaż był pełen przymocowanych do ścian głów zwierząt. Wydawało się to dziwne – zadać sobie trud zabicia ich i wypchania tylko po to, żeby je potem zawiesić w tym ciemnym, rzadko odwiedzanym miejscu. Pomyśleć tylko! Zabijać zwierzęta i tak bardzo o nie dbać lub być tak bardzo zainteresowanym upamiętnieniem chwili ich zabicia, żeby zapłacić setki dolarów za ich wypchanie, a potem zawiesić w tym niewidocznym pomieszczeniu. Świadczyło to o nieskończonej obfitości zwierząt w świecie, legionach możliwych do zastąpienia ssaków, wystarczająco licznych, by można było wypchać i ukryć znaczną ich część.

Josie pomyślała o własnej piwnicy, o rzeczach, które tam trzymała na przekór świadomości, że bez nich czułaby się swobodniej. Zrozumiała, że poza tym domem czuje się wyzwolona, że czuje się swobodniej bez swojej pracy, z dala od tych nieumytych jam ustnych. Tutaj czuła, że ma więcej swobody niż w domu, jest bardziej wolna tutaj sama niż w otoczeniu rzekomych przyjaciół; była też pewna, że będzie miała znacznie więcej swobody bez przytłaczających ją kości i zawieszonych na nich ciał, bez całej tej paskudnie starzejącej się skóry, potrzebującej jedzenia, mycia i nawilżania kremami. Być zjawą! Widzieć wszystko, widzieć cokolwiek, ale nie być widzianą – to mogłoby być prawdziwą rozkoszą.

– Powinniśmy się zbierać – powiedziała.

Paul był oburzony.

– Chcesz wyjechać?

Właśnie owładnęło nią dziwne uczucie. Sprawił to widok zwierzęcych głów na ścianie. Uświadomiła sobie złowieszczą istotę ich śmierci. Zeszłej

nocy miała szczęście i to szczęście może przestać, przestanie jej sprzyjać, a najprawdopodobniej nagle ją opuści.

– Nie, mamó – zaprotestował chłopiec, po czym przedstawił całkowicie racjonalne argumenty. Że już spędzili tu jedną noc. Że nikt nie przyjechał. Że zostawili na drzwiach list. Że mogliby zostawić więcej listów – na oknach, na drzwiach chateau i domku. Że w najgorszym razie będą musieli zapłacić za dwa noclegi. Gigantyczną tragedię samotnej matki lub ojca stanowi to, że najstarsze dziecko staje się nie tylko powiernikiem, ale również cenionym doradcą.

Postanowili zostać, a Josie zastrzegła sobie prawo zmiany decyzji w dowolnym momencie dnia. Niebo pozostało niebieskie przez całe przedpołudnie i spożyli wystawny lunch złożony z hot dogów, ryżu i pastrami, korzystając z kuchenki i mikrofalówki w domku, jedząc z prawdziwych talerzy, pijąc z kieliszków z prawdziwego szkła i siedząc na stołkach przy kuchennym blacie. Potem Paul i Ana wrócili na trawnik, gdzie rozegrali własną wersję krokieta. Znaleźli też małą żabę. Ana złapała ją bez ceregieli, po czym przez godzinę nosiła w swoich małych, tłustych dłoniach. Josie przyglądała się temu z krzesła i kończyła lekturę *Zatartych szlaków*.

Ciekawy wpis: „Mój stryjeczny dziadek, James A. Layman, stary konfederat, szer. komp. D, kawaleria, komp. A, został zwolniony z honorami 10 maja 1865 roku, a 19 października 1900 roku trafił z okręgu Pulaski do Domu Konfederatów w Higginsville w stanie Missouri. Do 1902 roku figurował w spisie jego pensjonariuszy. Opuścił go, by trafić do domu w Pewee Valley w stanie Kentucky i był tam 31 stycznia 1905 roku, w pokoju nr 31 w skrzydle południowym. Na tym moje archiwum się kończy – brak daty oraz miejsca śmierci i brak miejsca pochówku. Będę wdzięczny za wszelką pomoc”.

Zapadł zmierzch, Josie była wyczerpana, zostało im niewiele jedzenia. Zdołała jednak zrobić omlety i dziwaczną sałatkę zawierającą liście sałaty

oraz kawałki arbuza, boczku i kielbasy. Dzieci spałaszowały kolację i o ósmej wszyscy byli gotowi do snu.

– Możemy? – upewnił się Paul.

– Jak najbardziej – odparła Josie i Ana wspięła się po drabinie na antresolę, a Paul podążył za nią. Sięgnął w dół po magazyn „Yachts and Yachting”, z którego zamierzał poczytać siostrze, więc Josie podała mu go, rozglądając się po domku, by znaleźć sobie cokolwiek do roboty. Nie znalazła. Wniosek był prosty. Pomyślała, że może potrzebują wszyscy długiego odpoczynku – dwunastogodzinnego nieprzerwanego snu – żeby znowu poczuć się właściwie. Zgasła główne światło, pozostawiając włączoną tylko lampę na werandzie oraz przy łóżku obok dzieci, które słyszała pod kołdrą, gdy Paul czytał Anie cichym szeptem.

Drzwi otworzyły się tak cicho, że Josie zakładała, iż to jedno z jej dzieci. Ale one były przecież w łóżku na górze, więc pomyślała, że to pewnie wiatr. Nie zamknęła ich dostatecznie mocno i wiatr je otworzył.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał ktoś męskim głosem. Josie poderwała się przy pierwszym słowie. Odwróciwszy się, ujrzała młodego mężczyznę w spodniach moro, koszulce bez rękawów i bejsbolówce. Miał małe niebieskie oczy i czarną kozią bródkę. W sekundzie ciszy, która zapadła, Josie mogła mieć nadzieję, że jest łagodnym człowiekiem, właścicielem, który znalazł list i zrozumiał, którego zauroczyło dziecinne pismo Paula. W tej sekundzie istniała jeszcze możliwość, że ten człowiek chce tylko wiedzieć, co się dzieje, a ona może to z łatwością wytłumaczyć, że przyjmie od nich pieniądze i będzie mu miło, jeśli zostaną. Tymczasem on rzekł:

– Kim jesteś, do kurwy nędzy?

Josie wstrzymała oddech. Jego małe niebieskie oczy, myśliwski strój – wszystko się mogło zdarzyć.

– Zostawiliśmy list – bąknęła.

– To twój kamper? Jesteś squatterką? Kto z tobą jest? – zapytał. Nie zauważył jeszcze Paula i Any. Stał w progu, półtora metra od Josie, gotów się odsunąć w każdej chwili, najwyraźniej niepewny, czy chce się znaleźć



z nią w zamkniętym pomieszczeniu, jakby natknął się na nietoperza i chciał pozwolić mu wyfrunąć.

Josie podniosła wzrok, żeby sprawdzić, gdzie są jej dzieci, lecz nikogo nie zobaczyła. Schowały się w głębi antresoli. Nie mogła sobie wyobrazić, skąd wiedziały, że mają się ukryć, jak Paul zmusił Anę do milczenia, ale przez ułamek sekundy czuła dla nich podziw. Pomyślała o Annie Frank.

– I po prostu weszliście do środka?

Josie zdążyła już postanowić, że nie wspomni o poprzedniej nocy. Powie mu, że właśnie przyjechali, napisali list, że mają pieniądze i za wszystko zapłacą.

– Zobaczyliśmy tablicę – powiedziała, zdając sobie sprawę, jak cienki i wystraszony jest jej głos. – Nikt nie otworzył drzwi. Nie było innego miejsca na nocleg.

– Więc się włamaliście? – Natężenie jego głosu gwałtownie wzrosło. Coś się zmieniło. Być może był naćpany. Zacisnął pięści. Josie szukała wzrokiem broni, a potem znowu zerknęła w stronę antresoli. Ani śladu dzieci.

– Kto tam jest? – zapytał, nie przestając krzyczeć. – Kto, do kurwy nędzy, tam się ukrywa?

– Błagam, spokojnie. Pójdziemy sobie.

– Nie, wezwiemy policję. To właśnie zrobimy. Zostań tu.

To powiedziawszy, wyszedł. Josie nie wiedziała dokąd. Może nie miał telefonu komórkowego albo zostawił go w domu? Zostawił ich jednak samych, miała więc kilka minut. Weszła pośpiesznie po drabinie i zastała Paula i Anę pod kołdrą; nie spali. Głowy mieli zetknięte, Paul trzymał siostrę w ramionach, w czymś na kształt uścisku śmierci, w pakcie zawartym przed zagładą Pompei.

– Chodźmy. Natychmiast – powiedziała.

Chwyciła Anę i sfrunęła po drabinie w dwóch krokach. Wyciągnęła rękę i ściągnęła Paula z pierwszego szczebla, a następnie wypchnęła ich oboje za drzwi. Wróciła do środka, odnalazła worek marynarski, wypchała go ubraniami, które wcześniej wyjęła, i dołączyła do dzieci na werandzie.

Zawahała się, nasłuchując i szukając wzrokiem mężczyzny. Nie było po nim śladu.

Musieli się dostać do chateau, ale nie mogli skorzystać ze ścieżki.

– Za mną – powiedziała. Podniosła Anę z ziemi, a Paula poprowadziła za rękę przez las, w kierunku skarpy, zamierzając przejść do podjazdu wzdłuż ściany urwiska. Mężczyzna zobaczyłby ich dopiero, gdy wsiądą do kampera.

– Ostrożnie, mamó – ostrzegł Paul, wskazując na pionowy uskok zaledwie o metr na lewo od nich.

– Sza! – odparła Josie, posuwając się szybko w kierunku podjazdu.

Teraz spostrzegła, że z głównego budynku wychodzi jakiś mężczyzna. Miał przy uchu aparat, bezprzewodową słuchawkę telefonu stacjonarnego, i patrzył w stronę domku. Przypuszczalnie dzwonił na policję.

„Pięknie” – pomyślała. Teraz musi tylko dotrzeć do kampera i odjechać. Policjanci mogą ją ścigać, ale to niemożliwe, by byli w pobliżu. Miałyby dwadzieścia minut przewagi. Serce podeszło jej do gardła, w uszach pulsowała krew. Obserwowała mężczyznę, który wciąż stał przed domem. Szukał wzrokiem oznak ruchu z jej strony, zakładając, że nadal jest w domku. Wystarczyło, by wrócił do budynku lub poszedł po nich. Dzięki temu miałyby czas na dotarcie do samochodu i ucieczkę.

Odwróciła się do Paula.

– Biegniemy do chateau. Już za chwilę. Gotowy?

Paul skinął głową.

Mężczyzna odsunął telefon od ucha, wcisnął guzik i wtedy pomarańczowy wyświetlacz w słuchawce pociemniał. Wetknąwszy aparat do kieszeni, ruszył wielkimi krokami w stronę domku; jego jasna sylwetka była pokryta siatką oddzielających ich zarośli.

– Teraz? – upewnił się Paul.

– Zaczekaj. – W chwili gdy mężczyzna znalazł się tuż przed domkiem, Josie syknęła: – Teraz! – Wypadli z lasu i biegli trawnikiem w stronę kampera. Kiedy wpadli na podjazd, zdradził ich chrzęst żwiru pod stopami.

– Hej! – krzyknął mężczyzna. – Wracajcie tu, do kurwy nędzy!

Otworzyła drzwi szoferki i wrzuciła Anę do środka. Dziewczynka uderzyła o coś z głuchym hukiem; Josie wiedziała, że zaraz się rozpłacze, ale nic jej się nie stało. Gdy Paul wszedł do kampera, przepchnęła go w głąb szoferki. Zanim sama wsiadła, spostrzegła, że mężczyzna pędzi ku niej trawnikiem i wpada na podjazd. Był zdumiewająco szybki. Zamknęła drzwi, wsunęła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik. Wrzuciła bieg, chateau szarpnął gwałtownie w momencie, gdy rozległo się głośne uderzenie w tylny zderzak. Potrąciła go. Nie. Teraz walił dłonią w tylną ścianę kampera. A teraz w boczną. Tył samochodu opadł. Pewnie mężczyzna chwycił za drabinkę. Jechał z tyłu. Niemożliwe. Nie, wręcz przeciwnie. Wyglądał na takiego, co skoczyłby na karoserię.

– Jedź, mamó, jedź! – zawołał Paul.

– Przecież jadę! – syknęła w odpowiedzi.

Wcisnęła pedał gazu. Silnik zawył, spod kół wyleciał żwir. Ruszyli naprzód i skręcili ostro w prawo na krętym dojeździe do szosy. „Na samochodzie jest mężczyzna” – pomyślała. Wyobraziła go sobie wiszącego na tylnej ścianie i pełznącego w stronę szoferki. Kiedy już do niej dotrze, na pewno będzie gotów ją zabić.

Nagle droga zaczęła się wznosić ku miejscu przecięcia z szosą i Josie przyśpieszyła, sądząc, że gwałtowny przechył strąci go z drabinki. Uderzyli przednim zderzakiem w chodnik, aż kłapa silnika poderwała się ze zgrzytem. Chateau podskoczył, skręcił z piskiem opon i wpadł na jezdnię.

– Przesiądźcie się do tyłu – poleciła dzieciom. Ana cały czas wrzeszczała, ale Josie usłyszała ją dopiero teraz.

A jeśli ten człowiek jest z tyłu i dostanie się do środka? Przez dach. Albo w jakiś inny sposób.

– Nie, zostańcie tutaj – powiedziała do Paula. – Zostańcie tutaj, oboje. Ukryjcie się tam – dodała, wskazując podłogę przed fotelem pasażera. Chciała, by byli blisko, w zasięgu wzroku. Paul posłuchał i przycupnął wraz z siostrą w ciemnej niszy.

Jechali teraz szosą, coraz szybciej – trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć na godzinę. Josie mogła tylko przypuszczać, że

mężczyzna nadal trzyma się drabinki, ale istniała szansa, że zeskoczył z niej bądź spadł. Nie mogła się jednak zatrzymać, żeby nabrać pewności. Jeśli się nie puścił, na pewno był zdesperowany i teraz, w szale, zrobi jej krzywdę. Ale przecież nie mogła też po prostu jechać dalej, pędząc po szosie z człowiekiem wiszącym na drabince, prawda? Musiała to robić. Pędziła więc, czekając na odgłosy wspinaczki, łomotanie w blachę lub ugięcie tylnych resorów podczas zeskoku mężczyzny.

W przypiływie natchnienia uświadomiła sobie, że może zjechać na stację benzynową i tam zatrzymać się bezpiecznie w świetle lamp – w takim miejscu niczego by nie próbował. Przejechała więc kolejne dwadzieścia trzy kilometry na północ i wtedy zobaczyła wyłaniające się z mroku niebiesko-białe światła stacji. Zwolniła, nasłuchując uważnie odgłosów jakiegoś ruchu – człowieka pełzającego po blaszanej skrzynce, którą kierowała. Wjeżdżając na stację, ujrzała jakąś postać za zieloną szybą, kobietę stojącą za ladą i spoglądającą w ekran maleńkiego telewizora. Josie spodziewała się jakiejś reakcji sprzedawczyni, gdyby ta ujrzała coś dziwnego na karoserii kampera. Kobieta spojrzała w jej stronę, a potem skierowała wzrok z powrotem na ekran.

Josie zatrzymała się jak najbliżej drzwi budynku i czekała. Mężczyzna mógłby wybrać ten moment do ataku, zemsty za swoją okropną przejażdżkę. Znowu jednak nie było żadnego ruchu. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Zatrąbiła. Zadaszenie stacji spotęgowało dźwięk klaksonu odbitego jeszcze od szyb sklepu spożywczego. Kobieta za ladą przestraszyła się i spojrzała na Josie z wściekłością w oczach.

Josie pomachała ręką, powiedziała „przepraszam” przez trzy warstwy szkła i skinęła na nią, żeby wyszła. Kobieta pokręciła głową na znak, że nie może opuścić swojego stanowiska. Z jakiego powodu miałyby wyjść? Jedyne możliwe przyczyny wiązały się z zagrożeniem.

W końcu jednak Josie skłoniła ją do wyjścia z za lady. Sprzedawczyni otworzyła drzwi sklepu spożywczego i wystawiła głowę na zewnątrz.

– Nie mogę stąd wyjść – wyjaśniła.

Josie opuściła szybę w drzwiach od strony pasażera i zapytała:

– Widzi pani coś na zewnątrz mojego kampera?

– Może pani powtórzyć?

– Czy na kamperze ktoś jest? Wisi na nim człowiek?

– Człowiek na pani kamperze? – Kobieta zlustrowała cały samochód, ale nic nie przykuło jej wzroku. – Nie.

– Więc nikogo tam nie ma? Z tyłu też?

Teraz w oczach kobiety pojawił się strach, zmieszanie pytaniami Josie i zadaniem, które jej wyznaczyła. Mimo to wykręciła szyję, żeby spojrzeć na tył pojazdu, po czym zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

Dopiero wtedy Josie poczuła się na tyle pewnie, żeby otworzyć drzwi. W kolejnej nedorzecznej kalkulacji próbowała wyobrazić sobie ewentualny punkt ataku mężczyzny, tuż za drzwiami, postanowiła więc zeskoczyć na zalany niebieskim światłem beton stacji, jak najbardziej oddalając się od kampera. Może wtedy on rzuci się na nią, chybi i wyląduje na chodniku?

Uczyliła to i nic się nie stało. Rzuciła się z powrotem do drzwi, żeby je zatrzaskać – czyż nie naraziła swoich kulących się ze strachu dzieci na niebezpieczeństwo? – a potem szybko obeszła teren stacji, szukając wszędzie mężczyzny w spodniach moro, który mógł ich nie odstępować od ostatniej godziny. Nikogo nie zauważyła.

Jednakże sprzedawczyni właśnie rozmawiała przez telefon. Najprawdopodobniej donosząc na Josie władzom. Josie przez chwilę myślała o tym, żeby zostać, nie zrobiła bowiem niczego, o co kobieta ze spożywczaka mogłaby mieć pretensje i co mógłby udowodnić jakiś policjant.

Wsiadła z powrotem do chateau i odjechała, wyobrażając sobie butelkę roztrzaskującą się na jej twarzy. Ostatnio się to nie zdarzało, ale odkąd skończyła dwanaście lat, to wyobrażenie stawało się co pewien czas częścią jej życia. Nie umiała nikomu wyjaśnić tego zjawiska, nie powodując poważnego zaniepokojenia, nigdy więc o nim nie wspominała, ponieważ nie budziło kontrowersji ani nie było objawem rozwijającej się psychozy. Nie miało to związku z odrętwieniem twarzy. Pojawiło się dwadzieścia lat

wcześniej. Kiedy wszystko się zaczęło, chodziła do szóstej klasy, było to tuż po Candylandzie i odtąd zdarzało się regularnie. I nie stanowiło wielkiego problemu. Po prostu powracające wyobrazenie butelki roztrzaskującej się na jej twarzy. Wśród dziesiątek tysięcy myśli, które, podobnie jak każdy, miewała w ciągu dnia, parę razy pojawiał się wyrazisty obraz butelki, butelki po wodzie sodowej z lat siedemdziesiątych, z jej krągłościami i żłobkowaniem, roztrzaskującej się na jej twarzy, i nie stanowiło to wielkiego problemu. Nigdy nie było jasne, kto właściwie trzymał butelkę, nieznane były też zamiary tego człowieka, ale w każdym razie butelka wlatywała w pole jej widzenia i rozbijała się o jej nos i policzki, a odłamki szkła rozpryskiwały się niczym krople deszczu. Nigdy nie czuła przy tym bólu. To nigdy nie było niepokojące. Po prostu butelka roztrzaskująca się na jej twarzy. Miało to coś wspólnego z karą, ale też było trochę slapstickowe. Przypominało nieco walenie tortem w twarz, karę cielesną wymierzaną przez rozgniewanego boga klauna.

To naprawdę był drobiazg.

Paul i Ana nadal ukrywali się we wnęce przed fotelem.

– Możecie już wstać – powiedziała Josie.

– Ona śpi – odparł Paul. Byli spleceni z sobą tak mocno, że Paul nie mógł się poruszyć, nie budząc siostry, więc Josie zostawiła ich w ciemnej niszy na brudnej podłodze i jechała dalej.

## XIV

Obudził ją pisk. Spała na kanapie we wnęce kuchennej, dzieci spały powyżej, a wszyscy znajdowali się na polu kempingowym, które Josie znalazła około północy. Nie miała pojęcia, w jakiej części stanu wylądowali. Przez żaluzje kuchenne dzień wydawał się ciepły i pogodny.

Sześć godzin wcześniej jechała w ciemności, dostrzegła tablicę i zwirową drogę, po czym zapłaciła czterdzieści pięć dolarów za miejsce z pełnym podłączeniem do mediów. Poszła do recepcji, by zbudzić kierownika, pięćdziesięcio- lub sześćdziesięcioparoletniego przystojniaka imieniem Jim. Jim był uprzejmy i wyrozumiały, dał jej klucze do prysznicza oraz kod do uruchomienia pompy opróżniającej kloakę (nie powiedziała mu, że nie będzie z niej korzystała). Dał jej także kieliszek bourbona, domyślając się, że właśnie tego jej trzeba. Potem Josie wróciła otępią do chateau i zasnęła na kanapie.

Teraz był ranek, ona nie spała, a ktoś nadal piszczał. Nie wiedzieć czemu, było dla niej jednak oczywiste, że to radosny pisk, wesołe okrzyki „Witaj!” i „Jesteśmy!”.

– Mamo? – zawołał Paul.

– Jestem tutaj – odparła.

Paul zszedł z łóżka i ułożył się na niej niczym gepard na grubej gałęzi. Ana poszła w jego ślady, złącząc z antresoli, a następnie ostrożnie wdrapując mu się na plecy. Dźwigając na sobie ich ciężar, Josie przez chwilę myślała, że to cudowne, ale później zdała sobie sprawę, że zaraz wyzionie ducha.

– Złączcie! – powiedziała.

Przeciągnąwszy się, zjedli płatki zbożowe, a gdy słońce podniosło się nad linię drzew, wyszli z kampera. Wtedy Josie przypomniała sobie, gdzie

się znajdują. Odtworzyła w myślach dojazd na pole kempingowe: szare światło reflektorów sunące po żwirze parkingu, potem wizyta w recepcji, spotkanie z Jimem, bourbon, on pokazujący jej rozkład pola i najbardziej ustronne miejsce. W ośrodku był budynek główny, recepcja – duża, porządnie wzniesiona konstrukcja z czerwonych bali i gipsu szpachlowego, z szeroką werandą. Był też żwirowy parking naprzeciwko rzeki, a dalej luźna siatka kamperów i przyczep kempingowych pod lasem. Dwupasmowa droga międzystanowa znajdowała się nieopodal, powyżej, ale nie zakłócała spokoju i biegła przez rzekę po prostym kamiennym moście. Kiedy Josie wysiadła, by poczuć atmosferę dnia, zauważyła, że zaparkowała obok innego pojazdu, który wydawał się zainstalowany na stałe. Wokół biegł płot z białych sztachet, a w oknach stały donice z kwiatami i wisiąły flagi.

Josie zaczęła się zastanawiać, jaki to dzień, i zdała sobie sprawę, że jest sobota. Tego dnia na polu kempingowym miało się odbyć wesele z udziałem piszczących kobiet. Skoro piszcząły o ósmej rano, wnosząc plastikowe widelce do sali bankietowej, ciekawe, jakie dźwięki będą wydawać w trakcie ceremonii?

Budynek z salą bankietową stał między chateau a rzeką, więc ustawienie rozkładanego krzesła przodem do budynku weselnego wydawało jej się rzeczą naturalną. Weszła do kampera, zaparzyła sobie herbatę i wróciła na dwór, żeby śledzić przebieg wydarzeń, tak jak oglądałaby poranne wiadomości w telewizji.

Drzwi za nią otworzyły się z jękiem. Josie odwróciła się i ujrzała Paula i Anę w ubraniach z poprzedniego dnia.

– Kto bierze ślub? – zapytał Paul.

Weselnicy byli bardzo młodzi. Mężczyźni w strojach drużbów, bez marynarek, natomiast druhny w szortach oraz bezrękawnikach; miały się przebrać później. Wspólnie przystrajali budynek wstęgami i białymi goździkami, a stryjowie z ojcami wnosili do środka stoły i krzesła. Wszyscy wspaniale się bawili; od czasu do czasu druhny były podnoszone z ziemi przez drużbów, którzy grozili, że wrzucą je do rzeki, prowokując tym



kolejne piski. Byli szalenie młodzi. Paul ruszył ku nim powoli, jakby przyciągała go jakaś niewidzialna siła.

Josie się nie odzywała, chcąc się przekonać, jak daleko zajdzie. Trzy kroki i się zatrzymał. Przyglądał się. Cztery następne. Ana nie zdradzała zainteresowania otoczeniem, bawiła się w cieniu kampera; mówiła przy tym do siebie natarczywie, trzymając w ręku muskularnego zielonego ludzika, lecz Paul wpadł w jakiś trans i wykręcał sobie palce wysuniętych do przodu dłoni.

– W mojej klasie jest ktoś, z kim mógłbym się kiedyś ożenić – rzekł bez emocji, jakby opisywał sunącą po niebie chmurę.

– Helena? – zapytała Josie.

– Taak – odparł ze wzrokiem utkwionym w kolejnych gościach weselnych, którzy wciąż przybywali na miejsce uroczystości.

I teraz, wyjeżdżając spod mostu ścieżką wzdłuż rzeki, pojawiła się sześćoosobowa grupa. Prowadził ją pięćdziesięciolatek w czarnej kamizelce, czarnych spodniach oraz błękitnej koszuli z wyłogami kołnierzyka przypinanymi na guziki. Jechał na rowerze górskim i chyba wygrał jakiś wyścig, ponieważ wjeżdżając na żwirowy parking, krzyknął:

– Ha!

Za nim przyjechała trzydziestoparoletnia zarumieniona kobieta w skromnej sukni pielgrzyma, uszytej z szarej bawełny, wykończonych białą lamówką, której rąbek muskał jej kostki. Na głowie miała czepek i uśmiechała się od ucha do ucha, ogromnie zadowolona, że zajęła drugie miejsce.

„A więc to menonici” – pomyślała Josie. „Albo amisze”. Ale reszta przyjechała tu samochodami, więc to wykluczałoby amiszów. Zatem menonici. Kiedyś widziała rodzinę menonitów modlącą się przed posiłkiem w barze Burger Kinga, a ten bar znajdował się w szczerym polu. Tak więc w ich przypadku było to dozwolone – jazda samochodem do Burger Kinga, jedzenie w barach tej sieci, wyjazdy na pola kempingowe na Alasce z przyczepą z rowerami. Zdecydowała, że to menonici, i siedziała dalej na

trawie, jednym okiem obserwując swoje dzieci, a drugim tę wciąż zmieniającą się scenkę.

Nadjechały kolejne rowery, a na nich troje dzieci – chłopcy w wieku ośmiu i dwunastu lat oraz dziesięcioletnia dziewczynka – a następnie, rzecz szalenie intrygująca, jeszcze jedna kobieta, która wyglądała na dwadzieścia lat, za dużo, żeby mogła być córką tej pierwszej kobiety. Wszyscy zsiadli z rowerów, śmiejąc się, krzycząc i ocierając czoła. Przed chwilą świetnie się bawili. Chłopcy byli w czarnych spodniach i wszyscy nosili takie same niebieskie koszule robocze jak ich ojciec. Dziewczynka i dwudziestolatka miały na sobie suknie podobne do stroju kobiety, która zajęła drugie miejsce w wyścigu. Zaparkowali rowery, uważnie ustawiając podpórki na żwirze.

– O rany! – rzekł ojciec.

Na twarzy Josie odmalował się uśmiech. Odwróciła się gwałtownie, żeby sprawdzić, czy jest jedynym świadkiem tej sceny. Liczyła na swoje dzieci, które teraz, niczego nieświadome, chodziły po płytkiej wodzie.

Josie odwróciła się znowu do menonitów. Mężczyzna był mężem jednej z dwóch kobiet, ale której? Matką dzieci na pewno była ta starsza. Zatem młodsza była z nimi dla zabawy. Siostrzenica, członkini ich Kościoła, mieszkanka ich wsi. Jej rodzice zmarli? Została osierocona, przyjęta do tej szczęśliwej rodziny? Josie zastanawiała się, kim by była, gdyby się urodziła w tej rodzinie lub wyszła za mąż za jej członka. Czego by pragnęła? Czy jej pragnienia byłyby prostsze? Być może pragnęłaby tylko tego: porządnej, wyczerpującej przejażdżki rowerem wzdłuż rzeki, zajęcia drugiego miejsca, tuż za przystojnym mężem, jakże cudowne to wszystko było, o rany.

– Popatrz – powiedziała Ana i pokazała w dół rzeki, na miejsce, w którym jej koryto skręcało. W płytkiej wodzie, wśród maleńkiego lasu wysokich trzcin bawiła się grupa dzieci. Zanim Josie zdążyła ją powstrzymać, Ana zbiegła z brzegu. Paul ruszył za siostrą, ostrzegając, żeby zachowała ostrożność.

Dzieci było dwanaścioro, w wieku od czterech do dziesięciu lat, i wydawało się, że ich uwaga skupia się na olbrzymim powalonym drzewie,

które leżało uschnięte na płyciźnie, z gałęziami wznoszącymi się na ukos błagalnie ku niebu. Połowa dzieciaków siedziała na nich okrakiem lub z nich zwisała; od czasu do czasu spadały do sięgającej kostek wody. Dopiero po kilku minutach obserwacji Josie zdała sobie sprawę, że jest jedynym obecnym w pobliżu rodzicem.

Przebiegła spojrzeniem wzdłuż brzegu, nie dowierzając, że to może być prawda, i w końcu dostrzegła kogoś, kto wyglądał na osobę obarczoną obowiązkiem opieki nad tą dwunastką. Była to kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat. Stojąc w płytkiej wodzie, rozmawiała przez telefon, paliła papierosa, gestykulowała i rżała radośnie jak koń. W pewnym momencie podniosła wzrok, ujrzała Josie i zdołała równocześnie mrugnąć do niej okiem i pomachać dłonią. Jej uśmiech był serdeczny, a mrugnięciem zdawała się wyrażać wdzięczność za piękno rzeki, dnia, zachwycające szaleństwo wszystkich bawiących się razem dzieci, za to, że mogą obie po prostu stać w rzece lub siedzieć w pobliżu i nic nie robić.

Josie pomachała jej w odpowiedzi. Czując, że druga kobieta może sobie poradzić przez parę minut sama, wyciągnęła z kampera składane krzesło, przyniosła je na płaski trawiasty brzeg, usiadła na nim i dalej obserwowała. Przy drzewie znajdowało się piętnaścioro dzieci, potem dwadzieścioro. Próbowaly przesunąć jego wielki pień. Samczyk alfa, w spodniach od piżamy i nagi od pasa w górę, przejął kontrolę nad tym plutonem i domagał się przeniesienia drzewa. Instruował pozostałe dzieci, gdzie mają chwycić za pień i gałęzie. W pewnym momencie zawołał nawet niecierpliwie chropawym głosem:

– Podnieście nogami!

Dzieci Josie chętnie podporządkowywały się jego poleceniom. Chłopiec był brygadzystą kierującym całą wykonywaną pracą i wiedział, jak przewodzić. Josie zastanawiała się, dlaczego drzewo musi zostać przesunięte, ale trudzące się pod komendą małego brygadzysty dzieci ślepo wykonywały rozkazy.

Wydawało się, że coś go dręczy. Przyglądając się swoim robotnikom, stał wsparty pod boki, niezadowolony. Coś było nie tak. Opuścił głowę,

doszedł do jakiegoś wniosku i podniósł ją z powrotem, po czym rzekł:

– Teraz to już chyba będziemy musieli zacząć pierdzieć, żeby to podnieść.

Powiedział to poważnie, z rezygnacją. Najwyraźniej zabrakło im siły, paliwa, i musieli teraz użyć tego, co im zostało. Josie od dawna się zastanawiała, skąd pionierzy, skąd jaskiniowcy wiedzieli, gdzie się zatrzymać i osiedlić. W trakcie dotychczasowej podróży widziała kilka miejsc, w których pomyślała: „Jest tu jezioro, jest góra i jest pofałdowana łąka, gdzie mogłabym się przyglądać, jak bawią się moje dzieci”. Łatwo było jednak wytłumaczyć, dlaczego żadne z tych miejsc nie wydało się jej odpowiednie na dłuższy pobyt. Większość znajdowała się w pobliżu szosy. To pole kempingowe, położone w zakolu rzeki, zapraszało jednak i obiecywało niezmiennosc.

Z drugiej strony, pomyślała, patrząc na drogę przecinającą rzekę, istniało ryzyko, że poranny spokój zakłóca syreny pojazdów z poszukującymi ich ludźmi. Od razu wyobraziła sobie, jak ta kobieta nad wodą oraz niewidoczni rodzice bawiących się w rzece dzieci powstają, żeby jej bronić. Nie zamieniła z nimi ani słowa, ale wierzyła, że stworzyli coś na kształt wspólnoty, obserwując, jak dzieci przesuwają zwalone drzewo siłą gazów we wzdętych brzuskach.

– Hipnotyczny widok, prawda? – Męski głos. Josie podskoczyła na krześle. Odwróciła się i ujrzała Jima, człowieka, który przyjmował ich wczoraj na nocleg. Teraz stał i trzymał w wyciągniętej do Josie ręce niebieski kubek. Wydawało się, że jest w nim różowa lemoniada. W drugiej dłoni miał taki sam.

– Nie, dziękuję – powiedziała, ale mężczyzna nie raczył cofnąć ręki, więc przyjęła poczęstunek.

Stuknął się z nią plastikowym kubkiem i przypomniał:

– Przyjmowałem cię zeszłej nocy. To twój przydomek czy sposób życia? – zapytał, wskazując ruchem głowy na jej daszek.

– Znalazłam go – odparła i spostrzegła, że mężczyzna jest rozczarowany; myślał, że jej dociął. Miała ochotę mu wytłumaczyć, że

komentowanie ubioru innych osób nigdy nie przynosi nic dobrego.

Wypiła łyk lemoniady, odkrywając, że Jim doprawił ją czymś, co smakowało jak rum. Uznała, że ponieważ minęło południe, a poprzedniego wieczoru uciekła przed szalonym oberżystą, zasługuje na drinka.

– Dziękuję – powiedziała, usiłując mu się przyjrzeć. Słońce utworzyło aureolę wokół jego głowy, na jej tle rysowała się purpurowa sylwetka twarzy. Pamiętała, że jest przystojny.

– Przyjechałaś na wakacje? Uciekasz przed czymś? – zapytał.

– Może usiądziesz? – zaproponowała. – Nie mogę rozmawiać, gdy tak nade mną stoisz.

Jim nie miał krzesła, więc usiadł na trawie obok Josie.

– Nie musisz siedzieć na ziemi – zauważyła.

– Chcę – odparł i przeczesał palcami zachwaszczoną trawę, jakby to był pluszowy dywan. – Hmm – mruknął. – Pobyt na razie udany?

– Szalenie – odparła z bezcelowym sarkazmem, którego nie aprobowwała. Jim wyjaśnił, że pole należy do niego, kupił je pięć lat temu po przyjeździe z Arizony. Josie zakładała, że on wie, iż ona jest singielką, i chce przekazać, że jest nie tylko pracownikiem zajazdu, lecz jego właścicielem. Wyglądał młodziej, niż zapamiętała z nocnej rozmowy. Pięćdziesiąt pięć lat? Mocno zbudowany, barczysty, z okrągłym brzuchem. Na bicepsie miał tatuaż, widoczny tylko częściowo, z jakimś wojskowym motywem; dostrzegła orle szpony. Był weteranem. Wiek i postura się zgadzały.

– Za zakrętem można popływać – poinformował, wskazując w dół rzeki, gdzie koryto skręcało ostro w prawo w głąb lasu. – To tylko cofka metrowej głębokości, ale za to z huśtawką ze sznura. Lubisz pływać?

– Jesteś niczym szef kuchni, który nie zostawia gości w spokoju? – zapytała Josie, chcąc nadać tym słowom lekkość, ale zabrzmiało to kąśliwie.

– Chyba tak – odparł i wstał. – Do zobaczenia.

Kiedy odchodził, butelka znowu roztrzaskała się na twarzy Josie, ale nie był to wielki problem. To była tylko butelka na twarzy.

Josie przez cały dzień pozwalała Paulowi i Anie wałęsać się w pobliżu miejsca weselnego przyjęcia, jeść na dworze, mając przygotowania w zasięgu wzroku, a potem bawić się w rzece z innymi dziećmi, które stale miały oko na mężczyzn i kobiety w biało-czarnych strojach wędrujących w pośpiechu między półciężarówkami i furgonetkami a budynkiem.

– Idź sprawdzić, z jakiego są stanu – powiedziała do syna.

Paul uśmiechnął się i pobiegł.

– Z Alaski – poinformował, kiedy wrócił. – Oni naprawdę się dzisiaj pobiorą? – zapytał, a gdy Josie odparła, że na to wygląda, zapytał, gdzie są państwo młodzi. Josie nie była pewna. Wszyscy mężczyźni byli ubrani tak samo, lecz jeden wydawał się nieco mniej radosny niż reszta, poruszał się wolniej, obarczony brzemieniem swoich obowiązków, i przypuszczalnie to on miał stanąć na ślubnym kobiercu.

– Załóżmy się o to, kto jest panem młodym – zaproponowała, a Paul zapytał, czy może przynieść kartkę, żeby zrobić zestawienie możliwych kandydatów. Popędził do chateau i wrócił z notesem z tabelkami do gry w kości. Przewrócił kartkę i zaczął zapisywać znaki szczególne każdego z mężczyzn. „Wysoki chudy rudowłosey”, napisał. „Niższy szatyn brodaty”, dodał w następnej rubryce. „Kulawy i w okularach”.

Okolo drugiej przyjechał nowy samochód i zaparkował za biurem Jima, niedaleko chateau. „Panna młoda” – pomyślała Josie. Przyglądała się, jak trzy kobiety pośpiesznie przechodzą z samochodu do budynku; jedna, starsza, niosła nad głową białą suknię. Wkrótce w kłębach pyłu pojawił się sznur kolejnych aut. Z jednego z nich wysiadł łysy, zażywny mężczyzna w smokingu, pierwszy jak do tej pory, który chyba czuł się w nim swobodnie.

– Ojciec panny młodej – stwierdziła Josie i wysłała Paula, żeby podsłuchiwał toczoną w pobliżu rozmowę i potwierdził jej domysły.

Chłopiec wrócił dziesięć minut później bez żadnych konkretów.

– To pewnie już niedługo – zauważyła głośno Josie, sądząc, że przynajmniej jedno z jej dzieci ją słyszy. Żadne jednak nie znajdowało się w zasięgu jej głosu.

Młodzi ludzie w sportowych marynarkach i w niebieskich oraz czarnych garniturach, jeden w białym, wszystkie kobiety w bardzo krótkich sukienkach i w pantoflach na bardzo wysokich obcasach, wysiedli ze swoich pojazdów i przeszli po żwirze do budynku weselnego. Przez godzinę nie było żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Państwo młodzi brali ślub, a Josie nic a nic nie słyszała.

W porze kolacji wyjęła kilka talerzy spod prysznic i zjedli w kamperze rozmrożoną pizzę oraz poszarzałe warzywa; kiedy niebo zabarwiło się na pomarańczowo, usłyszeli dziecięce śmiechy.

– Możemy iść zobaczyć? – zapytała Ana.

Josie nie widziała powodów, by im zabronić, chociaż wolałaby, żeby zostały z nią w chateau i z głowami na jej piersi obejrzały jakiś film. Pragnęła ich bliskości, miała ochotę popijać białe wino i jednym okiem oglądać kreskówkę. Była gotowa pozwolić, by ten dzień spokojnie się wypalił, lecz one chciały go przedłużyć.

– Oczywiście – odparła. Nie mogła przecież wzbraniać swoim dzieciom radosnych przeżyć na dworze.

Paul pomagał siostrze włożyć buty i Ana, obserwując, jak je sznurowe, spojrzała na Josie i powiedziała:

– Mam choropy! – Paul zasznurował jeden but i zaczął sznurować drugi. Ana nie przejmując się tym, zachowywała się tak, jakby kosmetyczka malowała jej paznokcie, a ona rozmawiała z przyjaciółką na sąsiednim fotelu. – A wiesz, jak się pisze choropy? – zapytała, po czym sama odpowiedziała na pytanie: – H-O-R-O-P-Y. Horopy.

– Chyba trochę inaczej – powiedziała Josie.

Ana ujęła w dłonie twarz matki i zapewniła:

– Josie, mam *choropy*.

Paul skończył sznurować jej buty, wstał i otworzył drzwi. Josie wyszła za nimi. Paul i Ana rozejrzeli się i w końcu, nie od razu, spostrzegli dziecięce plemię w niezbyt dużej odległości. Dzieci zrobiły na poczekaniu

huśtawkę z szerokiej deski ułożonej na równoważni. Samczyk alfa stał pośrodku grupy z triumfalnie założonymi rękami.

Josie usiadła w drzwiach kampera i obserwowała zmierzającego w ich kierunku syna oraz idącą za nim córkę. Nagle Ana odwróciła się do niej.

– Zapomniałaś o czymś? – zapytała Josie.

– Tak – odparła dziewczynka i znowu ujęła twarz matki w dłoń. Josie roześmiała się i pocałowała Anę w nosek.

– Nie – zaprotestowała Ana, przesuwając dłoń, żeby lepiej chwycić twarz Josie. Tym razem oczekiwała bardziej romantycznego pocałunku. Wszystko było, jak trzeba: zamknięte oczy, ściągnięte usta i Josie pozwoliła jej spróbować. Nie zamykała oczu, chcąc zobaczyć, co zrobi Ana, ale po krótkim cmoknięciu dziewczynka wydawała się usatysfakcjonowana i cofnęła się z wielką powagą. Po czym otarła usta przedramieniem i powiedziała: – Sie ma.

Nadszedł wieczór, Paul i Ana wrócili spoceni, narzekając, że spadli z huśtawki. Układali się do snu, gdy w powietrzu rozległo się dudnienie. Josie myślała, że dobiega ono z przejeżdżającego drogą samochodu, ale hałas tylko się nasilił.

– Wesele – rzekł Paul.

Josie wyszła, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście może być weselna muzyka, a nie jakaś zbrojna napaść. Ruszyła do zboru, w którym paliły się jaskrawe światła, i ujrziała sylwetki stu stłoczonych, po czym nagle rozchodzących się diagonalnie osób. Paul i Ana podążyli za nią nieproszeni.

– Przyjęcie – powiedziała Josie i wyjaśniła im, że uroczysty ślub i kolacja odbyły się po cichu, a teraz ma miejsce to, co widzą, bardzo głośne wesele, które będzie trwało do późna. Pomyślała, żeby opuścić pole kempingowe. Zastanawiała się, co mogłaby wetknąć do uszu, żeby stłumić ten dźwięk. Ale dudnienie – w ziemi, w powietrzu – i tak nie ustanie. Tej nocy nie zmrużą oka.

– Powinniśmy tu zostać – rzekł Paul, spoglądając na zbór spod zmrużonych powiek, jakby kupili bilety na jakiś koncert pod gołym niebem



i właśnie znaleźli odpowiednie miejsce. Josie usiadła i posadziła sobie Anę na kolanach. Ze swojego punktu obserwacyjnego widzieli zabawę przez duże okno, goście weselni przesuwali się po jego jasnym ekranie niczym aktorzy w scenie przyjęcia. Panna młoda miała jasnoblond włosy i ręce pokryte tatuażami. Pan młody był brodaty, bardzo wysoki i wydawał się krzyczeć, śmiać się, podnosić kolejnych gości weselnych z podłogi i nimi obracać. Piosenki zlewały się z sobą, głowy kiwały się do rytmu, a Josie wtuliła podbródek w grzywę włosów Any, która kreśliła palcem kółka na jej ręce.

Gapienie się z oddali nie było dla Josie nowością. Jako nastolatka, w najgorszych latach Candylandu, doświadczyła bardzo długiego okresu samotności, brutalnych, cudownych i okropnych chwil rozkoszowania się własnymi udręczonymi myślami, zgrubiałymi nagle udami, rosnącym nosem, plotkami na temat rodziców, tym, że słowo „Rosemont” było na ustach wszystkich, zawsze w związku z jej rodzicami, swoim przerażeniem samotnością w sobotnio-niedzielne wieczory, połączonym z niechęcią do przebywania wśród ludzi. Pomstowała na niesprawiedliwość tego, że nie ma żadnego towarzystwa, ale uwielbiała być sama. Niejako w ramach kompromisu zaczęła chodzić na długie wieczorne spacerory, to zaś zawiodło ją do lasów za domami na peryferiach miasta i kiedy spacerowała za nimi, trzymając się wśród drzew, często widziała jasne światła w oknach, a ludzie za szybą byli oświetleni tak dobrze jak rybki w akwarium.

Tak więc na tych długich spacerach często siadała i obserwowała, jak ci ludzie siedzą, gotują lub się rozbierają; przekonała się, że to ją uspokaja i jest jej potrzebne. W okresie, gdy miała wątpliwości co do swojego miejsca na ziemi, gdy wątpiła, czy cokolwiek robi właściwie, czy naprawdę jest w swojej skórze, czy chodzi, jak należy, i ubiera się, jak należy, w okresie, gdy zasłaniała usta, ilekroć miała coś powiedzieć, obserwowanie cichej monotonii życia wszystkich innych osób pozwalało jej odzyskać pewność siebie. Uważano, że jej rodzina jest tworem dziwnym i bezbożnym, że jest pokrecona i naćpana szpitalnymi prochami, ale te inne wcale nie były lepsze. We wszystkich panowały nuda i bezruch. Josie

siedziała w pstrokatym lesie, obserwując jakiś dom przez godzinę i nie widząc, by w tym czasie ktokolwiek przemieszczał się z pokoju do pokoju. Obserwowała kolegów z klasy i okazywało się, że są nieciekawi. Przyglądała się, jak matka kolegi chodzi w staniku, patrzyła, jak inny kolega z klasy, krzepki atleta, zadziwiająco życzliwy wobec wszystkich w szkole, przychodzi do domu i ojciec rzuca nim o ścianę. Widziała pewne rzeczy, sceny otwartej i wzbierającej przemocy. Ukryta w okolicznych lasach była za daleko, by cokolwiek słyszeć. I tak w tej mrocznej otchłani lasów, śledząc życie toczące się w błękitnym świetle ponurych domostw, zdała sobie sprawę, że jest równie normalna jak wszystkie te żałosne istoty.

– Jestem zmęczona – powiedziała, rozumiejąc przez to, że ma dosyć trzymania się z dala od świata. Od wielu dni byli sami, w drodze, i te dni wydawały się tygodniami, tygodniami, podczas których mogła rozmawiać tylko z dziećmi. Nie było miejsca, które mogli nazwać domem, a teraz znowu oglądali – czy też ona znowu oglądała – ludzi, którzy dobrze się czuli w tym świecie, którzy byli zakorzenieni i upajali się swoim miejscem na ziemi, którzy triumfalnie tańczyli w budynku. Myśl o Carlu i jego dawnej pogardzie dla ślubów nigdy nie była przyjemna. Josie nie chciała z nim być. A gdyby byli małżeństwem? Dobry Boże.

Ale przyjemnie byłoby mieć wesele. Nigdy nie zgromadziła wszystkich ludzi, których kochała, w jednym miejscu. Czy takie wesele można było urządzić w wieku czterdziestu, czterdziestu jeden lat? Taką hałaśliwą imprezę jak ta, z bosymi kobietami w obcisłych sukienkach, w dwuznacznych tanecznych płasach? Można było, ona mogła urządzić. A może popełniła za dużo błędów. Dwoje dzieci z piskorzowatym facetem, popękana przeszłość, brak rodziców. Nie mogła nigdzie zagrzać miejsca. Na kolanach trzymała ciężką, ciepłą córkę, rude włosy Any pachniały jak cytryny, a obok, opierając się o nią, stało jej drugie dziecko, syn. On był i zawsze będzie szlachetną istotą. A mimo to wiodła tułaczę życie. Skąd jesteś? *Stąd i zowąd.* Skąd pochodzą twoi rodzice? *Nieważne.* Dlaczego twoje dzieci nie są w szkole? *Mają indywidualny program nauki.* Dokąd jedziesz?

I wtedy w zborze otworzyły się drzwi, jasny biały pasek rozciągnął się do postaci żółtego prostokąta. Z budynku wylało się światło i spłynęło na trawnik aż do Josie, Paula i Any, uwięzionych w jego smudze. W drzwiach stał jakiś mężczyzna; wydawało się, że się załatwia. Nie wierzyła własnym oczom. W budynku na pewno były toalety. Ale nie. Mężczyzna stał, jedną ręką wspierał się o ścianę, a drugą przytrzymał otwarty rozporek, sikając bez żenady; nawet z tej odległości Josie słyszała, jak mocz pryska na deski poszycia. Kiedy skończył, odwrócił się, pragnąc chyba chłonąć nocne powietrze i rozkoszować się dobrze wykonaną robotą, ale wydawało się, że zastygł w bezruchu, jakby zbulwersowany widokiem Josie oraz jej dzieci.

Szedł teraz ku niej. Natychmiast ogarnął ją wstyd. Wiedziała, że zruga ją za to, że siedzi tu i obserwuje ich świętą imprezę. Siedzenie tutaj tak, jakby to wszystko stanowiło jakiś pokaz urządzany dla ich rozrywki, było czymś w złym guście. Powie mu, że jest krótkowidzem i z tej odległości nie mogła niczego widzieć. Że jest ślepa i tylko słucha muzyki.

Ojciec pana młodego stanął teraz przed nią i rzekł:

– Pani oraz pani śliczne dzieci musicie do nas dołączyć.

Twarz miał okrągłą i miłą; błyszczała od potu. Wyciągnął rękę, jakby prosił Josie do tańca.

– Nie, nie – odparła i nagle poczuła, że nie może oddychać.

– Och nie – zastrzegł. – Nie chciałem pani przyprawić o łzy.

Josie zaczęła go przeproszać:

– Ależ nie. To bardzo miło z pana strony. – Czemu płakała? Twarz miała mokrą od łez i zachłystywała się płaczem. – Nie. Nie chciałam... – bąknęła, ale nie umiała dokończyć myśli.

On jednak zrozumiał. Zrozumiał, że Josie spędziła dzień, zastanawiając się, dlaczego takie szczęście nie stało się jej udziałem; Chryste, dlaczego podejmowała tylko złe decyzje; te durne nastolatki biorące ślub wiedziały, jak urządzić piękne i skromne wesele nad tą alaskańską rzeką, niech to szlag, czemu ona uczyniła to wszystko tak trudnym, skoro mogło być takie proste? A teraz ojciec pana młodego brał ją za rękę i prowadził ku światłom weselnego przyjęcia. Josie rozpaczliwie zachłystywała się płaczem, ale

mężczyzna tylko mocniej trzymał jej dłoń. Odwróciła się i chwyciła za rękę Paula, on wziął za rękę Anę i niczym szereg figur z brystolu zmierzali w stronę białych stołów, świateł i muzyki. Kiedy dotarli na miejsce, Josie nadal płakała, licząc na to, że posadzą ją przy jakimś odległym stoliku i poczęstują tortem.

Ojciec pana młodego zaciągnął ją razem z dziećmi w głąb parkietu tanecznego i nagle znaleźli się w nieokiełznanym centrum całej zabawy. Państwo młodzi wykonywali płynne ruchy wyciągniętymi rękami, wszyscy podskakiwali i nikt nawet przez chwilę nie wypytywał, dlaczego Josie się tam znalazła. Ana siedziała na ramionach pana młodego. Jak to się stało? Panna młoda podniosła Paula i tańczyli teraz przytuleni. Wszyscy wokół wirowali i Josie także jakoś zdołała się przyłączyć do tańca, odnajdując właściwy rytm, osuszając twarz z łez, uśmiechając się, jak tylko mogła, żeby dowieść wszem wobec, że nic jej nie jest i też umie tańczyć.

Orkiestra grała do drugiej, a gdy odjechała, goście powyciągali z bagażników instrumenty i pijacka muzyka rozbrzmiewała jeszcze przez dwie godziny. Josie nie pamiętała, kiedy dokładnie położyła się spać. O północy dzieci zasypiały na stojąco, więc o pierwszej zaniósł ją do łóżka; Paula niósł rudowłosy druhna. Przez jakiś czas leżała, starając się zasnąć w kamperze, tak blisko śmiechów dolatujących od ogniska. W końcu jednak wróciła na przyjęcie, powitano ją przy ognisku. Goście jeden po drugim zasypiali, a druhna, świadom swoich obowiązków, dorzucał do ognia.

## XV

Kiedy się obudziła i wyszła na dwór, na polu kempingowym było jasno i pusto. Samochody gości weselnych zaparkowane w pobliżu estakady zniknęły. Zniknęły też furgonetki i ciężarówki. Oraz kwiaty i namiot. Dochodziła dwunasta. Josie wiedziała, że należałoby wyjechać. Bez gości weselnych pole kempingowe było wymarłe, a ona i tak spędziła tu za dużo czasu. Pobyt w jednym miejscu dłużej niż parę dni był rzeczą nierozsądną. Wiedziała, że powinni ruszać w drogę, ale zamiast wyjechać, poszła do recepcji i powiedziała Jimowi, że zostaje na jeszcze jedną noc, i zapytała, czy chciałby zjeść z nimi lunch.

– Właśnie zjadłem – odparł.

– No to kolację – zaproponowała Josie.

– A może to ja przyrządzę wam łososie? Mój brat przysłał mi ich całą masę z Nome i muszę je zjeść. W lodówce nie wytrzymają zbyt długo.

Paul i Ana bawili się w rzece z nową grupą dzieci, które przyjechały tego popołudnia, a o szóstej poszli we troje do chaty Jima, około stu metrów przez brzezinę, i zastali go przy ruszcie, w wyprasowanych džinsach oraz brzoskwiowym polo.

– Przyrządziłem ci mojito – powiedział Jim, wręczając jej szklanę ze szlifowanego kryształu. Josie wypła łyk. Koktajl był zimny i zdecydowanie za mocny.

– Mam przewagę – rzekł, wskazując na własną pustą szklanę, i nalał sobie drugą porcję.

Josie patrzyła na Jima, wyobrażając go sobie jako młodego mężczyznę. Wyglądał jak człowiek, który dostawał w życiu wszystko, czego zapragnął.

– Grenada – rzucił.

– W porządku – odparła Josie. Nic jej już nie dziwiło, z pewnością nie człowiek mówiący nagle „Grenada” z łopatką w rękę.

– Widziałem, jak przyglądałaś się mojej dziarze – rzekł i wskazał wojskowy tatuaż na swojej ręce. Podniósł rękaw, żeby pokazać zasłonięte wcześniej słowa: OPERACJA „NAGŁA FURIA”. Josie nigdy nie słyszała tego kryptonimu. Te słowa, „Nagła” i „Furia”, w odniesieniu do Grenady wydawały się wspaniałym żartem.

– Teraz to tylko żart – rzekł i Josie odetchnęła z ulgą. Przede wszystkim ulżyło jej, że nie jest weteranem wojny w Wietnamie i nie będą musieli mówić o tym ani o jej rodzicach, ani o Candylandzie. Dziękowała Bogu, że chociaż Jim uczestniczył w najeździe na kraj wielkości Mall of America i chociaż czuje bądź czuł z tego powodu pewną dumę (stąd tatuaż), nie traktował tego zbyt poważnie. W ułamku sekundy Josie wyobraziła sobie spektakl *Grenada!*. Nie, będzie nosił tytuł *Grenada?*. Kilkunastu żołnierzy opadnie na spadochronach na scenę i zapyta, gdzie są. „Na Grenadzie” – odpowie jeden. Drugi zapyta: „Grenada?”. I to będzie się powtarzało przez cały spektakl. Ludzie będą ginęli, śmigłowce będą się rozбивały, studenci medycyny zostaną rzekomo ocaleni, marionetkowy dyktator obalony, a amerykańscy żołnierze cały czas będą zapominali, gdzie się znajdują. Jeden rozwali drzwi miejscowego domu, celując z broni do pięcioosobowej rodziny. „Gdzie my jesteśmy?” – zapyta. „Na Grenadzie” – odpowiedzą z podniesionymi rękami, zakwili dziecko. „Na Grenadzie?” – zdziwi się żołnierz, strzelając minę do publiczności. Można by to nazwać komedią.

– Nie osądzaj – rzekł Jim. – Grenada sprawiła, że możliwy był Kuwejt. Teraz Josie miała mętlik w głowie. O czym, u diabła, on mówi?

– Pewnie nie pamiętasz nastrojów w kraju w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych? – zapytał. Wówczas Josie była dzieckiem i nie zwracała uwagi na panujące w kraju nastroje.

Musiała zmienić temat. Gdyby podążali tą drogą, dość szybko doszliby do jej matki i ojca, Candylandu i Jeremy’ego – Jeremy już wkroczył do jej świadomości i rzucił cień na ulotną radość z tego dnia.

– W twoim zachowaniu widać cudowne zażenowanie – zauważył Jim i przez chwilę Josie myślała, że ten wieczór zamienia się w koszmar, najpierw za sprawą bezsensownej uwagi o Kuwejcie, a teraz przez tę zawołaną zniewagę. – Jesteś piękna, ale nie obnosisz się z tym. Właśnie wtedy – w tym momencie ciężką i ciepłą dłonią dotknął jej krzyża – zadowolone z siebie, zadzierające nosa babki tracą powab. – Jim jakimś cudem zrozumiał, że trzeba zmienić temat, i bez trudu wybrał dla swojej dłoni miejsce bardzo niewinne i bardzo wrażliwe erotycznie. Był tak pewny siebie; jej poczucie czasu zmieniło się, zanikło. Czyż nie zaczęli dopiero rozmawiać? Teraz dłoń Jima spoczęła mocno na jej plecach, jakby szykowali się do tańca. – Inne kobiety są tutaj sztywne – ciągnął cichszym, przypominającym gruchanie głosem. – W tym miejscu noszą całe swoje napięcie, oburzenie i niecierpliwość. To katastrofa. Ale ty, to, jak się pochylasz, jak kołyszysz biodrami, ty płyniesz jak bryza sunąca przez łąny zbóż.

Cholera, pomyślała Josie. Jasna cholera. Być opisywaną znaczy być uwodzoną. Cholera. Jeden zwrot. Jedna dostrzeżona cecha, której sama nigdy nie dostrzegła. To zawsze działało. Jednak Carl, rzecz przekomiczna, nie miał o tym pojęcia. Jedyne raz, kiedy zauważył w niej coś, co mogła zapamiętać – i o czym nie zapomniła – jedyne oryginalne spostrzeżenie wypowiedział, oglądając kiedyś w telewizji serial kryminalny. Detektywi zjawili się w biurze koronera, a on wysunął stalową szufladę, żeby pokazać zwłoki młodej kobiety. „Przypomina ciębie!” – zawołał Carl, pochylając się na kanapie, a Josie pomyślała: „Czy ten łagodny mężczyzna mnie zabije?”. „Sprawia wrażenie łagodnego – powiedziała jej raz jego matka, Luisa – ale potrafi być strasznie zdeterminowany”. Co to znaczyło? Josie często o tym myślała: „Potrafi być strasznie zdeterminowany”. Ta uwaga i porównanie jej do zwłok – to sprawiło, że ich ostatni rok razem był trochę mniej bez troski.

Teraz jednak miała do czynienia z tym mężczyzną, z jego tatuażem z Grenady, jego flagą organizacji POW/MIA<sup>1</sup>, jego delikatnością. Wiedziała, że błąd w ocenie tego człowieka jest nieunikniony. Mogła tylko liczyć na

to, że ograniczy jakoś szkody, ugasi żądzę, da się uwieść, nie wpadając w zbyt wielkie tarapaty.

Po kolacji Jim przyniósł z chaty komplet mazaków oraz stos papieru do drukarki i Josie pomyślała, że ma zamiar zaproponować, by dzieci zajęły się czymś w ten sposób, gdy on zacznie ją podrywać. Tymczasem Jim usiadł i zapytał Anę, jakie jest jej ulubione zwierzę.

Josie wiedziała, że odpowiedź dziewczynki na to pytanie zmienia się w zależności od dnia i od tego, jaki program widziała ostatnio, była więc ciekawa, co usłyszy.

– Kubuś Puchatek – odparła Ana, a Jim powtórzył jej słowa tak, jak je wypowiedziała: „Kubusz Puszatek”, naśladując małą, ale czyniąc to w pełen szacunku sposób, który wydawał się potwierdzać, że jej wymowa jest prawidłowa.

Teatralnym gestem wyłamał sobie palce i zaczął rysować. Dzieci szybko zdały sobie sprawę, że zna się na rzeczy, że umie to robić, i przybliżyły się do niego urzeczony. Niebawem Ana położyła mu dłoń na rękę, znowu demonstrując swoją wiarę w oddziaływanie magii. Ta scena radowała serce, dopóki Josie nie podeszła, by zobaczyć, jak przebiega rysowanie, i nie ujrzała prawidłowo zbudowanego słonia, stojącego na dwóch nogach niczym człowiek i trzymającego butelkę z piwem; spomiędzy nóg zwisał mu zwiotczały penis.

– Biegnijcie na chwilę do automatów z napojami – poleciła Josie, dając im po dolarze; dopiero drugi raz w życiu każde z nich trzymało w dłoni własnego dolara. Paul i Ana pobiegli przez brzezinę, a Jim westchnął i rozparł się na krześle.

– Słonie mają penisy – powiedział w obronie własnej. – Paul też ma. Widziałaś wielorybiego?

– Twój słon ma nawet włosy łonowe – zauważyła.

– Był zwiotczały. – Jim uśmiechnął się do niej szeroko, sądząc, że Josie żartuje.

Wzięła rysunek i zmięła go w dłoni.



– Koniec z penisami – zawyrokowała.

Dzieci wróciły ze sklepu, Jim znowu dla nich rysował, wszyscy mieli ubaw. Przez pół godziny rysował to, o co poprosiły, a one kolorowały jego rysunki – tylko czemu Ana wtedy chrząkała? – a potem porozkładały je na trawie wokół domu, przyciskając kamykami. W miejscu niebiańskiego spokoju nastał wieczór, a Josie i jej dzieci oraz ten nieznamy o imieniu Jim stanowili doskonale funkcjonującą małą rodzinę. Jim nie posiadał się z radości. W ogóle nie był znudzony.

Ana położyła przed nim pustą kartkę.

– Możesz narysować olbrzyma, ale takiego ładnego? – zapytała.

Jim zabrał się energicznie do pracy, poruszając ustami podczas rysowania. Josie obserwowała go i objawiła jej się pewna prawda: starsi mężczyźni nie mają mętliku w głowie. Nie chwytają kilku srok za ogon. Emerytowany mężczyzna wie, czego nie chce – a dla tych z nas, którzy nie raz i nie dwa zostali wdeptani w ziemię i jakoś znaleźli sposób, żeby dalej próbować, wiedza, czego się nie chce, była znacznie ważniejsza od wiedzy, na co rzeczywiście ma się ochotę. Być może emeryt to prawdziwy skarb. Starszy człowiek jak ten (lub Sam – Leonard Cohen!), niemartwiący się już o pieniądze; jego ambicje zostały już zaspokojone lub zlekceważone i mógł sobie pozwolić na rysowanie godzinami dzieciom, nie musiał być nigdzie indziej, mógł się nie śpieszyć.

– Kto chce zagrać w hokeja powietrznego? – zapytał Jim. Josie nie miała ochoty grać ani przyglądać się, jak grają inni, ale jej dzieci skwapliwie zaakceptowały ten pomysł, wrócili więc przez brzozowy las do biura. Jim podłączył stół i odwrócił się do Josie.

– Może gdzieś się wybierzesz? – zaproponował. – Tutaj są bezpieczne.

– Dokąd?

– Nie pytałaś przypadkiem przedwczoraj o rowery? Weź rower. Jeden z tych, które stoją w szopie.

Josie odsunęła od siebie tę myśl, ponieważ liczyła na to, że pomysł z grą w hokeja powietrznego to podstęp, żeby dobrać się do niej gdzieś na zapleczu – dostrzegła tam kanapę i wyobraziła sobie ckliwie siebie na niej –

lecz już po chwili Jim grał z jej dziećmi i ledwie zwracał na nią uwagę. Tak więc Josie uświadomiła sobie najpierw, że rozważa przejażdżkę rowerem, potem, że ma na nią ochotę, a następnie zaczęła obliczać prawdopodobieństwo tego, że jazda w stanie upojenia zakończy się kraksą i utonięciem w rzece. Później jednak pomyślała o menonitach i radości, jaką sprawiała im jazda na rowerze, i zaczęła się zastanawiać, co tak uszczęśliwiającego znajduje się po drugiej stronie estakady.

– Wy grajcie dalej, a ja zaraz wrócę, żeby liczyć punkty – rzekł Jim, po czym zaprowadził Josie do szopy, gdzie stała bezładnie zbieranina rowerów. On był za nią, czuła kwaśną męską woń i po raz trzeci tego popołudnia pomyślała, że Jim zaraz ją chwyci i przywrze do niej swoim ciałem.

– Wypróbuj ten – powiedział, wyciągając z chromowanego gąszczu niebieską damkę z szerokim białym siodełkiem. Sprawdził opony i stwierdził, że nadają się do użytku.

– Czyj to rower? – zapytała Josie.

– Czyjś. Nie wiem. Może go zostawili. Albo należy do któregoś z pracowników. Nie wiem. Jest twój.

Kreśląc w ziemi niewyraźne linie, Jim odwzorował ścieżkę rowerową biegnącą wzdłuż rzeki, drewnianym mostem, przez las, z którego kiedyś pozyskiwano drzewo, i z powrotem, wzdłuż przeciwległego brzegu oraz kolejnej przeprawy, tym razem stalowej kładki dla pieszych.

Josie przytrzymała rower i przełożyła nogę na drugą stronę ramy, mając wrażenie, że jest zdeformowana. Kierownica była wyraźnie skrzywiona w lewo. Uważała, że jazda czymś takim nie jest dobrym pomysłem. Jej dzieci zostały z obcym mężczyzną, na dworze robiło się ciemno, a ona była wstawiona i miała do pokonania trzy lub pięć kilometrów rowerem ze skrzywioną kierownicą.

– Do zobaczenia za jakąś godzinę – rzekł Jim, po czym odwrócił się w stronę Paula i Any, których sylwetki mogła dostrzec przez okna, pochylonych nad stołem do gry, popychających z wielkim przejęciem

unoszący się w powietrzu krążek. Byli bezpieczni. Odepchnęła się więc, ruszyła naprzód i natychmiast wpadła na ścianę szopy.

– Pomóc ci? – krzyknął Jim z jakiegoś niewidocznego miejsca w lesie.

– Nie trzeba – zawołała w odpowiedzi i uznała, że musi tego dowieść, pojechała więc przez parking, dostosowując poczucie kierunku i równowagi do kierownicy, która na dodatek była skrzycona również w dół.

Spojrzała na ścieżkę, pragnąc posuwać się naprzód, wierząc, że to możliwe, ale pokiereszowany jednośląd miał inne plany. Możliwość podołania temu zadaniu po wypiciu mocnego mojito była sprzeczna z logiką, ale po stu metrach Josie zaczęła jechać w miarę prosto. Minęła starszą kobietę, która jednak gapiała się na nią przerażona. Przejrzenie się w oczach innych bywa nieprzyjemne. Widok ich szoku i rozczarowania zawsze jest szokiem, zawsze sprawia zawód. Wyglądasz tak staro. Masz taką zmęczoną twarz. Co robisz swoim dzieciom? Dlaczego jedziesz tą piękną ścieżką pijana, na zdeformowanym rowerze? Czy taki użytek powinnaś czynić ze swojego czasu, swojego człowieczeństwa? Czy zmarnowaliśmy na ciebie cenny gwiazdny pył?

Wkrótce jednak jazda stała się dość przyjemna; obok przesuwiał się krajobraz. Ponieważ zaś słońce zachodziło tak późno, natychmiast przysła jej do głowy myśl, że nigdy wcześniej nie czuła silniejszej więzi z tą krainą i otaczający ją świat nigdy nie wydawał się żywszy, bardziej promienny i piękny. Fioletowe polne kwiaty, szara ziemia, orzeźwiająca woń sosnowych igieł. Wysokie drzewo rozcięte przez piorun. Zmniejszająca się tarcza słońca nad wzgórzami w oddali, jasnoniebieskimi i białymi. Czyim rowerem jechała? Płot z ociosanych bali. Jęk zwalnającej daleko ciężarówki. Monotonia nienaruszonego przez pożar lasu na zalanym słońcem zboczu. Dlaczego musi być podchmielona, żeby cokolwiek zauważyć? Królik! Królik siedział tuż poniżej ścieżki, mały, płowy i nadspodziewanie długo nieruchomy; patrzył na nią z całkowitym uznaniem dla jej człowieczeństwa, dla równego prawa do tej ziemi przynależnego jej, o ile zachowa pokorę. Kiedy z głośnym chrzęstem zniknął w zaroślach, rozległ się metaliczny szmer świerszczy. Żółtawe

światło jakiejś chaty w pobliskim lesie. Ciepło jezdni pod kołami, słaba woń smoły w miejscach, gdzie ktoś pozszywał drobne spękania powierzchni. Terkot przekładni zębatej, bojaźliwy szum szosy za drzewami, bezcelowy dramatyzm poczynañ wszystkich pędzących nią podróżnych. Usłyszała czyjś głos.

– Wie pani, która godzina?

Rozejrzała się; pejzaż zawirował zielenią i ochrą i spostrzegła jakiegoś mężczyznę na równoległej drodze. Też był na rowerze, stał odziany w strój w mieniących się barwach. Zadawszy pytanie, pociągnął łyk wody z ładnego bidonu. Najwyraźniej uważał, że to wszystko: rower, sportowy strój, siedzenie okrakiem na siodełku i picie wody tuż po tym, jak zadał głupie pytanie, czyni zeń pomnik męskości.

– Ósma trzydzieści – odparła Josie, ponieważ wiedziała, że przypuszczalnie tak właśnie jest.

– Dzięki – powiedział mężczyzna, zrobił to jednak w sposób sugerujący, że on sam płaci za użyczenie toru, a ona jest jakimś sędzią czasowym na ścieżce rowerowej – że pracuje tu i mierzy czas. Pomyślała o rowerzyście ze swojego miasta, tym odpowiedzialnym za okaleczenie kierowcy, o furii i wybujałym mniemaniu o sobie tych ludzi. Mam na sobie ten strój i jadę szybko. Usuń się z drogi. Zaplombuj mi zęby. Powiedz, która godzina.

– Pierdol się, pieprzony dupku – powiedziała zbyt cicho, by usłyszał, nienawidząc wszystkich ludzi, a potem pojechała dalej, po chwili znowu szczęśliwa; znowu czuła więź z tą krainą, ze wszystkim, co wspaniałe wokół niej, liczyła na to, że uderzone piorunem drzewo runie na tego człowieka i naprawi świat, eliminując jedną istotę.

Skręciła i ujrzała strumień, a potem staw oraz pustą ławkę na brzegu, pomyślała o ludziach starych i martwych, o brudnych gołębiach, później zaś o brudnych ogrodnikach i brudnych malarzach pokojowych. Lis! Czy to lis stał tam, koło stawu, i gapił się na nią? To mógł być kojot. Chryste, pomyślała, jest piękny z tą swoją bujną sierścią, szarą i wspaniałą, z oczami

jak oczy Paula, zawsze sprawiające wrażenie starczych, jakby spoglądał na nią z perspektywy innej, mądrzejszej i smutniejszej epoki.

Podobnie jak królik, lis niewiarygodnie długo ociągał się z ucieczką, po czym czmychnął w wysokie trawy. Zapadł zmierzch, pora, gdy pojawiały się wszystkie zwierzęta. Tylko ona się liczyła. Środek dnia był dla ludzi, dla ludzkich darmozjadów, którzy uwijają się w upale jak debile, podczas gdy zwierzęta zawsze czekały z załatwianiem własnych spraw, aż ziemia ostygnie, aż światło przygaśnie, a powietrze stanie się chłodniejsze.

Słońce miało zejść dopiero za półtorej godziny i teraz, gdy Josie przejeżdżała między dwoma wzgórzami, jednym w fiołkowym cieniu, a drugim szarozłotym od słonecznego światła, zdała sobie sprawę, że o tej porze ona i wszyscy inni powinni być na powietrzu, powinni widzieć te rzeczy, dzielić świat z lisami, nornikami, kretami i królikami. Światło przechodzące przez wierzbowe bacie! Światło tworzące aureole wokół drzew, traw i chwastów! Zwykle jednak o tej porze była w domu. Zwykle dawała jeść dzieciom, układała je do snu, wykonywała wszystkie te prozaiczne czynności, które odgradzały ją od piękna świata. Nasze dzieci odgradzają nas od piękna, pomyślała, a potem się poprawiła. Nasze dzieci też są piękne, ale musimy znaleźć sposób na połączenie tych rzeczy, żebyśmy nie tracili jednej przez drugą. Czy to może być takie trudne?

Zobaczyła, że teren przed nią łagodnie opada od ścieżki ku brzegowi rzeki, i postanowiła posiedzieć tam i pomoczyć stopy w wodzie. Znalazła duży kamień, który przypominał poduszkę, i wsparła na nim głowę. Wyciągnąwszy nogi w stronę rzeki, stwierdziła, że dotyka piętami zimnej wody. Zamknęła oczy przed słońcem, ziewnęła z zadowoleniem i obudziła się... kiedy? Światło było tak samo intensywne. Tylko się zdrzemnęła. Rozejrzała się, spodziewając się, że pajęczyny wskażą, że spała sto lat, jej dzieci są już dziadkami i wszystko wygląda inaczej. Tymczasem spostrzegła, że niewielki wąż, jakiś wąż wodny, wynurza się spomiędzy skał na linii wody i w ogóle nie zwracając na nią uwagi, przygląda się ślimakowi sunącemu po mokrym i śliskim kamieniu. Połknął go jednym kłapnięciem paszczy, po czym wycofał się do ciemnej rzeki.

Josie wstała i poczuła, że ziemia kołysze się pod jej stopami. Przyjrzała się uważnie okolicy i znowu zaczęła się zastanawiać, czy tu nie zostać, przynajmniej do czasu, aż wytrzeźwieje. „Nie – pomyślała – fajnie będzie jechać rowerem do domu w tym stanie”. Miała przejmującą świadomość, że tak właśnie powinno być, że to wszystko jest tak piękne, że ledwie mogła to znieść. Po raz ostatni spojrzała na rzekę sunącą u jej stóp niczym tysiąc srebrzystych noży. Skały na przeciwległym brzegu stygnące w cieniu. Odwróciła się i zaczęła się piąć w stronę mostu.

Wsiadanie na rower stanowiło coś w rodzaju partii szachów w siedmiu wymiarach. Czyżby była teraz bardziej pijana niż przedtem? Rzeka i słońce ją upoiły. Rower wydawał się teraz o trzydzieści centymetrów wyższy. Wdrapała się na siodełko, odepchnęła od ziemi i natychmiast przechyliła się w stronę zarośli z lewej strony ścieżki. „Dobra” – pomyślała. „W porządku”. Spojrzała na słońce spod zmrużonych powiek i znowu wsiadła na rower. Tym razem ruszyła naprzód z wystarczająco dużą szybkością, by koła niosły ją w miarę prostym torem.

Powietrze było chłodniejsze i Josie liczyła na to, że ją otrzeźwi. Oczy jej łzawiły, gdy jechała zygzakami z otwartymi ustami. Odzyskała jednak równowagę i mówiła pod nosem: „Wspaniały wieczór. Dobry wieczór. Najwspanialszy. Piękno tego ukrytego świata. Kocham to. Gdzie się podziały moje dzieci? Czy mogę to kochać bez nich? Mogę i kocham. To moje najlepsze życie. Pośród tego piękna, w drodze do nich”.

Niebawem ujrzała dachy zabudowań pola kempingowego. Zobaczyła pierwsze przyczepy i ciężarówki, minęła jakieś dziecko jeżdżące na skuterze. Teraz ścieżka rowerowa połączyła się z drogą gruntową, która styka się z drogą żwirową łączącą się z drogą utwardzoną, i po chwili Josie dostrzegła przejazd pod estakadą. Jak przyjemnie było pójść w ślady menonitów i uśmiechać się szeroko, pędząc pod nią i wiedząc, że zaraz ujrzy swoje dzieci, odbierze je od Jima i pocałuje go w jakiś sposób. Niewinnie, po prostu, może z długim i mocnym uściskiem, a potem mogłaby zrobić sobie dobrze na fotelu dla pasażera. Ale co z Jimem? Oto dzięki niemu mogła znaleźć się na wolności o zmierzchu, na tym

niesfornym rowerze, żeby się cieszyć urodą świata, sama. Na tym polegało dobrodziejstwo obecności drugiego rodzica – mógł zapewnić te chwile na osobności, tymczasową jasność widzenia pozwalającą ujrzeć to złote światło i te wspaniałe zwierzęta, zobaczyć grę cieni na zboczach wzgórz. Pomyślała, że mogłaby tu zostać. Dzieciom bardzo się tutaj podobało, Jim był taki spokojny, i mogliby mieszkać w jego chacie z bali, a ona zostałaby żoną oberżysty. Nigdy wcześniej nie miała partnera, prawdziwego partnera w wychowywaniu dzieci, bo Carl sam był dzieckiem. A gdyby tak u jej boku stał prawdziwy mężczyzna, który umiał złowić ryby, wypatroszyć je i upiec na ruszcie i który potrafił rysować słonie hojnie obdarzone przez naturę, ale w przyszłości można by mu było to wyperswadować? To jednak oznaczałoby zamieszkanie tutaj, z Jimem, którego chyba nie mogłaby pokochać, który miał na ręce tatuaż z operacji „Nagła Furia” i kto wie jakie jeszcze na piersi i ramionach – mógł mieć wytatuowany jakiś pancernik, eskadrę bombowców. Co zrobić z życiem? Wierzyła żarliwie, że wystarczy być ze swoimi dziećmi, a chwilę później była nimi znudzona do łez i uważała je za przeszkodę w spełnieniu wszystkich marzeń. Do diabła z nimi, jej strasznymi dziećmi rabusiami, pozbawiającymi ją tyłu rzeczy, do diabła z jej wspaniałymi, idealnymi, małymi złodziejami, niech im Bóg błogosławi, nie mogła się doczekać chwili, gdy się ułoży z nimi do snu, trzymając swoje stare, zimne dłonie na ich gorących, gładkich buziach.

Porzuciła rower w szopie i poszła do recepcji, gdzie zastała jakiegoś anonimowego pracownika. Po Jimie i jej dzieciach nie było śladu.

– Zaprowadził je do pani kampera – wyjaśnił mężczyzna. Josie spodziewała się, że zobaczy je przed samochodem, że będą się przyglądały, jak Jim rysuje lub robi na wolnym powietrzu coś, co mógł wyczarować na poczekaniu. Nie zastała tam jednak nikogo, a drzwi chateau były zamknięte. Idąc w pośpiechu do kampera, zawahała się. Czy ten człowiek ułożył tylko jej dzieci do snu, czy też działo się tam coś strasznego? Nadstawiła uszu i usłyszała gromki głos mężczyzny opowiadającego o olbrzymich kupach.

Kiedy weszła do środka, okazało się, że Paul i Ana leżą w łóżku nad szoferką, a Jim siedzi we wnęce kuchennej i czyta im o przygodach Kapitana Majtasa z wydanej w miękkiej okładce książki, którą sam przyniósł.

– Jeszcze raz – powiedziała Ana, po czym wyjaśniła matce: – Jim zrobi to jeszcze raz.

Jim przeczytał ustęp o jakimś łotrze przypadkiem zmieniającym się w dwunastometrowy chodzący i mówiący słup ze stolca. Po odczytaniu tego fragmentu odwrócił książkę, żeby zaprezentować Josie rysunek ukazujący, że chodząca kupa nosi kowbojski kapelusz. Dzieci chichotały jak oszalałe, zachwycone, że starszy pan uprawomocnił i uhonorował tę historię swoim teatralnym czytaniem. W końcu zamknął książkę z namaszczaniem, jakby właśnie zakończył lekturę jakiegoś obszernego i znakomitego dzieła, i położył ją na kuchennym blacie.

– Branoc – rzekł do dzieci i wyszedł z kampera.

Josie wdrapała się na górę, ucałowała czoła Paula i Any, którzy zwiesili głowy z brzegu łóżka, a potem wyszła z chateau i dołączyła do Jima.



## XVI

Josie jechała w świetle nieustępliwego porannego słońca, wyczerpana, zła i znużona oglądaniem, jak butelka roztrzaskuje się jej na twarzy; wiedziała jednak, że na to zasłużyła. Jaka kobieta daje się posuwać na polu kempingowym, gdy tuż obok śpią jej dzieci? Emerytowi o imieniu Jim, uczestnikowi operacji „Nagła Furia”? W wyobrazeniach Josie butelka czasami rozbijała się na jej głowie, ale dzisiaj najpierw odbiła się z głośnym brzękiem przypominającym gong. Cztery, pięć razy uderzyła ją w głowę, wydając z siebie dźwięk gongu, zanim wreszcie pękła i obsypała jej twarz odłamkami szkła.

Jak to się stało?

Ucałowawszy dzieci na dobranoc, wyszła na dwór i wówczas jeszcze wszystko było w porządku, jak być powinno. Ten starszy mężczyzna, który tak znakomicie opiekował się Paulem i Aną, który umożliwił jej wspaniałą przejażdżkę rowerem przez las o zmierzchu, siedział na jednym z krzeseł będących na wyposażeniu kampera, a ona usiadła na drugim i opowiedziała mu, co zobaczyła. Opowiedziała o lisie i o króliku, o oświetlonych przez słońce wzgórzach, a Jim z przyjemnością słuchał tej opowieści. Czując, jak ulatnia się ciepło, którego źródłem był wypity wcześniej koktajl, Josie powiedziała, że przyrządzi im coś do picia. Gdy weszła do chateau, z radością stwierdziła, że dzieci już śpią. Widziała jedynie twarz Any, ale słyszała równy oddech syna.

Znalazła prawie pełną butelkę chardonnay i poszła do łazienki wziąć dwie szklanki spod prysznica. Ponieważ wino było ciepłe, znalazła lód w zamrażarce i właśnie nalewała im obojgu spore porcje wina, gdy poczuła za sobą obecność Jima. Grzechotanie kostek lodu w szklankach pozwoliło

mu zakraść się niepostrzeżenie i teraz Josie czuła jego gorący oddech na karku, a dłonie na swoich biodrach. Po chwili Jim w zwierzęcy sposób zaczął pocierać swoim zeszywniałym członkiem o jej talię.

– Zdejmijmy to – rzekł, ściągnął jej z głowy daszek i zaczął całować po szyi.

Czy zobaczył już wystrzyżony kwadrat? Josie była przekonana, że bez względu na to, co się tutaj dzieje i jak bardzo jest to niedorzeczne, zakończy się, gdy tylko Jim ujrzy skrzywiony uśmiech szwów na jej czaszce.

– Hmm – mruknął, dotykając ich przez chwilę, a potem przeczesał jej włosy palcami i zawędrował dłonią na piersi. Na tym skończyło się jego zainteresowanie raną. Nie przejął się nią, powrócił do uciskania i metodycznego całowania każdego odkrytego miejsca na jej szyi.

„Bywają mężczyźni odpowiedni” – pomyślała, odsuwając się od Jima. „Tylu odpowiednich mężczyzn, którzy wiedzą, jak się zachowywać z godnością. Przypomnij sobie o przyjęciu weselnym” – dodała w myślach. „Przypomnij sobie ojca pana młodego, jego szlachetne, wielkoduszne spojrzenie i wyciągnięte ręce. Przypomnij sobie pana młodego noszącego Anę na rękach. Rudowłosego drużbę, który zaniósł Paula do łóżka”. To byli porządni mężczyźni, którzy umieli się zachować. Na tym weselu nikt nie pozwoliłby starszemu mężczyźnie ocierać się o nią twardym członkiem w kamperze. Znali granice przyzwoitości. Wiedzieli, co odróżnia ludzi od zwierząt.

Josie nie wiedziała. Josie w tym momencie myślała, że to cudowne. Cudowne, że ten obcy człowiek, grubo po pięćdziesiątce, ociera się o nią zeszywniałym członkiem w chateau, na jakimś alaskańskim zadupiu. Uważała, że to cudowne, spontaniczne i urzekające. Dokonała nawet chwilowej syntezy, wyobrażając sobie, że to nie Jim za nią stoi, lecz krzepki Miś Smokey. Jego ręce jak rury od pieca, jego wydatny tors. Przypomniał jej się również słoń, słoń z potężnym prąciem. Nie, to przecież Jim, zauważyła. Jim z Grenady, którego nie znasz. Tymczasem jej dzieci smacznie spały. Twarz śpiącej Any było widać, twarzy Paula – nie. Jim, emeryt, który prowadził pole kempingowe, całował ją po szyi, Josie

poczuła podniecenie; Jim poczynął sobie bardzo sprawnie, kierował dłońmi w sposób świadczący o tym, że w swoim długim życiu nauczył się wszystkiego, zachował tę wiedzę i umiał z niej skorzystać. Jego ręka spoczęła na jej piersi niczym rygiel na drzwiach. Spodnie Josie opadły bezszelestnie na podłogę; sama nie zdołałaby ich zdjąć szybciej. Dłoń Jima znalazła się na jej brzuchu, po czym dwa długie palce zanurkowały w głąb i w górę. Uświadomiła sobie, że chce, by w nią wszedł, pomyślała również, że – sprawa niebagatelna – biorąc pod uwagę jego gwałtowne podniecenie i ciężki oddech, to, do czego zaraz miało dojść, nie potrwa długo.

To była wina Carla. Gdyby to Carl brał ją od tyłu, tak podniecony i ciężko dyszący, po kilku sekundach byłoby po wszystkim. Josie przyzwyczaiła się do takich błyskawicznych szturmów z jego strony i szczerze mówiąc, nie miała nic przeciwko temu, by stać przy kuchennym zlewie, wiedząc, że ogarnięty chucią Carl skończy, zanim ona się obróci.

Jim był jednak bardziej doświadczonym i bardziej opanowanym kochankiem. Minęło najpierw dziewięćdziesiąt sekund, potem kilka minut, wszystko powoli, miarowo i ciasno; wtedy zrozumiała, że nie mogą iść na żywioł. Podciągnęła spodnie, wyprowadziła Jima z kampera i wpadła na pomysł – wówczas wydawało się, że fantastyczny – by posadzić go na ławce ogrodowej, będącej na wyciągnięcie ręki od chateau i jej śpiących dzieci, a potem na nim usiąść. Kiedy ostatnie promienie słońca przenikały przez drzewa w lesie, zupełnie straciła rozum, była istotą złożoną z samego światła i promiennego ciepła, w którymś słonecznym momencie Paul zadał im swoim opanowanym głosem chłopca wilka pytanie:

– Co wy robicie?

Był na zewnątrz. Stał przy drzwiach chateau, wyraźnie widząc swoją matkę, która naga od pasa w dół siedziała Jimowi na kolanach.

Chłopiec doskonale wiedział, co robią. Od małego szukał wiedzy na temat anatomii i rozmnażania, pytając o narządy Josie i swoje własne, wypytyując Carla o przeznaczenie każdego z nich, o to, dlaczego narządy ojca są większe, po co mu te wszystkie włosy. Znał więc technikę współżycia tak samo, jak znał mechanikę lotu i podstawy działania silnika

spalinowego, i kiedy zapytał, co robią, nie chciał powiedzieć: „Mamusiu, czy ty gimnastykowałeś się na tym panu?”, lecz zrozumieć „Dlaczego moja matka rżnie się z tym człowiekiem w odległości dwóch metrów od swoich śpiących dzieci?”. Dobrze wiedział, co widzi.

Tyle że w tej sytuacji ona nie mogła wstać – wtedy dopiero Paul by się naogłądał. Powiedziała więc: „Wejdz na chwilę do środka”, a on posłuchał, i kiedy ujrzała jego plecy w kamperze, zeskoczyła z Jima, pobiegła do lasu i się ubrała. Gdy wróciła, Jim także był ubrany i się uśmiechał, trzymając w dłoni kolejną porcję mojito. I znowu tak bardzo różnił się od młodszych mężczyzn, takich jak Carl. Wydawało się, że incydent z Paulem niewiele znaczy; powiedział, że to minie, że najlepiej będzie zostać na dworze, w zasadzie tak jak wcześniej, siedzieć i rozmawiać, blisko siebie, ale teraz już w innych pozycjach. Być może wspomnienie Paula o tym, co zobaczył, da się zmącić, czymś zastąpić.

Josie miała stargane nerwy, wypila więc swoje mojito, a Jim ponownie napełnił jej kieliszek. Niebawem znowu zrobiła się cikliwa i o wiele bardziej rozkojarzona niż wtedy, gdy gwałtownie skręcała na zdeformowanym rowerze w drodze przez las. Uświadomiła sobie, że opowiada Jimowi o Jeremym, ponieważ – podniecona i rozkojarzona – uznała, że Jim będzie najlepszą osobą do wspólnych rozważań o poległym żołnierzu. Przyćmiony umysł podpowiedział jej, że nigdy nie znajdzie lepszego rozmówcy.

– Myślałam, że to jest słuszna decyzja – wyznała. – Chciałam, żeby służył naszej ojczyźnie – dodała nie w swoim stylu, ale sądziła, że zaskarbi tym sobie sympatię wytatuowanego Jima.

– Zginął w zeszłym roku? – zapytał Jim.

Josie skinęła głową, popijając koktajl i czując dramatyzm sytuacji.

– W Afganistanie? – upewnił się.

Znowu pokiwała głową na potwierdzenie.

– Operacje bojowe w Afganistanie zakończyliśmy dziewiątego stycznia dwa tysiące trzynastego roku – zauważył Jim i uzupełnił tę informację całą litanią liczb i dat, używając takich słów, jak „redukcja” i „okres pookupacyjny”, ale głównie posługując się słowem „wyjście”. Josie nabrała

wątpliwości. Prawdopodobnie doszło do tego pod wpływem alkoholu, ale czy to możliwe, by Jeremy nie poległ w walce? Wyobrażała sobie, że został postrzelony, że wykrwawił się na zboczu wzgórza, ale teraz Jim, weteran, twierdził, że to niemożliwe. Czyżby Jeremy w rzeczywistości był w Iraku, nie w Afganistanie? (Jim upierał się, że prawdopodobnie tak właśnie miały się sprawy, że Josie się myli, i pytał, czy nie mogło to być raczej w 2009). Wtedy jednak Josie przypomniała sobie, gdzie zginął Jeremy, w prowincji Herat, oraz datę śmierci, dwudziestego lutego 2013. Do chuja pana, jasne, że zginął w Afganistanie.

– Mam rację – wymamrotała.

Jim przewrócił oczami i nalał sobie kolejną porcję. Spierali się w ten sposób prawie godzinę, a wokół gęstniał wieczorny mrok; żadne nie chciało ustąpić pola, żadne z nich nie było pewne, czy ich kraj nadal toczy wojnę w Afganistanie. Chwilami wydawało się, że Jim się wahał, niemal wierzył, że Josie może mieć rację, że być może w tym kraju są jakieś oddziały bojowe... Potem jednak zapał się, nie dowierzając.

Tak więc rankiem Josie opuściła pole kempingowe i przyglądała się, jak butelka roztrzaskuje się na jej twarzy. I pokonując kolejne kilometry, myślała, że ktoś z tej części świata mógłby się przekonać, jakie to ciekawe, humorystyczne wręcz, że Amerykanin, który uczestniczył w zapomnianym przez wszystkich konflikcie, nie wie, że jego kraj wciąż toczy inną, większą wojnę, że toczył ją od 2001 roku. Jakie to zabawne! Jak kraj długi i szeroki, większość Amerykanów nie miała pewności, że wojna nadal trwa, że wciąż tam jesteśmy, że kobiety i mężczyźni tacy jak Jeremy nadal walczą i giną, że walczą i giną także Afgańczycy. Czy Afgańczycy i niezliczone przyszłe pokolenia uznają to za na swój sposób bardzo zabawne?

## XVII

Co można zrobić, żeby wymazać jakiś okropny widok z umysłów naszych dzieci? Można im pokazać inne, bardziej radosne rzeczy. Tak się złożyło, że szesnaście kilometrów od miejsca, w którym Josie siedziała na Jimie, napotkali coś, co z daleka wyglądało niczym batmobil.

– Patrzcie – rzuciła Josie, chcąc zwrócić na niego uwagę zwłaszcza córce. Wiedziała jednak, że jeżeli się pomyliła, będą kłopoty. Odczekała więc, aż się zbliżą, a gdy już dojechali i miała pewność, że jakiś szaleniec umieścił prawdziwą, pełnowymiarową makietę batmobilu przy szosie, na parkingu sąsiadującym ze sklepem z fajerwerkami, wyłącznie po to, żeby zwabić ludzi takich jak ona i jej dzieci, w końcu dodała: – Widzicie to, co ja widzę? – Po tym, czego świadkiem pozwoliła poprzedniego wieczoru być Paulowi, jej pytanie zabrzmiało wulgarniej, niż miało zabrzmieć. Poprawiła się szybko: – Ana, widzisz na zewnątrz pewien pojazd?

Kiedy mała już go spostrzegła, krzyknęła przeraźliwie. Zatrzymali się i Ana wyskoczyła z kampera. Podbiegła do batmobilu i zaczęła sunąć dłońmi po karoserii. Wyglądało na to, że jej szorstka powierzchnia jest pomalowana czarną farbą elewacyjną.

– On nie jest prawdziwy – stwierdziła Ana, ale wydawało się, że chce, by zadano jej kłam.

– To *jeden* z prawdziwych – odparł Paul. – Samochód zapasowy. Ten główny nadal znajduje się w jaskini Batmana.

To wyjaśnienie nie naruszyło poczucia równowagi Any, ponieważ Batman z pewnością posiadał zapasowe samochody i było rzeczą logiczną, że przynajmniej jeden trzymał na alaskańskim parkingu. Przekonała się więc do samochodu na nowo, tolerując wszystkie rażące rozbieżności

między nim a pierwowzorem i wszystkie nieprawidłowości, łącznie z faktem, że w środku nie było żadnych wskaźników, światełek ani nawet dźwigni zmiany biegów. Batmobil miał jednak kierownicę i Ana już wyciągała ku niej rączki, spoglądając przez ramię na matkę i czekając na zakaz z jej strony.

Kiedy jednak Ana uważnie oglądała samochód, a Paul uzasadniał wszystkie jego wady, Josie zauważyła, że sklep z fajerwerkami, wykorzystujący pojazd Batmana do wabienia klientów, jest zamknięty na cztery spusty, a okna pozabijano w pośpiechu deskami. To jasne, że musiał być zamknięty podczas lata obfitującego w niekontrolowane pożary. Kilka z nich niewątpliwie zostało wywołanych przez wystrzeliwane z butelek sztuczne ognie i petardy.

– Możecie do niego wsiąść – powiedziała do Paula i Any, mając nadzieję, że przyćmi to na zawsze wspomnienie matki kręcącej tyłkiem na kolanach właściciela pola kempingowego, który rysuje dla zabawy słonie z prąciem na wierzchu.

Paul przelazł przez drzwi (zaspawane), a Josie przeniosła córkę przez drugie. Siedzieli obok siebie, Paul w fotelu kierowcy. Ana spojrzała na brata z taką miną, jakby żarliwie wierzyła, że skoro siedzi na miejscu Batmana, to nim jest. Josie obserwowała ich dwoje, zapominając na chwilę, jak bardzo zależy jej na tym, by ten epizod wymazał wspomnienie wczorajszej nieostrożności. Wiem, co robisz, wyczytała w oczach syna.

To nie był ostatni błąd, odpowiedziała spojrzeniem.

Zrobiła im zdjęcie; Ana patrzyła prosto przez przednią szybę, jakby szukała wzrokiem złoczyńców, a Paul spoglądał na siostrę. I po raz pierwszy Josie miała druzgoczącą świadomość dramatu ich samotności, tego, że są tylko we troje, nie mają nikogo innego i są w zasadzie zbiegami, że uprawiała seks z Jimem i nie określiła żadnego miejsca przeznaczenia – że zaraz zostawią batmobil i nie mają dokąd jechać, że dzisiaj nic bliższego pojęciu celu się nie pojawi.

– Gotowi? – zapytała. – Powinniśmy już jechać – dodała. Tylko dokąd? Po co? Zostali.

Kiedy godzinę później skończyli z batmobilem i powoli ruszali w drogę chateau, Ana odpięła pas, podeszła do Josie i pocałowała ją w policzek, mówiąc:

– Kocham cię, mamó.

Po raz pierwszy wypowiedziała te słowa niesprovokowana i chociaż Josie zdawała sobie sprawę, że w rzeczywistości Ana chciała powiedzieć: „Kocham Batmana. Kocham jego samochód”. I kocham cię za to, że mi go pokazałaś, i tak była wzruszona.

Jechali dalej bez planu, oglądając dziwaczne widoki. Ujrzeni osobliwą kopułę geodezyjną, niegdyś stanowiącą część stacji benzynowej, dwupiętrowej i opuszczonej. Zaparkowali za kopułą i zostali tam kilka godzin, penetrując jej wnętrze; znaleźli sflaczałą piłkę i przez chwilę pograli nią w nogę, a Ana zebrała rozmaite fragmenty narzędzi oraz czegoś, co przypominało koła zębate. Zatrzymali się przy wyprzedaży używanych rzeczy, gdzie jedynymi klientami byli strażacy z Wyoming. Josie kupiła Paulowi książkę o heraldyce, a córce kask górnik z kopalni srebra. Sobie sprawiła gitarę z dziurą od kuli. „Nie potrafiłem się nauczyć, więc się wkurzyłem” – wyjaśnił sprzedawca.

Zobaczyli łosia i zjechali na bok, żeby przyglądać się, jak sady susami bez celu wzdłuż pobocza. Wszystkie mijające ich samochody trąbiły jednak gniewnie, jakby zatrzymywanie się na widok łosia było niedopuszczalne, w złym guście bądź narażało w jakiś sposób to zwierzę na niebezpieczeństwo – Josie nie znała powodu. Wiedziała jednak, że widok tego łosia był dołujący, tak samo jak dołujący był widok kojota, bardzo małego, osłabionego i przypominającego (zgarbionym grzbietem i służalczą postawą) hienę oraz kota domowego (wielkością i pozbawionymi wyrazu oczami). Ten łos przed nimi, którego fotografowali ze starannością aktuarusza – chudy, niezdarny i niewiele wyższy od kuca – stanowił naprawdę żalony okaz.

Było rzeczą istotną, żeby trzymać się z dala od głównych dróg, a zarazem nie zwracać za bardzo uwagi na bocznych traktach. Im dalej



zapuszczali się od szos, tym częściej widzieli świadectwa pożarów, na ich bliskość wskazywały liczne tropy. Czerwone i żółto-zielone wozy strażackie mijaly ich, zmierzając w przeciwnym kierunku, lub błyskały światłami z tyłu, licząc na to, że będą mogły jechać szybciej niż siedemdziesiąt siedem kilometrów na godzinę. Potem zrobione ręcznie lub elektroniczne tablice z podziękowaniami dla strażaków. Potem podmuchy niosącego gryzący dym wiatru, od czasu do czasu smuga mgły zasnuwająca niebo. WJEŹDŹASZ NA SPALONY OBSZAR. SPODZIEWAJ SIĘ POWODZI – informowała jedna tablica i Josie spojrzała szybko na Paula, by sprawdzić, czy też to przeczytał. Spiętrzenie kataklizmów naturalnych, które zapowiadano na tablicy – najpierw pożar, potem powódź – wydawało się niepotrzebnie okrutne i Josie martwiła się, że taka zapowiedź może wywołać jakieś koszmary u wrażliwego ośmiolatka. Ale Paul spał z rozdziawioną buzią, a jego siostra próbowała wsunąć mu maskotkę z kreskówki *ThunderCats* do kieszeni koszuli.

Przemierzali krainę niewielkich, częściowo osmalonych wzgórz, kiedy Josie ujrzała przed sobą ciasno ustawione wozy strażackie tworzące blokadę na drodze; ich lampy błyskały jak flesze. Zwolniła i zatrzymała się przed blokadą, gotowa zawrócić, ale gdy opuściła szybę, podszedł do niej jakiś policjant, wyglądający niemal równie dziecinnie jak Paul. Miał pełne, delikatne wargi.

– Jedzie pani dalej? – zapytał.

– Nie muszę – odparła Josie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała wyznaczonego celu podróży, ale ujawnienie tego mogłoby wzbudzić podejrzenia. – To znaczy mogę pojechać inną drogą... – Omal nie powiedziała „na północ”, ale nie była całkowicie pewna, czy tam właśnie zmierza. Równie dobrze mogła się kierować na wschód.

– W porządku – rzekł policjant o miękkich jak poduszki wargach i sennych, rozbawionych oczach. – Ta droga właśnie została otwarta na nowo. Korzysta z niej pani jako pierwsza poza kierowcami pojazdów ratowniczych. – Już jest bezpiecznie, ale niech pani uważa.

Josie podziękowała młodzieńcowi, już teraz tęskniąc do widoku jego ust i myśląc, że rodzice muszą być z niego dumni. Miała nadzieję, że tak jest. Powoli wyminęła sześć czy siedem pojazdów, po czym znalazła się zupełnie sama na szerokiej czteropasmowej szosie biegnącej przez obszar, który wcześniej stanowił rozległe pole walki. Wzgórza po lewej stronie drogi były w dużej mierze zielone, nietknięte, porośnięte małymi sosnami, krzewami i pasmami polnych kwiatów. Jednakże z prawej strony ziemia została ogołocona, miejscami tkwiły tam tylko czarne kreski pni drzew z kilkoma kosmykami sterczących na boki gałęzi, a gleba wszędzie wyglądała jak szary plusz.

Wzdłuż pobocza parkowały, w grupach lub pojedynczo, wozy straży pożarnej. Tutaj dwa czerwone, z czterema strażakami siedzącymi na tylnych zderzakach i jedzącymi lunch w cieniu drzewa. Tam jeden zielono-żółty z samotnym strażakiem w kombinezonie tego samego koloru, idącym pod górę po szarym pluszu zbocza z łopata w dłoni.

Droga wiła się pustą doliną na długości wielu kilometrów, sceneria była pogodna i piękna. W dolinie panował spokój, niebo miało niebieską barwę, pożar został pokonany.

Od czasu do czasu pojawiali się strażacy i pojazdy straży pożarnej, niekiedy jadące w przeciwną stronę, opuszczające dolinę. W większości przypadków stały jednak po jednej lub drugiej stronie jezdni, można też było odnieść wrażenie, że wszyscy tu działają niezależnie od siebie. Tego dnia i o tej porze bardziej przypominało to pospolite ruszenie strażackich wolnych strzelców, którym pozwolono robić to, co uznają za stosowne, niż jakąś skoordynowaną akcję w wojskowym stylu. A może było to po prostu mniej zdyscyplinowane sprzątnięcie poboju, dokonywane, gdy zwycięstwo było już przesądzone.

Właśnie wtedy napotkała grupę sześciu strażaków z trzema węzami strażackimi, po dwóch przy każdym, stojących wokół dużej płonącej sosny.

– Patrzcie – powiedziała do dzieci i zwolniła.

Przypominało to egzekucję. Wydawało się, że drzewo jest żywe, wspaniale rozognione, że pragnie beczelnie dalej płonąć, natomiast

strażnicy oblewali je wodą, uśmiercali.

I nagle odgłos przypominający szybki, głośny wydech. Kamper skręcił gwałtownie w lewo, potem w prawo, a potem poczuli szarpnięcie do przodu.

– Co się dzieje? – zapytał Paul.

Josie zatrzymała się na poboczu, ale wiedziała już, że złapali gumę. Podczas rozmowy Stan gładko zreferował, jak wygląda procedura zmiany koła, a ona widziała zapasowe koło na tyle chateau kilkanaście razy dziennie, ale teraz, wiedząc, że rzeczywiście będzie musiała to zrobić, zmienić koło w rozlatującym się pojeździe ważącym cztery tony, na chwilę straciła nadzieję.

– Wsiądźmy – powiedziała, a potem stali we trójkę na poboczu, między zielonymi i szarymi wzgórzami, w jaskrawym słońcu, a kamper tkwił obok przechylony na prawą stronę.

Ana znalazła kamień i rzuciła nim w kierunku strażaków toczących bój z płonącym drzewem.

– Jacyś inni ludzie – rzekł Paul i kiedy Josie się odwróciła, ujrzała, że drogą za nimi nadchodzą gęsiego mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach. Było ich dziesięciu, każdy niósł na ramieniu łopatę.

– Wygląda na to, że złapała pani gumę – powiedział brygadzysta. – Potrzebna pani pomoc?

Mężczyzna był niski i krępy, twarz miał pokrytą smugami sadzy. Grupa stłoczyła się przy uszkodzonym kole, kilku kopnęło w oponę, jakby miało się to w czymkolwiek przydać.

– Mamy pomóc? – upewnił się krępy mężczyzna.

– A moglibyście? – zapytała Josie, a oni zaczęli się rozchodzić promieniście niczym zespół taneczny; ona zaś znalazła się nagle pośrodku i poczuła, że powinna wykonać jakieś płyśy w rytmie ich oklasków.

– Ma pani podnośnik? – zapytał kolejny mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie.

Próbowała sobie przypomnieć, co mówił na temat umiejscowienia podnośnika Stan, i przysła jej do głowy jedynie szafka z boku, w której

przechowywane były krzesła ogrodowe. Otworzyła ją i trzech mężczyźni – którzy wszystko robili we trzech – zaczęli grzebać w szafce, niczego jednak nie znaleźli.

– Mamy zajrzeć do środka? Mój stryj miał kiedyś coś takiego – rzekł inny, najwyższy z nich. Wskazał przy tym ruchem głowy pojazd Stana z taką miną, jakby zwracał uwagę na plagę kleszczy.

Josie przeczuwała, że zwłaszcza z uwagi na ukryty pod zlewem aksamitny worek z pieniędzmi nie powinna pozwolić dziesięciu nieznanym łązić po chateau i zaglądać do wszystkich szafek. Kilku z nich straciło już chyba jednak zainteresowanie wymianą koła i stanęło parę metrów dalej, jakby szykując się do dalszego marszu, żeby więc temu zapobiec, powiedziała, że oczywiście, mogą przeszukać kamper, że może ten najwyższy mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie posiada dzięki swojemu stryjowi pewną niedostępną dla niej wiedzę. Kiedy jego krępy kolega otworzył drzwi samochodu i wszedł do środka, Josie napotkała wzrok Paula.

To przykład, jak pogorszyć już i tak złą sytuację, wyczytała w jego oczach.

Było jednak za późno. Sześciu mężczyzn znajdowało się już w chateau, a Josie, stojąc wraz z dziećmi na poboczu, pomyślała, że ta grupa ma w sobie coś niezwykłego, nie potrafiła określić, co to takiego. Poza tym krępy wszyscy pozostali byli niżsi i chudsi niż przeciętni strażacy, młodsi – żaden z nich nie przekraczał trzydziestki – i mieli ręce szare od tatuaży. Podeszła bliżej, żeby zerknąć do kampera, ale w środku zobaczyła tylko niewyraźną pomarańczową plamę. Odwróciła się i stwierdziła, że jeden z mężczyzn klęczy i zasłania Anę. Wyglądało na to, że z nią rozmawia.

– Przyjdź tu, córeczko – powiedziała coraz bardziej zaniepokojona Josie. Ana niechętnie podeszła do matki, powłócząc nogami; dłonie trzymała z tyłu.

Josie przyglądała się bacznie dłoniom wszystkich strażaków, szukając wzrokiem aksamitnego worka. Najwyższy z nich wyskoczył z kampera ze

skręconym kawałkiem żelaza nad głową, a w drugiej ręce trzymał jakieś zardzewiałe urządzenie mechaniczne.

– Mam! – oznajmił wszystkim i chwilę później pod chateau leżeli dwaj mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach, a kolejny zdejmował koło zapasowe, stojąc na tylnej drabince. Niebawem kamper przechylił się na drugi bok, a oni zmienili uszkodzone koło.

W chwili gdy opuszczali samochód na podnośniku, pojawił się wśród nich jakiś nowy mężczyzna w żółto-zielonym kombinezonie.

– Co tu się dzieje? – zapytał. Był starszym, brodatym człowiekiem w goglach na oczach osadzonych głęboko pod baldachimem bujnych brwi. Miał władczą i zarazem łagodną osobowość sędziego z małego miasta, który oczekiwał od wszystkich uprzejmości.

– My tylko pomagamy tej pani zmienić koło, proszę pana – wyjaśnił najwyższy z ubranych na pomarańczowo mężczyzn.

Wszyscy odsunęli się od Josie i kampera, nagle zawstydzeni. Kilku przeszło w pośpiechu na pobocze, żeby pozbierać z ziemi swoje szpadle.

– Czy ci ludzie skrzywdzili panią lub niepokoiли w jakikolwiek sposób? – zapytał brodacz z niepokojem w oczach.

– Nie – odparła Josie, speszona wprawdzie, ale nie na tyle, by nie przybrać tonu osoby zeznającej w sprawie wypadku drogowego. – Byli bardzo uczynni.

Mężczyzna o łagodnym spojrzeniu odprężył się i spojrzał na ludzi w pomarańczowych kombinezonach, a wyraz jego oczu wskazywał, że jest zawiedziony, ale i pod wrażeniem.

– Weźcie swój sprzęt i maszerujcie dalej, dobra? – rzekł, a ci, którzy jeszcze tego nie uczynili, dołączyli do szeregu i ruszyli ciężkim krokiem. Minęli kamper, nie patrząc na Josie, Paula ani na Anę. Mężczyzna w żółto-zielonym kombinezonie, wsparty pod boki, obserwował, jak posuwają się naprzód. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu, odwrócił się do Josie.

– Czy ci ludzie uprzedzili, że są więźniami? – zapytał. Josie miała wrażenie, że kurczy się jej żołądek. Pokręciła głową. – A czy wie pani, że podczas niektórych pożarów korzystamy z pomocy więźniów, żeby robić

przecinki i tego rodzaju rzeczy? – Josie nie miała pojęcia, co to znaczy. – To sprawcy lekkich przestępstw. Zadowoleni z tej pracy, ponieważ wykonują ją poza murami więzienia i w ogóle – wyjaśnił, chichocząc. – W każdym razie, jak pani widzi, mamy za mało ludzi. Zazwyczaj bowiem ci goście poruszają się pod eskortą. No i nie wiedziałem, że wpuszczamy tutaj cywilów. Zatem burza absolutna, prawda?

Josie starała się go zrozumieć. Do walki z pożarami posyła się więźniów i tych dziesięciu mężczyzn, którzy najpierw otoczyli, a potem przeszukali chateau, było więźniami. Chętnie naprawili jej samochód, byli szalenie grzeczni, a teraz zniknęli.

– Niech pan zaczeka – szepnęła Josie, po czym weszła do kampera, podbiegła do zlewu, otworzyła szafkę i stwierdziła, że aksamitny worek jest nietknięty.

– O co chodzi? Coś zniknęło? – zapytał mężczyzna.

– Nie, nic – odparła. Spojrzała na drogę. Idący w szeregu mężczyźni zmierzali stromą ścieżką po zwęglonym zboczu jednego ze wzgórz.

– Dostałaś to od jednego z nich? – zapytał Anę mężczyzna.

Spojrzawszy w dół, Josie przekonała się, że jej córka trzyma w dłoni maleńki żółty kwiat.

Uznała, że może jechać całą noc. Może się zatrzymać w dowolnym miejscu. To nie miało znaczenia. Grunt, że jest wolna, a jej dzieci są bezpieczne. Josie czuła się mocna, sprawna i znowu bohatera jak wtedy, gdy wstali z łóżka i zjedli śniadanie. Miała ochotę się napić.

I tutaj, przed sobą, ujrzała to, czego szukała na Alasce: całodobową tanią restaurację z neonową reklamą piwa w oknie. Wjechała na parking i ze zdziwieniem spostrzegła, że o dziewiątej dwadzieścia trzy wieczorem lokal tętni życiem. Zatrzymała się. Dzieci spały, ale ona musiała się znaleźć wśród ludzi, w smugach jarzeniowego światła. Zauważyła przy bocznym oknie dwa puste boksy i tak zaparkowała, żeby widzieć chateau z miejsca przy stoliku. Zamierzała się napić tego, co mają, mieć oko na kamper ze śpiącymi dziećmi, a kiedy już się obudzą, zamówić im coś do jedzenia.

Miała wrażenie, że wewnątrz uda jej się nawiązać rozmowę z jakimś nieznanym, a przynajmniej z kelnerką. Zdawała sobie sprawę, że jest w jednym ze swoich nastrojów – raz w miesiącu robiła się pobudliwa i nagabywała kogoś przy sklepowej kasie, ludzi spacerujących z psami, pielęgniarce pchające po chodniku staruszki na wózkach. *Jaki wspaniały dzień, prawda?*

PROSZĘ USIAŚĆ – brzmiał napis w lokalu i Josie pomyślała, że zaraz eksploduje jej serce. Zajęła jeden z pustych boksów i otworzywszy menu, znalazła w nim nie tylko piwo reklamowane w oknie restauracji, ale i dwa różne wina, czerwone i białe. Do stolika podeszła kelnerka, a kiedy stanęła na tyle blisko, by dało się to ocenić, Josie spostrzegła, że jest olśniewającą czterdziestokilkulatką i chyba najpiękniejszą kobietą, jaką widziała na Alasce. Jej jasne włosy były przyprószone siwizną, co mogło wynikać z wieku albo wybranego stylu uczesania – nieistotne. Kelnerka miała ciemne oczy oraz dołeczki, które pojawiły się tuż po tym, gdy zapytała klientkę, jak się miewa i na co ma ochotę.

– Białe wino – odparła Josie.

Dołeczki.

– Tylko jeden kieliszek? – upewniła się kelnerka; jej oczy lśniły niczym ślepie ukochanego psa z czasów dzieciństwa. – Mamy też karafki.

– W takim razie karafkę – odparła Josie. – Dziękuję. To mój – dodała, wskazując na stojący tuż za oknem kamper. Nie było powodu, żeby czynić to chwilę po zamówieniu karafki białego wina – jakby chciała, żeby było wiadomo, czym odjedzie, kiedy już przestanie pić.

– Parkuje pani do rana? – zapytała kelnerka. Dołeczki.

– A mogę?

Kelnerka się pogubiła. Josie w końcu skojarzyła fakty: kobieta uznała, że właśnie temu miała służyć wzmianka o kamperze.

– Tak – powiedziała Josie, teraz już z większą pewnością. – Płacę tutaj czy...?

Dołeczki.

– Mogę to dopisać do rachunku. Przyniosę księgę meldunkową.

Josie poczuła nowy rodzaj rozkoszy i nabrała pewności, że tego wieczoru trochę się upije.

Karafka trafiła na stół i Josie łąpczywie opróżniła pierwszy kieliszek wina. Ponieważ była spragniona, popiła je wodą, ale nadal chciało jej się pić. Nie mogła sobie przypomnieć, czy coś jadła od śniadania. Doszła do wniosku, że po południu zjadła tylko pół kanapki, powinna więc teraz się posilić, urządzić sobie ucztę skropioną obficie winem. Przesunęła wzrokiem po karcie dań, zamówiła sałatkę z kurczakiem i zaczęła od chleba.

W restauracji praca szła pełną parą. Josie miała na sobie flanelową koszulę, więc nie rzucała się w oczy. Popijając ze smakiem drugi kieliszek chardonnay, rozejrzała się po sali. Zauważyła dwie kobiety, które z pewnością przyszły tam, żeby kogoś wyrwać; były ubrane niczym groupies. Spozstrzegła siedzących dwójkami zmęczonych kierowców ciężarówek oraz grupę studentów, którzy chyba spędzili dzień na sływie tratwą. Jeden wciąż miał na sobie kapok. Do tego dochodził siedzący w sąsiednim boksie mężczyzna, zwrócony twarzą do niej, jakby oboje przyszli tu w towarzystwie niewidzialnych osób i tkwili teraz, patrząc na siebie.

Mężczyzna miał tłąstą, okrągłą, niestarzejącą się twarz, która mogła należeć zarówno do trzydziesto-, jak i do pięćdziesięciolatka. „Szczęściarz – pomyślała Josie – że wszystek ten tłuszcz ma pod skórą. Dzięki temu zawsze będzie wyglądał na zadowolonego”. Ponieważ zaś wydawał się taki nieszkodliwy i samotny, zaproponowała, żeby się przysiadł.

– Może pan usiąść tutaj, jeżeli pan ma ochotę. – Zauważyła, że mężczyzna zamówił jedynie kruche ciasteczko i szklanekę wody. – Proszę przynieść swoją wodę i ciasteczko.

Zareagował dość dziwnie. Josie uznała założenie, że będzie zadowolony z zaproszenia przez kobietę, za dość rozsądne. Mężczyźni nieczęsto otrzymywali takie propozycje. Jednak na jego twarzy przez długą chwilę malował się wyraz zaskoczenia, podejrzliwości oraz chęć oceny sytuacji. W końcu przechylił głowę i rzekł:



– Dobrze.

Przyniósł talerzyk z ciasteczkami i położył go na stoliku. Josie zauważyła, że jest pulchnym mężczyzną w luźnych dżinsach i kraciastej koszuli z przypinanymi wyłogami kołnierzyka, teraz, gdy już ujrzała go z bliska, jeszcze bardziej nieszkodliwym. Usiadł i spojrzał na swoje ciasteczko, jakby zbierał się na odwagę, by popatrzeć na Josie. Uznała, że jest bezradny, nieśmiały, bezpretensjonalny i zupełnie niegroźny.

– Zaskoczyła mnie pani tym zaproszeniem – rzekł, nie odrywając wzroku od talerzyka.

– No cóż – powiedziała Josie – oboje jedliśmy samotnie i wydało mi się, że to niepotrzebne. Jak panu smakuje woda?

– Dobrze – odparł i jakby na dowód tego podniósł szklanekę. Wypił łyk, wreszcie zerkając znad brzegu naczynia, żeby popatrzeć na Josie. Pomyślała, że ma coś w oczach. Jakaś podejrzliwość, jakby wątpliwości co do motywów zaproszenia nie ustały. Josie pochlebiała sobie, domyślając się, że jego zdaniem nie ma u niej szans.

– Nie chcę, żeby się pan czuł nieswojo – powiedziała.

Mężczyzna pokręcił głową, spoglądając na ciasteczko, po czym, jakby zdał sobie sprawę, jak długo się w nie wpatruje, przełamał je na pół.

Josie wypła łyk wina; zdawała sobie sprawę, że rozmowa się nie klei. Im dłużej tu siedział, tym bardziej osobliwie się zachowywał. Wydawało się, że każda kolejna sekunda trwania w usztywnionej pozycji, niezdolności do spojrzenia Josie w oczy zwiększa prawdopodobieństwo tego, że nie jest zupełnie normalny.

– Jak pan ma na imię?

Uśmiechnął się pod nosem.

– Nie wiem, czy to ma znaczenie – odparł i spojrzał na Josie. Teraz w jego oczach było coś konspiracyjnego, jakby oboje brali udział w jakiejś cudownej grze.

– To należy do pana? – Josie uniosła wzrok i zobaczyła, że kelnerka stoi przy ich stoliku, podając mężczyźnie niewielki plik dokumentów. Zawierał on kilka kartek z wydrukowanymi mapami opatrzonymi gdzieś

odręcznymi zapiskami, a poniżej teczkę z szarego papieru oraz dużą zaklejoną kopertę. Na naklejce widniał szereg nazwisk oddzielonych symbolem &, a wszystko to wydrukowane elegancką i zarazem agresywną czcionką.

– Och, dzięki – rzekł do kelnerki i zaśmiał się nieznacznie, spoglądając pośpiesznie na kelnerkę, a potem na Josie. – To by zupełnie podważyło cel mojego przyjazdu, prawda? Tłuc się aż tutaj i zapomnieć o kopercie. – Słowa te skierował do Josie i w końcu wszystko ułożyło się w całość. Mężczyzna doręczał jej dokumenty prawne. Ktoś ją pozywał tysiące kilometrów stąd, a ten nieśmiały człowiek był wysłannikiem dokonującym tego aktu agresji.

Josie wstała.

– Ten człowiek właśnie złożył mi niestosowną propozycję – powiedziała głośno. – Powiedział, że chce mi zrobić to, co robił innym kobietom w całym stanie. – Cofnęła się od stolika, kierując się w stronę drzwi, i z zadowoleniem stwierdziła, że słyszy ją większość gości na sali. – Nie wiem, co to znaczy, ale się boję – dodała jeszcze głośniejszym głosem, wskazując na niego i zbliżając do kontuaru. Wyjąwszy z kieszeni dwie dwudziestki, położyła je przy kasie.

Znajdowała się niemal przy samych drzwiach. Woźny sądowy zastygł w bezruchu na swoim miejscu.

– Mówił do mnie okropne rzeczy! – zawołała Josie, pozwalając, by jej głos osiągnął maksymalne natężenie. – Boję się! – dorzuciła jęklonie i wypadła za drzwi.

„Całkiem nieźle” – pomyślała.

Podbiegła do chateau, a kiedy wsiadała do środka, stwierdziła, że Paul i Ana nadal śpią na fotelach. Uruchomiwszy silnik, spojrzała w okno restauracji. Dwaj kierowcy ciężarówek, starsi, mocno zbudowani, zdający sobie sprawę, że być może za chwilę wymierzą sprawiedliwość, podeszli do stolika i stali nad mężczyzną, którego dłonie spoczywały na stosie dokumentów. Kiedy dodała gazu i kamper gwałtownie ruszył, mężczyzna zerknął na nią przez okno z obojętną miną, a w jego oczach nie było wyrazu

porażki ani zaskoczenia, lecz malowało się coś na kształt poczucia doznanej zdrady.

Objechała parking, znowu minęła budynek, wyjeżdżając z podjazdu, i wydostała się na szosę. Teraz przy boksie stali już trzej mężczyźni i kelnerka; ich sylwetki zasłaniały mężczyznę. „On wie, kim jestem” – uświadomiła sobie Josie. Przyjechał za nią do tej restauracji, wyczekiwał, siedząc i gapiąc się na nią z sąsiedniego boksu. Nic dziwnego, że był zaskoczony jej zaproszeniem. Pomyślał, że Josie wie, z kim ma do czynienia.

Zastrzyk adrenaliny natychmiast ją otrzeźwił i ułatwił jazdę. Umysł miała żywy i rozbudzony jak superkomputer. Snując plany i zadając sobie pytania, jechała możliwie najbardziej podrzędnymi drogami. Pokonała tego mężczyznę i wszystko, co sobą reprezentował. Wyraz jego twarzy – kto go przysłał? Carl? Jak wówczas brzmiałby pozew? A może Evelyn? Przecież nie skontaktowała się ze swoją młodziutką adwokat. Może na tym froncie wydarzyło się coś nowego. Może krewni Evelyn stwierdzili, że wartość gabinetu jest niższa, niż ich zapewniano. Może twierdziła, że ją oszukano, że padła ofiarą manipulacji...

Rodzice Jeremy’ego. Czy mogli ją pozwać? Podjąć taką próbę?

Nie. Chodziło o Carla. To musiał być on. Była to najbardziej zuchwała rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił. Złożył jakiś pozew, a oni wynajęli kogoś, żeby go jej doręczył. Na Alasce. Cholera jasna. Ile zapłacono by za to takiemu człowiekowi, woźnemu sądowemu? Był stąd? Wydawało się, że nie. Prawdopodobnie z Anchorage. Gdziekolwiek by pojechać, wszędzie są ludzie wykonujący te okropne zajęcia.

Zapraszając go do stolika, rzeczywiście uniemożliwiła mu doręczenie pozwu. Po godzinie jazdy miała pewność, że to prawda. Kiedy go przywołała, zostawił dokumenty. Był speszony, zaskoczony. Gdyby go nie zaprosiła do swojego boksu, po prostu wręczyłby jej pozew. Ona jednak zepsuła mu grę, przejęła kontrolę nad sytuacją. Powinszowała sobie tego.

Pod wpływem jakiejś pozazmysłowej siły połapała się w nikczemnym celu jego wizyty w restauracji.

Czyżby była niepokonana? Zastanawiała się, czy nie kieruje nią jakaś wyższa siła. Czyżby jej misja – unikanie Carla, porzucenie cywilizacji – miała święty charakter? Nie było innej odpowiedzi.

Świt był już blisko, kiedy na następnej oświetlonej na biało stacji benzynowej Josie wysiadła, napełniła bak kampera i poczuła, że musi sprawdzić, czy w chateau nie zainstalowano urządzeń lokacyjnych. Skąd inaczej ten człowiek mógł wiedzieć, gdzie ona się znajduje? Miał jednak z sobą mapę. Czy byłaby mu potrzebna, gdyby kierował się sygnałami z lokalizatora? Wczołgała się pod samochód. Usłyszała czyjś głos.

– Wszystko w porządku?

Rozejrzała się, chcąc sprawdzić, skąd doleciały te słowa, i spostrzegła parę masywnych butów. Kiedy wstała, okazało się, że pytanie padło z ust jakiegoś nastolatka. Miał nie więcej niż siedemnaście lat, na sobie zaś nieskazitelnie czystą żółtą koszulę i wąskie dżinsy. Buty zupełnie nie pasowały do tego stylu.

– Pracujesz tu? – zapytała.

– Mhm. Potrzebuje pani pomocy?

Przez chwilę zamierzała mu powiedzieć, że podejrzewa, iż jest śledzona, że szukała jakiejś czarnej skrzynki przymocowanej do podwozia. Potem zrozumiała jednak, że to tylko wzbudzi niepotrzebne zainteresowanie, sprawi, że ona bardziej zapadnie w pamięć swojego rozmówcy, więc jeżeli ktoś go potem zapyta, czy widział kogoś lub coś niezwykłego, będzie miał co opowiadać. A jakże, kobieta leżąca pod kamperem, szukająca lokalizatora, bardzo zdenerwowana...

Zamiast pytać o lokalizator, wpadła na pomysł.

– Macie tu zlewnię?

Chłopak zaprowadził ją do zbiornika zakopanego za stacją. W betonie znajdował się okrągły otwór gotowy na przyjęcie ścieków.

– Powinienem policzyć piętnaście dolarów – zastrzegł. – To znaczy, jeżeli opróżnia pani pełną kloakę.

Josie potwierdziła, że zbiornik jest pełny, że zawiera całe gówno, które wożą od początku podróży, i zapłaciła żadaną kwotę.

– Nie wiem jednak, jak to zrobić – powiedziała.

Teraz twarz nastolatka stężała.

– Nie wie pani, jak to zrobić? – zdziwił się, jakby Josie w swojej ignorancji nie miała prawa kierować takim wspaniałym pojazdem jak chateau i wozić w nim fekaliiów. Następnie sporządził okropny, pornograficzny rysunek długiej, grubej rury sterczącej z boku kampera i wchodzącej niczym wąż do dziury w ziemi. – Odchody powinny po prostu spływać ze zbiornika, stąd tutaj – wyjaśnił, kreśląc strzałki biegnące w górę i w dół.

Rysunek nastolatka i tak okazał się delikatny, piękny wręcz w porównaniu z realiami, które najpierw zmusiły Josie do zdjęcia trzyipółmetrowej rury, uźebrowanej z zagadkowych powodów, ze zderzaka chateau. Była tam umieszczona, gustownie ukryta – długi cylinder wetknięty w długą, prostokątną wnękę. Trzymała rurę ostrożnie, zdając sobie sprawę, że przeszła przez nią nieznaną ilość odchodów obcych ludzi – Stana i jego lubującej się w białych wykładzinach dywanowych żony! Skąd mogła wiedzieć, czy rura nie cieknie? Kto mógł zaręczyć za szczelność całego przewodu? Wyciągała go z wnęki w zderzaku, a on wysuwał się i wysuwał niczym olbrzymia dżdżownica.

Zamocowała jeden koniec rury w otworze odpowiedniej wielkości u dołu kampera, tuż poniżej zbiornika z fekaliami, a potem wpuściła drugi koniec do dziury w ziemi, do szamba. Teraz musiała jedynie obrócić niewielką, delikatną dźwignię, która otwierała zbiornik, i liczyć na to, że rura nie odpadnie, a wylatujące nią ludzkie odchody nie rozprysną się na wszystkie strony. Wydawało się to o wiele bardziej prawdopodobne niż możliwość, że rura pozostanie na miejscu podczas całej tej okropnej operacji i nie wysunie się, miotając fekaliami przez cienką białą membranę.

Josie sięgnęła pod chateau, pod zbiornik, obróciła dźwignię i uskoczyła w bok. Rura pozostała jednak na miejscu przez cały czas tłoczenia, drgając pod naporem strumienia przerażającego ładunku. Drgania były najbardziej niepokojące, jako że rura, zdecydowanie za bardzo obciążona transportowaną półpłynną zawartością kloaki, wiła się w konwulsjach. Towarzyszący temu dźwięk przypominał dręczącą pieśń fekaliów pędzących ze stacji pośredniej do końcowej siedziby z radością i ochotą, bez rozpaczania nad swoim losem.

Operacja się zakończyła i trzeba było jedynie odłączyć trzyipółmetrową rurę, nie brudząc sobie rąk i butów odchodami, którymi niewątpliwie pokryte były jej wewnętrzne powierzchnie i obydwie końce, a następnie wsadzić ją z powrotem do wnęki w zderzaku wraz z pamiątką po tylu minionych rzeczach.

Nastolatek zjawił się ponownie i zapytał:

– Wszystko poszło?

– Wszystko – odparła Josie.

Poszła za nim do biura, umyła ręce w toalecie i zauważywszy, że sklep jest zaopatrzonej w żywność, kupiła jej dość, by starczyło na blisko tydzień. Odtąd nawet zatrzymywanie się na polach kempingowych wydawało się zbyt ryzykowne. Będą nocować w chateau, ukryci w lasach lub dolinach. Wykupiła cały sklepowy zapas masła orzechowego, mleka, soku pomarańczowego, owoców i chleba.

Kupiła też termos, który napełniła kawą, załadowała zakupy na fotel, wsiadła do kampera i uruchomiła silnik. Stojąc w zielono-białym świetle stacji, nastolatek powiedział coś do niej, ale Josie nie usłyszała. Z uśmiechem przyłożyła dłoń do ucha, licząc, że na tym koniec, ale on podbiegł do okna i rzekł:

– Miłego świtu.

W jego ustach zabrzmiało to niczym stwierdzenie wspólnoty upodobań – faktu, że łączy ich zamiłowanie do późnych godzin nocnych, samotności i oddalenia od ludzi.

– Właśnie – odparła.

## XVIII

O wschodzie słońca ujrzała tablicę. KOPALNIA SREBRA PETERSSEN, 3 KM. Jechali od pięciu i pół godziny, kierując się na północ oraz północny zachód i trzymając się z dala od głównych dróg. Kilkanaście razy trafiała w ślepe zaułki lub na zamknięte drogi i musiała zawracać; wyglądało na to, że władze stanowe postanowiły nie dopuścić, by podróżowali bez przeszkód. Noc w końcu uległa, ustępując miejsca szarówce. Josie była zdecydowana znaleźć jakieś mało uczęszczane miejsce na postój, ukryć chateau i siebie. Tak naprawdę szukała grotty, ale wiedziała, że to zbyt wygórowane oczekiwanie. Wydawało się, że kopalnia spełnia je w miarę dobrze.

– Interesuje was stara kopalnia srebra? – krzyknęła do dzieci. Spały całą noc i dopiero teraz wydawały dźwięki świadczące o tym, że się budzą.

Żadne się nie odezwało.

– Jeszcze śpicie? – zapytała.

– Nie – odparła Ana.

– Pojedźmy do kopalni srebra – zaproponowała Josie. Była oszołomiona i roztrzęsiona po wypiciu kawy, którą kupiła na ostatniej z odwiedzonych stacji benzynowych i piła gorącą, potem ciepłą, następnie chłodną, a w końcu zimną. Naszło ją niewyraźne wspomnienie rodziców, którzy zabrali ją kiedyś do kopalni w Oregonie. Przez cały dzień przyłapywała ich na tym, że całowali się w ciemnych tunelach.

Za pierwszym razem przeoczyła wyjazd z kopalni, zawróciła i przegapiła go, jadąc z drugiej strony. Zjazd był niesamowicie wąski, a drogowskaz mały, namalowany na kawałku drewna.

Chateau toczyło się z łoskotem po gruntowej drodze w dół głębokiej doliny.

– Jesteśmy tu sami – zauważyła Josie, gdy pokonali pierwszy, drugi, trzeci i czwarty kilometr, nie widząc żadnych oznak ludzkiej bytności. Spędziła noc, rozmyślając i mamrocząc pod nosem, a teraz, gdy dzieci na pozór nie spały, mogła mówić na głos i uważać, że to normalne.

– Popatrzcie – powiedziała. – Rzeka. Bardzo ładna.

Czuła, że jeśli ten człowiek znowu za nią pojedzie, mając zamiar coś jej doręczyć, potrafi przed nim uciec lub zrobić mu krzywdę. Bała się tego, jak się zachowa, gdy znajdą się sami. Wyobraziła sobie kamień na czubku jego mięsistej głowy, to, jak broczącego krwią zostawia go na pastwę losu w jakimś odludnym miejscu.

Dumała nad angielskim słowem *mine*, kopalnia. Jakież zabawne określenie wydobywania metali szlachetnych spod ziemi: *mine*. Pomyślała, że opowie dzieciom o swoich refleksjach na ten temat, o bardzo dziwnej zbieżności pisowni słów, które znaczą: „kopalnia” i „mój, moja, moje”, po czym uświadomiła sobie, że wypowiada je szeptem trzy razy. Zauważyła też, że się uśmiecha pod nosem. Była wykończona.

– Muszę się przespać – powiedziała na głos.

Pokonali wąski stalowy most przerzucony nad przejrzystą płytką rzeką i niebawem ukazała się następna tablica z informacją, że kopalnia jest pięć kilometrów dalej. Czas i przestrzeń się zakrzywiły. Znajdowali się dalej od celu niż wtedy, gdy zjeżdżali z szosy. Wokół rosły bujne sosny i polne kwiaty; Josie już miała to odnotować, krzycząc „Ładnie tu” do tyłu, kiedy odwróciwszy się, ujrzała twarz syna między przednimi fotelami, zatrwając blisko własnej twarzy.

– Ładnie tu – powiedziała do niego szeptem.

W końcu ujrzeli szereg pnących się po stromym zboczku wzgórza, byle jak skleconych budynków z szarego drewna, z zardzewiałymi dachami. Przed nimi znajdował się wjazd. Josie zaparkowała i wysiadłszy z chateau, ruszyła do bramy, na której wisiała tabliczka z odręcznym napisem.

ZAMKNIĘTE WSKUTEK LIKWIDACJI PRZEZ RZĄD.

NIE Z NASZEJ WINY.



Josie wsiadła z powrotem do samochodu, powiedziała dzieciom, że park jest zamknięty, a potem poinformowała, że i tak wejdą do środka i obejrzą kopalnię. W jej umyśle wykluwał się pewien pomysł.

– Możemy? – upewnił się Paul.

– Oczywiście – odparła.

Ana była zachwycona.

Josie zaparkowała na wprost bramy, tak aby oznajmić każdemu strażnikowi parku, który mógłby się tam zjawić, że nie próbują się ukrywać przed władzami. Paulowi i Anie chciała się natomiast zaprezentować jako matka, która zatrzymała się na chwilę, żeby pokazać swoim dzieciom starą kopalnię srebra. Obeszli bramę i gdy dotarli na drugą stronę parkingu, zobaczyli, że jest tam toaleta – schludna, świeżo pokryta gontem. Paul podbiegł do drzwi i przekonał się, że są zamknięte na klucz. Kilka sekund później sikał za budynkiem.

Kopalnia była dobrze zachowana w tym sensie, że strażnicy parku oraz historycy, którzy się o nią troszczyli, pozwalali, żeby rozpadała się bez większych przeszkód. Wszędzie leżały zardzewiałe maszyny, jakby ktoś je rzucił z przelatującego samolotu. Wzdłuż ścieżki stały tablice informacyjne, które prowadziły zwiedzających do budynku wytopialni i obok domów z umeblowanymi pokojami do wynajęcia oraz dawnych biur, gdzie spółka wydobywcza zatrudniała swoich buchalterów.

Dzieci nie były tym zaintrygowane. Josie często nie miała pojęcia, co może je zainteresować; rok wcześniej Ana dostała bzik na punkcie jakiegoś muzeum żeglugi morskiej. Paul przynajmniej grzecznie brał we wszystkim udział. Lecz ta kopalnia ich nie zainteresowała. Jedna z tablic wskazywała, że gdzieś w pobliżu znajduje się rzeka, ale Josie jej nie widziała ani nie słyszała szumu wody. Doszli do końca ścieżki, do dwóch budynków, gdzie przetwarzano srebro, i tuż za nimi, wśród niewielkiej kępy gęstych zarośli Josie dostrzegła nową, bardziej zadbaną budowlę.

– Zaczekajcie tu – poleciła dzieciom, a one westchnęły ostentacyjnie. Stały w promieniach zachodzącego słońca i Josie skrzywiła się na widok

ich zarumienionych, spoconych twarzy. – Muszę tylko obejrzeć ten dom – wyjaśniła.

Przelazła przez niskie, równie stare jak kopalniane budynki ogrodzenie z grubo ciosanych szarych desek i szła krętą czerwoną ścieżką, dopóki nie dotarła do domku. Była to ładna chatka ze świeżo polakierowanych bali w wiśniowym odcieniu. Zajrzała przez okna. Wnętrze było ładnie wykończone, z kominkiem, dwoma fotelami na biegunach, futonem oraz niewielką i zwyczajną, ale schludną kuchnią. W środku było pusto. Wszystko wskazywało na to, że od wielu tygodni nikt w nim nie przebywał, a ktokolwiek mieszkał tu wcześniej, przed opuszczeniem domu dobrze go wysprzątał. Chata prawdopodobnie służyła dozorczy. Stanowiła siedzibę strażnika parku. A likwidacja kopalni najwyraźniej sprawiła, że strażnik wylądował z powrotem w domu w jakimś innym miejscu. Josie wróciła do dzieci. Jej pomysł nabrał już ostatecznego kształtu.

– Może wrócić na chwilę do chateau? – zaproponowała. – Weźcie sobie coś do picia. Ja chcę się jeszcze trochę rozejrzeć.

Wydawało się, że Paul i Ana nie są zachwyceni perspektywą przenoszenia się dokądkolwiek, kiedy jednak matka wręczyła im klucz do kampera, nie mogli przepuścić okazji do własnoręcznego otwarcia pojazdu. Wiedziała, że zamiast pić i odpoczywać, aż do jej powrotu będą się bawić w otwieranie i zamykanie drzwi chateau na klucz.

Kiedy oboje pobiegli ścieżką i zniknęli z pola widzenia, Josie wróciła do chaty. Spróbowała otworzyć frontowe drzwi i stwierdziła, że są zamknięte na klucz. Podeszła do drzwi z tyłu domku i okazało się, że też są zamknięte. Przewidziała to, więc potem zrobiła to, co zamierzała zrobić: obeszła domek, szukając najmniejszego okna. Najmniejsze, złożone z sześciu szybek znajdowało się w kuchni. Josie zerwała wielki liść z rosnącego w pobliżu krzewu, owinęła nim pięść i uderzyła w szybę.

Szkoło nie pękło. Poczowała w dłoni piekący ból. Osunęła się na jedno kolano, obejmując palce drugą ręką i przeklinając siebie. Po kilku minutach doszła do siebie i tym razem poszukała kamienia. Znalazła ostry, ważący około dwóch kilogramów, i z całej siły uderzyła nim w szybę. Znowu bez

skutku. Cofnęła się, rzuciła kamieniem od dołu, lecz chybiła, uderzając w ścianę. W końcu podniosła kamień nad głowę i walnęła nim w szybę. Tym razem szkło ustąpiło.

Josie czekała, nasłuchując jakiejś reakcji ze strony dzieci bądź kogoś, kto być może mieszkał jednak w domku. Nie usłyszawszy niczego, odrzuciła kamień i poszła po Paula i Anę.

Zgodnie z przewidywaniami bawili się kluczem i zamkiem chateau. Ana nakłoniła brata, by siedział w kamperze, gdy ona będzie na zewnątrz, próbując dopasować klucz do zamka.

– Puk, puk – powiedziała.

– Przecież masz klucz – odparł Paul. – Po co pukasz?

Kiedy dziewczynka zauważyła matkę, na jej twarzy przez chwilę odmalował się wyraz szalonej trwogi i poczucia winy.

– Chodźcie ze mną – powiedziała Josie i Ana się odprężyła. – Mam wam coś ciekawego do pokazania.

W tym wieku jej dzieci miały jedną bardzo pozytywną cechę: ilekroć mówiła, że pokaże im coś interesującego, zawsze dawały jej wiarę. Zawsze myślały, że rzeczywiście zobaczą coś ciekawego. Posłusznie poszły za nią nasłonecznionym szlakiem aż do końca. Tym razem pozwoliła im również przejść przez płot, po czym poprowadziła je na tyły chaty.

– Co widzicie? – zapytała.

– Rozbitą szybę – odparła Paul.

– I co waszym zdaniem powinniśmy zrobić?

Dzieci wpatrywały się w matkę.

– A co by się stało, gdyby to okno pozostało otwarte w lesie takim jak ten?

– Zwierzęta – odparła Ana.

– Dostałyby się do środka – dodał Paul.

Josie miała już plan, ale chciała, żeby dzieci sądziły, że to one są jego twórcami.

– Zgadza się – potwierdziła Josie. – Cóż więc powinniśmy zrobić?

– Zakleić je czy coś – rzekł Paul.

– Ale jak? – zapytała Josie i w tym momencie przyjrzała się sobie krytycznie, używając Sokratejskiej metody wobec swoich dzieci, w nadziei, że same zaproponują, by Ana przelazła przez rozbite okno.

– Jedno z nas mogłoby wdrapać się do środka i znaleźć klucz – wyjaśnił Paul.

Josie doszła do wniosku, że jej dzieci to naprawdę cudowne istoty, a potem pomyślała: Ile dokładnie występków popełni jej rodzina w tym bezpretensjonalnym stanie?

– Lub po prostu otworzyć drzwi od wewnątrz – zasugerowała Josie z niezobowiązującym wzruszeniem ramion.

Paul z Aną połknęli przynętę i przystąpili do rzeczy, najwyraźniej bardzo serio podchodząc do stojącego przed nimi zadania. Pozwoliwszy dzieciom obejrzeć okno z powagą zawodowych szklarzy, Josie przeniosła matę przed drzwi domku na parapet i ułożyła ją na ramie rozbitego okna. Następnie zasugerowała z całym namaszczeniem osoby wskazującej kandydata na ołtarze, że to Ana jest jedyną żyjącą osobą, która mogłaby z powodzeniem przedostać się przez taki mały otwór, zleźć na stojący poniżej stół, a potem na podłogę i przejść do frontowych drzwi, żeby je otworzyć matce i bratu.

Ana zatrzepotała rzęsami. Nie mogła w to uwierzyć. Kryjąca się w niej niespokojna dusza wiedziała chyba dokładnie, co Josie kombinuje, ale prawdziwa pięciolatka dzieląca z nią cielesną powłokę była świadoma czekającej ją przygody i postanowiła zignorować wewnętrzny głos, który podpowiadał, że nie należy tego robić.

Josie podniosła ją nad rękami Paula asekurującego siostrę i Ana przepęzła po macie na brzuchu niczym wyrzucony na brzeg rekin, potem zaś, w elektryzującym przejawie improwizacji, zrobiła fikołka w przód – w zwolnionym tempie, nawet przez ułamek sekundy nie tracąc kontaktu z podłożem – żeby znaleźć się na kuchennym stole pod oknem. Stała na nim przez chwilę, udając, że ocenia sytuację. W rzeczywistości jednak po prostu chlubiła się swoją sprawnością, wiedząc, że jest obserwowana i podziwiana. Po czym bez fanfar zeskoczyła na podłogę i pobiegła do

drzwi, jakby przez całe życie mieszkała w tym domku. Zanim Josie i Paul stanęli przed progiem chaty, Ana zdążyła już otworzyć i stukała palcem w wyimaginowany zegarek na swym drobnym nadgarstku.

Po chwili rozluźniła się i uśmiechnęła niczym gospodyni, która nie chcąc psuć nastroju, postanowiła wybaczyć spóźnionym gościom.

– Witajcie! – powiedziała.

Josie wyjaśniła, że będą musieli zakleić okno od wewnątrz – tylko w taki sposób zapewnią skuteczną ochronę przed deszczem i wiatrem. Weszli więc do domku i od razu poczuli zapach surowego drewna oraz słabą woń stęchlizny i detergentu – świadczącą o próbie utrzymania czystości. Zaczęli szukać taśmy instalatorskiej i tektury i już niebawem znaleźli jedną oraz drugą. Naprawili uszkodzone okno, a w każdym razie uczynili je barierą nie do przebycia dla owadów i małych ssaków.

Josie miała jednak nie tylko naprawić okno, ale również pozostać tutaj – przynajmniej do czasu, aż zdecyduje się na następny krok. Chyba trudno było sobie wymarzyć lepsze miejsce. Grzebała po szufladach w kuchni, dopóki nie znalazła jakiegoś klucza; spróbowała wsunąć go do zamka w drzwiach. Pasował. Mieli więc klucz do chaty.

– Chyba powinniśmy tu zostać na noc – powiedziała mimochodem – żeby się upewnić, że to miejsce jest dobrze zabezpieczone i tektura dobrze się trzyma.

Paul i Ana zgodzili się, a raczej wzruszyli tylko ramionami. Było im to obojętne. Ich życie straciło jakąkolwiek logiczną strukturę.

– Zaczekajcie chwilę – powiedziała Josie i zostawiwszy dzieci w chacie, pobiegła do chateau. Zastanawiała się, co ma zrobić z kamperem. Nie mogła przecież zostawić go tam, gdzie stał.

Rozejrzawszy się, zobaczyła za bramą, na drugim końcu parkingu, otwarty garaż z blachy falistej. Spodziewała się, że pełno tam będzie pojazdów lub innych urządzeń, z których korzystali strażnicy parku, ale był prawie pusty. Z powodu likwidacji kopalni – właśnie tam strażnik trzymał swojego pikapa, a potem zniknął. Wyglądało na to, że garaż jest wystarczająco wysoki, żeby pomieścić chateau.

Josie przypatrzyła się uważnie kłódce na końcu łańcucha. Była to normalna kłódka spinająca gruby łańcuch przeciągnięty przez bramę i słupek. W pierwszej chwili pomyślała, żeby przywalić w samą kłódkę jednym z kluczy, które zauważyła w torbie z narzędziami w chateau. Był tam również podnośnik, ale w końcu doszła do wniosku, że kłódka jest tak skonstruowana, by wytrzymać uderzenia prostymi narzędziami ze stali i żelaza.

Stała w koronkowobiałym świetle poranka, wpatrując się w bramę. Kiedy już wymyśliła rozwiązanie problemu z kłódką, roześmiała się. Było ono tak absurdalne w swojej skuteczności, iż Josie wiedziała, że kiedy to zrobi, już zawsze będzie się śmiać w nadchodzących latach z tego, jak łatwe okazało się to posunięcie, z tego, że naprawdę to uczyniła. Był to czyn przestępczy, coś między włamaniem a zwykłym wandalizmem, ale w tej sytuacji wspaniale się sprawdzi.

Parę minut później wróciła biegiem do domku i znalazła piłę wiszącą nad gzymsem kominka. Po czym znowu biegła ścieżką, trzymając piłę oburącz nad głową. Wróciwszy pod bramę, zabrała się do piłowania słupka. Zaczęła bardzo nisko, tak żeby po umieszczeniu obciętej części z powrotem na jej miejscu rosnąca wokół trawa mogła ukryć fakt, że słupek został przecięty. Pracując bez ustanku, bała się bowiem, że jej dzieci w każdej chwili mogą ją przyłapać na gorącym uczynku, być świadkami najdziwniejszego i najbardziej przestępczego czynu, jaki popełniła – przecięła słupek. Kłódka oczywiście nadal spinała końce łańcucha, tyle że łańcuch był przymocowany do odciętej części słupka, która teraz obracała się razem ze skrzydłem otwartej bramy.

Josie wjechała kamperem za ogrodzenie i powoli skierowała się do garażu, spodziewając się, że lada chwila otrze dachem o nadproże. Samochód zmieścił się jednak, wjechała więc do środka i zamknęła drzwi garażu. Teraz chateau był niewidoczny. Z aksamitnego worka wyjęła kilkaset dolarów. Bojąc się policzyć to, co zostało, wepchnęła worek głęboko w róg szafki i zamknęła drzwi samochodu. Potem wróciła do bramy na najlepszą część całej operacji. Umieściła słupek z powrotem na

jego podstawie, ustawiając go tak, że wyglądał na nienaruszony. Gdyby wiatr mocno powiał lub ktoś pchnął skrzydło bramy, słupek by się rozpadł, ale na razie sprawiał solidne wrażenie.

Prawdopodobnie zabezpieczyli się, przynajmniej na dzień bądź dwa, przed ryzykiem, że ktoś ich odnajdzie. Wszyscy strażnicy leśni, jacy jeszcze zostali na Alasce, pomagali w gaszeniu pożarów lub byli daleko, nawet poza granicami stanu, korzystając z pięknej pogody na przymusowych wakacjach.

Obejrzeni wspólnie chatę; dzieci natychmiast znalazły schody i pobiegły na strych pod dwuspadowym dachem.

– Niewiele tam jest – stwierdził Paul po powrocie na dół. – Dwa małe łóżka, ale pachnie paskudnie.

Większość życia w chacie toczyła się na parterze, a kominek determinował rozmieszczenie wszystkich mebli i innych sprzętów w pokoju. Futon i krzesła były skierowane w stronę paleniska, wokół kominka ulokowano też większość ozdób. Na gzymsie rozmaite pamiątki z połowów ryb, wyrzeźbiony z drewna koń, bóbr wyryty w dużym kawałku kory. Nad gzymsem, skrzyżowane niczym miecze, wisiały rakiety śnieżne, a powyżej nich stara włącznia. Ściana na lewo od kominka była obłożona drewnem na opał. W kuchni znajdowały się dwie stare kuchenki, obie zepsute, oraz stół pokryty laminatem, a wokół niego trzy chromowane krzesła, każde z siedzeniem z żółtego plastiku, rozerwanym tu i ówdzie i sklejonym taśmą instalatorską. Był też zlew, ale brakowało bieżącej wody; zamiast kranu w kuchni zainstalowany został pojemnik z wodą, w tej chwili prawie pełny. Sprawna lodówka stała dyskretnie w kącie, a obok komoda z szufladami wypełnionymi folią aluminiową, plastikowymi pojemnikami, taśmą instalatorską, nożyczkami oraz sznurkiem. Cały zastęp noży, zwróconych w prawo w żołnierskiej gotowości, wisiał przymocowany magnesami do ściany. W niewielkiej szafce nad kuchenką znalazła zapas zup i warzyw w puszkach. Pomyślała, że z jedzeniem, które zostało w kamperze, i z tymi zapasami poradzą sobie przez jakiś czas.

– Patrz – powiedziała Ana. W głównym pomieszczeniu dzieci znalazły schowek z grami liczącymi czterdzieści, może więcej lat. Scrabble, chińczyk, dwie talie kart, *Sorry!*. Josie spodziewała się po trosze, że ujrzy też *Candyland*, i przez chwilę w jej głowie kłębiły się bolesne myśli. Kiedy jednak obejrzała stos pudełek, nie zauważyła tej gry. Dopiero potem spostrzegł ją Paul. Leżała pod półką z resztą gier planszowych.

– Słyszałem o niej – powiedział, ścierając kurz z pudełka. – Jak to możliwe, że nigdy nie mieliśmy tej gry, mamó?

– Kto chce rozpaść w kominku? – zapytała Josie.

Paul i Ana z wielką przyjemnością dokonali wyboru odpowiednich gazet, podpałki oraz bierwion i po kilku minutach w kominku płonął trzaskający ogień. Przy najbliższej okazji Josie zamierzała wrzucić do niego pudełko z tą grą. Na razie jednak na tyle odwróciła uwagę dzieci od *Candylandu*, że zdołała ją ukryć nad lodówką.

W kuchni znalazła radio tranzystorowe. Włączyła je i szukała wiadomości. Czy to możliwe, żeby kontynuowano jej poszukiwania? Usłyszy zaraz o śmierci lub okaleczeniu woźnego sądowego przez członków samozwańczej straży obywatelskiej z tamtej restauracji? Zdołała odebrać tylko słaby sygnał, ewangeliczne przesłanie dla słuchaczy, że Bóg pragnie, żeby nie tylko rozwijali się duchowo, ale również, by im się powodziło.

„»Rozwijać się« to zwrot zakorzeniony w trójwymiarowym świecie” – mówił mężczyzna.

Na blacie stało zdjęcie człowieka, który zapewne był strażnikiem zazwyczaj zamieszkującym chatę. Liczył około czterdziestki, sprawiał wrażenie radosnego, miał rudą brodę i nosił strój w kolorze zieleni i khaki. Obejmował ręką innego mężczyznę, też brodatego, o takich samych pogodnych oczach. Może brata, kochanka, męża? W każdym razie Josie była zadowolona, że poznała strażnika, który tu mieszkał, człowieka zakochanego lub zdolnego do miłości, chyba więc mniej skłonnego ich ścigać niż właściciel ostatniego domku, który samowolnie zajęli.



– Muszę się przespać – oznajmiła. Od kilkunastu godzin nie wypoczywała. Pokazała dzieciom futon i zauważyła, że oceniają w myślach, czy zdołają się na nim wszyscy zmieścić. Była pewna, że nie zechcą spać na ciemnym, pełnym przeciągów strychu. Opadła na posłanie, wzniecając niewielki kłęb kurzu. W ogóle się tym nie przejęła. Zmógł ją sen.

– Czy teraz będziemy tu mieszkać? – zapytała Ana.  
Josie zasnęła z myślą, że to bardzo realna możliwość.

## XIX

Po południu, przespawszy cały dzień, Josie czuła się jak nowo narodzona. Podniosła się z futonu przepełniona niewytłumaczalną siłą i zauważyła, że nigdzie nie ma jej dzieci.

Zawołała je. Bez odpowiedzi. Z drżącym sercem skoczyła na równe nogi. Wyobraziła sobie dwa wilki unoszące je w pyskach. Wykrzyknęła ich imiona.

– Tutaj – odpowiedział Paul.

Otworzywszy gwałtownie drzwi, stwierdziła, że Paul i Ana są na zewnątrz, na żwirowym chodniku; przycupnęli przy czymś czarnym i włochatym.

– Co to jest?! – ryknęła Josie.

Włochaty stwór zadrżał i zaskomlał.

– Pies – odparła Ana, ujęła pysk zwierzęcia w dłonie i skierowała go ku Josie, jakby chciała zademonstrować ten gatunek swojej nieświadomej matce.

– Skrobał w drzwi – wyjaśnił Paul.

Otworzyli je i pies szybko wemknął się do chaty.

– Nie chcieliśmy cię budzić, więc wyprowadziliśmy go tutaj – dodał chłopiec. Mówił prawdę. Był przerażająco uprzejmy. Ale czyj to był pies?

– Ma obrozę? – zapytała Josie.

– Tylko to – odparła Ana i ściągnęła psu plastikową obrozę przeciw pchłom. Dziewczynka odsunęła się na bok, ukazując całą sylwetkę czworonoga. Był mały. Z krótką sierścią oraz trójkątnymi uszami wyglądał jak niedożywiony prosiaczek.

– Drży – zauważyła Josie.

– Jest głodny – rzekł Paul.  
– Nie zbliżaj dłoni do jego pyska – ostrzegła Josie. – Jeżeli cię pogryzie, spędzisz w szpitalu wiele dni. A szpitale są daleko.  
– Możemy go nakarmić? – zapytał Paul.  
– Daliście mu już jakieś imię? – upewniła się Josie.  
– Ana dała.  
– Śladek – dodała dziewczynka.  
– Tak się wabi: Śladek – wyjaśnił Paul.  
– Bo szedł naszym śladem – powiedziała Ana. Rok wcześniej nazwała jakąś rybę Wodolubką.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że skrobał w drzwi.  
Przyłapany przez Josie na choćby najbardziej niewinnym kłamstwie Paul miał w zwyczaju gapić się na nią kilka sekund nieruchomo, milcząc. Nie wynikało to z jakiejś strategii. Chodziło raczej o to, że chłopiec był owładnięty czymś w rodzaju ducha prawdy, który domagał się ujawnienia wszystkich faktów. Wziął teraz głęboki oddech i zaczął wyjaśniać.

– Wyszliśmy na dwór. Tylko po to, żeby zdobyć jakieś patyki – rzekł, wskazując na niewielką stertę patyków, z których za pomocą pomarańczowej taśmy instalatorskiej zrobili miecze. – Kiedy wracaliśmy, zaczął za nami iść. Zamknęliśmy drzwi, a wtedy zaczął w nie skrobać.

Paul odetchnął gwałtownie, jakby właśnie postawił kropkę i poczuł ulgę. Był zadowolony, że ma to za sobą, że przedstawił najprawdziwszą prawdę. Rozluźnił się i pozwolił sobie na mrugnięcie. Zapytał jeszcze raz:

– Możemy go nakarmić?

A więc mieli psa. Wprowadzili Śladka do chaty i dali mu do jedzenia kawałki smażonego kurczaka oraz sałatkę; pożarł je z ochotą. Josie wiedziała, że karmienie takiego bezpańskiego zwierzęcia to fatalny pomysł, ale wydawało się, że pies nie może otrząsnąć się z szoku. Wymyśliła opowieść, w której Śladek był psem strażnika, ale uciekł, a strażnik, nie mogąc znaleźć czworonoga, odjechał bez niego. Kiedy potem pies wrócił, okazało się, że drzwi są zamknięte, a wokół nie brak zabójczych

mięsożerców, marzących o dobraniu się do jego drżącego ciała. Jakoś przetrwał dni, które minęły od czasu ucieczki, ale był kłębkiem nerwów, a w dodatku padał z głodu.

Josie przyjrzała się uważnie czworonogowi, szukając skaleczeń, pcheł bądź oznak chorób, i stwierdziła, że jak na psa, który od wielu dni lub tygodni błąkał się z dala od domu, jest zaskakująco czysty.

– Możecie go pogłaskać – powiedziała i usiadła na futonie, przyglądając się, jak Paul i Ana zachwycają się Śladkiem, gdy ten trzął się i jadł, a wkrótce potem zasnął. Dzieci dalej głaskały go po czarnej sierści, kiedy we śnie oddychał nierówno, a tylnymi łapami co jakiś czas uderzał w podłogę.

Josie miała wrażenie, że wraz z pojawieniem się Śladka stali się kimś w rodzaju rodziny z pogranicza. Wybijali okna i demontowali bramy. Przygarniali bezpańskie zwierzęta. A przecież nie spędzili tu nawet nocy. Dzieci nie chciały się rozstać z psem, kiedy więc nadszedł wieczór, zostali w chacie. Josie rozpałała ogień w kominku; wiatr za oknem gwizdał upiorną melodię. Tektura, którą zakleili dziurę w oknie, wyginała się na obie strony, ale nie wypadła. Josie nakryła się kołdrą razem z dziećmi i tak przespali całą noc – Paul z dłonią zwieszoną do podłogi, żeby mieć pewność, że Śladek dobrze się ma.

Obudziło ją dzwonienie. Było jeszcze ciemno, ogień w kominku dogasał. Kto to mógł być? Nie widziała nawet aparatu. Wymknęła się do kuchni, mając nadzieję, że dzieci się nie obudzą. W ciemności omiotła dłońmi blat i wreszcie, pod stertą map, znalazła telefon stacjonarny. Wciąż dzwonił. Trzy sygnały, cztery, każdy wstrząsał chatą. Nie mogła odebrać. W końcu, po szóstym sygnale, zamilkł.

Paul i Ana nadal spali, ale Josie wiedziała, że sama długo nie zaśnie. Wyniosła krzesło na taras i siedziała roztrzęsiona, wsłuchując się w odgłosy nocy i analizując możliwości. Chciała wierzyć, że ten telefon był wynikiem przypadku albo po prostu ktoś dzwonił do strażnika, który tu mieszkał. Z drugiej strony istniała możliwość, że dzwoniли właściciele Śladka. Lub ten woźny sądowy. Bądź policja.

„Przecież nikt nas nie szuka” – pomyślała Josie. Parsknęła nawet szyderczo, żeby poczuć się swobodniej.

– Mamo?

To była Ana, sama, na werandzie. Josie nie przypomniała sobie, by córka kiedykolwiek wstała z łóżka z własnej woli. Zazwyczaj, kiedy wstawiała nocą, wynikało to z planu wymyślonego przez Paula, podwójnego ataku, który miał dowieść, że nikt w domu nie jest w stanie spać. Tak naprawdę oznaczało jednak, że to Paul nie mógł spać, obudził siostrę i przyprowadził ją z sobą. Tylko Paul czuł brzemień śmiertelnych konsekwencji snu i rozumiał, że noc zachęca do rozważań o śmiertelności i znikomości człowieka. Jego siostra była zbyt mała, żeby zapuszczać się w te rejony.

Teraz stała w drzwiach chaty, ze zmierzwioną z jednej strony grzywą rudych włosów, które przybrały odcień spłowiałego oranżu przypominający ostatnią zebraną z grządki dynię. Rączki trzymała na obu ościeżach, jakby nie chciała dopuścić do tego, żeby zbliżyły się do siebie.

– Zostaniemy tutaj jeszcze jutro? – zapytała.

– Chyba tak. Może nawet przez kilka dni.

– Naprawdę? – zdziwiła się Ana; mina jej zrzędała i ręce opadły w jednym wspólnie skoordynowanym odruchu.

Podobne odczucia miała ubiegłej zimy, kiedy po feriach wracali do szkoły.

– Czy w tym tygodniu mam iść na lekcje? – zapytała wówczas.

– Owszem – odparła Josie.

– A za tydzień?

– Oczywiście.

Ana była zdumiona. Zimowa przerwa w nauce każdego dnia przynosiła coś nowego i potem powrót do szkoły, gdzie nic się zbyt nie zmieniał z dnia na dzień, był dla niej kamieniem obrazy. Powtarzalny charakter systemu nauczania gwałcił jej poczucie, że każdy dzień daje sposobność do heroicznych czynów.

– Wracaj do łóżka – powiedziała Josie, ale Ana podeszła, wdrapała się jej na kolana i udawała, że ssie kciuk.

– Nie martw się, Josie – pocieszyła ją córka. – Nie powiem Paulowi. – Posłała teraz matce jedno z tych swoich spojrzeń, spojrzenie spiskowca, które mówiło, że mogą zrezygnować z ceregieli i odgrywania ról, tej idiotycznej zabawy w matkę i córkę.

– Nie lubię, jak zwracasz się do mnie po imieniu – powiedziała Josie.

– Dobrze, *mamo* – odparła Ana, sprawiając, że to słowo zabrzmiało niedorzecznie.

– Wracaj do łóżka – powtórzyła Josie, spychając Anę z kolan. Dziewczynka ciężkim, teatralnym ruchem osunęła się na szorstkie deski pomostu. Wczołgała się z powrotem do chaty i chociaż Josie spodziewała się, że znowu usłyszy coś z jej ust, po dziesięciu minutach nic nie wskazywało na to, że Ana nie śpi. W przypadku jej córki – która zazwyczaj zasypiała w ciągu paru sekund i nie budziła się aż do rana – znaczyło to, że rzeczywiście zasnęła.

I wtedy, jakby w proteście przeciwko utracie nocnego towarzysza, w ciemności rozległ się skowyt kojota.

Znowu dzwonek. Josie otworzyła oczy, zobaczyła, że jej dzieci już nie śpią i siedzą przy Śladku, który kłapiąc maleńkimi szczękami, jadł właśnie kawałek suszonego mięsa wołowego.

– Kto dzwoni, *mamo*? – zapytał Paul.

– To pomyłka – odparła.

Zdała sobie sprawę, że obecność psa tylko pogarsza ich sytuację. Chcieli zniknąć, ale czyż nie było ryzyka, że właściciele Śladka wrócą po niego? Pomyślała, że być może pies należy do kogoś, kto mieszka w pobliżu, i – jak wiele szczeniąt – po prostu penetrował okolicę, kiedy natknął się na Paula i Anę i podreptał za nimi do drzwi chaty. Być może jego właściciele znali strażnika, być może pies przychodził tu przedtem i teraz telefonowali, żeby sprawdzić, czy go nie widział. A może był to telefon jakich wiele, ludzie dzwonili w różnych sprawach i nie miało to nic

wspólnego z Josie i jej dziećmi. Mogłaby wyjąć wtyczkę z gniazdka, ale gdyby strażnik zadzwonił i stwierdził, że telefon został wyłączony, to co? Musiała pozostawić sprawy swojemu biegowi.

– Chodźmy na spacer – zaproponowała, nie mówiąc Paulowi i Anie, że jej zdaniem istnieje przynajmniej pewna szansa, że Śladek zaprowadzi ich do swojego prawdziwego właściciela i prawdziwego domu. Zapakowała więc do plecaka krakersy oraz butelkę z wodą ze zbiornika, przywiązali sznurek do obroży przeciwko pchłom i ruszyli przez kopalnię do rosnącego za nią lasu. Pies nadal był nieśmiały; najpierw szedł z przodu, potem zawracał do dzieci, następnie przez pewien czas biegł na przedzie, po czym znowu wracał. Był bardzo niespokojnym albo niezbyt bystrym czworonogiem.

Kiedy jednak dotarli do kępy brzoź, odezwało się w nim poczucie celu i prowadził ich w dół zbocza, dopóki nie usłyszeli szumu pędzącej wody. Śladek przywiódł ich do małego strumienia przecinającego wąską dolinę i pił łapczywie.

– Mamo? Skąd się biorą różne języki? – zapytał Paul.

Chciał wiedzieć, dlaczego mówi się po włosku, w hindi i suahili, a nie tylko po angielsku, i dlaczego oni mówią po angielsku, i czy angielski jest najlepszym językiem. Josie spróbowała pokrótce wyjaśnić pochodzenie języków, rolę oddalenia oraz izolacji w ich powstawaniu. Wytłumaczyła, że ludzie żyjący daleko od innych mogli być ludźmi, którzy stworzyli własny język. Dodała, że potrafili oni tworzyć własne określenia na wszystko, i żeby to zademonstrować, podniosła kamień w kształcie ludzkiej głowy.

– Mogłabym na przykład nazwać tego rodzaju skałę *tapatok* – wyjaśniła. – I odtąd wszyscy nasi następcy właśnie tak by ją nazywali.

Ana podniosła bardziej okrągły kamień.

– Nazywam to *tato*.

– Takie słowo już istnieje – zauważył Paul. – I dlaczego miałybyś go nazywać *tato*? – Posmutniał i Ana to zauważyła. Chłopiec zszedł do wody, żeby pogłaskać psa, i wziął go na kolana. Jego siostra ruszyła najpierw za nim, po czym jej uwagę przykuło coś innego. Przechyliła głowę i zrobiła

kilka kroków naprzód, wchodząc w trawiastą kępę polnych kwiatów. Upuściła kamień i wskazała w górę.

– Wodospad.

Ujrzeni wąską białą smugę przecinającą zbocze urwiska nad nimi i opadającą z wysokości piętnastu metrów. Wszyscy bez słowa postanowili pójść do wodospadu. Kiedy dotarli w pobliże, okazało się, że ilość spływającej wody jest o wiele większa, niż im się wydawało. Przez chwilę spadająca woda wydawała się w pełni świadoma, złośliwie samobójcza w swym radośnie agresywnym locie ku ziemi. Najpierw dotarła do nich mgiełka i wtedy zatrzymali się, usiedli i przyglądali się upiornie białym palcom wodospadu. W ścianie mgły niczym salwujące się ucieczką ptaki odbijały się tęcze. Śladek trzymał się z daleka.

Josie podeszła bliżej, stąpając po mokrych głazach, starając się znaleźć sposób, żeby nie zmoknąć. Kiedy była już wystarczająco blisko, podłożyła dłoń pod spadającą wodę; poczuła jej siłę i odrętwiające zimno.

– Możemy ją pić? – zapytał Paul.

W pierwszym odruchu Josie miała powiedzieć, że nie, oczywiście, że nie, ale las zdążył ją już uspokoić, otworzyć, zrobiła więc coś, co pragnęła zrobić, a czego normalnie by nie uczyniła. Wyciągnęła z plecaka termos, opróżniła go, a następnie podstawiła pod strugę. Jej dłoń natychmiast zrobiła się mokra, ręka zmokła aż po bark, a termos błyskawicznie się nappełnił.

Widząc zdumione twarze Paula i Any, odwróciła się do nich, podnosząc przezroczyste naczynie ku słońcu i niebu, żeby się przekonać, czy woda jest czysta. Ona i jej dzieci ujrzały to samo – że zawartość termosu jest idealnie przejrzysta. Nie było żadnych pyłków, ziarenek piasku ani ziemi, żadnych zanieczyszczeń. Josie przytknęła naczynie do ust, a Paul zrobił szybki wdech i zapytał:

– Smaczna?

– Owszem – odparła i podała mu termos.

Wypił łyk i cmoknął. Skinął głową i wręczył termos siostrze, która śmiało wypila. Kiedy zaspokoila pragnienie, Paul zapytał:



– Czy pijemy z niego jako pierwsi? – Miał na myśli wodospad, ale Josie pozwoliła sobie na pewną swobodę w interpretacji. Tę wodę, płynącą w tym momencie? Tak, nikt inny nie pił jej przed nimi.

I tak mijały kolejne dni, każdy bezkresny, pozbawiony celu i możliwości wyrażania żalu. Jedli, gdy odczuwali głód, spali, gdy byli zmęczeni, i nie musieli nigdzie dążyć. Co kilka dni Ana pytała: „Zamieszkamy tu?” bądź „Pójdziemy tutaj do szkoły?”, ale poza tym zarówno ona, jak i Paul wyczuwali, że pobyt w chacie stanowi rodzaj odroczenia, okres poza jakimkolwiek kalendarzem, że nie ma nieuchronnego końca. Rano Paul i Ana wyciągali gry planszowe i karty, a około południa chodzili do wodospadu, żeby się pluskać w płytkiej wodzie. Mieszkali teraz w lesie, a las był niezniszczalny. Ana zachowywała się wspaniałomyślnie, a jej twarz promieniała nieziemskim blaskiem. Josie zdała sobie sprawę, że dzieci naprawdę przypominają zwierzęta. Dać im nieskażone jedzenie i wodę oraz świeże powietrze, a ich włosy będą lśniące, zęby białe, mięśnie jędrne, a skóra jasna. Za to pod dachem, w zamknięciu, staną się parchate, żółtookie, naznaczone własnoręcznie zadanymi ranami.

Podczas tych długich dni spędzonych w kopalni Peterssen Paul i Ana robili łuki z wygiętych patyków i kawałków gumy. Budowali i niszczyli tamy w rzece, układali kamienie w sterty, żeby wznosić mury i zamki ze skał. Czytali przy świetle świec. Josie nauczyła Paula rozpalać ogień w kominku. Niektóre popołudnia przedrzemali, w inne penetrowali budynki starej kopalni, a słońce przenikało przez nieszczelne dachy białymi błyskawicami, dziesiątkami małych reflektorów punktowych oświetlających kurz, rdzę i narzędzia, których od stu lat nikt nie trzymał w dłoni.

Codziennie spędzali setki nieskomplikowanych godzin i tygodniami nie widywali żywego ducha. Tygodniami? Stracili poczucie czasu. W ciągu dnia panującą wokół ciszę zakłócały tylko sporadyczne okrzyki ptaków niczym wrzaski obłąkanego sąsiada; wieczorem powietrze ożywało odgłosami żab, świerszczy i kojotów. Paul i Ana spali głębokim snem,

a Josie unosiła się nad nimi jak chmura zimną nocą nad rzędami wzgórz od świtu do wieczora grzejących się w słońcu.

Oboje dorastali we wspaniały sposób, wyrabiając w sobie samodzielność i zapominając o wszelkich troskach materialnych. Byli świadomi otaczającego ich świata, bardziej przejmowali się ruchem wody w rzece niż przedmiotami, które dało się kupić, lub szkolnymi plotkami. Josie była dumna z Paula i Any, z ich oczyszczających się dusz, z faktu, że teraz niczego od niej nie żądają, że przesypiają całą noc i cieszy ich spełnianie uciążliwych obowiązków, że lubią prac swoje rzeczy – i są o niebo lepsi niż w Ohio. Silniejsi, bardziej bystrzy, moralni, etyczni, logiczni, taktowni i dzielni. Zdała sobie sprawę, że właśnie tego przede wszystkim chciała od swoich dzieci: pragnęła, żeby były dzielne. Wiedziała, że będą miłe. Paul urodził się taki i dopilnowałby, żeby Ana też była miła, ale chodziło o to, żeby być dzielnym! Ana była z natury odważna, lecz Paul dopiero się tego uczył. Przestał się bać ciemności, zapuszczał się w każdy las z latarką lub bez. Pewnego dnia, wracając z lasu, zastała ich dwoje na zboczu wzgórza koło chaty; oboje byli boso, z łukami w rękach delikatnie brodzili w niewielkiej warstwie liści, obserwując coś, co dla niej było niewidoczne. Odwróciła się, zlustrowała las i w końcu ujrzała go, dziesiątaka spacerującego wśród brzoź z dumnie wyprostowanym grzbietem. Jej dzieci naśladowały ruchy jelenia na zboczu po drugiej stronie doliny; nie słyszał ich. Przeobraziły się w zupełnie inne istoty.

Przez cały czas szukała odwagi i autentyczności w mieszkańcach Alaski. Nie pomyślała, że może po prostu – nie, nie po prostu, ale jednak – kogoś takiego stworzyć.

Stopniowo kończyły się im podstawowe produkty żywnościowe. Najpierw zabrakło mleka, potem soku i pili tylko wodę – początkowo z pojemnika, potem z wodospadu. Zjedli wszystkie warzywa, później jabłka, a w końcu ziemniaki. Po dwóch dniach żywienia się orzechami, krakersami i wodą podróż do miasta stała się nieunikniona.

– Pojedziemy jutro – oświadczyła Josie.

– Nie chcę nigdzie jechać – odparła Ana.

Myśl o tym, że znowu będzie prowadzić chateau, narażać się po drodze na perspektywę spotkania się z kimś, kto może nadal ścigać jej rodzinę, przepełniła Josie paralizującym strachem. Chcąc ograniczyć ryzyko, wzięła śrubokręt i poszła do garażu, zamierzając zdjąć tablice rejestracyjne. Była w połowie drogi, kiedy usłyszała wołanie Paula.

– Mapa! – krzyknął, pędząc ku niej ścieżką, a za nim biegł Śladek. – Czy właśnie tutaj jesteśmy? – zapytał, wskazując na mapę. Była mało czytelna, pokazywała wysokość nad poziomem morza z dokładnością do pół metra, plątaninę zielonych linii, liczb i krętych ścieżek. W końcu jednak znaleźli na niej kopalnię i ustalili dokładne położenie chaty. – Jesteśmy w tym miejscu – rzekł.

– Zgadza się – stwierdziła Josie.

– Tutaj jest jakieś miasto – zauważył Paul, wskazując niewielką siatkę prostopadłych linii, która znajdowała się tuż za grzbietem wzgórza, zaledwie kilka kilometrów w linii prostej. Wyglądało na to, że przez wzgórze biegnie szlak prowadzący do miasta wzdłuż brzegu rzeki. Pojawiliby się niczym turyści, a potem jak turyści zniknęli, i nawet gdyby ktokolwiek zauważył ich troje i zapamiętał pomarańczowe krzaczaste włosy Any, mógłby powiedzieć tylko tyle, że wyszli z lasu lub że do niego wrócili. – I popatrz – dodał, wskazując szeroką niebieską nitkę. – To chyba rzeka.

– Jukon – potwierdziła Josie. Cały czas znajdowali się nad Jukonem lub kilka minut marszu od rzeki i nie mieli o tym pojęcia.

– Zabierzemy z sobą Śladka? – zapytał wieczorem Paul.

Rozważali pozostawienie psa samego w chacie, co wydawało się nierozsądne – porwałby tam wszystko na strzępy. Mogli go zamknąć w łazience, ale to byłoby okrutne.

– Chyba nie mamy wyboru – odparła Josie, układając podekscytowane dzieci do snu.

Josie siedziała na dworze z przedziurawioną gitarą na kolanach, wsłuchując się w obłąkaną noc. Nie miała ochoty iść do miasta. Zaczęła już myśleć, że mogliby zostać w lesie na zawsze. Nie tęskniła na razie za nikim i za niczym. Próbowwała wyczarować porządny akord, lecz nie zdołała. Starła się wybrać strunę, którąkolwiek, by wydobyć z gitary jakiś przyjemny dźwięk, i nic nie wskórała. Odłożyła instrument, weszła do chaty i stwierdziła, że Śladek stoi na futonie, jakby czekał na jej towarzystwo. Podniosła psa, który był lekki jak piórko, wyniosła go na dwór i głaskała, dopóki jego czarna sierść nie znieruchomiła i czworonóg nie zasnął. Poprzedniego dnia mniej więcej o tej samej porze rozległ się dzwonek telefonu, więc Josie była spięta. Nagle zaskrzypiały drzwi chaty.

– Mamo? – To była Ana.

– Powinnaś spać.

– Ale nie śpię.

Ana podeszła do Josie i oparła się o krzesło. Na jej twarzy malował się porozumiewawczy wyraz, taki sam jak wtedy, gdy zwróciła się do matki po imieniu. Kreśliła kółka na ręce Josie, poruszając wargami, jakby ćwiczyła coś, co musi jej powiedzieć.

– O co chodzi?

– Mamo, ja wiem, że tata nie żyje – powiedziała Ana i uśmiechnęła się ze skruchą.

– Co takiego?

W oczach dziewczynki błysnęły iskierki zwątpienia.

– Nie żyje, prawda?

– Nie, skarbie. – Josie objęła córkę ramieniem i przyciągnęła do siebie. – To nieprawda – dodała z ustami przy gęstych włosach Any pachnących dymem z drewna, słońcem i potem.

Dziewczynka odsunęła się od matki i zapytała:

– To gdzie on jest?

Josie delikatnie postawiła psa na ziemi, posadziła Anę na kolanach i podciągnęła jej drobne stopy, żeby móc ją mocno przytulić. Zastanawiała się, jak zareagować na to pytanie, jak się wykręcić od odpowiedzi lub

powiedzieć, że jej ojciec wyjechał czy też że oni wyjechali, albo że był na wakacjach, albo że ludzie się od siebie oddalają, bądź złożyć jakąś mglistą obietnicę, że już wkrótce się z nim zobaczą. Wiedziała jednak, że pora do niego zadzwonić. Ogarnęła ją nagła czułość na myśl o Carlu, bo przecież pomógł stworzyć tę małą istotę, którą teraz trzymała na kolanach i która pomyślała, że jeżeli Jeremy wyjechał i zginął, to jej ojciec, który wyjechał, też nie żyje. Rano, gdy będą w mieście, zatelefonuje do Carla oraz do Sunny, powie wszystkim, gdzie jest i dlaczego wyjechała, żeby wiedzieli, że wróca.

## XX

Absurdem było zamykać dom, który samowolnie zajęli, ale Josie zamknęła jednak drzwi na klucz, wiedząc, że gdy wrócą i spostrzegą, iż ktoś – na przykład prawowici lokatorzy – się w nim pojawił, prawdopodobnie zdołają dotrzeć niepostrzeżenie do chateau. Zastanawiała się, czy zabrać aksamitny worek z pieniędzmi, ponieważ jednak chata była teraz ich domem, uznała, że bezpieczniej będzie go zostawić. Ukryła worek za środkami czyszczącymi pod zlewem.

Ruszyli szlakiem rozpoczynającym się za ostatnim z budynków kopalni, teraz już budą, z której ostała się jedna ściana, przeleźli przez niski płot i poszli dalej. Ścieżka pięła się po zboczu wzgórza, a po czterystu metrach skręciła i zaczęła się wić wokół kolejnego niewysokiego szczytu, którego z chaty nie było widać.

– To pewnie jest Wzgórze Franklina – rzekł Paul, a Josie ekscytowała się wiarą, że to możliwe: że zdołali wyruszyć w nieznane z wykonaną ręcznie mapą i zobaczą prawdziwe punkty orientacyjne, topograficzne odpowiedniki tych, które widzieli na mapie znalezionej w chacie. Okrążyli wzgórze, przeszli wśród sosen i po prostu ujrzeli poniżej miasto, bardzo małe, nie więcej niż kilkuset mieszkańców, z zabudową skupioną w zakolu rzeki. Jej płynące z wolna brunatno-niebieskie wody mieniły się wyzywająco w przedpołudniowym słońcu. Pozostała część trasy spaceru, około półtora kilometra w dół, pokonali z zawrotną prędkością. Dzieci pędziły z góry pokrytą kurzem ścieżką, Śladek biegł to z przodu, to za nimi, a wszyscy mieli wrażenie, że robią coś niezwykłego.

Szlak oddzielało od miasta niewielkie pole kempingowe, krąg kamperów otaczających miejsce piknikowe z białymi stolikami

ustawionymi w półksiężyc. Josie zatrzymała się i popatrzyła na swoje dzieci, mając nadzieję, że wyglądają jak rodzina wracająca z krótkiej wycieczki po wzgórzach. Ana nosiła zwykłe tenisówki, a Paul skórzane trzewiki. Na plecach dźwigał szkolny plecak, a jego siostra niosła kijek przypominający kształtem karabin maszynowy – zapewniła matkę, że nie będzie z niego strzelać. Przypięli psu do obroży smycz zrobioną ze sznurka i zeszli ze szlaku. Na polu kempingowym nie było nikogo z wyjątkiem dwojga starszych ludzi siedzących na rozkładanych krzesłach po przeciwnej stronie, z twarzami zwróconymi ku słońcu. Kiedy Josie i dzieci znaleźli się na głównej ulicy miasteczka, spostrzegli, że nie jest to zwykły dzień.

– Mamo, czy to jakieś święto? – zapytał Paul.

Josie musiała się przez chwilę zastanowić. Czyżby obchodzono Święto Pracy? Nie. Na to było za późno. Ale ulice zostały zablokowane na paradę, która właśnie dobiegała końca. Josie, Paul i Ana znaleźli jednak miejsce przy jezdni i usiedli na krawężniku. W tym momencie minęła ich szkolna orkiestra, niewielka, lecz głośna, grając utwór soul z lat siedemdziesiątych, którego tytułu Josie nie mogła sobie przypomnieć i który mocno ucierpiał na tym amatorskim wykonaniu. Za orkiestrą paradowała grupa starszych kobiet za kierownicami kosiarek do trawy. Następnie kabriolet wiozący JULIĘ ZŁOŻĘ, SADOWNICZKĘ i NAUCZYCIELKĘ, która ubiegała się o miejsce w stanowej Izbie Reprezentantów. Potem zaś kilkanaścioro dzieci na rowerach, przebranych za uczestników wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Grupa z miejscowego ASPCA, licząca na to, że ktoś z gapiów przygarnie sześć czy siedem parujących psów, z których dwa nie miały nogi. Miejscowa szkoła średnia przygotowała platformę, na której prezentowano chyba wszystkie zajęcia pozalekcyjne – bliźniaczki w karategach, wysoki chłopak w stroju do koszykówki, chłopiec ze złotym medalem na szyi, prawdopodobnie jakiś szkolny dziesięcioboista. Za platformą szedł samotnie chłopak w stroju futbolisty. Platforma zamykająca pochód wiozła orkiestrę, dziesięcioro lub dwanaścioro siedzących blisko siebie dorosłych, którzy grali na bandžo i skrzypcach, bez wzmacniaczy,

posyłając w przestrzeń dźwięki americany ku powszechnej obojętności rozchodzącego się tłumu.

Podążyli za kilkuset osobami do parku, gdzie na tablicy widniała informacja, że za kilka minut rozpocznie się przyjęcie z okazji urodzin Misia Smokeya.

– Kto jest zaproszony? – dopytywała się Ana.

– To przyjęcie innego rodzaju – odparł Paul.

– Mogę zobaczyć zaproszenie? – powiedziała Ana.

Kiedy dotarli do parku położonego u stóp niewielkiego lesistego wzgórza, zastali tam większość mieszkańców miasteczka, część przy stołach ogrodowych, innych w kolejce do nadmuchiwanego domu w kształcie załamującej się fali z trzema dmuchanymi surferami.

Przygotowano już stół z dużym płaskim tortem z napisem SMOKEY. Wokół tortu leżały rozmaite broszury na temat ochrony przeciwpożarowej, zachęcające uczestników uroczystości do wspierania lokalnych strażników leśnych. Anę i Paula zwabił wóz strażacki, przy którym strażak z kozią bródką demonstrował, jak się używa topora. Stojąca obok kobieta z utapirowanymi włosami, ubrana w kombinezon khaki, pokazywała zebranych dzieciom pracę strażackiego węża ciśnieniowego. Josie pomyślała o osobliwościach strażackiej branży. Tych dwoje cierpliwie i bezceremonialnie świętowało urodziny Smokeya, podczas gdy w innej części stanu brygada walczących z pożarem więźniów wlokła się w nieznaną.

Nagle rozległ się stłumiony okrzyk i wszyscy odwrócili głowy. Z położonego za nimi wzgórza schodziły dwie kobiety w ogrodniczkach. Każda z nich trzymała za rękę olbrzymiego niedźwiedzia w dzinsach. To był Smokey. Ten Smokey postarzał się jednak, najwyraźniej wiódł siedzący tryb życia. Kroczył bardzo powoli, a spodnie sięgały mu wysoko ponad brzuch. Wyłonił się z lasu, lecz przypominał starszego mężczyznę, który spędził długi czas w szpitalu i po raz pierwszy od wielu miesięcy spacerował w świetle dnia w miarę samodzielnie.



Smokey stanął przed publicznością i pomachał jej niepewnie. Nie był niedźwiedziem, który pojawiał się we wszechobecnych telewizyjnych spotach na temat ochrony przeciwpożarowej. Tamten Smokey był brunatnym posągami nie do pokonania. To tamtego sobie wyobrażała, kiedy Jim obłapiał ją w kamperze, całe wieki temu. Ten miś, stojący przed urodzinowym tortem (bez świeczek) i wciąż podpierany przez dwie asystentki, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Nadmuchana fala odwróciła uwagę jej dzieci od misia. Ana zapytała, czy może iść, Josie się zgodziła, a Paul ruszył za siostrą, oddając matce smycz. Josie błąkała się z psem po parku, a potem, nie chcąc się znaleźć w gronie rodziców obserwujących, jak ich dzieci wspinają się i zsuwają z fali – nie była jeszcze gotowa do rozmów – przystanęła pod niewielką sosną. Wtedy usłyszała słabe, wzmagające się i cichnące dźwięki muzyki granej na żywo, które przypominały brzmienie orkiestry z parady.

Rozejrzała się i wreszcie dostrzegła w lesistym zakątku parku krąg dorosłych grających na gitarach i harmonijkach oraz... czyżby na oboju? Była to ta sama orkiestra, teraz jednak zmniejszona do dziewięciu osób. Ręce muzyków sunęły jak szalone po gryfach gitar, ramiona się obracały, a jeden mężczyzna, ten, który siedział dokładnie na wprost Josie, niczym żaba podrywał w rytm melodii swoje pałkowate nogi. Kiedy jednak podniósł głowę, Josie dała nura za drzewo i została tam przez jakiś czas, czując się jak idiotka, zważywszy, że Śladek był widoczny jak na dłoni, a gdyby tylko ktoś zechciał spojrzeć, to smycz zdradzała jej obecność.

– Widzę cię – powiedział ktoś.

Josie siedziała jak mysz pod miotłą.

– Za drzewem. Wszyscy widzimy ciebie i twojego paskudnego psa. Podejź do nas.

Josie miała ochotę uciec. Tamci nie widzieli jeszcze jej twarzy. Gdyby uciekła, mogłaby później wrócić jako normalna kobieta, a nie wariatka z za drzewa. Mogłaby przyprowadzić dzieci.

– Daj spokój – usłyszała. Ukazała się nieśmiało i podeszła do muzycznego kręgu, widząc, że większość spogląda teraz na nią i wszyscy

szczerze się do niej uśmiechają.

– Usiądź – zaproponował pierwszy muzyk. To on ją zauważył, to on się do niej zwrócił. Brodaty i chudy, blisko czterdziestoletni, gibki, jasnooki, ubrany w koszulę w szkocką kratę i bejsbolówkę. Wskazał Josie miejsce w pobliżu, naprzeciw siebie.

– Moje dzieci są na nadmuchiwanej fali – powiedziała, kiwając głową w stronę olbrzymiego balonu po drugiej stronie parku. Usiadła między jakąś blondynką trzymającą coś w rodzaju klawesynu a mężczyzną z obojem. Brodacz znowu zaczął grać i teraz muzyka brzmiała głośniej. Josie siedziała w chmurze dźwięku, w beznadziejnym dźwiękowym chaosie, który tworzyło natarczywe brzdąkanie i gwałtowne pociągnięcia smyczkami po strunach skrzypiec, a mimo to ta muzyka była radosna, szalona. Co to za utwór? Stylizowany na ludowy, miał jednak w sobie elementy bossa novy i kiedy Josie wydawało się, że już go rozpoznaje, mężczyzna koło niej, co najmniej siedemdziesięcioletni, z niesfornym kołtunem siwych włosów i siwą brodą przypominającą oko cyklonu, zaczął śpiewać.

„In che mondo...

Viviamo, im-pre-ve-dibile...”

Czyżby śpiewał po włosku? Nie spodziewała się, że w tym odległym miasteczku, w tym parku nad brzegiem Jukonu, z ust tego człowieka padną włoskie słowa. Oczy miał zamknięte. Umiał śpiewać. Jak należało przetłumaczyć ów tekst? Josie uznała, że mniej więcej tak: „W tym świecie, w którym żyjemy, niesamowitym”. Potem mężczyzna zaśpiewał ten sam wers bądź jakąś jego wersję po angielsku i brzmiał on trochę inaczej, niż się spodziewała.

„W tym świecie.

W którym żyjemy. Nieprzewidywalnym. Nieprzewidywalnym.

W tym świecie smutku jest również piękno i jest sprawiedliwość...”

Wspaniała pieśń, zdecydowanie zbyt wspaniała jak na ten park w to popołudnie, zdecydowanie zbyt wspaniała jak na nią. Słońce było

w zenicie, wprawiało w stan upojenia i Josie natychmiast dała się porwać tej melodii. Kiwała głową i przytupywała.

„In che mondo...

Viviamo, im-pre-ve-dibile...”

Zerknęła w prawo, żeby spojrzeć na muzyka grającego na oboju. Gdy zauważył, że Josie go obserwuje, że przygląda się jego długim palcom na długiej czarnej rurze instrumentu, mrugnął. Czy mogło być coś bardziej fallicznego i mniej pociągającego niż obój? Po drugiej stronie kręgu muzykujących jakaś kobieta grała na skrzypcach, chociaż w tym ludowym kontekście prawdopodobnie należało nazwać je skrzypkami. Josie obserwowała wszystkich muzyków, ich wędrujące gwałtownie w górę i w dół dłonie. Nie były to ruchy naturalne. Gdyby nie dźwięk, wyglądałyby na obłąkańcze. Te gwałtowne gesty, brody i policzki przyklejone do drewnianych instrumentów, palce dotykające określonych strun w określonych momentach.

Nagle pieśń się skończyła i Josie poczuła ogromne zmęczenie. Ci ludzie nie wiedzieli, czego właśnie dokonali. Do czego są zdolni. Ci cholerni muzycy nie zdawali sobie sprawy ze swojej mocy. Dla osób pozbawionych talentu muzycznego, dla Josie, to, co zdołali zrobić, siedząc w parku w pobliżu nadmuchiwanej fali, było zarówno cudowne, jak i niesprawiedliwe. Oni korygowali naciąg strun i uśmiechając się do niej, mamrotali coś o tonacjach i pogodzie, podczas gdy ona miała wrażenie, że właśnie usłyszała coś absolutnego w swej zdolności usprawiedliwienia jej życia na tym świecie. Jej dzieci z jednej strony usprawiedliwiały to, że codziennie oddycha, że korzysta z ziemskich zasobów, a z drugiej to – że może wysłuchać takiej pieśni w takim gronie. To były trzy główne usprawiedliwienia jej życia. Oczywiście nie pamiętała o innych rzeczach. Tylko co to za rzeczy?

– Po prostu improwizujemy – wyjaśnił brodac.

Josie miała ochotę powiedzieć, żeby nie kpił. To coś więcej niż improwizacja. Dla was to takie łatwe, a takie trudne dla reszty ludzi.

– Masz jakieś życzenia? – zapytał. – Mam na imię Cooper.

Josie pokręciła głową, próbując się cofnąć. Pragnęła tylko posłuchać, nie chciała w tym uczestniczyć. Miała ochotę wrócić za drzewo, żeby ich słuchać w ukryciu.

– Zagrajcie cokolwiek – odparła. Chwyciła kępkę trawy i wyrwała ją z ziemi. Zastanawiała się, czy ci ludzie będą znali *Carousel*. Albo *Kiss Me, Kate*?

– Podaj tytuł. Na pewno to znamy – zaproponował Cooper. Teraz większość muzyków patrzyła na Josie, rzeczywiście oczekując życzenia. Może ci rozpieszczeni czarodzieje nudzili się z sobą.

– W porządku – powiedziała zachrypniętym głosem. Były utwory, które знаła, takie, które jej zdaniem oni na pewno znają, oraz takie, które chcieliby zagrać, wybrała więc tę trzecią kategorię.

– *This Land Is Your Land?* – zaproponowała, wzruszając ramionami, choć wiedziała, że ten pomysł przypadnie im do gustu. Skinienia głową i uśmiechy. Dokonała dobrego wyboru, a oni zaczęli się szykować do gry. Zaczął klawesyn, potem dołączyła reszta muzyków. Zaśpiewali całą piosenkę, wszystkie sześć zwrotek, osiem refrenów, i domagali się, żeby Josie śpiewała razem z nimi. Wydawało się, że piosenka trwa dwadzieścia minut, godzinę. Od czasu do czasu Josie zerknęła w stronę nadmuchiwanej fali, wypatrując Any i Paula, którzy wspinali się po nadmuchiwanym schodach, zsuwali z grzbietu zjeżdżalni i tak w kółko.

– Grasz na czymś? – zapytał oboista.

Josie odparła, że nie, że w ogóle nie ma muzycznych uzdolnień.

– A próbowałaś się kiedyś nauczyć?

– Chryste, tyle razy – wyznała zgodnie z prawdą. Odkąd była nastolatką, aż do trzydziestki cały czas usiłowała grać na fortepianie, gitarze, saksofonie. Okazała się kompletnym beztalenciem.

Teraz zobaczyła, że Paul stoi u dołu zjeżdżalni i się rozgląda, osłaniając dłonią oczy niczym skaut wypatrujący posiłków.

– Muszę iść – powiedziała Josie, wstając. Rozległo się kilka pomruków żalu, a ktoś, chyba Cooper, powiedział, żeby wróciła, że grają tu co sobotę i niedzielę w południe, że każdy jest mile widziany. Kiedy to mówił, Josie

zdała sobie sprawę, że tego dnia jest pewnie sobota i stąd parada, dlatego nikt nie pracuje i jutro znowu będą grali, a ona chce przy tym być.

Wróciła pod zjeżdżalnię i przez jakiś czas przyglądała się, jak jej dzieci zsuwają się, zeskakują i wspinają się z powrotem. Ta zabawa nie odbywała się jednak w cywilizowanych warunkach. Dzieci było za dużo, wszystkie też górowały wzrostem i masą ciała nad Paulem i Aną. Gąszcz ciał spadających na siebie nawzajem w drodze w dół, stopy i łokcie mijające o włos dziecięce twarze i szyje.

– Ostrożnie – ostrzegła, ale jej dzieci nie słuchały. Nie bały się, potrafiły radzić sobie same. Josie obserwowała genetycznie ukształtowaną odporność. Przyglądała się, jak wchodzą po schodach za innymi dziećmi, depczącymi im po rękach, a potem patrzyła, jak spadają na łeb na szyję, lądując na kolanach i brzuchach innych uczestników tej zabawy. I chociaż najpierw otwierali szeroko oczy, zaszokowani świadomością, że mogą doznać niewielkich obrażeń, postanawiali zjeżdżać z grzbietu fali i wspinać się na nią znowu, raz za razem.

– Zaczekajcie tu – powiedziała do Paula. – Zaraz wrócę.

Odwróciła się i poszła z powrotem do muzyków, ale ci już zniknęli. Zlustrowała park i w końcu odnalazła jednego z nich, Coopera; szedł w stronę parkingu. Podbiegła ku niemu, upewniając się, że nadal widzi falę niosącą jej dzieci. Cooper spostrzegł, że Josie się zbliża, i na jego twarzy odmalował się dziwny uśmiech.

– Woody Guthrie – rzekł, stojąc nieruchomo z gitarą w futerale.

– To zabrzmie dziwnie – powiedziała Josie – biorąc pod uwagę, że nie znam się na muzyce, ale przez pewien czas miałam w głowie muzykę i odkąd usłyszałam, jak gracie, zastanawiam się, czy moglibyście mi pomóc.

– Masz w głowie muzykę?

Josie posłała mu błagalne spojrzenie, które mówiło: Tylko nie drwij, proszę.

– Nie, nie – dorzucił. – Rozumiem. Potrzebujesz kompozytora?

Josie nie była pewna, czy chodzi jej o komponowanie, czy o coś innego.

– Sama nie wiem. Myślę, że gdybyś zagrał parę akordów, wiedziałabym, które z nich słyszałam w mojej głowie, i moglibyśmy zabrać się do tego w ten sposób.

– Hm – mruknął Cooper z wzrokiem wbitym w ziemię, a na jego twarzy odmalował się dyskretny uśmiech. Josie zrozumiała, że uznał jej pomysł za pretekst, żeby zaciągnąć go do łóżka. Musiała wyprowadzić go z błędu, to zaś wymagało drobnego kłamstwa.

– Będziemy tu kilka tygodni, do czasu aż mój mąż wróci z podróży w interesach do Japonii – powiedziała, ciesząc się, że jej dzieci są daleko i nie słyszą tej bajeczki. – Gdy zobaczyłam, jak gracie, pomyślałam, że mogłabym wam to wynagrodzić. Trudno było nie zauważyć, że niektórym z was przydałaby się opieka dentystyczna. Jestem stomatologiem.

Cooper pomasaował pokryty zarostem policzek.

– A więc lekcje w zamian za opiekę dentystyczną? – podsumował. Najwyraźniej uznał, że to całkowicie racjonalna transakcja.

– Niezupełnie lekcje – odparła Josie i wyjaśniła, że chce, żeby on grał, a ona mogłaby słuchać i gdy usłyszy coś, co się jej spodoba, poprosi, by zagrał to jeszcze raz, szybciej lub wolniej. Będzie wiedziała, co chciała usłyszeć, gdy tylko to usłyszy. Nie ma muzycznych uzdolnień, ale zna tę muzykę lub ją słyszała, i skomponowała niezliczoną ilość melodii w swojej wyobraźni lub przynajmniej o nich myślała w nagłych przebłyskach natchnienia. Nie umie jednak wyrazić tej muzyki ani zapisać jej na papierze, nie zna nawet brzmienia poszczególnych instrumentów.

Cooper powoli kiwał głową, przyjmując to wszystko do wiadomości.

– Brzmi rozsądnie – rzekł.

– Gdzie byłaś? – zapytał Paul.

– Tam – odparła Josie. – Niedaleko tamtych drzew.

Nie wiedzieć czemu, nie chciała jeszcze opisywać synowi koncertu muzyki folkowej ze swoim udziałem. Paul, istota wszechwiedząca,

domyślił się, że matka coś zataja, i wyraził to dobitnie dociekliwym i rozczarowanym spojrzeniem, ale nie naciskał.

– Jesteśmy głodni – oznajmił.

Obeszli całe miasteczko w poszukiwaniu sklepu spożywczego. Spodziewali się znaleźć jakiś sklepik, ale zamiast niego na końcu głównej drogi ukazał się olbrzymi obiekt, wystarczająco duży, by pomieścić wszystkich mieszkańców miasteczka. A przed nim, obok wejścia, ujrzeli rzecz niepojętą: automat telefoniczny.

– Chodźcie – powiedziała Josie, gromadząc monety.

Ustawili się w komplecie – Paul, Ana oraz Śladek – przed budką i obserwowali, jak miejscowi wchodzą do sklepu i z niego wychodzą, uzupełniwszy zaopatrzenie niezbędne na grilla i pikniki. Josie poczuła ucisk w żołądku. Od tygodni egzystowała w zupełnym odcięciu od swojego życia w Ohio, od Carla, Florydy, procesów sądowych i ewentualnego pościgu policji.

– Gotowi? – zapytała.

– Na co? – zdziwił się Paul.

– Na nic – odparła Josie, uświadamiając sobie, że to pytanie do niej, i wiedząc, że odpowiedź brzmi: Boże, nie. Wybrała numer bez namysłu. W słuchawce rozległo się odległe brzęczenie.

– Halo? – Głos Sunny.

– To ja – powiedziała i spojrzała na Anę, która otworzyła szeroko oczy. W oczach Josie błysnęły łzy.

– Och, Josie, skarbie – powiedziała Sunny. – Gdzie ty jesteś? Rozmawiałam z Sam. Powiedziała, że wyjechałaś bez słowa pożegnania.

Josie wyobraziła sobie Sunny w jej domu, tym samym domu, siedzącą w jadalni, gdzie lubiła rozmawiać przez telefon, przyglądając się, jak kolibry siadają na karmniku, który tam zainstalowała.

Josie w chaotyczny sposób opisała fragmenty ich podróży od czasu, gdy widzieli się z Sam. Miała wrażenie, że od pobytu w Homer minęły lata.

– Zawsze chciałam tam pojechać – zauważyła Sunny. – Teraz jestem już za stara.

– Przestań!

– Dzwonił Carl – powiedziała Sunny i chyba czekała na jakieś wyrazy zdumienia, ale Josie przez chwilę nie była w stanie oddychać ani zdobyć się na żaden komentarz. Zważywszy na wiek Sunny, zastanawiała się, czy przybrana matka mogła mu zdradzić miejsce jej pobytu.

– I co mu powiedziałaś?

– Och, nie odebrałam telefonu. I nie oddzwoniłam. Powinnam była?

– Nie, nie. Nie rób tego, proszę. Sama do niego zadzwonię.

Ana wyciągała rękę po słuchawkę i Josie oddała ją małej.

– Cześć, mówi Ana. – Przez minutę dziewczynka trzymała telefon przy uchu, kiwając od czasu do czasu głową. W takich sytuacjach zwykle zapominała, że rozmówca jej nie widzi, i sądziła, że sygnały mimiczne wystarczą. Tracąc po chwili zainteresowanie dalszą rozmową, oddała słuchawkę matce.

– Josie – powiedziała Sunny. Jej głos obniżył się o oktawę. – Wiedziałaś, że ona zmarła?

– Kto taki?

– Evelyn Sandalwood.

Josie nie miała o tym pojęcia.

– Zaledwie pięć dni temu. Przechodziła jakiś zabieg związany z leczeniem raka.

Josie milczała.

– Nie wiedziałaś... o Boże, tak właśnie myślałam. Josie?

– Nic mi nie jest – odparła, ale jej nagle ochrypły głos drżał.

– Helen pozwoliła sobie zadzwonić do twojej prawniczki. Najwyraźniej nic się nie zmieniło. Ale ty pewnie spodziewałaś się tego.

Josie nie wiedziała, co powiedzieć. Rozejrzała się, popatrzyła na głowy swoich dzieci. Ana głąskała Śladka po ogonie, a Paul obserwował, jak jedna z platform, zdemontowana po paradzie, jedzie do domu.

– Cała ta walka, na nic się to nie zdało – zauważyła Sunny. – Ona nic z tego nie ma. Nie żyje. Ty nie masz nic. To bezsensowne. Ale Josie...

– Słucham?



– Nie pokonali cię.

Josie zdawała sobie z tego sprawę.

– Wiem – powiedziała i poczuła przypływ mocy. Miała poczucie triumfu, nie porażki. Myślała: „Evelyn, poleciałam na północ od twojej wściekłości”. Pomyślała o zięciu Evelyn, o prawnikach, ich chytrych spojrzaniach i dodała w myślach: „Poleciałam na północ od waszego gniewu, odleciałam i w ogóle go nie poczułam. Zniknęłam. Nie ma mnie”.

– Miałaś mnóstwo powodów, żeby w to wątpić – powiedziała Sunny.

Josie nie czuła jednak wątpliwości. Czuła się niezwykła. Miała ochotę kontynuować. Znalazła tu wszystko, czego potrzebowała. Słyszała głos Sunny, miała Anę i Paula. Powiedziała Sunny, że ją kocha, że wkrótce znowu zadzwoni, ale nie jest pewna, kiedy to nastąpi. Wcześniej zamierzała zadzwonić również do Carla, ale teraz uznała, że to może poczekać. Dość wieści z domu na dzisiaj.

– Musicie zostawić ją na zewnątrz – powiedziała kasjerka. Cały czas obserwowała dzieci oraz Śladka i kiedy próbowali wejść do sklepu z psem, była gotowa.

– To on – wyjaśniła jej Ana, ale kasjerce było to obojętne.

Przywiązali Śladka do słupka przed sklepem.

– Szybko się uwiniemy – obiecał Paul psu, który płażał wokół słupka w sposób wskazujący, że zanim wrócą, zsika się lub wypróżni na chodnik. Josie zanotowała sobie w pamięci, że ma kupić foliowe worki.

– No to świetnie – powiedziała Ana, po czym spędzili całą minutę, stojąc we troje w drzwiach sklepu. Wydawał się on bardzo szeroki, mieścił dwadzieścia parę rzędów żywności zapełniającej dwumetrowe regały. Byli w takim sklepie zaledwie kilka tygodni temu, ale wydawało się, że od tamtej pory minęły lata. Klientami były te same osoby, które widzieli na paradzie i w parku, w dzinsach i czapkach bejsbolowych, teraz jednak Josie czuła się wśród nich obco. W tym błękitnobiałym świetle, pośród całej tej obfitości, gdzie wszystko było takie czyste, a posadzki miały antyseptyczną powłokę, czuła się nieswojo.

– Możemy skorzystać z prawdziwej toalety? – zapytał Paul.

– Jeżeli zdołacie ją znaleźć – odparła Josie. Ana poszła razem z bratem.

Josie chwyciła wózek i zabrała się do ładowania doń w pośpiechu wszystkiego, czego potrzebowali – ryżu, fasoli, puszek z zupami i kukurydzą. Evelyn Sandalwood nie żyła. Josie pomyślała o pogrzebie, o gniewie napędzającym zmarłą. Sunny wydała się taka stara. Ile miała teraz lat? Siedemdziesiąt pięć. Siedemdziesiąt sześć. Będzie musiała się z nią szybko zobaczyć. „O Boże”, pomyślała, wyobrażając ją sobie jeszcze starszą, niezdolną zatroszczyć się o siebie. Co się wtedy stanie? Z pomocą przyjdą jej wszystkie młode kobiety, którym wcześniej pomogła. Będzie musiała się z nią zobaczyć. Wesprze ją. O Boże, powtórzyła w myślach. W tym momencie rozpaczliwie tęskniła za Sunny. Chciała znowu do niej zadzwonić, spotkać się z nią natychmiast. Potem jednak wycofała się z tego zamiaru, jej umysł domagał się dalszej wędrówki. Przypomniał, że tutaj jest zdrowsza, że ona i jej dzieci rozwijają się zdecydowanie szybciej, niż mogła sobie wyobrazić miesiąc temu. Czy to znaczyło, że nie mogą wrócić do dawnego życia? Była przekonana, że w tej chwili nie musi podejmować żadnych decyzji. Zaraz kupią żywność i wrócą do chaty, a potem co?

Paul i Ana wyszli z toalety. Napełnili wózek chlebem, sokiem w puszkach, zwykłym mlekiem, mlekiem w proszku, płatkami zbożowymi, granolą, warzywami oraz mięsem różnego rodzaju i przywieźli to wszystko kobiecie, która nie wpuściła Śladka do sklepu.

– Możemy go zobaczyć? – zapytał Paul.

– Tylko nie ruszajcie się z chodnika – ostrzegła Josie.

Zanim jednak skończyła płacić – sto osiemdziesiąt osiem dolarów, złodziejstwo, farsa – wrócili.

– Tam jest jakaś pani – poinformował Paul.

– Niedobra pani – dodała Ana.

Josie zapłaciła, zostawiła torby przy kasie i wyszła za dziećmi na dwór. Nad Śladkiem, trzymając smycz, stała wielka kobieta o czarnych włosach z niebieskimi pasemkami.

– To mój pies – oświadczyła.

– Słucham? – zdziwiła się Josie.

– Skąd go zabraliście? Mam wezwać policję? – Kobieta była w dzinsach i puchowej kamizelce. Zdążyła już wyciągnąć telefon. Paul miał łzy w oczach. Widząc, w jakim jest stanie, Ana zaczęła płakać. Łzy niczym maleńkie plastikowe klejnoty spływały jej po buzi.

Josie wyjaśniła, że Śladek zawędrował aż za grzbiet wzgórza, do kopalni, co najmniej trzy kilometry od miasteczka, że był przestraszony i zrozpaczony.

– Pani pies przyszedł za moimi dziećmi do domu – dodała. – Daliśmy mu jeść i zaopiekowaliśmy się nim.

– Tam nikt nie mieszka – odparła kobieta, mając na myśli kopalnię. – Chyba muszę wezwać szeryfa.

– Pilnujemy domu pod nieobecność właściciela – powiedziała Josie, już teraz czując, że musi zakończyć rozmowę i zostawić tę kobietę, która przybrała agresywną pozę, a w oczach miała wyraz gwałtownego oburzenia. Paul i Ana stali ukryci za matką. Josie wiedziała, że pies jest stracony – najwyraźniej rzeczywiście należał do tej kobiety – a miasto małe i prawdopodobnie wszyscy się tutaj znali. – Ocaliliśmy tego psa – dodała. – Moje dzieci go uratowały.

Kobieta odchyliła się do tyłu i skrzyżowała ręce, kiwając głową i uśmiechając się, jakby już kiedyś słyszała te bujdy. Tylko tyle Josie mogła zrobić, żeby nie powiedzieć: „Nie zasługujesz na tego psa” bądź „Idź do diabła”, ale wiedziała, że muszą uciec, ulotnić się.

– Chodźmy – powiedziała i wepchnęła swoje płaczące dzieci z powrotem do sklepu, skąd zabrali torby z zakupami i wyszli od tyłu.

– Nic się nie stało – powiedziała Josie, kiedy szli ku miejscu, w którym rozpoczynał się szlak, wiedząc, że tak nie jest. Paul szedł za matką i siostrą zgarbiony, powłócząc nogami, i wzdychał. – Ma porządny dom – dodała, zdając sobie sprawę, że to też nie jest prawdą. Ana szła z rękami w spodniach.

– Ręce w moich spodniach! – wrzasnęła, żeby rozweselić brata, a on tylko przewrócił oczami.

Znajdowali się niemal na początku szlaku, gdy Josie uświadomiła sobie, że tamtędy też nie mogą iść. Nie w świetle dnia. Ryzyko było niewielkie, ale właścicielka Śladka mogła donieść, że kobieta z dwójką dzieci znalazła jej psa na terenie kopalni i chyba mieszka tam na dziko. Być może wykrada również inne zwierzęta i opiekuje się nimi.

– Zaczekajcie – powiedziała, rozglądając się. Przed nimi znajdowało się pole kempingowe, jakaś kobieta ustawiała antenę satelitarną zainstalowaną na dachu jej kampera. Tuż nad rzędem sosen przeleciał hydroplan. A za drzewami płynął Jukon. – Chodźmy tam. Urządzimy sobie piknik.

Usadowili się w zakolu rzeki; Ana znalazła gdzieś ostry patyk, którego koniec zanurzyła w wodzie, a potem przytknęła do nosa.

– Pachnie ładnie.

Jedli z ponurymi minami i obserwowali, jak mija ich niesiony prądem, pozbawiony załogi ponton. Josie myślała o Evelyn, pragnąc wykrzesać z siebie odrobinę smutku z powodu jej śmierci, czuła jednak tylko daremność tego wszystkiego, tej nieuzasadnionej wściekłości, nieuchronności tego, że ofiary rodzą ofiary.

– Ściemnia się – zauważył Paul, wskazując na sącące się z nieba światło.

– Pośpieszmy się – odparła Josie. Niosła zakupy w sześciu foliowych torbach, po trzy w każdej ręce. Paul i Ana prosili wcześniej, żeby dała im część, ale Josie wiedziała, że i tak po kilku minutach zrezygnują z niesienia, wyrównała więc ciężar w obu dłoniach i ruszyli szybkim krokiem.

– Za ciemno – orzekła Ana.

Gdy dotarli na pole kempingowe, zapadł zmrok i kampery były skąpane w blasku księżyca. Właściwie był to półksiężyc zabarwiony na pomarańczoworóżowy kolor i nie dość jasny, żeby mógł ich prowadzić.

– Przepraszam – powiedziała Josie.

W pobliżu był jeden otwarty sklep przy stacji benzynowej, którą wcześniej mijali. Zaprowadziła więc dzieci do niego wzdłuż drogi nad

rzeką, pod jasnymi lampami. Zostało jej osiem dolarów i miała nadzieję, że będą tam mieli jakiś mniejszy model latarki, w rodzaju tych, które nosi się przy kluczach.

Nie było takich. Posłała Paula, żeby poszukał w całym sklepie, ale nadaremnie. Mieli w sprzedaży jedną latarkę, urządzenie za czterdzieści pięć dolarów, które chyba nadawało się do wysyłania sygnałów świetlnych samolotom i statkom.

– Nie macie po prostu jakiejś zwykłej latarki? – zapytała kobietę za ladą.

– Przykro mi – odparła sprzedawczyni. – Mamy jednak świece. Straciliście zasilanie?

Najwidoczniej w związku z pożarami miały już miejsce przerwy w dostawie prądu i sklep musiał mieć zapas świec. Sprzedawczyni wyjaśniła, że w ostatnim miesiącu trzykrotnie sprzedali cały zapas. Tak więc Josie opuściła stację z dwunastopakiem świec, każda z blaszaną obręczą zatrzymującą roztopiony wosk, oraz paczką zapalek. Z ich pomocą mieli się przedostać przez las oraz grzbiet wzgórza i wrócić do swojej chaty.

– Dostaniemy po jednej? – zapytał Paul.

Josie była pewna, że zgoda na to, by każde z jej dzieci trzymało własną świecę, stanowi jedyny sposób na przekonanie ich do tego zadania – przejścia przez las o dziewiątej wieczorem ze świecą za jedynego przewodnika.

– Tak – odparła, jakby planowała to od początku. Po czym, zdając sobie sprawę, że z pełnymi torbami w rękach w ogóle nie będzie w stanie trzymać świecy, użyła ostatecznego argumentu: – Będziecie musieli we dwójkę oświetlać nam drogę. Ja nie mogę tego zrobić.

Zabrzmiało to bardziej dramatycznie, niż miało zabrzmieć, ale Paul i Ana połączyli przynętę. Ruszyli drogą wzdłuż rzeki, a przy polu kempingowym dali nura przez jezdnię i pogrążyli się w ciemności. Świece zapewniały krąg światła pozwalającego im widzieć siebie nawzajem oraz swoje upiornie białe koszule. Jego niewielki zasięg sprawiał jednak, że wszystko, co ich otaczało, było jeszcze bardziej mroczne. Kiedy szli, przed

oczywiście Josie cały czas z zatrważającą nagłością wyrastały drzewa. Mogła tylko nadal wierzyć, że są na właściwej ścieżce, że ta ścieżka się nie rozgałęzia ani nie prowadzi okrężną trasą, a ponieważ stale lekko się wznosi, to pną się po zboczu wzgórza i przez jego grzbiety.

– Coraz bardziej śmierdzi – zauważył Paul. Miał rację. Powietrze napływające z terenów objętych niekontrolowanymi pożarami wydawało się gęstsze i bardziej gryzące.

Jutro wróci popracować z Cooperem. Uśmiechnęła się pod nosem, sama nie wierząc, że zaproponowała coś takiego komuś nieznanemu. Zgodził się i teraz w jej głowie roilo się od pomysłów, szczegółowych analiz oraz zwrotów akcji. Spektakl o Grenadzie? Czy to mieliby zgłębić w pierwszym rzędzie? A może *Rozczarowanych – musical*? Albo rzecz obejmującą całą Alaskę. *Alaska!* Nie, bez wykrzyknika, ponieważ nie było to miejsce tak ostentacyjne, lecz obszar napięć, niepewności, stan w ogniu. Alaska z dwukropkiem. *Alaska*: Tak. Spektakl rozpoczynałby się od obrazu Stana. Od postaci Stana i jego żony tonącej w morzu białej wykładziny dywanowej, zamykającej drzwi przed Josie i jej dziećmi, od widoku poruszającego się chateau. Josie myślała przez chwilę o *Starlight Express*, z aktorami na wrotkach – tego rodzaju fiaska można by uniknąć. Wystąpiliby w nim Norwegowie oraz nagie nimfy pod prysznicem, magicy z Luksemburga. Gość odgadujący kody pocztowe? To on zakończyłby spektakl, przyćmił wszystkie inne postaci, tak jak to uczynił na statku wycieczkowym. Można by umieścić tam Jima, Grenadę. Trzeba by wprowadzić Kyle’a i Angie. Oraz wszędzie broń.

– Mamo? – zapytał Paul. – Czy ktoś już to kiedyś zrobił?

Paul zadawał to pytanie od czasu do czasu, ilekroć znaleźli się w nowej sytuacji, ilekroć wydawało się, że coś nie gra. Zadał je raz, gdy zsiakał się w spodnie w szkole. Chciał wiedzieć, czy ktoś już to kiedyś zrobił. Precedensy zapewniały komfort psychiczny. „To się zdarza codziennie” – powiedziała wówczas Josie. Teraz odparła:

– Chodził w ciemności? Co noc, synku, ktoś chodzi w ciemności.

Przez chwilę wydawało się, że jej sformułowanie tylko pogorszyło sprawę, przywołując na myśl armię skradających się nocnych spacerowiczów, ale Paul chyba był usatysfakcjonowany i Josie powróciła do rozmyślań o swoim spektaklu. Czy można sprawić, by w teatrze co jakiś czas rozlegał się wystrzał? Aktorzy będą śpiewali, orkiestra grała, ale co kilka minut powietrze przeszyje huk wystrzału z ręcznej broni palnej i nikt nie będzie na to zwracał szczególnej uwagi. Kto został zastrzelony? Czy to był prawdziwy wystrzał? Sztuka toczyłaby się dalej. Josie pomyślała, że nazajutrz wypróbuje to rozwiązanie – rodzaj arytmicznego zakłócenia, które mogło oznaczać śmierć, ale nie uciszy muzyki – z zespołem Coopera. Obląkańcza, głośna muzyka – musiało to bowiem brzmieć niczym zorganizowane szaleństwo – nie milkłaby ani na chwilę.

– Mam na ramionach szampana! – krzyknęła Ana.

Potem zaś:

– Dźgaj, dźgaj, dźgaj!

Oraz:

– PBS kids kropka com!

Josie się roześmiała, Paul też tak zareagował i oboje wiedzieli, że wywołując śmiech, Ana nie przestanie, dopóki nikt jej do tego nie zmusi. Zachęcona, śpiewała jeszcze głośniej.

– Szampan! Mam go na ramionach! – Gdzie mogła usłyszeć te słowa? Z drugiej strony Ana była dostrojona do innej częstotliwości galaktycznej i nigdy nie było wiadomo, jakie odbiera sygnały. Josie nie miała innego wyboru, niż pozwolić jej na bezsensowny bełkot; oboje musieli z ochotą zapomnieć o tym, że trzymając w dłoniach roztopiające się świece, idą po zboczach wzgórz w ciemności, bez psa, którego mieli jeszcze rano.

– Moja już się prawie wypaliła – stwierdził Paul i przystanęli, żeby Josie mogła zapalić zupełnie nowe świece od tych sękatych i wypalonych; wydawało się, że w podobny sposób pobudziły one do działania Paula i Anę. Josie postanowiła nie myśleć o ryzyku, że zaatakują ich niedźwiedzie, wilki lub kojoty. Widziała wcześniej tablice ostrzegające

o bliskości tych wszystkich zwierząt, ale sądziła (bez żadnych dowodów na poparcie swojej tezy), że świece je odstraszają.

Tak więc w spektaklu od czasu do czasu będą się rozlegać strzały z broni palnej. Ogień z moździerzy. Gromy, tyle że bez deszczu. Będą rogi oraz instrumenty smyczkowe, ale dominującą rolę odegrają instrumenty dęte drewniane. Klarnet – oraz flety! Mają niewinne brzmienie, lecz zawsze sygnalizują odstępstwo od normy. Podkreślą element szaleństwa. Powietrze będzie pełne dymu. Chwilami z widowni trudno będzie śledzić akcję i wszyscy, zwłaszcza Alaskañczycy, będą się zastanawiali, dlaczego Alaska, ostatni dziki zakątek Ameryki, niepokalany i nienaruszony, obdarty i brudny, wieczny i niezależny, a z drugiej strony całkowicie uzależniony, Alaska, z której wysyła się rurociągami miliardy litrów ropy, żeby ją potem spalić i wypuścić spaliny do atmosfery, teraz płonie. Będzie więc również element tragedii.

– Jest tam! – krzyknął Paul. Po drugiej stronie grzbietu wzgórza widać było zardzewiałe dachy zabudowań kopalni, ukośny skrawek czerni na tle nieba, i Josie odniosła dziwne wrażenie, że jest w domu. Opuszczone górnicze miasteczko było teraz ich domem. Ścieżkę oświetlał półksiężyc i dzieci mogły teraz bez trudu znaleźć drogę.

– Zaczekajcie – powiedziała Josie i zlustrowała okolicę w poszukiwaniu samochodów. Oczekiwała po trosze, że będzie na nich czekał policyjny radiowóz. Nikogo jednak nie było. Nadal byli sami i ta świadomość przyprawiła ją o szybsze bicie serca.

– Możemy pobiec? – zapytał Paul.

Ana spojrzała na brata, jakby nie była pewna, czy może poprzeć tę sugestię. Po czym skinęła energicznie głową, plując sobie w brodę, że zwątpiła w jakiegokolwiek radykalne działanie, zwłaszcza wiążące się z bieganiem.

– Ale tylko do chaty – zastrzegła Josie i te słowa sprawiły jej radość. Dzieci pobiegły naprzód ciemną ścieżką w kierunku bursztynowego światła.



Josie zastanawiała się, czy można by użyć w tym spektaklu zwierząt. Wilków i niedźwiedzi. Owcy gruborogiej. Orła zrzucającego ją z wysokości trzystu metrów na pewną, niemą śmierć. Okrutne, logiczne zabójstwo z dala od cywilizacji. Kolejne wystrzały. Ktoś zginie, ale nikogo to nie obejdzie. Łuny pożarów. Ten odgłos – powolne, uspokajające skwierczenie ognia – mógłby być elementem ścieżki dźwiękowej. Syreny. Mimo woli wyobraziła sobie wywołanie aktorów przed kurtynę: policjanci, więźniowie i strażacy. Uciekinierzy i bojownicy. Pożary – zainscenizowane – będą szerzyć się za nimi, spychając ich ku krawędzi sceny. W końcu aktorzy zeskoczą z niej na widownię i rzucą się ku drzwiom. Kolejne wystrzały, prawdziwe lub urojone, nikt nie będzie wiedział, ponieważ wszyscy opuszczą w popłochu teatr i uciekną w mrok nocy. Kiedy znajdą się na zewnątrz, nie będą pamiętać, skąd przybyli.

Josie otworzyła drzwi chaty, wpuściła dzieci do środka i przekręciła włącznik światła. Nic się nie stało. Spróbowała jeszcze raz, znowu nic. Weszli do chaty przy świetle świec, próbując włączyć cokolwiek, i stwierdzili, że coś się stało: odcięto dopływ prądu. Otworzyła lodówkę, czując jej ulatujące zimno, wrzuciła zakupy do środka i zamknęła drzwiczki, zastanawiając się, ile z tego, co kupili, zepsuje się do rana.

– Czy to normalne? – zapytała Ana.

Josie odwróciła się i dostrzegła buzię córki, pomarańczową w świetle świecy, oraz jej błyszczące oczy. Anie chodziło o to, czy światło naprawdę ma być włączone. Może ktoś wyłączył prąd, bo nie powinni tu być? Czy powinni być na Alasce, w opuszczonej kopalni, sami, w tym domu, który nie należy do nich? Co to znaczy, że jest tu ciemno, a oni mają tylko świece i właśnie pokonali górę, żeby tu dotrzeć, i ani zwierzęta, ani ludzie nie zrobili im krzywdy? Jak to wszystko jest w ogóle możliwe?

– Całkowicie – odparła Josie.

Zapalili następne świece i umyli zęby, a Josie czytała im fragmenty *Opowieści z Narnii* C.S. Lewisa z egzemplarza, który znaleźli w szufladzie łazienkowej szafki. I w migoczącym blasku świec, czytając *Księcia*

*Kaspiana*, Josie czuła, że wiodą życie pokrewne egzystencji bohaterów tej książki. Przeszli wprawdzie tylko trzy kilometry w ciemnościach przez las i grzbiet wzgórza do swojego domu w dwukrotnie opuszczonym miasteczku górniczym, ale miała wrażenie, że nie ma wielkiej różnicy między tym, do czego zdolne są ona i jej dzieci, a tym, czego dokonali bohaterowie C.S. Lewisa. Wszystko zaczynało się od odwagi, od bycia nieustraszonym, posuwania się przed siebie, na przekór drobnym trudnościom, niezawracania z obranej drogi. Odwaga stanowiła po prostu formę posuwania się naprzód.

## XXI

Cooper mieszkał w prawdziwym domu w stylu ranczerskim, z czerwonej cegły, krytym czarnym dachem. Dla Josie było to zaskoczeniem, choć sama nie wiedziała dlaczego. Przecież powiedział jej, że mieszka w miasteczku, i miał na sobie czyste rzeczy, kiedy się poznali, chyba więc nie sądziła, że żyje w namiocie? W folkowym koncercie jego orkiestry było najwyraźniej coś, co przywodziło na myśl robotników sezonowych.

Przeszła razem z dziećmi górskim szlakiem do miasteczka. Cooper otworzył drzwi, zanim nacisnęła guzik dzwonka.

– W samą porę – powiedział. Kazał jej przyjść o jedenastej. Pozostali muzycy mieli zjawiać się pojedynczo po południu.

Dzieci weszły do domu niechętnie, potem jednak Ana pobiegła na tylną werandę, gdzie zauważyła starego konika na kółkach. Paul wszedł powoli, rozglądając się tak, jakby nie wykluczał, że to miejsce w przyszłości stanie się jego domem.

– Zrobiłem lemoniadę – rzekł gospodarz. – Dzieci mogą ją wypić na zewnątrz, jeżeli zechcą – dodał, wskazując na ogród za domem, gdzie Ana sprawdzała właśnie słabe punkty konika. Na werandzie leżało kilka innych zabawek, wszystkie wyblakłe od słońca, wiatru oraz deszczu i pozbawione najważniejszych części. – Albo zostać i się przyglądać.

Ana była już na dworze i nie mogła go usłyszeć, ale Paul został u boku matki, gdy Cooper wprowadzał ją do przestronnego salonu, który niemal w całości, oprócz stożka światła wpadającego przez okrągły świetlik pośrodku, był pogrążony w mroku. Na podłodze leżały zachodzące na siebie perskie dywany, nad kominkiem wisały dwie maski teatralne, wesoła

i smutna. Josie pogratulowała mu domu, który przypominał grootę, był czysty i zadbane. Cooper usiadł na skórzanej pufie i oparł gitarę na udzie.

– Pomyślałem, że możemy zacząć we dwójkę – rzekł. – Żebyś po prostu się zorientowała. Lub żebym ja się zorientował.

– A reszta? Nie mają nic przeciwko badaniu kontrolnemu? – Josie próbowała sobie wyobrazić, jakie narzędzia jest w stanie zdobyć i wysterylizować. Będzie musiała rozgiąć spinacz do papieru. – To profesjonaliści czy...? – Nie była całkiem pewna, czemu o to pyta. Wiedziała przecież, że nie są zespołem zawodowych muzyków i grywają na paradach i w parkach na Alasce.

Cooper odparł, że nie są profesjonalistami. Wyjaśnił, że pracują na pełnym, lub na tyle pełnym jak wszyscy w miasteczku, etacie. Paru pracowało sezonowo przy wydobywaniu ropy, jeden w rybołówstwie, jeszcze inny był emerytowanym drwalem.

– Suki jest perkusistką. Podaje do stołu u Spinellego. A Cindy jest u nas nową listonoszką. Śpiewa – dodał i stało się jasne, że Cindy coś w sobie ma; była piękna? Czy ona i Cooper byli z sobą blisko? – Kilka tygodni temu okazało się, że umie śpiewać. Nie było jej na paradzie. – A więc gitara? – zapytał. – Bo gram też na fortepianie, trąbce...

– Gitara wystarczy – odparła Josie.

– Myślisz o piosence czy...? Pewnie masz już tekst.

Josie nie miała w pamięci żadnych słów – jedynie setki pomysłów z poprzedniego wieczoru.

– Może powinieneś rozpocząć od paru niższych akordów – zaproponowała. – Przyszło mi to do głowy, gdy wczoraj, pod koniec tej ostatniej piosenki brzdąkałeś na gitarze.

Cooper zagrał na próbę kilka akordów, a potem jeden, który zabrzmiał właściwie.

– Co to było?

– G.

– Po prostu G? Nie ges, gis ani nic takiego?

– Po prostu G. Mam grać dalej?

– Powinnam to zapisywać – zauważyła Josie.

– Zapamiętam – uspokoił ją Cooper, po czym poszedł do kuchni, skąd wrócił z notesem i ołówkiem. Paul siedział blisko Josie w milczeniu i chyba rozumiał, co się dzieje. Josie wiedziała, że teraz powinna zachowywać się normalnie, z opanowaniem – nie tworzyć wrażenia, że ta sytuacja to moment zwrotny, w którym chłopiec zda sobie sprawę, że jego matka opuściła racjonalny świat.

– Możesz to dla mnie zapisać? – zapytała Paula.

Chłopiec chwycił skwapliwie notes.

– Zapisz G – powiedziała, ale on już to zrobił. Podkreślił tonację i spojrzał na matkę, teraz już zaangażowany, wyzbyty wcześniejszych obaw.

Josie poprosiła Coopera o inne akordy, równie niskie jak G. Zagrał dwa następne, nazwał je A i C, a Paul to zapisał.

– Masz w domu fortepian? – zapytała Josie.

Cooper się uśmiechnął, a Paul wyciągnął rękę, żeby wskazać mały fortepian stojący w kącie salonu. Josie zerknęła za okno z tyłu domu i nie dostrzegła żadnych śladów obecności Any.

– Możesz sprawdzić, co ona robi? – poprosiła Paula.

– Nie – odparł, a Josie zaniemówiła z wrażenia. – Chcę zostać – dodał łagodniejszym tonem. – Chcę słyszeć.

Ana pojawiła się z drugiej strony domu, niosąc rogi jelenia. Wydawało się, że mówi do nich albo do siebie, ożywiona, lecz poważna.

– W porządku – stwierdziła Josie i zwróciła się do Coopera: – Czy kiedy ty będziesz grał G, mogłabym grać na fortepianie?

– Oczywiście – zgodził się gospodarz, a Paul zapisał: „Mama na fortepianie”.

Josie uderzyła w klawisz instrumentu. Zabrzmiało to brzękliwie i nieodpowiednio. Jej dłoń powędrowała dwadzieścia klawiszy dalej, ale ten dźwięk także okazał się zupełnie chybiony. Znalazła miejsce pośrodku klawiatury i uderzyła we właściwą strunę. Zabrzmiało to jak dzwon. Jak głos Sunny. Jeszcze raz uderzyła w ten sam klawisz.

- Ładne – ocenił Cooper.
- Co to był za dźwięk? – zapytała.
- His.

Paul zapisał tę informację, a Josie naszła pewna myśl, zbyt mglista jeszcze, by dało się ją wyrazić. W tym momencie trudno było powiedzieć, czy ów fortepianowy dźwięk powinien być jej głosem. W głowie słyszała to brzdąkanie, ciche brzdąkanie Coopera, a potem głos czysty jak dzwon, wysoki, lecz mocny, liryczny, lecz zdecydowany. Był on zarówno jej własnym głosem, jak i głosem Sunny.

- Tej właśnie nuty szukasz? – zapytał Cooper. – A jakieś inne?

Josie zaczęła uderzać w sąsiednie klawisze, ale żaden z tych dźwięków nie rozbrzmiewał tak pewnie jak ten pierwszy.

- Możesz zagrać znowu G? – zapytała, a on spełnił jej prośbę. – A czy teraz możesz przejść między G, F i D? Zrobić z tego jakąś piosenkę?

Cooper zagrał wskazane akordy i przez chwilę brzmiały one właściwie, dopóki nie zaczął wypełniać przejść dodatkowymi ozdobnikami.

– Nie, nie, nie w ten sposób – powiedziała Josie i sparodiowała to, co przed chwilą robił. Cooper się roześmiał i powrócił do normalnego rytmu, od którego zaczął. Paul skrzętnie wszystko zapisywał. – Dobrze, dobrze – pochwaliła i skupiła uwagę z powrotem na fortepianie. Zagrała swoje his, po czym przeskoczyła trzydzieści centymetrów dalej i znalazła kolejną nutę, która przypadła jej do gustu.

- Co to za dźwięk? – zapytała.
- Gis – odparł Cooper.

Teraz grała te dwie nuty na przemian, a wydobywający się z fortepianu dźwięk przywodził na myśl złoczyńcę wchodzącego po bardzo stromych schodach. W oczach zakręciły jej się łzy, oddech stał się płytki, ale palce dalej stukały w klawisze, teraz z większą siłą. Dzięki temu brzmiało to jak opis zdarzeń. Pomyślała, że właśnie tak ma brzmieć, nie wiedziała jednak, co opisuje ta muzyka, co dokładnie relacjonuje.

- Powinienem dalej grać? – upewnił się Cooper.

– Tak! – odparła, nie podnosząc wzroku. Widziała jedynie klawisze przed sobą i swą grą sprawiała, że stąpanie było głośniejsze, potem cichsze, szybsze, a później wolniejsze. Zrobiła pauzę, grała dalej. Pomyślała, że to brzmi dokładnie tak, jak powinno, chociaż nie chciała tego usłyszeć ponownie.

– Idę sprawdzić, co robi Ana – powiedziała i wyszła na dwór. Potrzebowała przerwy. Nie wytrzymała. Z werandy na tyłach domu spostrzegła w niewielkim lesie córkę z porożem na głowie.

– Wszystko gra? – zapytała.

– Szukam żabiego przyjaciela – wyjaśniła Ana.

– Rozumiem – odparła Josie i wróciła do domu. Paul gryzmolił coś zawzięcie w notesie, jakby chciał uniknąć kontaktu wzrokowego z dwiema kobietami obecnymi w salonie.

– Dwójka nowo przybyłych – rzekł Cooper.

Pierwsza z nich została przedstawiona Josie jako Cindy, wokalistka. Była jasnowłosą kobietą o twarzy trzydziestoletniego cherubina, ubraną w bezrękawnik i szaroniebieskie spodnie pocztowca. Okazało się, że druga to Suki, Azjatka, osoba gibka i muskularna. Miała na sobie polarową kamizelkę oraz szorty. Właśnie ustawiały we dwie zestaw perkusyjny Suki.

– Więc jesteś dentystką? – powiedziała Cindy. – Od kilku lat nie robiłam przeglądu kontrolnego. Mam przechłapanie?

– Myślę, że nic ci nie będzie – odparła Josie. – Sprawdźmy potem.

– A dokładnie po czym? – zapytała Suki. – Coop twierdzi, że jesteś kompozytorką.

Josie spojrzała na Coopera, którego oblicze nie zdradzało żadnych zamiarów. Uznała jednak, że nie zaszkodzi nadużyć zaufania.

– Amatorką – odparła.

– Wszyscy jesteśmy amatorami – zauważyła Cindy.

Cooper spoglądał na ekran swojego telefonu.

– Reszta przyjedzie jedną furgonetką – oznajmił. – Ale dopiero za jakiś czas. Możemy zacząć?

Josie usiadła na brzegu kanapy, wyprostowana, z uniesionymi nieco dłońmi, wskazującymi na jej rolę dyrygenta.

– Improwizujemy – wyjaśnił Cooper obu kobietom. – Po prostu się odprężcie. – Zaczął od G i Josie natychmiast poczuła się pewniej. Ten akord wydawał się właściwy i przydawał jej siły. Wydawał się równie niewzruszony jak ziemia pod ich stopami. – Po prostu powiedz Cindy, kiedy ma zaśpiewać.

– Dziękuję – powiedziała Josie. – A teraz przechodź między tym dźwiękiem a F. Sam zdecyduj, w jaki sposób.

Cooper zagrał więc F, następnie G, a Josie spojrzała na Cindy, na której twarzy odmalowało się zaurczenie połączone z obawą.

– Gotowa? – zapytała Josie.

Cindy skinęła głową.

– Zaczynj od his – zaproponowała Josie.

– Tylko tę nutę? Jakies słowa?

– Cokolwiek. Dźwięki bądź słowa.

Cindy zaśpiewała szybko ciąg nut, coś w stylu fa-la-la-la, i zabrzmiało to źle. Josie się skrzywiła, wokalistka ujrzała grymas na jej twarzy i umilkła.

– Nie tak?

– Masz piękny głos – powiedziała Josie. – Może trochę niżej? I gdy będziesz śpiewała, to nie musi być ładne. Może być: Ja! Ja-ja-ja! Jaaaaa-ja-ja! Albo brzmieć niczym wołanie do kogoś, kto zaraz wtargnie na jezdnię na ruchliwej ulicy.

Cindy spróbowała i znowu źle to zabrzmiało. Była niepewna. Próbowała naśladować Josie, lecz to brzmiało fałszywie.

– Wymyśl dowolne słowa – zaproponowała Josie. – Byle brzmiały jak ponaglenie.

Cooper przez cały czas głośno brzdąkał na gitarze, z coraz większą siłą. Josie skinęła mu głową. *Bardzo dobrze.*

W oczach Cindy widać było, że się zastanawia nad słowami, które by pasowały do natarczywego tonu, i sylabami oraz nad próbką staccato, którą



zademonstrowała jej Josie. Zdecydowała się chyba na jakiś wariant i zamknęła oczy, a kiedy Cooper zagrał przejście, początek melodii, znowu je otworzyła i w tym momencie wyglądała jak opętana.

– Na! Na no! No no no! Na na no!

Śpiewała te słowa, niemal krzycząc, i czuła się wspaniale. Josie nieświadomie wstrzymała oddech. Cindy miała oczy wbite w ścianę, unikała wzroku Josie i Coopera. Cooper znowu patrzył na wokalistkę i kiwał głową na znak aprobaty. W końcu Cindy spojrzała na Josie, chcąc się upewnić, czy powinna kontynuować, a Josie potwierdziła energicznym skinieniem głowy, ponieważ teraz już ją uwielbiała, ponieważ Cindy wyrażała śpiewem muzykę, którą Josie miała w sobie. Paul przestał notować.

– W porządku. Gotowa? – zapytała Josie, zwracając się do Azjatki.

Suki podniosła pałeczki.

– Masz w głowie jakiś dźwięk? – zapytał Cooper.

Josie odparła, że rzeczywiście coś się tam wykluło, i chcąc to opisać, wydobyła z siebie odgłos toczenia, toczenia i bębnienia przypominającego uderzenia ulewnego deszczu w zapadnięty dach werandy. Suki spróbowała odtworzyć ten dźwięk i udało jej się to natychmiast. Brzmiał on bardzo podobnie, a nawet lepiej niż ten w głowie Josie, więc poprosiła, by perkusistka dalej wystukiwała go na którymś z zainstalowanych przed nią bębnów, jakby rozpętała się nad nimi burza, a deszcz i grad spadały gwałtownymi falami. Suki znowu zaczęła grać i teraz burza rzeczywiście nadciągała fala za falą, uderzając raz mocniej, raz lżej, raz szybciej, raz wolniej, zawsze jednak była to ta sama burza, strugi deszczu i bryłki lodu na zapadniętym dachu werandy. Suki tworzyła burzę na dworze, a Cooper imitował łopot wielkich skrzydeł w domu zalewanym ciągłym deszczem. Josie nie pamiętała, gdzie słyszała ten dźwięk, ale przypominał on jej dom – dom, który kiedyś miała. Gdzie znajdowała się taka weranda? Gdzie był taki dach bombardowany w ciemnościach kroplami deszczu i kulkami gradu?

Ruchem dłoni dała znak wokalistce, żeby znowu się włączyła.

– Na na no! Na no no no! Na no no no no! – Na końcu każdego wyśpiewywanego przez Cindy wiersza słychać było złość. Suki nadal wyczarowywała kaskady wody i gradobicie, bębniąc szybko i powoli, a Cooper wygrywał na gitarze ciche akordy. Pograżony w mroku pokój wypełniały głośne dźwięki. – Na no na! Na no no no! Na na no no! – ciągnęła Cindy do utraty tchu, wieńcząc swoją wokalizę długim „naaaaaaa”. Gdy kończyła, jej głos cudownie drżał i tak bardzo przypominał czasy, gdy Josie była nastolatką, tę zamierzchną przeszłość, oraz całą następną dekadę koszmarnego, przesyconego żalem, zadawanego samej sobie bólu, który zawierał się w tym przeciągłym „naaaaaaaa”. Josie odchyliła głowę i gapiła się w sufit wyczerpana.

– To było naprawdę świetne – ocenił Cooper.

Josie skinęła głową z powagą, promieniejąc w duchu i ciesząc się z tych słów. Wyraził w nich szacunek dla tego, co robią, jakby rzeczywiście wierzył, że ten proces twórczy nie jest niczym nowym i ma swoją wartość.

Otworzyły się drzwi. Josie odwróciła się i ujrzała w nich wysokiego mężczyznę. Wyglądał znajomo. Był jednym z wykonawców wczorajszego koncertu. W rękach trzymał wiolonczelę.

– Witaj, Frank – rzekł Cooper i podszedł do wiolonczelisty. Frank miał na sobie obszytą futrem sztruksową kurtkę, zdecydowanie zbyt ciepłą jak na panującą tego dnia pogodę, spodnie z szarej flaneli i gumowce. Zamienili kilka słów przy drzwiach i Cooper wszedł szybko do kuchni, żeby przynieść dwa krzesła, które ustawił w salonie.

Frank podszedł do Josie z ręką wyciągniętą na powitanie. Można było odnieść wrażenie, że elementy jego pociągłej twarzy – obwisłe policzki opadające na kołnierz kurtki oraz małe bystre oczy – kompletnie do siebie nie pasują.

Rozległo się pukanie do drzwi i ukazała się w nich kolejna twarz, siwowłosa mężczyzna, którego Josie nie pamiętała z parku, z gitarą. Tuż za nim pojawiło się pięć następnych osób. Dwie niosły gitary, jedna puzon, kolejna trąbkę. Ostatnia weszła starsza kobieta ze skrzypcami.

– Wieść się rozeszła – powiedziała na powitanie i zamknęła drzwi.

– Tam robi się dziwnie – rzekł Frank wiolonczelista, wskazując na świat za oknem, kiedy już przyniósł z kuchni krzesło i usiadł koło Coopera. – Wiatr wieje w tę stronę – dodał.

Josie nie była pewna, co miał na myśli, ale uznała, że dla miejscowych to rodzaj czytelnego skrótu myślowego.

– Więc się przygotujcie – rzekł Cooper. – Już zaczęliśmy z całkiem dobrym skutkiem. Wszyscy znają Josie? Oto ona – dodał i muzycy tłoczący się w podwójnym kręgu skinęli jej z szacunkiem głowami.

Paul gorączkowo notował. Josie zerknęła mu przez ramię i spostrzegła, że wymienia każdy instrument, opisując też grającą na nim osobę: „Starsza pani, czerwona koszula, brudne dłonie”.

Josie zauważyła coś za oknem i wpadła na pewien pomysł.

– Mogę to tutaj wnieść? – zapytała Coopera, ale nie czekała na odpowiedź. Wyszła na taras z tyłu domu, gdzie wiało mocno i niebo barwiło się na żółto, wzięła ławkę do podnoszenia ciężarów i wtaszczyła ją do salonu. Cooper podniósł ręce na znak kapitulacji, a Josie przeszła obok i postawiła ławkę na środku dywanu, między nim a Suki. Gdy muzycy rozgrzewali się i stroili instrumenty, położyła się na niej na wznak, utkwiała wzrok w sufit i poczuła, że tak właśnie ma być.

– Wszyscy gotowi? – zapytał Cooper i zwrócił się do Josie: – Zaczynamy od tego samego?

– A nie moglibyśmy zacząć od trąbki?

Trębacz, korpulentny mężczyzna około pięćdziesiątki w zapiętej na ostatni guzik koszuli i okularach, przybrał komiczną minę zadufka, prostując się na krześle.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Lionel.

– Coś trochę w rewiowym, trochę w tragicznym stylu – powiedziała Josie do sufitu. Lionel zaczął grać i zabrzmiało to lepiej, niż mogła sobie wyobrazić. Przypominało wiele tych starych płyt, które mieli w domu w Rosemont, tę smutną starą trąbkę przywodzącą na myśl proces rozpadu

i dorosłych ludzi pogrążających się w żalu. Taki dźwięk rozbrzmiewał w niemal każdym musicalu, jaki pamiętała. Ciekawe dlaczego.

– Może teraz wiolonczela? – powiedziała, zdając sobie sprawę, że ten smutek zostanie zwielokrotniony. „Jak przyjemnie to słyszeć” – pomyślała, wiedząc, że wiolonczelista gra tylko dla nich, że słyszą go tylko osoby zgromadzone w tym pokoju. Rozejrzała się i zobaczyła, że muzycy kiwają głowami; niektórzy mieli zamknięte oczy.

– Trochę werbli? – zaproponowała.

Suki zaczęła grać powolnego marsza i we trójkę, będąc muzykami, ludźmi niesprawiedliwie obdarzonymi mocą natychmiastowego splatania dźwięków swoich instrumentów, zdołali stworzyć coś, co brzmiało jak prawdziwa melodia, zmysłowa i uwodzicielska, mogąca stanowić muzyczną zapowiedź wejścia na scenę femme fatale. Josie zamknęła oczy i nagle przypomniała sobie moment, kiedy jej matka pojawiła się na szczycie schodów odziana w staromodne futro z norek – które otrzymała od swojej matki. Schodziła, kołysząc biodrami w rytm jakiejś starej piosenki z płyty puszczonej na jej życzenie. Co to była za płyta? Oczy miała mocno umalowane kredką do powiek. Josie liczyła wtedy chyba dwanaście lat i taki widok matki, istoty seksualnej, zdolnej do teatralnych gestów i sztuczek, zachwyił ją i speszył. Stała u stóp schodów razem z ojcem. Trzymając go za rękę! Przypomniała sobie teraz, jak dziwnie było trzymać go za rękę w wieku dwunastu lat, ale przecież robiła to, prawda? Stali tam i przyglądali się, jak uwodzicielsko schodzi po schodach pielęgniarzka w futrze i makijażu, z kręconymi i lśnącymi włosami.

– Josie? – Głos Coopera. – Jeszcze ktoś?

Josie usiadła, patrząc na twarze pozostałych dziesięciorga muzyków. Wszyscy byli w pogotowiu.

– Przepraszam – powiedziała. Spojrzała na Paula, w którego oczach pojawiły się załączki niepokoju. – Myślę, że jesteśmy gotowi do wspólnej gry.

– Kontynuować od miejsca, w którym przerwaliśmy? – upewnił się Cooper.

– Nie – odparła Josie. – Niech to będzie coś innego. Zaczniemy od twojego G. Teraz w szybszym tempie. Po prostu graj, G, F i F, tylko szybciej.

Cooper zaczął grać, a ona kolistym ruchem ręki zasygnalizowała, żeby przyśpieszył. Zrobił to i salon utonął w dźwiękach gitary. Josie wskazała na Suki, która zaczęła bębnić w powolnym, dostojnym rytmie.

– Teraz ty – powiedziała Josie, wskazując na Franka. Już po pierwszym pociągnięciu smyczkiem w poprzek kobiecych krągłości jego instrumentu Josie wstrzymała oddech. Wiolonczela przemówiła. Głosem bardziej ludzkim niż inne instrumenty. Umierający mężczyzna, konająca kobieta. Oczy Josie natychmiast wypełniły się łzami. Frank zauważył to i był gotów przerwać, ale dała mu wyraźny znak, żeby kontynuował. Wskazała na Cindy, która zaczęła śpiewać, teraz jednak czyniła to w niższym rejestrze, odpowiadając wiolonczeli w sposób, jakiego Josie się nie spodziewała, ale uznała go za właściwy, przynajmniej na razie. Suki, z własnej woli, zabębniła głośniej i Josie się to spodobało. Frank również grał głośniej, tnąc smyczkiem po strunach wiolonczeli, wydobywając z niej na przemian kilka nut; Josie nie miała pojęcia, co to za nuty, jakie akordy, ale brzmiały one niczym wszystkie życiowe rozczarowania, świadcząc o jej namiętym uczuciu z toksycznej przeszłości, a każda kolejna jej częśćka smakowała bardziej gorzko, lecz napełniała ją ciemnym, odurzającym płynem. Dźwięki wiolonczeli przypominały przytłaczające bezustannie brzemie straconego czasu.

Zza jej pleców wyrwały się skrzypce. Odwróciwszy się, Josie ujrzała starszą kobietę z zamkniętymi teraz oczami i okularami na czubku głowy. Ona jednak grała coś innego, zwawszą melodię, i Josie pokiwała energicznie głową. Nadeszła pora. Wskazała na skrzypaczkę, uśmiechnęła się i zawołała:

– Wszyscy na tę nutę!

I teraz, jeden po drugim, muzycy włączali się do gry. Gitary powtórzyły ten dźwięk raz i drugi. Puzon przydał mu ciężkiego brzmienia codzienności, trąbka słonecznego blasku, cech gwałtownych eksplozji irracjonalnej

radości – Josie wiedziała teraz, że trąbki brzmią niczym śmiech – a w uzupełnieniu tego wszystkiego obój i klarnet zapewniły pierwiastek szaleństwa. Drewniane instrumenty dęte brzmiały jak obłąkane istoty, niczym wyjące nury i kojoty, jak myśliwiec nurkujący w drodze z nieba ku swojej zagładzie, niczym śpiew tancerek rewiowych. Nagle w drzwiach ukazała się Ana z porożem pod pachą.

– Chodź! – zawołała Josie i wyciągnęła ręce do córki.

Dziewczynka nie podeszła do niej, tylko zaczęła się skradać z rogami na głowie, jakby była jeleniem próbującym wejść niepostrzeżenie do pokoju. Muzycy uśmiechnęli się, mrużąc oczy, a ona napawała się tym widokiem. Josie była pewna, że jej córka jest bliska wybuchu.

Miała rację. Ana upuściła poroże i podniosła ręce, jakby chciała ściągnąć więcej energii z każdego kąta salonu. Teraz ruszyła sprintem w miejscu. Obróciła się na jednej stopie, potem na drugiej. Tańczyła w szokującym rytmie w stylu funk, podrygując, wijąc się i raz po raz wyrzucając nogę w kierunku jakiegoś muzyka, „salutując” w ten sposób każdemu z nich – Frankowi, Lionelowi oraz wszystkim innym – i nigdy właściwie żadnego nie dotykając; był to teatralny kopniak braterstwa i wspólnego szaleństwa. „Kopniak dla *ciebie!*” – wołała, po czym odwracała się, żeby „dokopać” kolejnej osobie. „I dla *ciebie!*”

Muzycy z trudem panowali nad sobą. Ana była gwiazdą, urodzoną aktorką teatralną, istotą stworzoną, by popadać w przesadę i kwestionować usilne próby przydania godności człowieczeństwu. Zwierzęta! – mówiło jej ciało. Jesteście zwierzętami. Ja też jestem zwierzęciem. I dobrze mi z tym! Wyrzuciła wysoko nogę w kierunku Paula, po czym znowu kopnęła, tym razem wytrącając mu z rąk notes. Zachwycona przyciągnęła go do siebie, chcąc, żeby tańczył razem z nią. Nie bardzo wiedząc, jak dotrzymać kroku siostrze, najpierw po prostu poderwał ją z podłogi, a ona poddała się temu, kierując ręce ku niebu niczym łyżwiarka figurowa niesiona przez partnera. Po chwili zapragnęła jednak znaleźć się na dole i Paul postawił ją na ziemi. Teraz zaczęła wokół niego krążyć i chłopiec poszedł za jej przykładem. Krążyli tak wokół siebie, pomrukując i udając, że drapią, a w końcu po

prostu zaczęli podskakiwać, zachęcając się nawzajem do coraz wyższych skoków. Przez cały czas muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze; Cooper trzącał teraz struny, jak się zdawało, dwa razy mocniej i gwałtowniej. Tempo, coraz bardziej gorączkowe i szalone, rosło. Josie rozejrzała się i stwierdziła, że muzycy opuścili swoje miejsca. Część tańczyła, podnosząc wysoko kolana, i wierzgała, idąc za przykładem Any. Dwaj leżeli na podłodze, pedałuując nogami w powietrzu. Trębacz był w kuchni i grał przy otwartych drzwiach lodówki, co dawało wspaniały efekt dźwiękowy. Wszystko to tworzyło ścianę zderzających się, maniackalnych dźwięków, z których każdy z osobna był rozpaczliwy i tragiczny, ale wszystkie razem narastały w szalonym wirze, brzmiąc dokładnie tak samo, lecz zupełnie inaczej niż jakiegokolwiek dźwięki, które Josie słyszała w swojej głowie przez tyle lat, kiedy myślała, że nosi w sobie muzykę. Położyła się z powrotem, rozkoszując się tym brzmieniem, i pomyślała, że mogłaby tu zostać; nie tylko w domu Coopera, ale również w tym miasteczku. Mogłaby znowu wykonywać swój zawód, jak zasugerował, i co tydzień przychodzić do niego w podobnym celu, dalej wyrażać ów zamęt w swoim wnętrzu, czyścić im zęby, a w zamian doświadczać tego rodzaju ulgi.

Teraz jednak pojawił się nowy dźwięk. Josie usiadła zdenerwowana. Był to dźwięk sztuczny, nienaturalny odgłos paniki. Syreny. Ich wycie powoli wplotło się w muzykę. Muzycy kolejno przerywali grę, żeby posłuchać. Rozdzwoniły się telefony i wszystko się skończyło.

## XXII

Gdy Josie wyszła za próg domu, czując się oszołomiona i zaspokojona, popołudniowe światło przypuściło szturm na wszystkie jej zmysły; obok, z rykiem syren, przemknęły dwa wozy strażackie. Odwróciwszy się, stwierdziła, że Cooper rozmawia przez telefon. Frank w pośpiechu przycisnął się obok niej.

– Pożar nadciąga w tę stronę. Ewakuuj się. Mówiłem wam.

Reszta muzyków podążyła za Frankiem. Rozproszyli się na trawniku, kierując się w różne strony ze swoimi waltorniami i gitarami. W drzwiach pojawili się Paul i Ana.

– Musimy iść – powiedziała Josie.

Nie wiedziała jednak dokąd. Nie wiedziała, skąd nadciąga ogień. Zakładała, że z południa, gdzie ostatnio szalał najbliższy pożar, ale jak to wpływało na bezpieczeństwo chaty i chateau?

Ulicą biegła jakaś kobieta w pomarańczowej kamizelce.

– Obowiązkowa ewakuacja! – krzyknęła. Brakowało jej tchu.

Suki wyszła z domu i przemknęła obok Josie.

– Cześć – rzuciła. Cindy poszła za jej przykładem, kierując się w przeciwną stronę.

– Cześć, Joze – powiedziała. Josie pożegnała się z nią i odwróciła do kobiety w pomarańczowej kamizelce

– Skąd nadciąga pożar? – zapytała.

– Z południa – odparła zdyszana kobieta i wskazała ręką kierunek.

Josie podążyła spojrzeniem za jej wycelowanym w góry palcem. Niebo było białe, zasnutę dymem.

– Jak blisko się znajduje? – zapytała.



– Blisko. Musicie jechać na północ. Jeżeli potrzebujecie transportu, to są autobusy. Odjeżdżają do Morristown. Wyruszają stąd za dwadzieścia minut.

– Wie pani, czy ogień dotarł już do kopalni srebra? – upewniła się Josie, ale kobieta pomachała jej tylko na pożegnanie i podążyła dalej ulicą. Była kimś w rodzaju wolontariuszki pukającej do drzwi.

– Gdzie jest ten pożar, mamó? – zapytał Paul.

Wycie syren rozdarło powietrze.

– Niech pomyślę – odparła Josie.

Wozy strażackie wyjeżdżały z miasteczka, kierując się na południe, podczas gdy dysponujące samochodami rodziny już pędziły na północ.

– Wejdźcie do środka – powiedziała Josie i wepchnęła Paula i Anę do domu Coopera, który znowu rozmawiał przez telefon. Odwrócił się do Josie i rzekł:

– Pół godziny, nie więcej. Zabrałbym was, ale nie mam miejsca.

– Co wiesz o tej kopalni srebra? – zapytała.

– Nic – odparł. – Jakiej kopalni?

Josie wzięła go na bok, żeby dzieci ich nie słyszały. Powiedziała mu o pobycie w kopalni Peterssen, za wzgórzami, o tym, że zostawili tam cały dobytek, wszystkie pieniądze i kamper, że tylko nim mogą wydostać się z miasta.

– Myślisz, że zdołamy tam dotrzeć na czas?

Cooper spojrział na nią tak, jakby postradała zmysły.

– Po prostu wsiądźcie do autobusu.

– A co z naszymi rzeczami? – zapytał ją szeptem Paul. Cooper spakował dla nich dwa plecaki pełne żywności i wody, zaopatrzył w latarki i baterie, po czym wysłał na parking szkoły podstawowej, gdzie podstawiono autobusy. Większość była pusta – niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka mieli własne samochody i półciężarówki.

Josie podniosła rękę z gracją sztukmistrzyni i wsiadła do autobusu. Paul i Ana podążyli za nią; wewnątrz było tylko pięć osób, dwa starsze

małżeństwa oraz podróżujący w pojedynkę nastolatek. Usiedli i Josie spojrzała na wzgórze, gdzie widać było ścianę zielonoszarego dymu, zastanawiając się, czy ogień strawił już chatę i czy w ogóle ją strawi. Pytała wszystkich, których знаła, lecz nikt nie znał odpowiedzi.

– Mamo, naprawdę – szepnął Paul. Musiał wiedzieć, na czym stoją.

Josie wiedziała, że powinna uspokajać swoje dzieci co do ich perspektyw, ale była zbyt oszołomiona, żeby nadrabiać miną. Wyobraziła sobie płonąca chatę, wszystkie ich rysunki, wszystkie gry, *Candyland*, dziecięce miecze, łuki i strzały, żywność, którą dopiero co kupili. Pomyślała o chateau. Nie zostawili w nim wiele, kilka części garderoby, i żadnej z nich nie będzie im brakowało. Ale chata na pewno pójdzie z dymem – jeżeli pożar dotrze do tej doliny, spłonie bardzo szybko. Rosło tam zbyt dużo drzew, wszystko było suche jak wiór, a nie było tam nikogo, kto gasiłby płomień.

I wtedy to zobaczyła. Jasnożółta poświata zza wzgórz, jakby szybko wschodziło podłużne słońce. Nie było to jednak słońce, lecz ogień, i Josie wiedziała, że to oznacza, iż pożar ogarnął dolinę, w której znajduje się kopalnia. Kłęby czarnego dymu sunęły w górę; odgadła, że ogień pochłonął jedną z maszyn – stąd nagły zapłon jakiegoś paliwa. Chateau. To musiał być kamper, jego pełny bak. Pomyślała o Stanie i o tym, jak powie stojącemu na białej wykładzinie dywanowej właścicielowi, że chateau już nie ma. Znając Stana, wiedziała, że jeszcze na tym zyska.

Potem pomyślała o aksamitnym worku. O wszystkich pieniądzach, jakie im zostały. Przy sobie miała około osiemdziesięciu dolarów.

– Dobrze, że byliśmy tutaj – zauważył Paul i Josie uświadomiła sobie tę prawdę. Gdyby nie przyszli do miasteczka, gdyby nie próbowała tworzyć muzyki w domu Coopera, byłiby tego dnia w kopalni. Sami. I nikt by o tym nie wiedział.

– Wszyscy gotowi? – zapytał kierowca.

Autobus ożył z terkotem silnika i ruszył na północ.

– Skończyłaś z tym? – zapytał.

Josie spojrzała na syna. Paul przeniósł się na fotel w następnym rzędzie niczym jakiś współpasażer. Ana leżała na podłodze i gryzła matkę w nogę, testując jej cierpliwość.

– Z muzyką? – upewniła się Josie, a Paul zamknął oczy. Oczywiście, że z muzyką, mówiła jego spokojna twarz.

Czyż nie znalazła się u progu pewnego wielkiego odkrycia – jeśli nawet nie było to odkrycie przeznaczone dla świata, to przynajmniej stanowiło osobiste objawienie – wydając na świat kryjącą się w niej muzykę? Josie obserwowała przesuwaną się w oknach scenerię, wozy strażackie jadące w przeciwną stronę, ku kłopotom, i z pewnym zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że muzyka, którą musiała usłyszeć, którą dopiero co usłyszała, którą wydała na świat i w której się pławiła, już nie jest jej potrzebna. Przynajmniej nie w tej chwili. Cooper by tego nie zrozumiał. Jesteś na tropie, mógłby rzec. Czy rzeczywiście tak by powiedział? Prawdopodobnie nie trafiła na żaden trop. Była raczej kobietą, chwilowo niepo czytelną, która wywołała dysonansowe szaleństwo w grupie łatwo ulegających wpływom muzyków liczących na bezpłatną opiekę stomatologiczną. Ale co z pomysłem, by zostać w tym miasteczku, mieście Coopera, wpasować się w jego życie, stać się ich nową dentystką, miejscową ekscentryczką, kompozytorką amatorem, częścią muzycznego świata, wychowującą tu swoje dzieci? Nie. A raczej jeszcze nie. Uwolniła się od tego. Uwolniła się od tylu rzeczy, od strachu przed Carlem, od ducha Evelyn. Wprawdzie już nigdy nie poczuje się uwolniona od wspomnień o Jeremym, ale dwie z trzech rzeczy to był jakiś początek. Przestała uciekać. To jednak nie znaczyło, że chciała, by ktoś ją utrzymywał, zajmował się nią i opiekował.

– Nie wiem – powiedziała.

Nie mogła obiecać, że już więcej tego nie zrobi. Nie była pewna. Nie potrzebowała już muzyki, ale musiała robić coś innego i zobaczyć coś innego; musiała też sprawić, by jej dzieci były dzielniejsze i silniejsze, ruszając dalej. Nie mogła składać żadnych obietnic co do tego, co w przyszłości zapragnie zrobić lub zobaczyć, i miała nadzieję, że dzieci wybaczą jej ten brak pewności, tę stale nierozstrzygniętą kwestię w ich

życiu, to bezkresne niebo, które miało moc czynienia z nich istot niezłomnych i nieustraszonych lub paraliżowania ich lękiem.

Jechali wiele godzin, nad potokami oraz przez rozległe połacie tajgi, a niebo przed nimi przypominało błękitny aksamit. Cooper powiedział, że spotka się z nią i jej dziećmi, ale w miarę jak zmieniał się krajobraz, traciła pewność, czy tego pragnie. Nie była przekonana, czy może zaufać własnemu umysłowi, ale po dwudziestu minutach jazdy na myśl o tym, że pozbyła się kłopotu, poczuła znajomą euforię, przyprawiającą o zawrót głowy swobodę. Nie różniło się to od uczucia, które miała, wyjeżdżając z Ohio i lądując na Alasce. Chateau poszło z dymem, chata także, znów uwolnili się od wszystkiego. Nie znali nikogo w tym autobusie i zmierzali do miejsca, gdzie będą sami nieznajomi.

Kiedy wjechali na rozległy parking, gdzie błyskały policyjne koguty i stały pojazdy pogotowia, Ana spała na kolanach Josie, a Paul przeniósł się na inny fotel, dwa rzędy dalej. To była nowość – jeszcze kilka tygodni temu nie zrzekłby się roli poduszki; z pewnością zaś nie siedziałby tak daleko od śpiącej siostry, w sytuacji gdy w każdej chwili mogła potrzebować jego pomocy. Teraz jednak spoglądał przez okno, ogarniając wzrokiem scenę na rozświetlonym parkingu, policyjne koguty, dziesiątki wolontariuszy w pomarańczowych i żółtych strojach biegających tam i z powrotem.

– W szkole, tam – poinformował kierowca.

Josie zbudziła Anę i wyprowadziła dzieci z autobusu. Paul dźwigał jeden plecak, a ona drugi.

Szkoła mieściła się w rozległym ceglany budynku z otwartymi na oścież dwuskrzydłowymi drzwiami, za którymi przy rozkładanym stoliku siedziała jakaś kobieta.

– Witam – powiedziała cichym i miłym głosem, jakby była świadoma drzemającego w nich przerażenia i nie chciała go budzić.

Josie podała jej swoje nazwisko i została skierowana na salę gimnastyczną, gdzie ogromne lampy oświetlały wyraźnie wyodrębnione stanowiska wszystkich dostępnych służb: zapewniających pierwszą pomoc,

pościel i żywność. W okienku, gdzie normalnie wydawano szkolny lunch, ich przedstawiciele nakładali na talerze rozmaite świeże potrawy. Połowę powierzchni sali zajmowała siatka równo ustawionych, choć w większości pustych łóżek polowych. Wydrukowana na drukarce komputerowej wywieszka reklamowała usługi dyplomowanej pielęgniarki. Pielęgniarka stała przy wywieszce, a na łóżku obok leżał młody mężczyzna bez widocznych obrażeń; wspierał się na łokciu i czytał komiks.

Troje dzieci, wszystkie niespełna sześćoletnie, goniło czwarte, żółtowołosą dziewczynkę w pelerynie.

– Szukacie tu schronienia na dzisiejszy wieczór?

Odwróciwszy się, Josie ujrzała mężczyznę w czerni, który był księdzem bądź pastorem.

– Nie wiem. Tak przypuszczam – odparła.

Gdy pałaszowali spaghetti i brokuły, arbuza oraz tort czekoladowy, Josie zdała sobie sprawę, że od rana nic nie jedli.

– Będziemy się tutaj uczyć? – zapytała Ana z zębami brązowymi od polewy. Paul uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, skarbie – odparła Josie. – Zatrzymamy się tutaj tylko na parę nocy – wyjaśniła, ale nie miała pojęcia, co zrobią potem.

Słuchała strzępów rozmów toczonych przez wolontariuszy na sali gimnastycznej. Większość ewakuantów pochodziła z Morristown lub innych pobliskich miasteczek. Dowiedziała się, że dotychczas spłonęło tam tylko kilka zabudowań gospodarczych. Armia strażaków pracowała dzielnie, wspierana przez sprzyjający wiatr, który spowolnił postęp ognia.

Odnosząc puste talerze do okienka, zauważyła, że kobieta w czarnym mundurze, ktoś w rodzaju pracownika biura informacyjnego, właśnie przypięła na tablicy mapę zasięgu pogorzeliska. Josie szukała na niej Morristown i w końcu je znalazła – niemal niedostrzegalny prostokąt tuż obok wielkiej czerwonej plamy w kształcie ogromnego serca, obrazującej obszar objęty pożarem. Na granicy między czerwienią i bielą zauważyła wydrukowane maleńką czcionką słowa „kopalnia Peterssen” prawie

całkowicie przesłonięte krzyżykiem, który ktoś zrobił czerwonym długopisem.

Wróciła ku trzem łóżkom polowym, które wcześniej zsunęła przy pomocy dzieci, tworząc coś na kształt jednego materaca. Paul i Ana grali na nim w kwartet nową talią kart.

– Ktoś nam je dał – wyjaśnił Paul.

Josie usiadła na brzegu łóżka, a potem opadła na poduszkę. Spojrzała w sufit dziesięć metrów wyżej. Zawieszony pod nim gąszcz lin, belek i transparentów przypominał gościom o lepszych okresach z dziejów szkoły.

O dziewiątej większość lamp na sali zgasła z głośnym trzaskiem i sykiem; zostały tylko cztery jasne stożki światła, po jednym w każdym kącie. Ana chciała dalej grać w karty, ale Paul powiedział jej, że powinni być cicho i się położyć, żeby nie przeszkadzać pozostałym osobom, które próbowały zasnąć. Ktoś zapytał:

– Macie wszystko, czego wam trzeba?

Josie zmrużyła oczy, przystosowując je do panującego wokół mroku. Dostrzegła starszego, siwowłosego mężczyznę z opadającą na oczy grzywką. Wyglądał znajomo. Josie pomyślała o domu; pewnie ktoś z Ohio. Nie. Po czym zdała sobie sprawę, że to strażak, którego wcześniej – wydawało się, że przed wieloma miesiącami – spotkała, mężczyzna o łagodnym spojrzeniu, który podszedł do niej, kiedy więźniowie zmieniali koło w kamperze.

– Tak – odparła i zrozumiała, że on jej nie rozpoznał. Nie było jasne, dlaczego się tutaj znalazł i sprawdzał sytuację ewakuowanych osób. Nie chciała odrywać go od pracy ani wdawać się w rozmowę o tym, co robiła wtedy, na tamtej drodze, ani o tym, co robiła teraz, setki kilometrów dalej na północ, w tym schronisku. Nawet gdyby próbowała, nie byłaby w stanie tego wyjaśnić.

– Nadchodzi deszcz. – Tak brzmiały pierwsze słowa, które Josie usłyszała nad ranem. Świtało i w sali gimnastycznej roiło się już od wolontariuszy

przyrządzających śniadanie. – Dziś po południu – przekazał ktoś tę ważną wiadomość tubalnym głosem dobiegającym spoza sali. Ten gwar obudził Anę, ale Paul dalej spał. Josie w milczeniu wyprowadziła córkę do holu, szukając właściciela tubalnego głosu, ale ten zniknął. Mimo to na korytarzach w całej szkole mówiono, że najgorsze minęło, że nadchodzące tygodnie przyniosą więcej deszczu i chłodu, dżdżystą jesień, która położy kres pożarom i oczyści powietrze.

Kiedy wyszły na dwór, okazało się, że białozółte niebo wygląda tak samo jak przedtem i nadal czuć drażniącą woń. Josie zrobiła kilka kroków w głąb parkingu i dopiero teraz zobaczyła ścianę ciemnych chmur nadciągających od północy. Wróciwszy do budynku, zajrzała na salę, żeby sprawdzić, czy Paul się obudził, ale on nadal spał z rozdziawionymi ustami, jakby zdumiony możliwością odpoczynku.

Kiedy Josie się odwróciła, Any już przy niej nie było. Rozejrzała się po holu i usłyszała ciche głosy dolatujące z przyległego korytarza. Skręciwszy za załomem ściany, zastała córkę przy wodotrysku razem z innym, jeszcze mniejszym dzieckiem. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że Ana jest sobą, bo lała wodę na głowę tego drugiego dziecka, jasnowłosego czterolatka.

Josie już miała zażądać od córki, żeby przestała, gdy uświadomiła sobie, że Ana poi malucha wodą. Kazała mu odkręcić kranik, ułożyła swoje małe dłonie w miseczkę i spływającą do nich wodę podawała chłopcu. Większość lądowała na ich koszulkach, ale wystarczająco dużo trafiało do ust spragnionego blondaska.

Josie podeszła do nich i Ana spojrzała na nią zaniepokojona, wiedząc, że będzie musiała wyjaśnić, co się stało.

- W porządku – powiedziała Josie.
- On nie mógł dosięgnąć.
- Wiem. Nic się nie stało, ale posprzątajmy tu.

Znaleźli więc w łazience papierowe ręczniki i w trójkę starli wodę z posadzki. Kiedy kończyli, przyszła matka chłopca i zabrała go

z powrotem na salę. Josie i Ana stały w korytarzu obok nieoświetlonej gablotki ze szkolnymi trofeami.

– Będziemy musieli tutaj znowu spać? – zapytała Ana.

Josie nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Ja nie chcę – oświadczyła jej córka.

– Ja też nie – zapewniła Josie, uświadamiając sobie, że to jej pierwsza od wielu miesięcy, a może pierwsza w ogóle szczerza rozmowa z Aną. Zazwyczaj planowała, jak powiedzieć coś córce, jak uniknąć przekazania jej jakiejś informacji, analizowała i zaciemniała, żeby uzyskać przyzwoity efekt. Teraz spojrzała Anie w oczy, wiedząc, że córka jest inna, że dojrzała; spostrzegła również, że Ana wie. Wie, że wyzbyła się jednej osobowości i przybiera inną. – Mamy tylko osiemdziesiąt osiem dolarów – dodała, nie patrząc na córkę, lecz na portret jakiejś mistrzyni sportu z początku lat dziewięćdziesiątych, dziewczyny, która teraz była zapewne w wieku Josie.

– Osiemdziesiąt osiem? – upewniła się Ana. – To sporo!

Paul przespał śniadanie i moment włączenia głośników pod sufitem, przez które podano szereg informacji o najnowszych wydarzeniach, o rychłym przybyciu innych ewakuantów oraz kolejne zapowiedzi opadów deszczu nadciągających z północy. Kiedy wreszcie się zbudził, wolontariusze zgotowali mu krótką owację. Jakaś nadopiekuńcza kobieta przyniosła mu miskę z owsianką domowej roboty, którą chłopiec zjadł łapczywie na jej oczach.

– No cóż, teraz jesteście bezpieczni – powiedziała do Josie i jej dzieci, jakby kończyła rozmowę o ich wcześniejszych obawach. – A w południe urządzamy zajęcia dla wszystkich ewakuowanych osób. Wszystkie rodziny zostaną zaproszone do udziału w warsztatach rękodzielniczych, a po nich do rozmowy o swoich odczuciach. To będzie świetna terapia. Ale i zabawa!

Josie się uśmiechnęła, a kobieta odeszła, żeby zbierać miski pozostawione w różnych miejscach sali przez kilkanaścioro dzieci, które teraz biegały po niej bez opamiętania. Wydawało się, że w ciągu ostatniej godziny na sali zrobiło się tłoczniej i dawało się wyczuć, że jest tam zbyt



wiele osób pozbawionych możliwości kąpieli i śpiących blisko siebie w niezmiennych do dawna ubraniach.

Perspektywa pozostania tutaj przez następną godzinę nagle stała się odstręczająca – a wizja spędzenia kolejnej nocy całkowicie niewyobrażalna. Josie doprowadziła ich łóżka do porządku, wzięła plecaki i wyprowadziła Paula i Anę z budynku szkoły. Nie miała żadnego planu, ale chciała sprawdzić, jakie możliwości zakwaterowania stwarza miasteczko. Osiemdziesiąt osiem dolarów zapewniłoby im jeden nocleg i wyżywienie w prawdziwym motelu.

Podeszła do nich jakaś kobieta.

– Zapomniałam panią wcześniej zapytać – Josie nie mogła sobie przypomnieć, czy spotkała ją kiedyś, ale musiała założyć, że tak było – czy ma pani dostęp do telefonu. Wielu ewakuantów zostawiło swoje komórki w domach lub nie mają zasięgu. Mamy tu jednak telefony stacjonarne. Może pani zadzwonić w dowolne miejsce.

Josie przyznała, że rzeczywiście nie ma dostępu do telefonu, i kobieta zaprowadziła ich do gabinetu dyrektora szkoły. Na ladzie, przy której zazwyczaj wydawano spóźniałskim druczki umożliwiające udział w lekcji, stał przygotowany aparat telefoniczny.

– Zostawię was samych – powiedziała kobieta.

Josie wybrała numer i połączyła się z niewłaściwą osobą; ponowiła próbę.

Odebrał osobiście.

– Carl?

– Kto mówi?

– Josie.

– Witaj. Skąd dzwonisz? Jak dzieci?

Powiedział to swobodnie, pogodnym głosem.

– Nie wiesz, gdzie jesteśmy?

– Wiem, że na Alasce. Dowiedziałem się od Sam. Ale gdzie dokładnie?

– Przecież wiesz. Wysłałeś za mną jednego gościa.

– Zaraz, zaraz. Co takiego?

– Nie wysłałeś mi pozwu? – zapytała.

– Pozwu? Po co?

Głos Carla był tak radosny i rozbawiony, że Josie musiała zmodyfikować wszystko, co zamierzała powiedzieć.

– Ktoś próbował doręczyć mi pozew – wyjaśniła, zastanawiając się naprędce, kto to mógł być. Evelyn?

– Jaki pozew?

– Nie wiem. Nie tknęłam go. Uciekłam.

Carl parsknął śmiechem. Był to gromki śmiech, śmiech zadowolonego człowieka. Josie usłyszała w słuchawce odległy pisk oraz delikatny szum załamującej się fali. Czyżby był na plaży?

– Czekaj. Zadzwoił do mnie twój adwokat. Szukał cię. Może to miało z tym jakiś związek.

– Elias? Co mówił?

– Powiedział, że chce ci przekazać ostrzeżenie. Dzwoniłem do ciebie w tej sprawie kilka razy. Pewnie nie wzięłaś telefonu. Mam rację?

– Nie chciałam, żebyś mnie namierzył.

Carl znowu się roześmiał, ale tym razem w jego rozbawieniu była nuta niepewności i urazy.

– Dobra, pamiętasz firmę energetyczną, którą pozwałaś? No cóż, właśnie złożyła pozew przeciwko wszystkim reprezentantom waszej grupy. Elias powiedział, że to normalna taktyka zastraszania i że sobie z tym poradzi.

Serce zabiło jej mocniej. Od wielu tygodni nie myślała o tym procesie.

– A dzieci? Dobrze się mają? – zapytał Carl, na powrót przybierając pogodny i beztroski ton. Czyżby w dodatku był pijany? Kim był ten szczęśliwy, wolny od trosk mężczyzna?

– Owszem. Przepraszam cię za Florydę – odparła.

– Nie ma sprawy. Rozumiem. Prawdopodobnie wydało ci się to dziwnym życzeniem. Ale w pewnym momencie dzieci powinny poznać Teresę. Myślę, że ją polubią. Wiesz, że ona jest psychologiem dziecięcym?

Josie nie zdawała sobie z tego sprawy. Teraz jednak zainteresowanie Teresy Carlem stało się zrozumiałe.

– Więc jesteście na Alasce! – Carl wydał z siebie głośne westchnienie, przyznając się w ten sposób do własnych dziwactw i wybacząc Josie jej teatralne gesty. Ona zaś nadal próbowała to wszystko uporządkować: Carl wcale jej nie ścigał – nie śledził jej ani nie pozwał. Okazało się, że to sprawka firmy energetycznej, która posłała jakiegoś woźnego sądowego, żeby ją nastraszyć. – Z informacji w gazetach wynika, że cały stan jest w ogniu.

– Właściwie to niedawno przed jednym uciekliśmy – przyznała Josie. – Jesteśmy w schronisku. – Opisała poprzedni dzień oraz szkołę, z której telefonowała. Rozejrzała się, pamiętając, że jest w gabinecie dyrektora. Na tablicy na ścianie widniał napis: JA JESTEM DYREKTOREM. JAKIE TY MASZ NADZWYCZAJNE ZDOLNOŚCI?

– Nic wam się nie stało?

– Jesteśmy cali i zdrowi.

– To dobrze. Unikajcie niebezpieczeństw. Daj mi znać, kiedy wrócicie.

Josie rozłączyła się i wyszła z gabinetu, uświadamiając sobie, że Carl nie poprosił do telefonu dzieci. Nie zapytał też, kiedy wracają do domu. Nawet pomyślał, by zobaczyć się z Paulem i Aną, sprowadzić ich na Florydę i przedstawić Teresie i jej rodzinie, ta goebbelsowska ustawka, był przelotny, nie stanowił już większego problemu. Jego zainteresowanie nimi minęło, podobnie jak fascynacja równością ekonomiczną lub triathlonem. Carl okazał się nieszkodliwy. Świadomość tego faktu była bardzo istotna i wyzwalająca.

– Przejdźmy się trochę – zaproponowała Josie. Stała nad łóżkiem polowym, na którym Paul i Ana grali w karty.

– Dokąd? – zapytała Ana.

Josie wzruszyła ramionami i odparła:

– Może nad rzekę?

To miasto nie odbiegało zbyt wielkością od miasteczka, w którym mieszkał Cooper. Włócząc się po nim, zauważyli, że w dużej mierze jest puste. Josie pomyślała, że większość mieszkańców albo pomaga w szkole, albo wyjechała z Alaski w mniej zagrożone pożarem rejony. Minęli warsztat naprawy ciężarówek, biuro agencji nieruchomości, sklep z ramami, wszystkie zamknięte, i znaleźli się nad brzegiem płynącego z wolna, szarego Jukonu. Usiedli, gdy Josie poczuła się nagle zbyt zmęczona, żeby iść dalej. Położyła się na wznak, spoglądając na białe niebo i grzejąc się we wciąż dziwnie ciepłych promieniach dalekiego słońca.

– Ten jest ciężki – rzekł Paul i po chwili rozległ się głośny plusk.

Jej dzieci, pozbawione całego dobytku, rzucały kamienie do rzeki. Stukot, gdy szukały kamienia odpowiednich rozmiarów, niemal niewyczuwalny powiew, kiedy wyrzucały go wysoko w górę, basowy dźwięk, gdy trafiał do wody.

– Mam położyć jeden na twojej stopie? Jest gorący od słońca. – Słowa stojącej nad nią Any.

– Dobrze – odparła Josie, nie otwierając oczu. Poczuła gorący ciężar dużego kamienia ułożonego na podbiciu. Wspaniałe wrażenie. Mruknęła z aprobatą.

– Chcesz jeszcze jeden? – zapytała Ana, i Josie odparła, że chce.

Dziewczynka ułożyła kolejny, lżejszy kamień na brzuchu matki, i Josie poczuła jego ciepło przez koszulę. Postanawiając nie otwierać oczu, pozwoliła, by córka, a niebawem również syn obkładali jej ciało kamieniami. Na piersi i brzuchu leżało ich kilkanaście, kilka bardzo ważnych spoczęło na udach, odpowiednim dla nich miejscu. W końcu zaś na czole Josie wylądował duży, płaski kamień, a na obu policzkach mniejsze, bardziej obłe. Ciepło tych kamieni! Dzięki niemu rytm jej oddechu stał się wolniejszy. Nie mogła się poruszyć. Pod takim kamiennym całunem minuty stawały się dniami; Josie słyszała głosy Any i Paula próbujących znaleźć na ciele matki miejsce na kolejne kamienie, głosy zachwyty zabarwione jednak nutą nerwowości. Co przed sobą widzieli? Swoją matkę obłożoną kamieniami, tak daleko od domu.

Josie pozwoliła sobie na chwilę wątpliwości. Przyznała, że być może nie należało przyjeżdżać do tego płonącego stanu. Wątpliwości szybko jednak znikły. Już po chwili pomyślała, że we wszystkim ma rację.

Że możemy wyjechać.

Że mamy do tego prawo.

Że wyjazd bardzo często jest koniecznością.

Że tylko dzięki wyjazdowi ona i jej dzieci mogli doświadczyć czegoś na kształt wzniosłości uczuć, że bez ruchu nie ma walki, bez walki nie ma celu, a bez celu nie ma zupełnie niczego. Pragnęła powiedzieć wszystkim matkom i ojcom: W ruchu kryje się sens.

Gdy słońce nanosiło jaskrawe kolory na jej powieki, Josie doznała gwałtownego przyływu poczucia przynależności. Darzyła miłością wszystkich ludzi. Wiedziała, że ten wybuch wdzięczności i wielkoduszności nie potrwa długo, wskazała więc ich adresatów z imienia: kochała Jeremy'ego, Sam, Raja, Deenę oraz Charliego ze statku i Jima Grenadę, i Carla, oraz oczywiście Sunny; czuła też coś w rodzaju miłości do Evelyn, której umieranie przepełniło ją wściekłością, tak więc kochała Evelyn. Wzdrygnęła się na myśl, że kocha też swoich rodziców i chce im to wyznać, czuła, że musi to zrobić, że pora im powiedzieć, że nie są ani lepsi, ani gorsi niż ona sama.

– Teraz je zdejmujemy – oznajmił Paul. W jego głosie pobrzmiwał stanowczy ton wskazujący na rosnące skrepowanie faktem, że jego matka jest pokryta kamieniami. Gdy jej pierś została uwolniona od ciężaru, Josie usiadła i dzieci spojrzały na nią z lekkim zdziwieniem, jakby oczekiwały, że stanie się kimś innym. Była jednak tylko ich matką siedzącą w jaskrawym świetle słońca. Teraz ściągały kamienie z jej nóg.

– Jak myślisz, ile on waży? – zapytał Paul i włożył matce do ręki jeden z kamieni. Był ciepły.

– Leżał na mojej piersi? – zapytała Josie.

– Tak.

– Pół kilo?

Paul jęknął rozczarowany.

– Może kilogram, półtora? – próbowała naprawić swój błąd. Paul rozpoznał się nieznacznie, po czym, spojrzawszy na kamień, znowu zrobił kwaśną minę. – Pięć kilo, co najmniej – orzekła w końcu.

– Pięć kilo! – rzekł do siostry, która była pod należytym wrażeniem.

Ana zdjęła kamień z uda matki i wetknęła go w jej w dłoń.

– A ten ile waży?

Kamień był lżejszy od poprzedniego, a Paul o tym wiedział, ale oboje z matką wymienili spojrzenia i Josie odparła:

– Mniej więcej tyle samo. Pięć kilo. Może więcej.

Oczy Any rozbłysły i Josie uznała, że córka schowa kamień w jakimś odpowiednim miejscu, ale ona odwróciła się tylko i beztrąsko rzuciła go do rzeki, wrzeszcząc:

– Do zobaczenia, dupku!

Dzieci dalej zdejmowały kamienie i za każdym razem pytały, ile jej zdaniem waży, po czym ekspediowały je do rzeki. Ana rzucała swoje gwałtownym ruchem, któremu towarzyszyły okrutne słowa pożegnań, zwykle powtarzając wynik matczynego pomiaru. Za każdym razem, gdy ścigali z niej kamień, Josie czuła się bliższa lewitacji. Były to tylko kamienie, a ona siedziała tylko nad rzeką obmywającą poszarpany brzeg, ale ilekroć Paul lub Ana podnosili jeden, wydawała z siebie cichy, stłumiony okrzyk i miała wrażenie, że jej ciało pozbywa się kolejnych więzów.

– Spójrz, mamó – powiedziała Ana i w końcu Josie wstała. Dziewczynka wskazywała na punkt w lesie za nimi. Wydawało się, że to zwykle oznaczenie początku szlaku, stojąca mapa, ale przyklepione były do niej kolorowe, obwisłe kule.

– Balony! – zawołała Ana i pobiegła do tablicy.

– Początek szlaku – rzekł Paul, ruszając za siostrą.

Stara, kilkudziesięcioletnia tablica przedstawiała ścieżkę, która wiała się doliną wzdłuż wąskiej rzeki, wznosząc się stale aż do brzegu górskiego jeziora. Jeżeli na tej mapie w ogóle podano odległości lub określono skalę,

to wiatr i deszcz zatarły te oznaczenia, ale Josie pomyślała, że szlak nie powinien mieć więcej niż sześć kilometrów długości, a jego koniec może się znajdować na wysokości maksimum dziewięciuset metrów.

– Zawsze chciałam zobaczyć górskie jezioro – powiedziała.

– Ja też – rzekł Paul, wpatrując się w mapę z wielką powagą.

Nigdy wcześniej nie wspominał matce o górskich jeziorach, o tym, że wie, czym one są, ani że pragnie jakieś zobaczyć. Ale Paul nie kłamał, nie potrafił kłamać, więc Josie nie miała innego wyboru niż wierzyć, że to, oprócz przeświadczenia, iż mógłby się ożenić z dziewczyną o imieniu Helena, jest jego tajemnicą i prawdziwym pragnieniem. Oraz w to, że w przyszłości będzie miał więcej niewypowiedzianych pragnień i potrzeb, a ona zostanie wtajemniczona w bardzo nieliczne i będzie musiała się z tym pogodzić.

– Więc powinniśmy iść? – upewnił się Paul, a jego siostra zapytała:

– Co to jest górskie jezioro?

## XXIII

Mieli jedno jabłko, worek z nieobraną marchewką, butelkę pomarańczowego gatorade, torebkę z krakersami, połowę paczki cukierków Starburst oraz wypełnioną w dwóch trzecich butelkę wody. Dzieci były ubrane w dżinsy i T-shirty. Temperatura wynosiła około piętnastu stopni. Josie uważała, że mają szansę dotrzeć do jeziora i wrócić przed lunchem.

– Paul – powiedziała, wiedząc, że go ucieszy – możesz skopiować tę mapę? – Kiedy wręczała mu długopis i wyciągała z portmonetki paragon ze sklepu spożywczego, w oczach chłopca rozbłyły iskry poczucia obowiązku. Sporządzona przez niego mapka była wystarczająco przejrzysta i zawierała większość informacji z mapy na tablicy, to znaczy niewiele. Widniał na niej długi, kręty szlak oraz owalne jezioro, a obok maleńki prostokąt, który przypuszczalnie symbolizował miejsce na piknik, a może nawet jakieś schronisko. Bardziej przypominała rysunek jakiegoś niepiśmiennego bandyty wykonany pod silnym wpływem mocnego cydru niż współczesną mapę służby leśnej.

Kiedy jednak weszli na szlak, Josie zobaczyła, że jest on szeroki i dobrze oznakowany. Z doświadczenia wiedziała, że po drodze napotkają sklepy z pamiątkami i przekąskami. Ruszyli. Niebawem znaleźli się w brzozowym zagajniku z drzewami zasadzonymi w równych odstępach. Plamy słonecznego światła znaczyły poszycie leśne, powietrze tchnęło chłodem. Na pniu drzewa ujrzeli żółty pasek wielkości dłoni i Josie się roześmiała, wiedząc, że wędrówka tym szlakiem nie będzie trudna; ktoś oznakował go co sto metrów. Spojrzeli na sporządzoną przez Paula mapkę i nie wyczytali z niej nic nowego. Jezioro było przed nimi – i nadal wydawało się, że od celu dzieli ich co najwyżej godzinny spacer.



– Most – rzekł Paul, wskazując na miejsce, w którym nad maleńkim, prowadzącym do rzeki wąwozem przerzucono przepołowioną kłodę. Most biegnący nad wąskim, płytkim strumieniem miał prymitywną konstrukcję i był śliski od mchu, ale Paul i Ana uparli się, że przejdą po nim bez pomocy matki. Strumień płynął leniwie zaledwie metr niżej, więc nawet gdyby wpadli do wody, przypuszczalnie nic by im się nie stało. Josie pozwoliła im na to i później zapragnęli znowu przejść na drugą stronę, wrócili więc i zrobili to jeszcze raz.

Przez jakiś czas, godzinę lub dłużej, w coraz większym skwarze wędrowali wzdłuż rzeki. Paul i Ana zaczęli opadać z sił. Potem ścieżka skręciła ku wzgórzom i szli w cieniu. Wyglądało na to, że szlak przed nimi biegnie prosto do głazu wielkiego jak stodoła. Dotarli do samego głazu, który z bliska przypominał raczej granitowy mur. Ani z lewej, ani z prawej strony nie widać było żadnych żółtych oznaczeń.

– Chyba mamy się przez niego przebić – rzekł Paul. Wydawało się, że mówi całkowicie poważnie, dopóki lewy kącik jego ust nie rozciągnął się w ledwie dostrzegalnym uśmiešku.

– Patrzcie. Żółty – powiedziała Ana.

Josie i Paul odwrócili się i zrozumieli, że Ana zauważyła maleńki żółty pasek na drzewie, wysoko na wzgórzu wznoszącym się nad rzeką. Wąska nitka szlaku prowadziła do głazu i biegła wokół niego; ruszyli nim wszyscy troje. Josie i Paul wyraźnie czuli, że bez Any nie dostrzegliby tego, co teraz wydawało się oczywistą drogą do góry. Przez pół godziny pięli się nią, wspierając się stopami na korzeniach drzew, aż dotarli na szczyt wzgórza i ujrzeli przed sobą polanę.

– To może być to jezioro – stwierdził Paul.

Josie zerknęła na zegarek. Właśnie minęło południe. Gdyby rzeczywiście znajdowali się nad jeziorem, gdyby zdołali tam dotrzeć, zawrócili i szybko zeszli, w miasteczku byłiby z powrotem przed drugą. Dotarli na grań, ale zamiast jeziora ujrzeli tylko jego resztki lub jego źródła, strumień przechodzący w płytkie rozlewisko. Wokół nich rozciągała się szeroka łąka upstrzona fioletowo-żółtymi polnymi kwiatami.

– Czy to jest to jezioro? – zapytała Ana.

– To nie jest jezioro – odparł Paul i odwrócił się do matki. – Prawda?

– Prawda – przyznała Josie.

Spodziewała się je znaleźć właśnie w takiej scenerii, wciśnięte w łuk zbocza góry. Tymczasem zaszli tak daleko, wspięli się na grań i zamiast jeziora ujrzeli jakiś bagnisty strumień – to było okrutne rozczarowanie.

– Dobrze, pomyślmy – powiedziała i zaczęła analizować sytuację, uwzględniając porę dnia i ich położenie na szlaku, w połowie zbocza góry znacznie wyższej, niż sobie wyobrażała. Dotarcie do tego miejsca zajęło im kilka godzin. Pomyślała, że mają czas, żeby pójść dalej, dotrzeć do jeziora i zawrócić, chociaż miała nieodparte wrażenie, że podejmuje błędną decyzję. Nie chciała popatrzeć na Paula z obawy, że napotka jego krytyczne spojrzenie.

Ana wskazała na niebo i powiedziała:

– Patrz, mamó. – Zza góry napłynęła wielka, ciemna chmura. W chwili gdy ją zobaczyli, usłyszeli grzmot, głośne chrząknięcie, które wypełniło dolinę, zwiastun katastrofy.

– Czy to się zbliża do nas? – zapytał Paul.

– Będą błyskawice? – upewniła się Ana.

Znowu rozległ się grzmot, tym razem głośniejszy. Josie podniosła wzrok i stwierdziła, że chmura przesunęła się bliżej, rzucając na połowę zbocza ponury cień. A oni stali w pobliżu płytkiego strumienia.

– Nie wiem – odparła. Zdając sobie sprawę, że stoją nad strumieniem, próbowała sobie przypomnieć, jak pioruny oddziałują na otoczenie. Czy woda jest przewodnikiem, czy czynnikiem powstrzymującym? Wydawało się, że nie ma dobrego wyjścia. Nadciągała burza z piorunami. I prawdopodobnie deszcz. Jeżeli zostaną na odkrytym terenie, przemokną.

– Nie powinniśmy pójść tam? – zapytała Ana, wskazując na las przed nimi. Wydawało się, że mają do przebycia dwieście metrów po wznoszącej się łące, dystans, który nie mógł zniechęcić, ale przecież wszystkie szacunki odległości okazały się jak dotąd zaniżone. Wszystko, co wydawało się być

w ich zasięgu, w rzeczywistości znajdowało się dwa razy dalej i wymagało trzykrotnie dłuższej wędrówki.

– Pioruny szukają drzew, zgadza się? – zapytał Paul.

– Nie wiem – odparła Josie. Jak mogła tego nie wiedzieć? Trzymać się z dala od wody czy iść ku niej? Między drzewa czy z dala od drzew?

Z drugiej strony jeszcze nie widzieli błyskawic, miała więc nadzieję, że zdołają dotrzeć do lasu przed nadejściem prawdziwej burzy, o ile burza w ogóle nadejdzie. Las wydawał się najbezpieczniejszym miejscem. Mogliby tam odpocząć, schronić się przed deszczem.

– Biegnijmy – zaproponowała.

Oczy Paula i Any świadczyły o wyczerpaniu, ale szybko pojawił się w nich błysk mobilizacji przed zadaniem, które trzeba było wykonać.

– Pobiegniemy do tamtej kępy drzew, dobrze? – powiedziała Josie.

Skinęli głowami. Ana ustawiła się w pozycji sprintera.

– Gotowi? – upewniła się Josie. – Biegiem!

Ruszyli przez ukwieconą łąkę, nie dbając o to, jaki kolor mają kwiaty, po których depczą.

– Tak! – ryknęła za nią Ana.

Josie odwróciła się i spostrzegła, jak maleńkie stopy córki fruną nad kamieniami i jeżynami, a jej duża pomarańczowa głowa podskakuje niczym świeca niesiona przez królika. Obserwowała twarz skupionego na wyznaczonym celu Paula. Od drzew dzieliło ich teraz sto kilkadziesiąt metrów. Zdołają do nich dotrzeć. Gdy znajdowali się w pobliżu pierwszych wspaniałych sosen, Josie poczuła się głupio na myśl o tym, że przydała tej sytuacji niepotrzebnego dramatyzmu. Przecież byli po prostu na dworze, biegli w nasilającej się burzy. Nie chciała, żeby jej dzieci bały się deszczu czy grzmotów lub błyskawic, nawet jeśli, zważywszy na wysokość, na jakiej byli, raziłyby one z niebezpiecznie małej odległości. Przed lasem znajdowało się skupisko niewielkich, poszczerbionych głązów i Josie zatrzymała się wśród nich; pozwoliła, by Paul i Ana ją minęli. Przyglądała się z uśmiechem, jak przelatują obok, wymachując rękami i szczerząc zęby w szalonym uśmiechu.

– Bardzo dobrze! – krzyknęła gromko, niemal z radością.

Wielki huk rozdarł niebo nad nimi. Świat pobiełał, a ona miała wrażenie, że ktoś smagnął ją biczem po plecach. Biegący przed nią Paul i Ana zastygli w białym świetle na kilka długich sekund, sfotografowani w locie. Przez chwilę wydawało jej się, że zostali trafieni, że tak właśnie jest, gdy człowieka trafia piorun, że jej dzieci właśnie są eliminowane z grona żywych. Ale światło zgasło, świat stał się na powrót kolorowy, a Paul i Ana nadal się poruszali, nadal żyli. Moment później rozległ się trzask tak głośny, że Josie rzuciła się na ziemię.

– Kucnijcie! – krzyknęła do dzieci. – I chodźcie tu.

Paul i Ana przyczołgali się do niej, a ona nakryła ich swoim ciałem. Przez minutę pozostali przy ziemi, gdy niebo warczało i dyszało, jakby niecierpliwie szukało matki i jej dzieci.

– Boję się – powiedziała Ana. – Czy trafi w nas piorun?

– Nie – odparł stanowczo Paul. – Dopóki tak leżymy. Skul się – dodał i Ana usłuchała, przyciągając kolana do tułowia.

– Dobrze – pochwalił ją brat.

– W porządku. Teraz znowu pobiegniemy – wyjaśniła Josie. – Tylko do tych drzew. – Podniosła wzrok i zobaczyła, że od lasu dzieli ich niespełna sto metrów. – Gotowi?

Paul i Ana skinęli głowami, gotowi poderwać się do biegu. Nie wiedzieć czemu, Josie wstrzymała się nieco dłużej, niż zamierzała. Na chwilę spojrzała w głąb lasu i powędrowała wzrokiem w górę najwyższego drzewa, zastanawiając się, czy to prawda, że piorun uderza w najwyższy obiekt na dowolnym obszarze.

– Nie biegniemy? – zapytał Paul.

I wtedy rozległ się huk rozrywanego świata. Przyprawiające o mdłości światło zalało las i błękitno-biała błyskawica rozszczepiła drzewo, o którym Josie właśnie rozmyślała, niczym topór wbity w jego grzbiet.

– Cholera – mruknęła Josie.

– Mamo, czy teraz walnie w nas? – zapytała Ana.

Josie zaprzeczyła. Zapewniła, że następne uderzenia będą już trafiały dalej niż to ostatnie, chociaż nie miała powodu wierzyć, że to prawda. Wręcz przeciwnie, pioruny za każdym razem padały coraz bliżej. Wydawało się, że robią to celowo.

Czekali, obserwując, jak tłą się zwęglone resztki rozszczonego drzewa i unosi się nad nimi wąski pióropusz szarego dymu. Znowu rozległ się grzmot przypominający odgłos czołgu przesuwanego się po sklepieniu nieba. Josie przeanalizowała wszystkie dostępne możliwości. Mogli zostać na swoim miejscu, ale wtedy na pewno przemokną. Była przekonana, że niebawem spadnie deszcz, słońce zajdzie i zapanuje całkowita ciemność. Mokrzy i zmarznięci nie będą w stanie znaleźć drogi powrotnej. Musieli biec dalej, natychmiast. Widziała szlak wijący się pod górę na długości mniej więcej półtora kilometra, znikający miejscami w niewielkich kępach drzew. Dzielnące je odległości będą musieli pokonywać sprintem między kolejnymi uderzeniami pioruna.

– Biegniemy do tego najbliższego lasu – oznajmiła. – To tylko kilkaset metrów. – Tyle że wiodąca do niego ścieżka była odsłonięta i niczym niechroniona, więc podczas biegu stanowiliby łatwy cel dla wszelkich złowrogich sił patrolujących jego trasę.

– Nie, mam – zaprotestowała Ana. – Błagam, nie.

Paul zwrócił uwagę, że piorun właśnie uderzył w drzewa, czemu więc mieliby biec akurat tam?

– Już więcej w nie nie uderzy – odparła Josie, sama w to nie wierząc. – I wkrótce spadnie deszcz. Musimy się przenieść. – Żywiła irracjonalną nadzieję, że nad jeziorem znajduje się jakaś budowla, choćby porzucony namiot. – Trzy, cztery – odliczyła i znowu ruszyli biegiem, skuleni z obawy przed odwetem z góry.

Pierwsze krople deszczu spadły na ich pędzące sylwetki, w chwili gdy znaleźli schronienie wśród drzew. Minęli rozszczone drzewo, czując dziwnie czystą woń zwęglonego pnia, i biegli dalej, aż las zgęstniał; zrobiło się ciemno od nisko wiszących gałęzi. Josie zatrzymała się, dzieci ją otoczyły i zdyszani usiedli we trójkę pod szerokim pniem wiekowej sosny.

– Czy nie możemy po prostu zostać tutaj? – zapytała Ana i Josie pomyślała, że prawdopodobnie zostaną, przynajmniej na jakiś czas, w nadziei, że burza minie. Kiedy jednak rozważała tę możliwość, deszcz stał się ulewny, a przez las przeszedł podmuch zimnego wiatru. Wydawało się, że temperatura spadła o kilka stopni. Przemokli w ciągu kilku sekund. Spojrzała na Anę, która miała na sobie koszulkę z krótkim rękawem. Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe, zaczęła dzwonić zębami. „Nie” – pomyślała. „Nie”. Było tylko jedno rozwiązanie. Zdjęła koszulę.

– Pozwól, że ci ją nałożę – powiedziała do córki, a ona posłała jej zatrwożone spojrzenie. – Włóż to – dodała stanowczo.

Koszula, którą Ana narzuciła sobie na głowę, okryła nierówno jej tułów i ułożyła się na kolanach.

– Pobiegniesz tylko w tym? – zapytał Paul, wskazując ruchem głowy jej biały biustonosz w sportowym stylu, z wąziutkim paskiem koronki na brzegu.

– Nie jest mi zimno – odparła Josie, omyłkowo biorąc jego pytanie za wyraz troski.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest zażenowany jej skąpym strojem. Nie chciał, żeby jego matka biegała po górach w samym biustonoszu.

– Pokaż mi tę mapę – powiedziała, prosząc syna o odręczną kopię, którą sporządził na początku wycieczki. Nie była pewna, co spodziewała się na niej znaleźć, ale zaczęła dochodzić do wniosku, że ich uparty marsz naprzód nie jest rzeczą rozważną. Posuwają się w głąb burzy w zupełnie nieznanym terenie. Jeżeli zawrócą, to niezależnie od tego, jak długo to potrwa ani jak bardzo zmokną i zmarzną, mogą być pewni, że trafią do miasteczka. Paul zawahał się przez chwilę. Na jego twarzy odmalował się wyraz powagi. Wyciągnął kartkę z kieszeni, rozłożył ją i pochylił się nad nią, chroniąc przed deszczem.

Nad nimi zderzyły się dwa odrzutowce. Nie mogło być innego wyjaśnienia. Josie jeszcze nigdy nie słyszała tak głośnego grzmotu. Krople deszczu robiły się coraz większe. Jej dzieci, już i tak przemoczone, jakimś

cudem przemokły jeszcze bardziej i było im jeszcze zimniej. Josie szacowała, że temperatura nie przekracza piętnastu stopni i w ciągu najbliższej godziny spadnie o ponad pięć.

Spojrzała teraz na mapę i chociaż była ona równie schematyczna jak ta, z której Paul ją skopiował, i przedstawiała jedynie kręty szlak prowadzący do jeziora, obok owalu symbolizującego jezioro widniał na niej ten równy prostokąt. „To musi być jakaś budowla” – pomyślała. Nawet budynek gospodarczy byłby czymś zbawiennym.

– Jesteś pewny co do tego? – zapytała, wskazując na jego rysunek.

– Czego? – zdziwił się Paul. – Tego? To znajdowało się na oryginale.

– W porządku – stwierdziła. – Jesteś tego pewien?

– Całkowicie.

Josie wiedziała, że jej syn na pewno podszedł do rysowania mapy ze śmiertelną powagą i teraz, jeżeli miał rację, ta kratka na wykreślonej ręcznie mapie mogła ich uratować. Znajdowała się o wiele bliżej niż początek trasy – o wiele kilometrów bliżej. Tuż za szerokim zakrętem szlaku.

– Odpoczęliście? – zapytała Josie.

Żadne z dzieci nie odpowiedziało na to pytanie.

– Musimy znowu biec – wyjaśniła. – Musimy biec dopóty, dopóki nie dotrzemy do jeziora i tego schroniska. Rozumiecie? Zrobimy to etapami. Będziemy biec od punktu do punktu i odpoczywać, kiedy trzeba. W porządku?

U góry eksplodowała z trzaskiem pękającego balonu jakaś planeta.

– Potraficie być dzielni? – zapytała Josie. Paul i Ana bez wahania pokiwali energicznie głowami, pragnąc wykazać się odwagą, wiedząc, że nie ma innego wyboru, że nie ma nic wspanialszego niż być odważnym. Josie zrozumiała wtedy, że zamiast szukać w istniejącym świecie odważnych osób – dobry Boże, przecież od lat to czyniła – lepiej i chyba łatwiej będzie je *stworzyć*. Nie musiała znaleźć ludzi uczciwych i śmiałych. Musiała ich *ukształtować*.

Na twarzy Any odmalował się konfidencjonalny uśmiech.

– O co chodzi? – zapytała Josie.

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Powiedz. Nic się nie stanie.

– To chyba brzydkie słowo – zastrzegła się Ana.

– Nic nie szkodzi.

– Burza gówna – powiedziała dziewczynka i Paul parsknął, a jego lodowate kapłańskie oczy rozświecił wewnętrzny uśmiech.

– Trafnie to ujęłaś – przyznała Josie. – To rzeczywiście burza gówna. Jesteście gotowi przedrzeć się przez nią?

Paul i Ana uśmiechnęli się od ucha do ucha i ruszyli biegiem. Kiedy wydostali się z kępy drzew na odsłonięty stumetrowy odcinek szlaku, ujrzeli kolejne żółte oznakowanie i rzucili się ku niemu. Kamienie na ścieżce były mokre. Ana poślizgnęła się na jednym z nich i upadając na rumowisko, rozcięła sobie skórę na nodze. Błyskawica rozświeciła świat na niebiesko, ale Josie bez wahania podniosła córkę w biegu i niosła przy piersi, dopóki nie dotarli do następnego lasu.

Zanim zdołała postawić Anę z powrotem na ziemi, poczuła ból w plecach. Stało się coś bardzo niedobrego. Nie mogła oddychać. Położyła się na boku, próbując znaleźć jakiś sposób na zaczerpnięcie tchu. Wypadnięcie dysku. Przebite płuco. Złamane żebro. Wszystko było możliwe.

– Co się stało? – zapytał Paul.

Josie nie mogła mówić. Podniosła palec, żeby poprosić o czas na odpowiedź. Teraz oboje wpatrywali się w nią, Ana w mokrej matczynej koszuli wiszącej na niej jak fartuch. Josie spojrzała na wierzchołki drzew, czarne sylwetki jodeł na tle nieba gniewnego i szarego jak podczas sztormu na morzu.

Powoli odzyskała zdolność oddychania i kiedy już była w stanie znowu usiąść, stwierdziła, że Paul urwał kawałek materiału z brzegu jej koszuli i owinął siostrze skaleczoną nogę tym prowizorycznym bandażem. Przypominał opatrunki rannych z pól bitew z czasów pierwszej wojny światowej, ale Ana gładziła go, spokorniała na widok czegoś tak okazałego.



Na tkaninie ukazała się owalna plama krwi i oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe.

Josie spojrzała na szlak. Wydawało jej się, że tuż za kolejnym pasem drzew i niską granią widzi polanę, na której mogło się znajdować jezioro i jakieś schronienie. Wstała z wielką obawą, że może zabraknąć jej sił lub że jej stan znacznie się przez to pogorszy. Chociaż była wykończona i zauważyła, że ze skaleczeń na nogach w kilku miejscach ścieka jej krew, mogła oddychać i była w miarę pewna, że znowu może biec.

– Ona już nie da rady – rzekł Paul, wskazując na siostrę.

– To prawda? – zapytała córkę Josie. Oczy Any zaszklily się łzami, broda jej drżała. Josie zauważyła, że córka nie może obciążać prawej stopy. Obmacała skaleczoną nogę na całej długości i nie wyczuła złamania, kiedy jednak nacisnęła delikatnie na bandaż, dziewczynka jęknęła. – Skręciłaś nogę. Kość nie jest złamana – oznajmiła Josie i teraz z oczu Any polały się łzy. – Dobrze. Obejmij mnie. Jak małpka.

Dziewczynka zarzuciła matce ręce na szyję, wtulając w nią swoje drobniutkie ramię. Kiedy Josie znowu wstała, dźwigając teraz dodatkowe osiemnaście kilo, jej kręgosłup gwałtownie zaprotestował.

– Jesteś gotowy? – zapytała syna.

– Do następnych drzew? – upewnił się Paul.

Przed nimi, w otwartej dolinie, rozciągało się kilkaset niczym nieosłoniętych metrów ziemi i rumowiska.

– Właśnie. Ruszaj, a ja będę biegła tuż za tobą. I nie zatrzymuj się, dopóki tam nie dotrzesz.

– Już? – zapytał.

– Już.

Ruszyli. Biegając, Josie jedną ręką podtrzymywała Anę, a drugą wysunęła przed siebie, żeby w razie czego złagodzić upadek. Liczyła się z tym, że upadną. Nigdy wcześniej nie biegła po mokrej ścieżce usianej luźnymi kamieniami z takim bólem, niosąc córkę w ten sposób. Każdy krok sprawiał, że plecy przeszywał jej sztylet promieniującego do nogi bólu. Ciężar Any potęgował skutki tego, co wcześniej stało się z kręgosłupem

Josie, ale na otwartym terenie nie mogła zwolnić. Musiała dotrzymać kroku Paulowi, który poruszał się zwinnie i szybko. Obserwowała z zachwytem, jak śmiało i bez wysiłku mknie do przodu.

Jakby za karę za ten moment matczynej dumy niebo rozdarła na wskroś błyskawica. Paul upadł na ziemię, a Josie przyklęła. Nawet trzęsieniom ziemi i tornadom nie mógłby towarzyszyć tak ogłuszający łoskot. Josie przeżyła prawie czterdzieści lat i nigdy nie była świadkiem takiej burzy, nie usłyszała tak karcącego sygnału z niebios.

Podnieśli się z ziemi, znów ruszyli biegiem i zdołali dotrzeć do lasu. Josie dobiegła za synem do pnia powalonej, uschniętej sosny. Usiedli obok siebie niczym żołnierze w okopie strzeleckim, dysząc ciężko. Ana wciąż tuliła się do Josie, jej zmierzwione włosy dotykały matczynej piersi.

– Zimno ci? – zapytał Paul, wskazując ruchem głowy na biustonosz i marmurkową skórę matki.

– Nic mi nie jest – odparła Josie. Była zlaną zimnym deszczem, zimny wiatr smagał ją, gdy odpoczywali, ale w czasie biegu było jej ciepło. Jednak ból stępił jej zmysły. – Jesteśmy górą – dodała. – Zauważyłeś to, prawda?

Paul skinął głową, z powagą potwierdzając słowa Josie, jakby jego matka wskazywała na coś, co sam zaczął podejrzewać i na co liczył. Posuwali się naprzód, w pełni wykorzystując wsporniki maszynery swoich ciał, i udawało im się przechytryć burzę posługującą się bezmyślną, brutalną siłą.

– Myślę, że musimy jeszcze tylko pokonać ten zakręt – stwierdziła Josie, wskazując przed siebie. Paul wyjął mapę i wskazał na szeroki łuk, który narysowana przez niego ścieżka zakreślała przed samym jeziorem.

– Chyba jesteśmy blisko – powiedział.

Powietrze wypełnił grzmot innego rodzaju – równie głośny jak ogłuszające grzmoty, które słyszeli wcześniej, ale dochodzący z górnej części szlaku. Był to narastający stopniowo łoskot, który przypominał odgłos setek przemieszczających się razem kamieni.

Josie wstała i spojrzała na zakręcający szlak. Niczego nie zobaczyła. I wtedy zza wypukłości na ścianie urwiska odległego o niespełna trzysta

metrów wydobyły się kłęby kurzu. Josie nigdy nie słyszała ani nie widziała lawiny, ale domyśliła się, że właśnie zeszła lawina. Kiedy już dziwnie równomierny łoskot ucichł, w dolinie nastał spokój, jakby odpoczywała po wysiłku. Josie nie wiedziała, co robić. Odwrót był niemożliwy ze wszystkich powodów, które określiła wcześniej – ucierpiałoby dzieci, było zbyt zimno, przemokliby i zmarzli. Ale posuwać się w stronę lawiny?

– To była...? – zapytał Paul.

– Co? – odpowiedziała pytaniem Josie.

Paul posłał jej spłoszone spojrzenie, wskazując, że nie chce wypowiedzieć słowa „lawina” w obecności Any.

– Chyba tak – potwierdziła.

Wydawało się, że deszcz stał się dwa razy bardziej rześysty. Każda kropla była ciężka, wyraźnie odczuwalna. Josie wiedziała, że muszą się ruszyć. Zamierzała dotrzeć do ślepego zakrętu i przynajmniej zajrzeć za róg, zobaczyć, co się stało, czy jest jeszcze po czym iść. Znowu wzięła na ręce Anę, która chwyciła ją za szyję trochę mocniej niż poprzednio – zaboląło, ale musiała to znieść – i ruszyła. Tym razem to ona biegła na przędzie, a Paul tuż za nią.

Daleko przed zakrętem ujrzeli ślady lawiny. Biegająca na ukos szara pięćdziesięciometrowa wstęga odłamków skalnych przesłoniła szlak i spoczęła na dnie doliny kilkadziesiąt metrów niżej. Josie spojrzała na ścianę urwiska, szukając jakiejś wskazówki co do jego dalszych zamiarów. Za lawiniskiem dostrzegła ścieżkę biegnącą do miejsca, które wyglądało na polanę. Będą musieli jakoś przejść przez to rumowisko i ponownie dostać się na szlak, cały czas ryzykując, że odłamki skalne znowu ruszą, że trawersując zbocze, zepchną je w dół.

Czuła, że musi zrobić to szybko, unikając zbędnych rozmyślań.

– Chodźmy – powiedziała. Plecy znowu zaprotestowały, ale i tak ruszyła wolno po skalnych odłamkach, przekonując się natychmiast, że na takim podłożu bardzo łatwo stracić przyczepność. Zrobiła krok, oparła się całym ciężarem na wysuniętej stopie i natychmiast się pośliznęła. Upadła. Ana zdążyła zeskoczyć na zakurzone kamienie. Upadając, Josie podparła

się rękami, ale uderzyła głową w sterczący pionowo kamień. Ból był ostry, wiedziała jednak, że nic poważnego jej się nie stało.

– Jesteście całe? – zapytał Paul, który pojawił się obok Josie i Any. Dzięki niewielkiemu ciężarowi nie zapadał się i był w stanie szybko poruszać się po rumowisku.

Ana skinęła głową, a Josie powiedziała, że nic jej nie jest.

– Masz krew na twarzy – zauważył Paul. – Nie za dużo.

Josie nie miała jak jej zetrzeć. Wiedziała, że Ana będzie musiała przejść na drugą stronę rumowiska sama.

– Idź za Paulem – poleciła córce i ta nie zaprotestowała.

Wspierając się mocniej na zdrowej nodze, dziewczynka zręcznie wędrowała po luźnych skałach, a Josie starała się ze wszystkich sił dotrzymać jej kroku. Próbowwała przydać sobie lekkości i zwinności.

– Zaczekajcie! – zawołała. Jej dzieci, którym wędrowka po kamieniach nie sprawiała najmniejszych trudności, znajdowały się daleko z przodu.

Josie pełzała, ślizgała się i zapadała tak, jakby stąpała po świeżym śniegu.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł i zastosowała go, wiedząc, że nie pozostaje jej nic innego jak spróbować. Obróciwszy się na plecy, zaczęła się odpychać stopami niczym mechanik pod samochodem. Plecami, nagim karkiem i potylicą szorowała po odłamkach skalnych, ale metoda okazała się skuteczna. Wcześniej wywierała zbyt duży nacisk na luźne kamienie i się zapadała. Natomiast leżąc na plecach, działających jak rakiety śnieżne, mogła rozłożyć ciężar ciała bardziej równomiernie i w ten sposób przesuwała się po rumowisku na oczach zachęcających ją dzieci.

– Jeszcze kawałek – powiedział Paul.

– Jeszcze kawałek – powtórzyła Ana.

Josie miała silne poczucie, że obraz własnej matki sunącej na grzbiecie po osuwisku pośród alaskańskiej burzy z piorunami zostanie im w pamięci na zawsze. Parsknęła głośnym śmiechem i śmiała się, gdy z nieba lał się na nią deszcz.

Kiedy znalazła się po drugiej stronie, czekali na nią; Ana stała na jednej nodze, wsparta na ramieniu brata. Paul miał poobcierane i pokrwawione nogi, a jego dłonie były białe od pyłu z kamieni, po których się czołgał. Nogi i ręce Any były podobnie pokaleczone; w którymś momencie zraniła też skroń i teraz widniało na niej czerwone rozcięcie wielkości palca. Nagle znowu, głośniejsz niż kiedykolwiek od czasu stworzenia świata, trzasnęła piorun, i Josie po raz kolejny wybuchnęła śmiechem.

– To się nigdy nie skończy, prawda? – powiedziała. – Jedna rzecz za drugą. – Ana i Paul uśmiechnęli się, ale wyglądało na to, że nie są pewni, o czym mówi ich matka, a Josie była zadowolona, że nie zrozumieli podtekstu jej stwierdzenia. – W porządku, jesteście gotowi? – Odwróciła się, niczego nie oczekując, ale teraz, gdy znaleźli się po drugiej stronie osuwiska, zobaczyła je, jasnoniebieskie jezioro, nie większe niż basen pływacki. I znowu się roześmiała. – O Boże, popatrzcie – powiedziała. – Jest takie małe. Cała nasza wędrówka z takiego powodu!

– Ale jest takie niebieskie – odparł Paul. – I spójrz.

Josie szukała schroniska, które widniało na mapie, ale to on pierwszy je zauważył. I nie było to zwykłe schronisko, lecz solidna chata z bali i cegieł, z prostym kominem stojącym niczym latarnia morska. Na drzwiach chaty wisiały takie same trzy balony, jakie widzieli na tablicy wyznaczającej początek szlaku.

Josie nie musiała mówić dzieciom, co mają robić – już ruszyły biegiem. Ana jakimś cudem odzyskała siły, a Paul pędził z przodu, wiedząc, że jego siostrze nic nie będzie; Josie szła za nimi, trzęsąc się z zimna i czegoś w rodzaju płaczu bez łez.

Kiedy dotarła do chaty, ujrzała napis nad werandą. Brzmiał on następująco: WITAJCIE NA SPOTKANIU RODZINY STROMBERGÓW. Otworzyła drzwi i ujrzała swoje dzieci, zakrwawione i zmoknięte, we wnętrzu, które wydawało się przyszykowane na przyjęcie niespodziankę. Były tam balony, wstęgi, stół uginający się od soków i napojów gazowanych, chrupek, owoców oraz wspaniałego tortu czekoladowego pod baldachimem z plastiku. W całej chacie wisiały oprawione w ramki zdjęcia

z różnych epok, przeważnie czarno-białe. Wszystkie opatrzone starannie opisami. Strombergowie na przestrzeni wieków. Josie mogła tylko przypuszczać, że jakiś nieustraszony członek rodziny był w tej chacie wiele dni temu, przygotował to wszystko na rodzinny zjazd, po czym z jakiegoś powodu, z uwagi na pożar lub niezwiązane z nim w żaden sposób tragedie, odwołał to wszystko, pozostawiwszy chatę i całe jej bogactwo innej, mniejszej i bardzo strudzonej rodzinie: Josie i jej dzieciom.

– Kim są ci Strombergowie? – zapytał Paul.

– Dzisiaj to my jesteśmy Strombergami – odparła Josie.

W chacie było drewno na opał w ilości wystarczającej na trzy zimy, a także mnóstwo wody. Josie rozpałała więc ogień, rozebrali się do naga, umyli i gdy ich brudna odzież suszyła się przed kominkiem, siedzieli pod wielkim wełnianym kocem. Jedli i pili wszystko, na co mieli ochotę, w dowolnej kolejności. Wkrótce zaspokoili głód i pragnienie. Chociaż bolały ich mięśnie, a rany natarczywie domagały się uwagi, przez wiele godzin nie mogli zasnąć. Czuwali każdą częścią swojego jestestwa. Ich umysły krzyczały triumfalnie, ręce i nogi pragnęły kolejnych wyzwania, kolejnego podboju, więcej chwały.

– To było dobre, prawda? – zauważył Paul.

Nie czekał na odpowiedź. Wpatrywał się w ogień, twarz miał rozpromienioną i wydawał się młodszy, niż był w rzeczywistości – być może odrodzony. Lodowate kapłańskie oczy znalazły nowe niezmacone szczęście. Wiedział, że to było dobre.

Josie uświadomiła sobie, że się uśmiecha, wiedząc, że zrobili, co mogli, tym, co mieli, i że znaleźli radość i cel w każdym swoim kroku. Stworzyli historyczną muzykę i stawili czoło potężnym przeszkodom na tym świecie; śmiali się, triumfowali, krwawili obficie, ale teraz siedzieli razem nadzy i było im ciepło, a ogień przed nimi nie gasł. Josie spojrzała na promienne, rozognione twarze swoich dzieci i wiedziała, że właśnie tacy powinni być i w tym miejscu się znajdować.

## XXIV

Potem jednak zawsze nadchodzi jutro.

# Podziękowania

W pierwszym rzędzie dziękuję Jenny Jackson, spokojnej osobie, wrażliwej czytelniczce i cudownie niestrudzonej orędowniczce tej książki. Dziękuję Sonny'emu Mehcie, Andy'emu Hughesowi, Paulowi Bogaardsowi, Emmie Dries i wszystkim pracownikom wydawnictwa Knopf. Dziękuję Ci, Em-J Staples, przyjacielu, nieustępliwy redaktorze i dumny obywatelu Illinois. Dziękuję Wam, Andrew, Luke'u, Saro i wszystkim niezłomnym rzecznikom mojej książki z Wylie Agency. Podziękowania dla Cressidy Leyshon i Debory Treisman za ich wiarę w tę książkę i przenikliwą redakcję jej pierwszego fragmentarycznego wcielenia. Dziękuję Wam, Alison i Katyu, bohaterki i mieszkanki Homera. Dziękuję za uważną lekturę Nyuolowi Tongowi, Peterowi Ferry'emu, Christianowi Keiferowi, Curtisowi Sittenfeldowi, Sally Willcox, Clarze Sankey, Tish Scoli, Tomowi Barbashowi, Ayelet Waldman, Carrie Clements i Jessemu Nathanowi. Dziękuję Wam, cierpliwi muzycy: Thao Nguyen, Alexi Glickmanie i Jonie Waltersie. Dziękuję Terry'emu Witowi, Deb Klein i Kim Jaime. Dziękuję Wam, filozofowie dentyści: Timie Sheehanie, Larry Blanku i Raymondzie Katzu. Dziękuję Ci, Alasko, za wytrwałość. I Wam, V, A i B, za to, że jesteście.



---

<sup>1</sup> POW – Prisoners of War (jeńcy wojenni); MIA – missing in action (zaginieni w boju),  
przyp. tłum.